

3168/48
MARJA GERSON-DĄBROWSKA

POLSCY ARTYŚCI

ICH ŻYCIE I DZIEŁA



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



WYDAŁO DZIEDZICZĄ KSIĘGARNIĘ

POLSCY ARTYŚCI

ICH ŻYCIĘ I DZIEŁA

POLSCY ARTYŚCI



WYDAŁO
DZIEDZICZĄ KSIĘGARNIĘ
WARSZAWA

MARJA GERSON-DĄBROWSKA

POLSCY ARTYŚCI

ICH ŻYCIE I DZIEŁA

ZE 153 ILUSTRACJAMI

WYDANIE DRUGIE



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

57262a

POLSCY ARTYSCI

392070

II

Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone

K-78/9168
15.5. 1801-



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1930

Pamięci ojca mego

Wojciecha Gersona

tę pracę poświęcam.



PRZEDMOWA

.
*Evviva Parte! W piersiach naszych płoną
Ogień, przez Boga samego włożone:
Więc patrzymy na tłum z głową podniesioną,
Laurów za złotą nie damy koronę...*

Kazimierz Tetmajer.

Zabierając się do pisania niniejszej książki miałam na myśli ten cel, aby pokolenia nowe zapoznać w sposób przystępny z ruchem artystycznym w Polsce, aby z kurzu zapomnienia dobyć nazwiska i dzieła artystów naszych, aby przed oczyma czytelników przesunął się ten szereg bojowników, pionierów naszej sztuki, pracujących najczęściej w krwawym trudzie i w najcięższych warunkach.

Nie kuszę się tu o oceny krytyczne — bo nie to jest celem moim, zrobili to już wreszcie inni i wcześniej i lepiej.

O materiały do niniejszej książki nie było łatwo, zważywszy, iż dzieł, prac z zakresu sztuki naszej jest bardzo mało, dużo zato materiału znaleźć można w rocznikach czasopism polskich, w wydawnictwach dawno wyczerpanych, na które często przypadkiem się natrafiało. Najtrudniej zaś było o materiał anegdotyczny, bez którego książka popularna obejść się nie może.

Szereg artystów, o których piszę, urywa się na pewnej epoce. Tu chciałabym wyjaśnić. Jakąś granicę trzeba było postawić. Otóż w książce niniejszej zamieściłam dłuższe życiorysy i wspomnienia o artystach nieżyjących a urodzonych nie później, niż w r. 1850.

Materiały, jakimi się posługiwałam, są bardzo różnorodne, począwszy od „Słownika malarzów polskich“ Rastawieckiego — dalej wszelkie dłuższe i krótsze monografie, sprawozdania, w dziale

budownictwa prace S. Szyllera, katalogi, bardzo liczne artykuły i wspomnienia zamieszczane w „Tygodniku Ilustrowanym“, „Kłosach“ i t. p. Korzystałam wreszcie z materiału nie publikowanego, korespondencji ojca mego, Wojciecha Gersona, oraz z własnych wspomnień.

DO CZYTELNIKÓW

Czytelnicy! Do was się zwracam, oddając tę książkę w wasze ręce. Zechciejcie ocenić tu nie moją pracę, ale pracę tych, o których w tej książce mówię, zechciejcie wczuć się w ten ogrom pracy, ofiary, zapału, w tę przepaść niedoli, która ścigała tak wielu tych „danych od Boga“, aby byli chwałą ziemi naszej. Zechciejcie wpatrzeć się w życie tych, którzy dźwignęli sztandar sztuki polskiej rękoma mniej lub więcej silnemi, tych którzy szli bezdrożami, żeby urobić gościniec, jakim dziś kroczy sztuka polska. Szli, nie szukając korzyści, których nie mieli, nie czekając sławy, która niezawsze szła w ich ślady.

Tacy byli w większości artyści nasi.

Chciejcie wyczytać w tej książce to, co chciałabym, aby doszło do waszej świadomości — a tem jest przeświadczenie, iż Polska od dawnych, dawnych lat miała swoją własną sztukę i swoich artystów, o których się wie bardzo mało, albo się i nic nie wie.

Niechaj z mroków zapomnienia wyjdą nazwiska i dzieła, niech ożyją, zmartwychwstaną, niech przemówią do was, niechaj przestaną być dla was zamalowanem kolorowo płótnem, bryłą kamienia lub bronzu, obojętną i zimną.

Zechciejcie wyczuć, iż w każdym z tych dzieł drzemie iskra ducha ludzkiego, iż poza niem stoi ten, który je do życia powołał — człowiek, szczęśliwy lub nieszczęśliwy, smutny lub wesoły, sławny lub — co częściej — zapoznany.

Wsłuchajcie się w mowę ducha ludzkiego, w tętna serc, które dawno już prochem się stały, ale żyją i mówią mową nieśmiertelną, głosem niemilkącym nigdy.

W ZARANIU

Co było u nas, w Polsce? Jaka była nasza sztuka w dawnych, odległych wiekach?

— Nie było jej wcale — usłyszymy nieraz odpowiedź. — Któż mówi o dawnej sztuce polskiej? Gdzież jest jaki Michał Anioł, Rafael lub Rubens, o których wie świat cały, których świat cały podziwia?

Ale myli się ten, co tak myśli lub mówi. Prawda, nie mieliśmy, lat temu kilkaset, sztuki tak świetnej, jaką wówczas stworzyły Włochy, Holandja lub Hiszpanja. Kraj nasz, nękany wojnami, przedmurze chrześcijaństwa, odpierający co chwila hordy barbarzyńców, sypiał z mieczem w dłoni, i nie czas mu było zajmować się sztuką. Z niewielu jednak dni szczęśliwych, dni pokoju, dotrwały zabytki, które świadczą i to świadczą niezbicie, iż kwitły sztuki w dawnej Polsce, a jeżeli niewiele nam owych zabytków zostało, to znów z powodu licznych wojen i najazdów. Gdy hordy pogańskiego Tatarstwa zapuszczały zagony ze wschodu, lub gdy z zachodu napastowali Niemcy, nie zostawał nieraz kamień na kamieniu; z bogatych miasteczek, licznych wiosek zostawały zgliszcza i popioły, w gruz i proch padały świątynie i zamki.

Nieraz też nawiedzały miasta i miasteczka straszliwe pożary, takie, o jakich my dzisiaj pojęcia nie mamy. Bywało tak, iż spalone miasteczko nigdy się już podźwignąć nie mogło.

I tak w ogniu wojen, w ogniu pożogi ginęły najcenniejsze zabytki.

Jakież to były najdawniejsze zabytki sztuki w Polsce?

Tych to aż w głębi ziemi poszukać musimy. O, i jest ich niemało po całej polskiej krainie, i nieraz sami nie wiemy, że stąpamy po dawnych cmentarzyskach słowiańskich, że tam, pod naszymi stopami, leżą ukryte najstarsze pamiątki sztuki polskiej, odwieczne, tysiąc lat przeszło liczące popielnice, gdzie składano



STAROŻYTNOŚCI LECHICKIE

prochy zwłok, palonych na stosach, tak jak to było w zwyczaju u dawnych Słowian. I nawet nie wiemy, że w wielu wsiach i wioskach, gdzie lato spędzamy, są pod ziemią, pod piaszczystymi najczęściej wzgórkami, takie grobowce odwieczne, a w nich, gdyby poszukać pilnie, natrafilibyśmy na garnki gliniane o ładnych formach, ozdabiane desenikami, wytłaczanymi w glinie, znaleźlibyśmy bransolety z bronzu, z wyrzniętym na nich rysunkiem, i naszyjniki kunsztowne, i pierścionki w kształcie zwiniętych wężyków, i spinki ozdobne.

I toć to właśnie początki naszej sztuki!

Taki biedny, pierwotny Słowianin, jakiś nasz prapradziad, musiał dobrze nabiedzić głowy, nim bez potrzebnych narzędzi ulepił taką popielnicę, i, widać, był artystą, jeżeli umiał nadać jej ładny kształt i pomyślał o otoczeniu ozdobną obwódką.

Inny przedhistoryczny artysta polski zapragnął odtworzyć obraz bóstwa, do którego się modlono i składano ofiary. Biedny przedhistoryczny artysta! Wyobraźmy sobie, ile go trudów kosztowało, gdy bez narzędzi odpowiednich siłił się wykuć w kamieniu oblicze wszechwidzącego Światowida! Wszechwidzący! więc trzeba mu dać cztery twarze, aby we wszystkie strony świata patrzył; drobne, chude ręce skrzyżowane na piersiach, w jednej dłoni zaciśnięty róg do picia czy trąbienia. Brzydkie to, sztywne, niezgrabne, ale można zaręczyć, że więcej się nad tem dziełem namozolił nasz biedny prapraszczur, niż Fidjasz nad posągami boskiej Ateny.

W skarbcach naszych kościelnych, w muzeach przechowują się różne ciekawe rzeczy z naszymi dziejami związane; jest np. w kościele w Trzemesznie, w Wielkopolsce, kielich kościelny królowej Dąbrówki. Piękna to rzecz — cała pokryta płaskorzeźbami, napisami, deseniami, rytami sztucznie. Kto jednak to dzieło sztuki wykonał, niewiadomo. Dawne to przecież dzieje, z przed lat blisko tysiąca.

Po tych czasach, przeważnie jeszcze pogańskich, zaczęto budować kościoły i ozdabiać je. I stała prastara katedra gnieźnieńska, a wejścia do niej strzeże dzieło sztuki polskiej rzadkiej piękności.

Szczyci się Florencja drzwiami bronzowymi, prowadzącymi do kaplicy chrztu, pokrytymi szeregiem pięknych płaskorzeźb. Zowią je też „drzwiami do nieba“. I my mamy takie „drzwi do nieba“! to odwieczne, śpiżowe podwoje katedry gnieźnieńskiej, tem ciekawsze i cenniejsze, iż są o jakieś pięć wieków od florenckich dawniejsze.

Jest to, bezwątpienia, najstarsza rzeźba polska z czasów chrześcijańskich, jaką znamy — dar Bolesława Krzywoustego, złożony świątyni gnieźnieńskiej.

A twórca tego dzieła?

W zakonne szaty przybrany, mnich pobożny dnie i tygodnie trawi nad tem dziełem swoim. Już też odlew gotowy, już wyraźnie widać owe osiemnaście wypukłych obrazków, opowiadających dzieje życia św. Wojciecha, a mistrz Leopard wciąż jeszcze z delikatnym rylcem w ręku nie odstępował od pracy. Każdą figurkę wykończyć musi, wygłodzić, obrysować. O! nietylko figurki; tak samo wykończyć trzeba ramę, z wijących się kręto gałązek złożoną, a jeszcze do otwierania obmyślić, wykonać i do podwoi przymocować — dwie główki lwie, koła w zębach trzymające.

I tak to, lat już temu osiemset, z rąk pol-



ŚWIATOWID

skiego mnicha, przejętego duchem Bożym, obdarzonego mocą twórczą, wyszło to dzieło niezrównane, jakiego drugiego niema w Polsce, a w całej Europie niewiele mu podobnych.



KIELICH DĄBRÓWKI

A obrazy? O, z tem gorzej się działo w tych odległych czasach. Z wieku XI—XII i XIII nie mamy nic, jeśli za malarstwo uważać zechcemy tylko obrazy malowane na deskach lub, jak to było później, na płótnie. Są jednak z tej epoki dzieła malarskie w inną formę ujęte i do różnych potrzeb przystosowane. Mamy więc puchary, kielichy kościelne, misy, czary, pokrywane rysunkiem rytym w srebrze lub złocie i zapuszczanym różnokolorową emalją, są ornaty i kapy, szyte w różne desenie, w różne postacie, całe obrazy, barwami haftowane

misternie. I jest taki ornat w skarbcu częstochowskim, dar królowej Jadwigi, i drugi jeszcze, dar księcia Opolskiego, a na obydwu różne postacie, sztucznie wyrobione. Ktoś jednak, co umiał rysować i malować, musiał do tych robót wzorów dostarczyć. Kto byli jednak ci artyści, dzisiaj nie wiemy, i z tych dawnych czasów jedno zaledwie nazwisko polskiego malarza w kronikach się zachowało.

*

*

*

Na szerokiem błoni, nad Niemnem, wielka odbywa się uroczystość. Na wzgórk u ustawiono krzyż wyniosły, a obok zasiadł król Władysław Jagiełło z cudną, młodziutką królową Jadwigą u boku.

Wokoło tłum. Tłum liczny i różny; pośród tłumu krążą kapłani chrześcijańscy i Bożem słowem przekonywają, nawracają; coraz zabrzmi uroczyste słowo: „Ja ciebie chrzczę...”

A tłum jest różny. Oto gromadka przekonanych przyklęła



PODWOJE KATEDRY GNIEŹNIEŃSKIEJ

i pochyla kornie głowy, oto inna, wahająca się i niepewna, wspominająca stare bogi i święte po lasach objaty, oto jeszcze inni, z pałającymi oczyma, wzywają Perkuna i jego gromów na głowy głosicieli nowych prawd. Większość jednak ciągnie za swym kneziem, co u krzyża stanął, a więcej jeszcze za tą cudną królową, co z anielskim uśmiechem krzyżem ich żegna i białe szaty nowym wyznawcom rozdaje, a patrzy tak słodko, jak właśnie anieli z nieba, o których głoszą kapłani.

Od gromadki mężczyzn, tylko co wodą chrztu świętego omytych, a imieniem „Jakóbów“ naznaczonej, odrywa się młodzieniec i, w zachwycie ręce złożywwszy, do stóp królowej się chyli.

— Saulyte! ¹⁾ — szepcą drżące wargi młodzieńca, podczas gdy oczy szukają promiennej twarzy królowej — saulyte! jasna, dobra, święta...

I pociągnął Jakób Wężyk za dworem królewskim ku odwiecznemu Krakowowi. Rzucił puszcze litewskie i ziemię rodzinną i poszedł. Nęcił oczy jego przepych królewskiego dworu, twarze odmienne, rycerskie stroje i zabawy. Patrzy i rysuje, maluje, różne zdarzenia i uroczystości w obrazkach swych przedstawia, różne twarze trafnie oddaje, a najczęściej króla i młodej królowej. Rośnie w sławę Jakób Wężyk. A król rad, że oto ma swego rodaka malarzem nadwornym, z własnej go płaci szkatuły.

Pracuje Wężyk, pracuje usilnie, bezustannie, i oto nagle, pewnego dnia mgła lekka zasłania mu oczy.

— Co to jest? — zaniepokoił się malarz. Przetarł oczy, ale mgła pozostała. Leczą go królewskie medyki, a mgła wciąż gęstnieje: leczą go znachory i baby — mgła coraz czarniejsza. Nie odróżnia już barw, nie widzi błysku złota, którym przyozdabia swoje malowidła. Noc czarna, nieprzejrzana na oczy mu spadła, noc czarna, ponura osiadła mu na duszy. Cóż mu po życiu, skoro największy jego skarb, radość i szczęście są mu odjęte.

— Wolejbyś mi, Boże, nogi odjął, uszy zamknął, a oczy wrócił — żali się biedny ślepiec. I oto nagle przychodzi jakby objawienie.

— Panienko Częstochowska! Królowo Jasnogórska! — modli

¹⁾ Saulyte — słonko, po litewsku.

się żarliwie i życie swoje, myśli, czyny tej Królowej Korony Polskiej ofiarowuje, a łzy gorące, szczerze płyną z oślepych oczu.

I nagle jakby się zasłona rozdarła, ciemności przed oczyma bledną i jaśnieją w miarę modlitwy, cienie się rozsuwają, mgły ustępują...

— Widzę! widzę! — woła w najwyższej radości, cudownie uzdrowiony...

Drogą ku Częstochowie dąży pielgrzym pobożny, idzie dziękować Najświętszej Pannie za cud doznany. Przed ołtarzem klękawszy wpatruje się w oblicze obrazu świętego i ślubuje sobie, iż za powrotem do Krakowa taki sam na chlubę Matki Bożej odmaluje.

Po powrocie zasiada do pracy. Cyprysowa deska przygotowana, farby roztarte, złoto błyszczy w miseczkach, jeno brać pędzel i malować. Próbuje Wężyk, nakłada farby, nie idzie robotą. Bieży więc po raz drugi do Częstochowy, próbuje dalej, i znów napróżno. Zrozpaczony wybiera się w trzecią pielgrzymkę. Po paru tygodniach nieobecności u drzwi swej komnaty staje wędrowiec zdrożony i opylony. Znękanie widać na wybladłej twarzy, zniechęcenie w oczach. Czyż i teraz jeszcze napróżno szedł do stóp Królowej Nieba? czy i teraz nie danem mu będzie przypomnieć sobie rysów świętych?

Zwolna otwiera drzwi i pierwsze spojrzenie wysyła ku cyprysowej desce z rozpoczętem i zatartem malowidłem. Spojrzał i oczom nie wierzy! Podbiegł parę kroków i pada na kolana, bełkocząc w uniesieniu:

— Cud!... cud!... mnie niegodnemu!...

A z deski cyprysowej patrzy na klęczącego w zachwycie artystę słodka twarz Matki Bożej w gwiazdzistej koronie, żywy obraz Panny Częstochowskiej!

Tyle mówi podanie gminne, zapisane w księgach zakonu bernardynów w miasteczku Sokalu w Galicji Wschodniej, i mówi jeszcze, iż pierwszy ten malarz polski, o którym kroniki piszą, tam właśnie żywota swego dokonał, i obraz Matki Bożej niewiadomą, a cudowną ręką namalowany, kościołowi sokalskiemu w darze ofiarował.

*

*

*

W dawnych kościołach, a zwłaszcza kościołach gotyckich więcej niemal bywało okien niż muru. Gdy wejść tam w dzień pogodny, słoneczny, to zdaje się, iż to jakiś pałac zaczarowany, gdzie ściany z drogich kamieni przeświecają cudnie różnemi barwami i rzucają na mury całe tęcze. Niby to jakiś szklany pałac wróżki-czarodziejki.

A tą wróżką to sztuka, a tym czarodziejem ten artysta, który owe witraże czyli okna różnokolorowe skomponował, i ten skromny szklarski majster, który szkiełka według rysunku poprzycinał i misternie paskami ołowiu pospajał. Skrzą się witraże tysiącem barw, a gdy się przyjrzymy, zobaczymy w każdym to obrazy z Biblii, to sceny z życia Chrystusa Pana i Najświętszej Panny, to Świętych Pańskich, aniołów, a wszystko przeplecione deseniami z kwiatów i liści, dziwnych, niebywających, bajecznych.

Piękne te dzieła przez jakichś bezimiennych artystów wykonane.

Rzeźbiarze też nie próżnowali. Prócz rzeźb, zdobiących kościoły, wyrabiano hełmy, tarcze, misy ozdobne, bogate oprawy do ksiąg, na których w płaskorzeźbach odtwarzano całe sceny, całe obrazy.

Wszystko to jednak u nas w kraju nie było tem, czem było na zachodzie. Tam, gdy przyszedł wiek XV i XVI, toć to roiło się od artystów i to nie byle jakich.

A u nas? U nas niedobrze się działo. Pomimo, iż były to czasy złote, czasy Jagiellonów i Zygmuntów, czasy — gdy nie brakło potęgi, wielkości i bogactwa, jednak sztuka nasza, nasza rodzima, śpi snem sprawiedliwego, i rozbudzić jej nie mogą nawet liczni artyści i rękodzielnicy, sprowadzani do Polski przez króla i możnych panów.

Ale przecież cośkolwiek być musiało; czyż podobna, żeby w czasach takiego ogólnego rozkwitu nie znaleźli się i u nas zdolni artyści?

I owszem, byli, ale kto oni? Jak się zwali? Co zrobił każdy z osobna? — nie wiemy. Są nawet i obrazy religijne, ciekawe, o złotych tłach, w kościołach krakowskich, w kościele w Ruszczy, gdzie oto widzimy postać ofiarodawcy, klęczącą u stóp Najświęt-

szej Panny. Taki maleńki, śmieszny człowieczek, niby karzełek jakiś. I nie przypuszczajmy, że to nieumiejętność malarza takim go zrobiła. Bynajmniej! Umyślnie przedstawiano tak ludzkie postacie, chcąc w ten sposób uwydatnić ich małość, ich pokorę wobec postaci boskich.

Taki to już był zwyczaj, taka moda, od której nikt odstąpić nie mógł.

Nie mógł! Czemu nie mógł? Wszakże każdy, jak chce, maluje i tworzy, a i tam, na zachodzie, każdy z artystów odmiennie malował, inaczej, niż jego koledzy artyści?

Otóż doprawdy nie mógł malarz polski tych czasów być sobą i tworzyć, jak chciał, a było to dlatego, iż każdy musiał należeć do cechu czyli zgromadzenia malarzy i prawami cechu tak był skrupowany, że nic samodzielnego nie wolno mu było stworzyć. Taki cech wyznaczał każdemu pracę, określał jej granice, rodzaj, treść, i wyłamać się z tego nie podobne było pod grozą kary wyłączenia z cechu i różnych innych przykrości. Majstrowie cechowi żelazną ręką trzymali czeladź swoją, sztuka stała się rzemiosłem, a artyści, choćby i zdolni, nie śmieli pendzlem ruszyć inaczej, jak w sposób, przez pana majstra przepisany.

Są też w ustawach cechowych różne zastrzeżenia, jako że ma swoje lata nauki odbyć, jako że „nikt zostający w nauce nie ma się żenić“, jako, że „żadnemu partaczowi niema być wolno robić w mieście lub gdziekolwiekby przebywał“, „żaden towa-

Polscy artyści.



OBRAZ ŚREDNIOWIECZNY
MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

rzysz nie ma świętować lub od roboty wstawać bez pozwolenia i woli mistrza, to jest: iżby miał na piwo chodzić, baki zbijać, lub nie w swoim czasie do roboty przychodzić...“ i tak dalej dużo, dużo przepisów, które możeby się i wielu terażniejszym ludziom przydały.

I dobre to było, gdy szło o szewcki pociąg lub krawiecką igłę, ale jakim sposobem mogli wyrosnąć w tych warunkach artyści samodzielni, gdy ustawy cechowe trzymały ich jak w kleszczach i tchnąć swobodnie nie dawały? Skąd moglibyśmy wiedzieć, co kto zrobił, skoro nikt swej pracy nie podpisywał, bo wszystko szło na ogólny rachunek cechu?

Niedobre to były zwyczaje, takie hamulce na ducha ludzkiego nakładające.

Ale jednak — jednak mimo tego ucisku powstało parę dzieł niezwykle ciekawych, pięknych. Wielki obraz może? Jakiś tryptyk bogaty? Wspaniałe malowanie ściennie o setkach figur, tak, jak to bywało we Włoszech w tych czasach?

Wcale nie! Tylko księga o dwudziestu kilku drobnych obrazkach, malowanych żywymi barwami: czerwienią, szafirem i złotem.

Każdy obrazeczek przedstawia jeden z cechów: a więc cech kupców, malarzy, krawców, szewców i t. p. Niektóre obrazeczki takie komiczne, iż szczerze śmiać się można, patrząc na nie. Taka oto księga ilustrowana, nazwana „Księgą przywilejów miasta Krakowa“. I druga podobna księga, należąca do Erazma Ciołka, kanonika krakowskiego, także bogato, ręcznie ilustrowana. I pomyślcie, każdy taki obrazeczek —



ZAKŁADANIE KOŚCIOŁA

MINJATURA Z PONTYFIKAŁU ERAZMA CIOŁKA

to unikat — jedyny okaz, wypracowany i wyzłocony przez jakiegoś pracowitego malarza cechowego lub zakonnego braciszka!

Oto spojrzymy — jeden z takich obrazków. Dodajmy do niego barwy żywe, złocenia, a będzie to właśnie taka średnio-



INICJAL

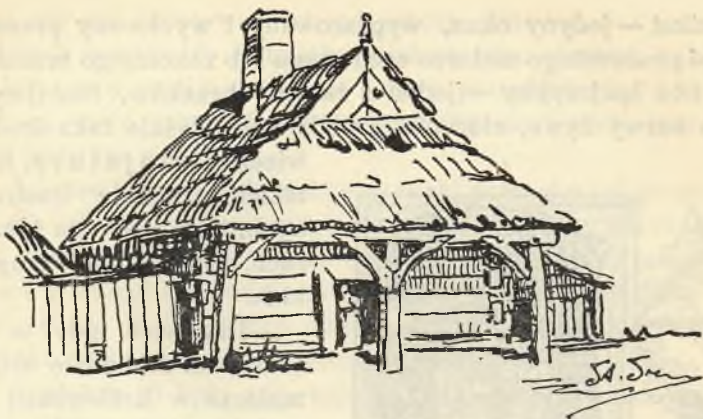
wieczna miniatura. Książ takich, pięknie ilustrowanych, było wiele po klasztorach, po bibliotekach magnackich.

Tak więc, gdy w tym czasie na zachodzie artyści-malarze w królewskiej niemal chwale chodzili, gdy dziełami swemi zamałowywali całe ściany i sklepienia, gdy o względy ich ubiegali się

książęta krwi, Stolica Apostolska i koronowane głowy, u nas skromny rzemieślnik cechowy, ubogi, pokorny braciszek zakonny rzuca nieśmiało na małą kartkę papieru świadectwo swego talentu, jakby nieśmiałą skargę, mówiącą ówczesnym twardym prawom: „Patrzcie, oto jestem, oto Bóg złożył we mnie iskrę ducha swego, czemuście ją stłumili i życie jej nie dali?”

A co za arcydzieła wychodziły z rąk tych właśnie braczków zakonnych, ile to oni ksiąg ręcznie przepisali i ozdobili rysunkami delikatnymi, kolorowanymi cudnie! Ile wymalowali inicjałów czyli pierwszych ozdobnych liter modlitwy lub rozdziału Biblii! Każda taka litera — to cała kompozycja, cały nieraz obrazek, cała scena z Pisma świętego lub z życia codziennego. W tych żmudnych pracach celowali bracia benedyktyni, i do dziś mówimy o każdym bardzo wypracowanym dziele — „to benedyktyńska robota“.

I wszyscy oni, ci artyści prawdziwi, bezimiennie ze świata zeszli. W starych kronikach jeno, w aktach zapomnianych znajdują się wzmianki, iż żył i malarstwem się zajmował jakiś Marcin z Bochni, Marcin ze Środy, Jan z Leszna, Mikołaj z Sandomierza, Wojciech z Łomży, czasem pisano Jan pictor — czyli ma-



CHAŁUPA WE WRZELOWCU

larz. I tyle tylko. Co jednak zrobili, gdzie są ich dzieła, nikt nie wie. Jeden tylko Stanisław z Krakowa ośmielił się imię swe położyć na paru obrazkach w „Księdze przywilejów“.

* * *

Tak się działo z malarstwem u nas. A cóż z architekturą, z budownictwem polskim? Wszakże tam, na zachodzie, od dawnych wieków budują gmachy, zamki, kościoły przepiękne, każdy naród szczyci się tem, co posiada, i z dumą mówi: „To nasze, to nasz duch je stworzył“.

A my? a u nas?

Ano, poszukamy, i zaręczam, że znajdziemy i niemało, i nienajgorsze. A naprzód powiem wam, co może dziwne się wyda, że budownictwo polskie powstało tak, jak kiedyś, kiedyś powstało budownictwo w Grecji. Ich piękne kolumnady powstały na wzór budowli drewnianych, tylko że zczasem upiękaszano je, słupy drewniane zastąpiono marmurowemi.

U nas, w Polsce, podobnie się działo. Ano i nie dziwnego. Czyż to nie mieliśmy w naszym kraju dębów stuletnich, modrzewi i świerków niebotycznych? czyż to nie było u nas borów nieprzebytych, skąd można było brać drzewa, ile dusza zapraagnie, i budować z nich chaty i kontyny, zamki obronne i kościoły?

Budowano też, a każdy majster-cieśla coś dodał, coś zmienił, ten tak swoją chatę wystawił, ów inaczej, ten obsadził drzwi tak, ów powiązał je inaczej, jeden nabił kołeczkami ku ozdobie, drugi nad oknami powyrzynał w desce zęby i zawijasy różne. Ktoś zrobił szczyt dachu spadzisty, kto inny wcięty na rogach, ten podparł wystający okap słupkami drewnianymi, innemu się to podobało i nietylko słupki ustawił, ale je jeszcze ociosał i przyozdobił.

I tak powstały po całej polskiej ziemi chaty i domostwa rozmaitej formy.

I nietylko same chaty. Ten, co chatę wystawił, otoczył ją ogrodzeniem, inny dla bezpieczeństwa częstokołem. W ogrodze-



DOMY PODCIENIOWE W WIŚNICZU

RYŚ. J. MATEJKI



KOŚCIÓŁ DREWNIANY W SĘKOWEJ

niu trzeba było ustawić bramę. I tu znowu sadził się cieśla jeden przed drugim, kto piękniej one wrota zasklepi, kto je sztuczniej i kunsztowniej zwiąże. I znowu namnożyło się wrót przeróżnych, z daszkami i bez, z kołeczkami drewnianymi, któremi wiązania dla mocy nabijano.

Ale ten majster, co podparł okap swojej chaty słupkami drewnianymi, też same wiązania, jak w bramach i drzwiach, zastosował u siebie tak, że stoi na froncie domku niby szereg bram ze słupkami ozdobnie wycinanymi, ze zwieszającymi się od góry z drzewa wyciętymi ozdobami.

Tak i podobnie buduje się nasz lud do dziś, tak się budował lat temu sto i dwieście, i więcej, podobnie musiał się budować w starej Słowiańszczyźnie.

Zabiegnijmy myślą wstecz i wyobraźmy sobie, w jakim to dworzyszczu przemieszkiwał stary Słowianin, po jakich kontynach składali ofiary starosłowiańscy wróżbici, i może przed naszymi oczyma stanie taka budowla, o ścianach z potężnych kłód i bierwion wzniesiona — taki zamek knezia Lecha lub Kraka, gdzie u wrót ciosanych grzmiały rogi myśliwskie, a w świetlicy, o ścianach od dymu szerniałych, ślepiec gęślarz pobrzękuje na stru-

nach, i wonne zioła płoną u stóp Światowida i Marzanny. Stara! odwieczna baśń!

Ale tymczasem świat idzie naprzód. Chata urasta, rozszerza się, potężnieje. To już nie kmieca zagroda, to zamek władcy i knezia. Z pogańskich kontyn powstają kościoły chrześcijańskie z dzwoniczami obok, z wieżami strzelistymi, z wysokimi dachami, krytymi dranicą, a spadzistymi bardzo, żeby śnieg się łatwo z nich zsuwał, a deszcz spływał prędko i dranic nie psuł. I kraj potężnieje, rozwija się, mnożą się miasta, coraz ich więcej i coraz bogatsze. Ten i ów, kto ciekawszy, zajrzy do kraju sąsiedniego, do Niemiec, a i dalej do Włoch i Francji, widzi, co tam już zrobiono, jakie pobudowano miasta, jakie kościoły i zamki.

I oto gdy przyszedł wiek XII, wiek wielkiej religijnej żarliwości, zjawia się, wedle legendy, na ziemi polskiej człowiek, ożywiony duchem Bożym, i ten to człowiek, nazwiskiem Piotr Włast Dunin, funduje swoim kosztem 77 kościołów, rozrzuconych po całej polskiej ziemi, kościołów o pięknych odrzwiach i sklepieniach zgiętych w łuk półkolisty, o ozdobnych głowicach kolumn. To one stare budowle romańskie, zwane „duninowskimi“ od nazwiska ich fundatora. Mało, bardzo mało zostało tych zabytków. Tu i ówdzie jakaś wieża stara, tu i ówdzie odrzwia ozdobne, czasem krypta podziemna, która jedna tylko nieraz ocalała z pożogi, nieconej rękami pohańców.

Ustały wreszcie wojny domowe i najazdy dziezy tatarskiej. Łokietek silną ręką sprawuje rząd nad Polską zjednoczoną, ale zrujnowaną i zubożałą przez długotrwałe wojny. I wtedy



KOŚCIÓŁ MUROWANY W SZYDLÓWIE

to wstępuje na tron ów wielki król, co to: „zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną“. Król mądry i zabiegliwy sprowadza rzemieślników z zagranicy, przy nich uczą się nasi polscy



WIEŻA MARJACKA

cieśle i murarze. Jak grzyby po deszczu wyrastają gmachy już nie drewniane, ale z kamienia i cegły; a że wówczas w Europie zaczął się rozwijać styl, zwany gotyckim, czyli ostrołukowym, więc i u nas powstał szereg gmachów, kościołów w tym właśnie stylu, a że pobudował je Kazimierz Wielki, więc nazwano je „kazimierzowskimi“.

— Więc jednak znowu naśladowaliśmy zagranicę? — zauważycie słusznie czytelnicy.

I pewnie! Wszakże wtedy w owym XIV wieku wszystkie narody Europy budowały się w podobny sposób, ale każdy jednak do tego ogólnego stylu dodawał coś swojego, coś odrębnego; więc też i u nas znalazły się przy budowlach gotyckich odmiany zupełnie inne, niż u innych narodów, zupełnie nasze, polskie.

Któż je takimi zrobił? Oto ci sami cieśle i murarze, którzy w oczach mieli obraz chaty polskiej i świątyni drewnianej, prawnuczki kontyny pogańskiej, grodyszcz Kraka i Lecha.

I powstały kościoły murowane, jakby odbicie drewnianych budowli. Popatrzmy; oto kościółek wiejski drewniany w Sękowej, a tu obok kościół murowany z XIV wieku, w Szydłowie. Czyż to nie to samo? czy nie te same strzeliste linje dachu?

Oto drugi piękny przykład architektury polskiej. Czy go nie poznajecie? Toć to wieża Marjackiego kościoła w Krakowie, ta śliczna wieża z wieńcem wieżyczek wokoło szczytu, a każda z nich to jakby wieżyczka ze starego polskiego, drewnianego kościółka. Widywał takie jakiś polski cieśla, ma je w oczach i w głowie, i gdy mu przyszło dom Boży wykończyć, ze wspo-

mnień dzieciństwa, ze swoich ukochań i zachwyków stworzył dzieło genialne i niezrównane.

Niemało też mamy z tych szczęśliwych czasów i późniejszych budowli niezwykle pięknych, jak katedra we Włocławku, wewnątrz Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Szczególniej przyjrzyjcie się, co za piękny dziedziniec z podcieniami o gotyc-



DZIEDZINIEC BIBLIOTEKI JAGIELLOŃSKIEJ W KRAKOWIE

kich łukach. Podcienia! Tak, tak, to też z chaty drewnianej początek wzięło, od tych słupów ciosanych, któremi cieśla wiejski podparł okap chaty. A i te „sterczyny“ na szczytach kościołów, takie naprawdę polskie, że nawet Niemcy, co nam wszystkiego odmawiają, zowią je stylem „nadwiślańskim“, nie chcąc go nazwać — jakby słuszość kazała — polskim. Takie piękne zębate szczyty, dzieło polskiego murarza, któremu nie kamień i nie marmur w rękę dano, ale prostą cegłę. Obejrzał ją murarz, pomyślał, przy mierzył tak i owak, inaczej mu się z niej budowało, niż z wielkich kamieni, spróbował ustawić szczyt zębaty, udało się!



SZCZYT STERCZYNOWY

— Ładnie! — zdecydował. Pochwalił biskup i budowniczy, dodano filarki, ozdobne iglice, i stanął szczyt kościoła jakiś nowy, niezwykle a piękny.

Mieli co robić, mieli — murarze i budowniczowie za czasów tego wielkiego króla, miał co robić budowniczy Wacław z Tęczyna, którego nazwisko przekazały nam kroniki.

Później coraz lepsze szły czasy dla sztuki polskiej. Kraj wzrastał w potęgę i bogactwo. Kształciły się umysły, zakładano szkoły i akademje, mnożyli się uczeni polscy; znane są nazwiska Grzegorza z Sanoka, Długosza, Kallimacha. Do Krakowa ściągali z zagranicy mistrze włoscy, niemieccy, a królowie nasi hojnie nagradzali ich prace przy upiększaniu świątyń i pałaców.

I oto objął rządę król mądry i szlachetny, syn Władysławów, Kazimierz Jagiellończyk, i za jego to rządów zasłynął w Krakowie mistrz polski, przez Boga obdarowany szczodrą, równy najpierwszym mistrzom europejskim owych czasów.

WIT STWOSZ

1447—1533

Biją dzwony Marjackiego kościoła, na rynku krakowskim lud się tłumnie zbiera, tłoczy się u drzwi kościelnych i ciekawie zaziera do wnętrza. A kościół oświetlony rzęsiście, świece woskowe migają blademi płomykami, zgaszone jaskrawemi promieniami słońca, wdzierającemi się przez przepiękne, różnokolorowe szyby. Piękne te okna, z różnobarwnych kawałków szkła złożone, błyszczą, niby drogiemi kamieniami sadzone, i przesiewają na kościół blaski tęczowe, rozpraszają mroki starego kościoła o wysokich sklepieniach i gotyckich łukach.

Ale nie smukłych kolumn i barwnych okien szukają tu dziś liczne tłumy; wszak znają zdawna te piękności; zdawna przywykły ich oczy podziwiać kościół Marji. Coś nowego nęci je i ciągnie.

— Widzieliście?—pytają jeden drugiego mieszczanie krakowscy.

— Cud nad cudy! — odpowiadają drudzy. — Niebo na ziemię zstąpiło!

— Bogu niech będzie chwała, że w naszym narodzie takiego postawił artystę! — odpowiadają inni.

— Oto i on! Cześć mu oddawajmy!

I chylą się kołpaki, chylą głowy, uśmiechy przyjazne gonią za przechodzącym w tej chwili mężczyzną w średnim wieku, około czterdziestu lat liczącym. Mądre oczy bystro i wesoło patrzą na zgromadzone tłumy, brodata twarz wyraża energję i siłę, dostatnie, piękne szaty, suto futrem bramowane, mówią o do-

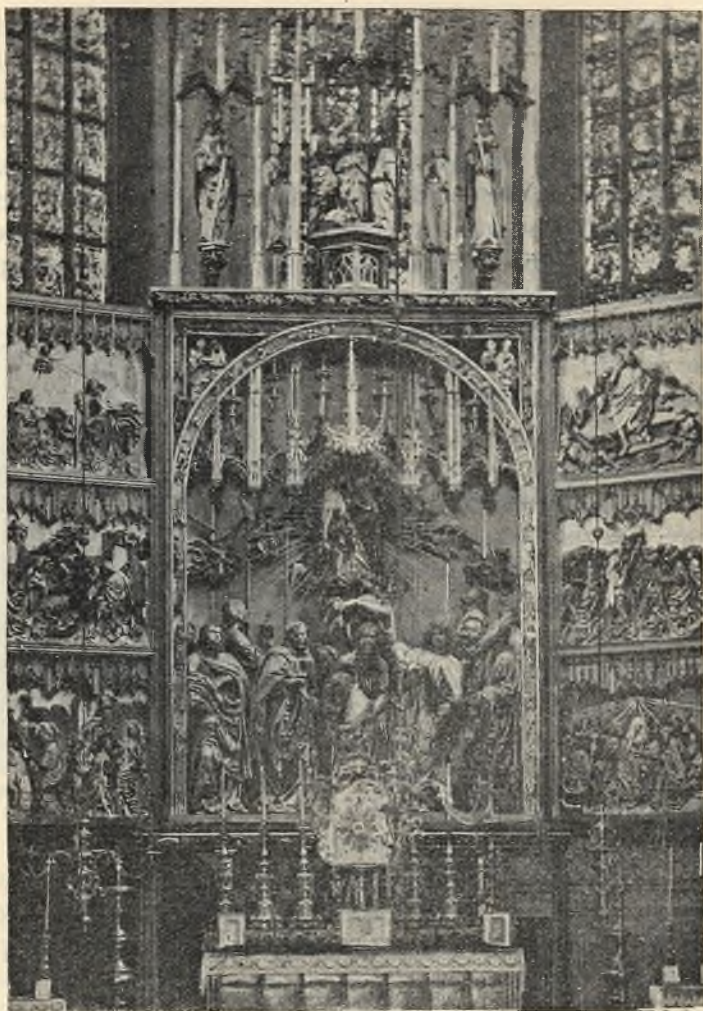


WIT STWOSZ

AUTOPORTRET

NORYMBERGA



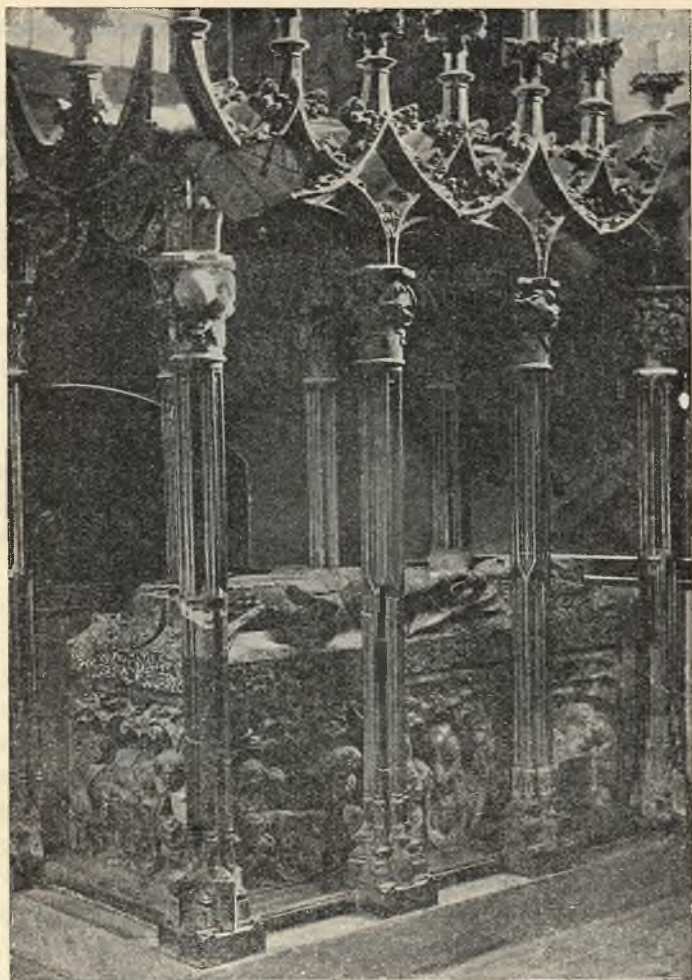


WIT STWOSZ

OL TARZ WIELKI W KOŚCIELE MARJACKIM W KRAKOWIE

statku i dobrobycie. Boć i dobrze Witowi Stwoszowi w rodzinnym Krakowie, dobrze, jako i w niebie lepiejby być nie mogło. Rówieśnik króla Kazimierza Jagiellończyka, w jednym z nim roku urodzony, szczyli się królewskimi względami, zasypywany





WIT STWOSZ

GROBOWIEC KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA NA WAWELU

robotami snycerskimi i rzeźbiarskimi, coraz nową pracę wykańcza, za którą, prócz dobrej zapłaty, bierze wzrastającą cześć i uznanie. I oto teraz ciągnie ulicami Krakowa, gonią za nim słowa i uśmiechy życzliwe; ciągnie zwolna ku ulicy Poselskiej,

gdzie domostwo własne posiada, gdzie czeka go dumna ze sławy męża żona, gdzie otacza go gromadka dzieci, a starszy syn, Stanisław, z zachwytem wpatruje się w dzieła swego rodzica.

— I ja też będę rzeźbiarzem! — mówi pacholę i chwyta nóż snycerski, próbując, niezręcznymi jeszcze cięciami w twarde drzewie, naśladować genialne prace ojca.



WIT STWOSZ

GŁOWA CHRYSTUSA

Z KOŚCIOŁA MARJACKIEGO W KRAKOWIE

Wit mija sień i wkracza do izby obszernej, szerokiej, oświetlonej jasno wielkimi oknami. To jego schronienie najmilsze, to świątynia wielkiej sztuki, to jego pracownia.

Zadumanymi oczyma powiódł wokoło, zatrzymując kolejno wzrok to na kamiennej rzeźbie, przedstawiającej Chrystusa w Ogroju, a przeznaczonej też dla kościoła Panny Marji, to na rozpoczętych płaskorzeźbach, przedstawiających historję św. Jana Chrzciciela, to na rozpoczętym, otwierającym się, niby wielka szafa, ołtarzu, przeznaczonym do kościoła św. Krzyża w Krakowie. Na otwierających się skrzydłach ołtarza umieścił Wit herby Polski, Litwy i Austrii. Prócz tych większych dzieł

rozpoczętych oto, cięte w drzewie, posążki Marji Panny wychylają z cienia swe słodkie oblicza; krucyfiks jeden, drugi i trzeci, gdzie bolesna, umęczona głowa Chrystusa zwisa bezwładnie w całym majestacie nadludzkiego cierpienia. Uśmiechają się główki aniołów i połyskują płyty czerwonego marmuru. Na niektórych widać już zarysy poważnych postaci z zastygłymi obliczami i zamkniętymi powiekami. To nagrobki, których moc niezliczoną wykonał w swem życiu pracowity Wit Stwosz.

Patrzy mistrz krakowski, wodzi oczyma po tym tłumie postaci, które do życia mocą swego talentu powołał, i chmurzy mu się oblicze; czegoś mu brak w tej pracowni. Zwraca oczy na kąt opustoszały, gdzie tak długo stało dzieło nad dzieła, cud nad cuda, nadewszystko mu ukochane, obmyślane w bezsenne noce, zaklęte w drzewo całą najtęższą mocą talentu, na jaką mógł się zdobyć, a dziś oddane Bogu i ludziom, nie jego już wyłącznie.

Tymczasem na rynku tłumy wciąż rosną, a mury kościelne objąć nie mogą ciekawych.

Błyskają blade światła świec woskowych, słońce przez szyby kolorowe tęczą maluje surowe mury, a w głównym ołtarzu błyszczy klejnot najładniejszy, gra barwami żywymi, błyska złotem, szafirem i purpurą: to dzieło Wita Stwosza, dziś tu Bogu na chwałę, ludziom na podziw ustawione. Ponad rzeźbiście oświetlonym ołtarzem, niby obraz rzeźbiony, cały z wypukłych, w drzewie wyrobionych postaci złożony. A wszystkie te postacie nadnaturalnej wielkości, pięknie kolorowane, zdaje się żywe stoja. W środku postać Najświętszej Panny klęcząca, pół omdlała zasypiająca snem wiecznym na rękach Apostołów, którzy ją wokoło otaczają. Górą rodzaj ozdobnego baldachimu o leciutkich, gotyckich wieżyczkach. To obraz główny. A na dwóch skrzydłach zamykającego się, niby szafa, ołtarza jeszcze sześć mniejszych obrazów z życia Chrystusa i Marji Panny. A w górze wieżyczki, piękne posążki i jeszcze wieżyczki, pnące się ku górze, strzeliste, jakby niebios sięgnąć chciały.

Patrzają ludzie i podziwiają; jeszcze takiego dzieła, jak Kra-

ków Krakowem, nie widziano. Radością i dumą wzbierają serca Krakowian.

— Nasz on jest — mówią z dumą — nie obcy, nie cudzy, co ich tu nie mało się snuje. Polska go ziemia wydała, dzwony krakowskie do snu kołysały, nasz jest ten, co ono dzieło stworzył.

— Nie dziwota! — mówią ci i owi bywalcy — a któż to tak utrafił oblicze Łukasza Górki albo i Andrzeja Opalińskiego, że oba jakoby żywi patrzą?

I idą ludzie oglądać ołtarz Marjacki i, jak szli wówczas, idą aż do dni naszych. Jest-li taki, coby w Krakowie był, a ołtarza Stwoszewego w kościele Marjackim nie widział?

Zaczynają się oto złote czasy w życiu Stwosza. W nagrodę za piękne dzieło, którem ozdobił Kraków, rajcy miejscey uwalniają go od podatków i danin, król darzy zaszczytami, miasto zaś uwielbieniem.

Ale Kraków ciasnym się zdaje wielkiemu, niespokojnemu duchowi Wita. Sława jego rozeszła się poza granice kraju i doszła aż do niemieckiego miasta Norymbergi, gdzie wówczas kilku sławnych niemieckich artystów przebywało. Wezwany do pomocy przy budowie grobu św. Sebalda, udaje się do Norymbergi.

Opustoszała krakowska pracownia, a świat szeroki wielkiej sztuki otworzył się przed oczyma Wita. Widzi wielkie dzieła, poznaje znakomitych artystów malarzy: Albrechta Dürera i Krafta, rzeźbiarza Vischera, i wielu jeszcze pomniejszych, cały świat artystów, pełny fantazji, zapału, humoru. Jak ryba w wodzie poczuł się Wit w tem otoczeniu, w tej pięknej, warownej, malowniczej Norymberdze.

Parę lat minęło. W krakowskiej pracowni znowu wre ruch i życie, wrócił mistrz do swego państwa i oto znów z młotem w dłoni, zajęty pracą nielada. Z czerwonego, pstrego marmuru wyłaniają się rysy znane, ach, jak dobrze znane Krakowowi: szczupła, zmęczona twarz, korona jagiellońska, bogate szaty królewskie... to zmarły niedawno król, Kazimierz Jagiellończyk.

I znowu tłumy ciekawie tłoczą się u drzwi kościelnych, ale już nie u drzwi Marjackiej świątyni, lecz u bram katedry

na Wawelu, gdzie pod kosztownym kamiennym baldachimem, na wysokim sarkofagu śpi, wiecznym snem ujęta, kamienna postać zmarłego króla i śpi aż po dni nasze.

Dziwią się bardzo podobieństwu rysów, dziwią sztuce wykonania, wspinają na palce, by ujrzeć oblicze królewskie, kłękają na podłodze, by się przyjrzeć płaskorzeźbom, otaczającym wokoło sarkofag, i przeczytać podpis mistrza *Vit Stvos*, jak się był nieraz na swych rzeźbach podpisywał.

W dostatku żyje mistrz krakowski, po całej Polsce idzie jego chwała. Szczyci się katedra wrocławska pomnikiem biskupa Piotra z Bnina, roboty Wita, i szczyci się ziemia spiska ołtarzem i grobowcami w kościele miasteczka Lewoczy, i kościół św. Florjana w Krakowie płaskorzeźbami w drzewie. Szczęśliwie żyje Wit w chwale, niby król w koronie, chodzi wielbiony, kochany, na rękach noszony, a jednak tęsknota trapi go i zjada. Artystyczne życie nęci go i ciągnie. Gdy młot złoży, gdy przyjdzie chwila spoczynku, jak sen cudny jawią się smukłe wieże Norymbergi, tajemnicze, ciemnawe wnętrza starych świątyń, jawi się piękna, ogniem artyzmu rozjaśniona twarz Dürera, dobroduszne oblicze Vischera i Krafta, i cały ten świat sztuki sunie przed stęsknionemi oczyma mistrza, cała gorąca, ognista dusza rwie się tam, na zachód.

— Pojadę, pojadę! — zdają się szeptać drżące usta — tam mi żyć, tam szczęście, tam chwała!

*

Bitym gościńcem Małopolski ciągnie ku zachodowi kilku jeźdźców. Najpoważniejszy z nich, brodaty, blisko już pięćdziesięcioletni, znać panem jest, jak widać z ubioru i zachowania się. Inni, to pacholkiwie, wiozący tłumoki podróźnie i prowadzący konie.

Słońce zniża się ku zachodowi. Oto i skraj lasu, którym dotychczas droga prowadziła. Już i ostatnie mijają drzewa, gdy nagle na tle zarumienionego zachodzącem słońcem nieba staje postać dziwna, jakby widmo z bajki. Kobieta to młoda o czarnych ognistych oczach i krętych włosach, wijących się, jak węże, dokoła głowy.



WIT STWOSZ W DRODZE DO NORYMBERGI

(MALOWAŁ WOJCIECH GERSON)

Konie spłoszone rzuciły się niespokojnie, jeźdźcy ściągaają cugle i zatrzymują się, patrząc ze zdumieniem na niespodziane zjawisko.

— Wstrzymajcie się! — zawoła zjawa, wyciągając dłoń przed siebie.

— Cyganka, czy zmora? — szepce jeden z pachołków. — W imię Ojca i Syna, zgiń, maro!... Jeszcze nam nieszczęście przyniesie.

— Nieszczęście chcę odwrócić! zawróćcie konie... wracaj, Wicie, do Krakowa... zawróćcie konie! Tam — ciągnie dalej zjawa, wskazując w stronę płonącego nieba — tam hańba, tam nieszczęście, tam zdrada! Zawróćcie konie! zawróćcie konie, biada wam!

Skręciła wbok i znikła w zaroślach, jakby w ziemię zapadła.

Chwilę stali podróżni niepewni, co czynić, wreszcie najstarszy wzruszył pogardliwie ramionami, płomień mu z oczu strzelił, uderzył konia ostrogą i ruszył z kopyta dalej, ku zachodowi, a za nim wślad biegło dzikie wołanie cyganki:

— Tam hańba! tam zdrada! tam nieszczęście!

Tak mówi podanie.

*

Upłynęło lat kilka. Na starożytnym rynku Norymbergi tłumy się gromadzą, gromadzą się, dążą, biegną z wąskich uliczek, z domów, zawieszonych nad zmaconemi wody. Oto już głowa przy głowie, w oknach, na balkonach pełno ciekawych. Po środku rynku wzniesienie jakieś, naprędce widać z desek zbite, wokoło niego zbrojni pachołkowie i rajcy miasta, w szaty uroczyste przybrani, a wśród tego tłumu jedno imię wciąż słychać powtarzane z ust do ust, to imię Wita Stwosza.

A i ten tłum dziwny jakiś, czekający czegoś niezwykłego. Radni miasta, otaczający wzniesienie, chmurni i niespokojni, ze złym, zaciętym wyrazem twarzy, obok nich kupi się część mieszczanstwa i grupka pomniejszych artystów; inna część tłumu hałaśliwa, wykrzykując głośno, o twarzach pełnych głębokiego

oburzenia, zaciśniętymi pięściami grozi w stronę rajców miasta; oczy błyskają srogo.

Pośród tej grupy migają znane Norymberdze twarze Dürrera, Krafta, Vischera, ich uczniów i przyjaciół. Twarze tych ludzi powleczone smutkiem, drgające bezsilnym gniewem.

— *Veit Stoss! Veit Stoss!*¹⁾ — słychać wciąż w tłumie.

Czyż to nowy honor dla tego wielkiego artysty? Czyżby to na cześć jego zeszyły się te tłumy, jak ongi w Krakowie?

Nagle cichną szmery, tłum się rozstępuje, a wolnem przejściem postępują zbrojni pachołkowie, a za nimi ktoś z rękami związanymi, niby zbrodniarz jaki.

Znana to, znana Norymberdze, poważna, szlachetna twarz Wita Stwosza, to jego czoło myślące i płomienne oczy, to jego postać pełna siły i energii.

Oto już mija tłum, oto wstępuje na rusztowanie, oto jeden z rajców rozwija zwój pergaminu i czytać poczyną, a w miarę, jak czyta, z tłumy podnoszą się okrzyki głośne:

— To nieprawda! to fałsz! zdrada!

Sędzia przybladł, ale czyta dalej i obwieszcza wszem wobec, że oto Wit Stwosz, mistrz sztuki rzeźbiarskiej, popełnił czyn haniebny sfałszowania ważnych listów i za to przestępstwo sromotną ma ponieść karę napiętnowania na obu policzkach, oraz, że do końca życia Norymbergi opuścić mu nie wolno. Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa, krzyk oburzenia buchnął wśród tłumu, ledwie zbrojni pachołkowie utrzymać mogą napór ciżby, żądającej uwolnienia Wita; jeszcze chwila, a odbiją skazanego. Ale rajcy czuwają; na ich nagłące skinienie kat chwyta żelazo rozpalone, i po chwili na obu policzkach skazanego widnieją dwa czarne znaki, niczem niestarte, a noszące kształt monogramu, jakim Wit oznaczał dzieła swoje.

I stało się! Na zawsze zhańbiony, na zawsze uwięziony w nienawistnej, dziś — wrogiej Norymberdze, nigdy już nie ujrzy rodzinnego kraju, kochanego Krakowa! A tłum rozechodzi się, przerażony i zdumiony. Bo jakże? Jeśli jest zbrodniarzem, toć właśnie z miasta wydalić go należało, a nie przywiązywać

¹⁾ Tak z niemiecka zwano Wita Stwosza.



JAN MATEJKO

WIT STWOSZ W NORYMBERDZE

doń na wieki; tak czyniono zwykle, czemuż nie uczyniła tak rada miasta Norymbergi? I wątpliwości rosną, i oburzenie przeciwko sędziom fałszywym wzmagą się, i coraz jaśniej występuje krzywda niewinnego, przewrotność, zawiść jego wrogów; coraz jaśniej widać, że przeszkadzała pomniejszym artystom, drażniła ojców miasta rosnąca sława cudzoziemca, poniżyć go więc trzeba, żeby nie rósł w chwałę, ale zatrzymać gwałtem

też trzeba, aby jego pracowite i genialne ręce ozdabiały tylko niemieckie kościoły, boć równych mu mało.

Ale omylili się przewrotni sędziowie, omylili zawistni koledzy. Sława Wita zda się urosła jeszcze po krzywdzie doznanej; żałosna historia przenika na dwory możne i książęce i budzi współczucie żywe dla ofiary, oburzenie na niegodziwość rajców; zamówienia prac rzeźbiarskich sypią się obficie, i ona to — praca leczy najlepiej rany, zadane przez ludzi. Niestrudzony duch Wita Stwosza pracuje i tworzy; co chwila nowe jakieś cudne i coraz cudniejsze posągi wychodzą z pracowni jego, aby stać się ozdobą kościołów norymberskich, a już ze wszystkich najpiękniejsza, tak zwany „Wieniec różany“. Taka dziwna rzeźba, wisząca wolno w środku kościoła, gdzie w ramie z róż widać postać Marji Panny i zwiastującego Jej Anioła. Drobne aniołki czepiają się korony różanej. Złotem i żywymi barwami gra ten obraz rzeźbiony, jak zjawisko nieziemskie, w powietrzu się kołyszące. Cesarz Maksymiljan I wzywa Stwosza, aby wziął udział w robocie posągów bronzowych, które zdobić mają przyszły grobowiec monarchy w Innsbrucku. I istotnie wykonał ich kilka Wit Stwosz, między nimi postać Cymbarki Mazowieckiej; inne nie są dokładnie wiadome, gdyż skromny mistrz nie położył na nich swego podpisu.

Nie położył też podpisu na tej ślicznej „Madonnie Norymberskiej“, tak cudnej w ruchu, wyrazie idealnej twarzy i skrzyżowanych na piersiach dłoni. Jak miękko łamią się fałdy jej szat, inaczej zupełnie niż we wszystkich dziełach Wita; jakby powiew „Odrodzenia“ kierował ręką mistrza, jakby chciał tą pracą powiedzieć światu: „Oto mnie macie! umiem być i takim, gdy zechcę!“

Gdzie nie zawędrowała sława polskiego mistrza? Oto na dwór króla portugalskiego, Emanuela, przychodzą starannie opakowane skrzynie: to zamówienie królewskie, wykonane przez Stwosza. Schodzi się dwór ciekawy; podnoszą wieko i dobywają dwa posągi naturalnej wielkości, przedstawiające Adama i Ewę. Zdumiał się król-znawca, zdumieli dworzanie, ktoś, wszedłszy niespodzianie, krzyknął przerażony, sądząc, że posągi są żywymi ludźmi.

— Mowy im brak tylko!¹⁾ — mówią oczarowani widzowie.

Nietylko w Norymberdze, ale i w Niemczech całych pełno jest po kościołach prac wybornych tego wielkiego i pracowitego mistrza. Niedarmo uwięzili go podstępnie na swej ziemi, aby im tylko, niby słowik w klatce, śpiewał. Ileż pięknych krucyfiksów, płaskorzeźb i posągów rozsiał po świecie ten mistrz pracowity.

„Mistrz Wit dziwnie stateczny, pilny a miłościwy, z roboty po wszystkim chrześcijaństwie słynie“ — opiewają księgi starej Norymbergi.

A ileż dzieł pięknych i nasza ziemia posiada!

Oto wspaniała tablica grobowa Piotra Salomona w kościele Marjackim. Oto Kallimach — u Dominikanów — oto tablica z postacią rycerza, Piotra Kmity, na Wawelu. Ryte tablice Szamotulskiego i Tomickiego²⁾.

Wszystkie te i wiele innych jeszcze jedna robiła ręka i... na żadnym, niestety, swego imienia nie położyła. I znów koło dzieł owych, jak koło posągów insbruckich, krążą legendy i przypuszczenia, ale tu, więcej niż tam, zdaje się być pewne, że autorem wielkich tych dzieł nie kto inny był, jeno Wit Stwosz.

Bo i jakież inny artysta mógł tak wybornie, tak prawdziwie odtworzyć rysy zmarłych magnatów? Któryż ich znał le-



WIT STWOSZ MADONNA
NORYMBERGA

¹⁾ Historyczne.

²⁾ W kościele św. Marcina w Warszawie są w ołtarzu nawy lewej trzy posąжки, przypisywane Stwoszowi lub jego szkole.

piej, kto częściej widywał, jak nie ten, który na jednej z nimi żył ziemi, ten wybrany, żeby był chwałą swego narodu!

*

Przeszły lata; do jednego z kościołów w Norymberdze wchodzi starzec, prowadzony przez młodą dziewczynę. Oblicze zorały mu troski i tęsknota, w bystrych niegdyś oczach noc ciemna, wyżyły je łzy i te krwawe, straszne znaki na policzkach.

Idzie mistrz stary, orzeł osłepły, dziewczyna go prowadzi. Weszli we drzwi świątyni; starzec wznosi dłonie, te dłonie, które tyle dzieł cudnych wykonały, i drżącymi palcami dotyka stóp krucyfiksu, swego dzieła; u okrwawionych nóg Zbawiciela kładzie swą mękę i gorycz, i tęsknotę więźnia, któremu nieba swego oglądać nie dano, któremu wydarto szczęście, a dziś wydrzeć chcą miano Polaka.

Wiek blisko przeżywszy, spoczął wielki mistrz polski na obcej ziemi, na cichym cmentarzu Norymbergi.

*

W opuszczonym przez mistrza Wita warsztacie praca nie ustaje. Oto przed rozpoczętą rzeźbą stoi syn Wita; ostatnim dotknięciem dłota wykończa obraz — rzeźbę, przedstawiającą chwilę, gdy Bolesław Śmiały, w otoczeniu rycerzy o dzikich twarzach, rzuca się na św. Stanisława, stojącego u ołtarza.

Obok pomocnicy Stanisława Stwosza barwią farbami i złotem rzeźbę, przedstawiającą kilku opasłych i spłakanych biskupów i opatów, składających do trumny zwłoki Świętego.

— Syn po ojcu zręczność do onego kunsztu wziął — dziwią się mieszczenie, oglądając roboty Stanisława — ale zawsze to nie to, co stary! Gdzie młodemu do niego, chociaż też majster jest przedni i cechowi wstydu nie przyniesie.

Nie, nie przyniósł wstydu, a nawet mu blasku przysporzył, boć i owe rzeźby o św. Stanisławie, które dziś w kościele Marjackim stoją, i ołtarzyk szafkowy z ukrzyżowaniem na Wawelu, i inne jeszcze po ziemiach polskich rozsiane sławę syna Stwoszowego roznoszą i miejsce mu poczesne w rządzie polskich, średniowiecznych rzeźbiarzy zapewniają.

*

*

*



SZCZEGÓŁ KAPLICY ZYGMUNTOWSKIEJ W KRAKOWIE

Tymczasem po całym świecie idą nowe podmuchy, jakaś wstaje w świecie nowa wiosna, coś się zmienia i przekształca.

Dotychczas panował jeszcze w Europie styl gotycki, ostrołukowy, teraz zaczyna się coś zmieniać w sztuce i sposobie budowania. Ze starych Włoch lecą, jak jaskółki, te nowe wieści, te nowe formy, jakieś odmienne a niby już znane, niby gdzieś we śnie widziane, a jasne jakieś, pogodne i strojne.

Przemówił stary świat, odezwał się Rzym, z głębi ziemi, z pod zwalisk i ruin, z pod popiołów i gruzowisk wychyliły czoła odwieczne kolumny, w całym majestacie stanęły świątynie greckie i rzymskie, łuki triumfalne, grobowce.

I zdumiał się świat. Arcydzieła! cuda! Zachwycił się przede wszystkim Włoch: toć to jego przecież sztuka, jego rodzinna, tak jasna i słoneczna, jak jego niebo włoskie. Nie lubi Włoch

mrocznych, tajemniczych świątyń gotyckich, a jasna sztuka starego Rzymu do serca mu przypada. Znaleźli się też wnet artyści, którzy ją zbadali, przyjrżeli się dokładnie i ze starej sztuki zrobili nową, podobną a odmienną, jakby zmartwychwstała i odrodzoną.

I nazwano ją też sztuką „odrodzenia“.

Już sto przeszło lat panowało we Włoszech „odrodzenie“, a do nas jeno słuchy o nim dochodzą, i wciąż jeszcze panuje styl gotycki. W gotyckim stylu komponuje swoje ołtarze i pomniki Wit Stwosz i inni bezimienni, współcześni mu artyści.

Aż tu nagle coś się zmieniać zaczyna. Przychodzą czasy Zygmunatów, zjeżdża z Włoch królowa Bona i dwór jej, ciągną za nim i artyści włoscy, jeżdżą do Włoch polskie poselstwa, kształcą się po akademjach włoskich polscy uczeni i poeci.

Coś się i u nas zmienia, coś przeradza.

Oto tu postawiono kapliczkę jakąś odmienną od dotychczasowych, oto tam stanął pomnik ozdobny, piękny, ale jakiś inny, niż te stwoszowskie! Spójrzycie czytelnicy, oto część kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu, poświęconej ostatnim z Jagiellonów, arcydzieło stylu „odrodzenia“, na ziemiach polskich wzniesione. Włoch to wprawdzie budował, niemniej ta cudna kaplica o tyle jest nasza, iż na naszej ziemi powstała, iż, poszukawszy pilnie, znaleźlibyśmy w niej niewątpliwie różne polskie szczegóły w sposobie zdobienia. I nic w tem dziwnego, wszakże majster Włoch posługiwał się rękoma polskiego rzeźmieślnika i murarza. Jeżeli teraz porównamy tę kaplicę ze stwoszowskim grobowcem Kazimierza Jagiellończyka, zobaczymy odrazu, jak bardzo te dwa dzieła sztuki różnią się od siebie.

I znowu styl „odrodzenia“ rozlał się po ziemiach polskich, zabierając w siebie, jak niegdyś gotyk, coś z ducha polskiego, coś z polskiej twórczości. I tak, jak powstał niegdyś polski gotyk, tak teraz powstał polski renesans czyli odrodzenie.

Zobaczmy, co my też mamy z tych czasów naszego, odmiennego.

Oto pomnik biskupa Padniewskiego na Wawelu, dzieło Jana Michałowicza z Urzędowa. Postać biskupa jak żywa, jakby

drzemiąca tylko, a nad nim te dwa łuki i to zwieszające się
środkiem ich połączenie... Ej, doprawdy, czyż to niepodobne
zupełnie do onych polskich, drewnianych wiązań ze zwieszają-
jącą się w środku, rzniętą w drzewie, ozdobą? A i te kółeczka
na ramie, niby kołeczki drewniane odrzwi staropolskich! I sama
wreszcie poza leżącego biskupa, taka inna, niż wogóle używana
na zachodzie i we Włoszech. Tam na sarkofagach kładziono
postaci ludzkie nieruchome, martwe i skamieniałe, a nasi arty-



SARKOFAG BISKUPA PADNIEWSKIEGO

KATEDRA NA WAWELU

ści składali je jakby do snu pół żywe, pół drzemiące, jakby
czekające i w każdej chwili gotowe do powstania¹⁾.

No, więc mieliśmy choć jednego artystę, który sobie ten
styl upodobał i wedle jego zasad tworzył? Tak, mieliśmy, a był
nim ów właśnie Michałowicz z Urzędowa, był i drugi, nauczy-
ciel Michałowicza — Gabrjel Słoninka vel Słoński. Przejdźmy
się też ulicą Kanoniczą w Krakowie, a znajdziemy pięknie rzeź-
bione odrzwia kamienne, jedno z nich dzieło Słońskiego, dru-
gie — Michałowicza.

¹⁾ „Czy mamy polską architekturę“ Stefana Szyllera.



KRAKÓW — SUKIENNICE

Coraz wyraźniej z mroków zapomnienia występuje postać naszego renesansowego rzeźbiarza, zwanego „polskim Praksytelesem“, coraz więcej jawi się dzieł jego ręki, co stwierdzają podpisy — monogramy na nich umieszczone. Więc pomnik biskupa Izbieńskiego w katedrze poznańskiej, biskupa Uchańskiego w kolegiacie łowickiej, Zebrzydowskiego na Wawelu.

Jan Michałowicz z Urzędowa — chwała polskiej sztuki z czasów „odrodzenia“!

* * *

A teraz spojrzymy na obrazek, przedstawiający Sukiennice krakowskie. Znać je czytelnicy i z obrazków, i z natury. Tu znów coś nowego!

Oto wierzch, szczyt. Popatrzmy! te esy leżące poziomo, te „kręgle“, poustawiane na każdym występie...

Oto mamy styl z wieku XVI-go, zwany „polskim renesansem“. Przyjrzyjmy mu się dobrze, bo sporo mamy zabytków w Polsce w tym właśnie stylu. Są wszędzie: i w Warszawie, i w Krakowie, i we Lwowie, i w Poznaniu, w różnych mniejszych miastach i miasteczkach Polski. I to już doprawdy nasz styl, tyle w nim odmian wprowadziła polska architektura.

Kto był w Sandomierzu, ten zauważył stary ratusz o prostych murach, ze ślicznym, otaczającym dach wokoło, zębatym

szczytem. Szczyt ten zasłania zupełnie dach ratusza. Takie mury i ozdoby, występujące ponad dach, zwiemy naczółkami (attykami), a znajdziemy je na bardzo wielu budowlach w Polsce.

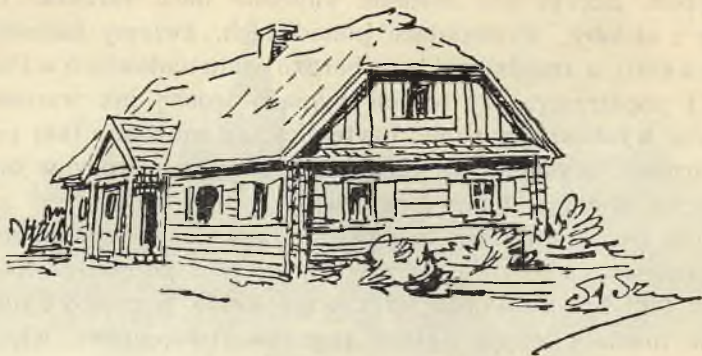
I popatrzmy, czy to nie wygląda trochę jak warownia? Czy nie wyobrażacie sobie, czytelnicy, że możnaby tam postawić armaty, wysunąć ich lufy przez okrągłe otwory w murze i strzelać stamtąd do nieprzyjaciela?

Bo też istotnie tak to i było. Owe mury, wysunięte ponad wklęsły dach, owe naczółki wynikły z potrzeby. No, bo to już taki był los Polski, iż zawsze siebie, a często i innych bronić musiała, ciągle była w pogotowiu wojennem, więc też i gmachy jej, jak ratusze, pałace, często nawet bożnice i zwykłe domy mieszkalne, budowano tak, żeby się z nich jak z warowni bronić można. Szczyty te przybrano później, przystrojono, nieraz bardzo pięknie i bogato.

Kto był w Kazimierzu nad Wisłą? Jakie to tam śliczne



STARE DOMY W KAZIMIERZU



DWOREK POLSKI

dwa domy stoją, że prawie jak pałace wyglądają. Są też podobne domy z attykami ozdobnemi w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Lublinie, są i w Warszawie na rynku Starego Miasta¹⁾.

Są też i domy o szczytach barokowych — jak np. długie szeregi domów na Kanonji, za kościołem farnym w Warszawie, są dworki takie we Włocławku, Łowiczu, w Poznańskim, a budowa ich ma zupełnie odmienny charakter niż gdziekolwiek bądź na świecie.

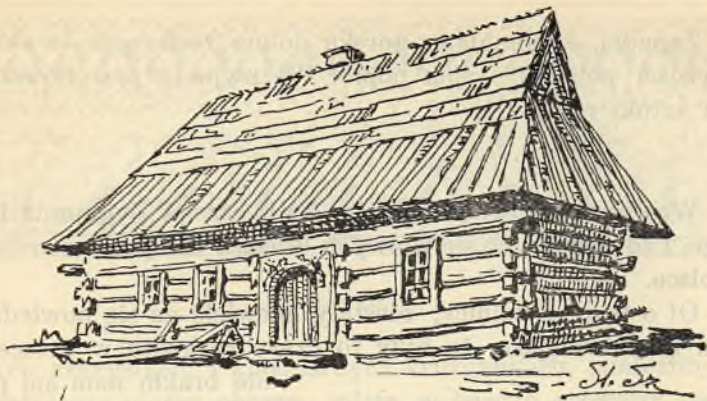
Któż je budował? Bóg jeden wie! Dziwni byli ci dawni artyści, którzy swoich dzieł nie podpisywali. A może też nie jeden gmach był dziełem zbiorowej pracy. Dość, że te piękne budynki nie mają autorów.

Polska je budowała.

Polska też pobudowała te niezliczone dworki wiejskie, rozrzucone po całej Polsce, dworki o wysokich dachach, o słupach, podpierających okap, o dachach podwójnych, jakby nałożonych jeden na drugi.

Bywały takie dwory wiejskie szlacheckie, bywały dworki małomiejskie, bywały nawet w ten sposób budowane ratusze w miejscowościach, gdzie na piękniejszy zdobyć się miasteczko

¹⁾ W stylu polskiego renesansu postawiono przed niedawnym czasem wieżę wiaduktu, prowadzącego do mostu Poniatowskiego w Warszawie według planów znakomitego budowniczego Stefana Szyllera.



CHATA ZAKOPAŃSKA

nie mogło. Takich dworków, takich dachów nigdzie w świecie nie znajdziemy.

Nigdzie też nie znajdziemy takich ślicznych drewnianych domków, jak na naszym Podhalu w dolinie zakopańskiej, takich rzezanych sosrąbów, szczytów z wyobrażeniem promienistego słońca, drzwi ozdobnych i nabijanych kołeczkami.

A któż, jeśli nie pomysłowość twórcza ludu naszego wymyśliła te ozdobne drewniane półeczki, te łyżniki kunsztowne, te stoły o dziwnie wiązanych nogach?

Czyż niepolski duch stworzył teniezliczone kapliczki i krzyże przydrożne, rozsiane po całym obszarze Polski od krańca do krańca? Patrząc na te różnorodne formy, coraz inne, musimy pomyśleć sobie z podziwem:

— Każdy ten krzyż, kapliczkę, łyżnik, stółek, obmyślił jakiś polski artysta z Bożej łaski, nieznany, bezimienny, nieświadomy tego, iż ma w sobie iskrę talentu samodzielnego i odrębnego.

Nasze są i niczyje te bezimienne dzieła sztuki, nasz to styl polski, i niechże nam nikt nie zarzuca, że tylko cudze chwalić i naśladować umiemy.

Na całym obszarze Polski znajdujemy przeróżne budowle, ozdoby — nieraz ich szczątki tylko, przez czas i nowe mody zatarte i zatracone, a podobne do onych zakopańskich, cudownym sposobem przechowanych.

Zapadła, zapomniana górską dolina zachowała te skarby twórczości polskiej — jak popiół Wezuwjusza przechował zabytki sztuki rzymskiej.

* * *

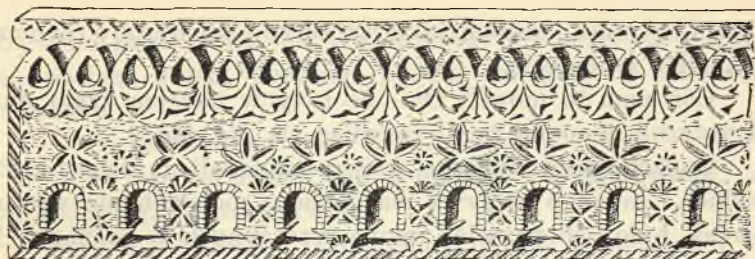
Wroćmy na chwilę do wieku XVI, czasów Zygmunta i Batorego, i zobaczmy, co się w owych czasach dzieje z malarstwem w Polsce.

O! o tem, czytelnicy, niestety, niewiele da się powiedzieć. I tem to dziwniejsze, że były to czasy rozkwitu w Polsce, że nie brakło nam ani potęgi, ani bogactwa, ani uczonych i poetów, wszakże były to czasy wielkiego Kopernika, Kallimacha, Kochanowskiego, Reja. Życie umysłowe kwitło w Polsce ówczesnej. Rozwijało się budownictwo, przechodziły czasy „odrodzenia“, powstawały gmachy i kościoły, tu i ówdzie trafiła się jakaś rzeźba, nagrobek piękny, noszący wyraźne cechy ręki polskiej, a malarstwo jakby skamieniało, jakby w sen martwy popadło. Pracują wprawdzie malarze cechowi, ale ani lepiej, ani piękniej, niż dawniejsi.

Gdybyście mogli, czytelnicy, zwiedzić niektóre nasze stare kościoły i gdybyście poszukali dobrze po różnych zakątkach,



KRZYŻ NAGROBNY



ŁYŻNIK

starych zakrystjach i klasztornych krużgankach, znaleźlibyście bezwątpienia nieraz obrazy, gdzie w bardzo zabawny sposób przedstawia malarz ówczesny tajemnicę śmierci, kary na grzeszników i t. p. Oto np. kościotrupy w taniec idą z ludźmi różnych stanów, poczynawszy od króla i papieża, skończywszy na najuboższym chłopku. Podrygują szkielety, pociągając za sobą ociągających się ludzi, a jakiś domorosły poeta w czterowierszach, umieszczonych pod każdym obrazkiem, daje moralne nauczki osobom na obrazkach przedstawionym, zapewnia więc papieża, że i „trzy korony nie pomogą“, wzdycha nad chłopkiem „i ty, kmiotku spracowany, w śmiertelneś się wybrał tany“...

Poezja równie piękna jak malowanie.

Dodajmy do tego obraz otwartego piekła, całą czeredę diabłów rogatych z widłami, uganających się za grzesznikami, ognie piekielne, buchające z ust potępieńców, postacie pomordowanych zakonników, dźwigających pod pachą własne głowy, kaznodzieję ulatującego z kazalnicy z takim impetem, jakby był prochami wysadzony w powietrze, a będziemy mieli obraz tego, czem było malarstwo w Polsce w wieku XVI i XVII; malowideł bowiem takich było bardzo wiele. I treśćby tu wreszcie nie stanowiła, gdyby choć wykonanie było bardzo umiejętne, ale cóż, kiedy i sam sposób roboty był tak nieudolny, że obraz wzbudzał raczej śmiech niż grozę.

Czasem, czasem tylko z pomiędzy walących się domów, dziwacznych, bezmyślnych twarzy błysnie jakaś śliczna główka Matki Boskiej lub anioła, czasem głęboką boleścią naznaczona

twarz Chrystusa, czasem jakiś szczerze podpatrzony ruch człowieka lub zwierzęcia.

Cóż nam to mówi? Oto, że były w naszym kraju dusze artystyczne, jeno im żyć i rozwijać się nie dano.

Cudzoziemscy malarze, którzy zaglądali na dwory królów polskich, żadnego wpływu na malarzy polskich nie wywarli, chociaż było ich przecież sporo zrzeszonych w cechach. Nazwiska ich snują się po starych księgach i dokumentach, a dzieł nie widać. Do tych też czasów, do czasów Zygmunta I, odnosi się nazwisko kobiety-malarki, Doroty Baczkowskiej, bodaj czy nie pierwszej malarki polskiej.

Dopiero też za czasów Wazów budzi się w Polsce ruch artystyczny, a przoduje mu sam król.

* * *

Na warszawskim zamku ruch i gwar. Biegają dworzanie i paziowie, krzyżują się rozkazy i zapytania. Po obszernej, strojnej komnacie król Zygmunt III chodzi niespokojny i zniecierpliwiony, coraz to pazia z rozkazem a przynagłaniem wysyłając.

— Myślałbyś, iż jakowegoś ważnego poselstwa czeka — dąsa się stary dworzanin, po raz dziesiąty już posłany przez króla na dziedziniec zamkowy. — A to, panie odpuść, tfu! i mówić nie warto!

— Ale! — podejmuje młody paź królewski — mówią, że dziwy nad dziwy obaczym. Król Jmśc — czeka z radością wielką.

— Panie odpuść! Te konterfekty a landszafty kością w gardle stoją, boć król jegomość jeno to jedno ma na myśli.

— Dziw, jak się w nich kocha! — zauważył zamyślony paź.

— Powiedzno, jegomość — wtrącił się koniuszy — czy aby czary w nich nie siedzą, że tak króla jegomości otumanili?

— Może i siedzą, Bóg ich wie... — przerwał, bo w tej chwili na dziedziniec wjechały wozy, a na nich starannie po-

okrywane paki; wnet też i zdejmować je zaczęto z ostrożnością wielką, a paź pomknął pędem na górę ku królewskim komnatom.

— Są Miłościwy Panie! — zameldował.

— Są? — uradował się Zygmunt — jeno powoli, jeno ostrożnie! Są, są nareszcie!

Oczy mu zabłyśły, bladą twarz okraślił rumieniec.

— Jeno ostrożnie! — ostrzega raz jeszcze.

Rozbiegli się paziowie, a za chwilę zbiera się dwór cały. Król chce mieć świadków swojej radości. Tymczasem jednak niecierpliwym ruchem przesuwa białą, wypieszczoną ręką złote ogniwa łańcucha, zwieszającego się na ciemnem, aksamitnem ubraniu. W stroju tym i wielkim koronkowym kołnierzu odbija czemś obcem i cudzoziemskim od całego otoczenia, gdzie przeważają sute polskie żupany i strojne kontusze.

— Ah! Dolabella! — ucieszył się król, gdy wchodzący, a też z cudzoziemska odziany mężczyzna uklon mu głęboki składał. — Dolabella! wielki dzień i radosny; dobrze, że jesteś, bo ty jeden może zrozumiesz radość moją.

Skłonił się malarz i zajął miejsce w gromadce oczekujących. Wnet też gwar się u drzwi uczynił: z ostrożnością wielką niosą obraz duży, przedstawiający Najświętszą Pannę z Chrystusem małym w obłokach, wśród aniołków. Dołem św. Jan i św. Stanisław biskup.

Słaby rumieniec zabarwił bladą twarz króla.

— Dolabella! — skinął na malarza — patrz! to obraz Jakóba Palmy, twego rodaka. Ach, raz w życiu takie dzieło stworzyć! ¹⁾



KRZYŻ

Z POD KRAKOWA

¹⁾ Obraz ten znajduje się w głównym ołtarzu kościoła św. Jana w Warszawie.

Często takich i tym podobnych uroczystości świadkiem był królewski zamek w Warszawie.

Zygmunt III, wielki sztuk miłośnik, sprowadzał obrazy z zagranicy, ozdabiając niemi kościoły i zamkowe komnaty.

Dziwny też widok przedstawia jedna z królewskich komnat.

Oto na stole rozrzucone narzędzia złotnicze, kawałki różnych kruszców, przybory do topienia metali, masy różne do emalii, kamienie drogie zalegają stoły i stoliki. Tu stoi rozpoczęty relikwiarz dziwnie misternej roboty, obok kielich do komunikantów, prawie już ukończony, kilka ogniw łańcucha w jakieś kwiaty i gałązki sztucznie wyrzynane, a oczkami drogich kamieni błyszczące. Na staludze obraz niedokończony jeszcze, przedstawiający św. Katarzynę ze Sienny, na ścianach kilka szkiców i prób malarskich.

Na fotelu, u stołu, zasiadł sam artysta. W rękę trzyma kielich złożony z pokrywą, wyrobioną w kształt korony królewskiej. W środku korony malutka figurka Zbawiciela.

Nachylony pilnie nad robotą, osadza w otoku kielicha kamienie drogie. Na boku młody pomocnik o czarnych oczach i kędzierzawych włosach pilnie coś około złotego relikwiarza pracuje.

— Reduto! — ozwie się artysta, podnosząc z nad roboty twarz o wytwornych, delikatnych rysach.

— Miłościwy Panie? — i Włoch podbiega skwapliwie ku królewskiemu pracownikowi.

— Czy myślisz, że już skończone?

— Myślę, że już.

— Nie, jeszcze tu parę dotknąć rylca, wszakże to Bogu na chwałę. Ojcom reformatom przybiecałem tę puszkę do komunikantów. A tu znów relikwiarz kościołowi św. Jana.

Ustawił puszkę na stole i, odszedłszy parę kroków, przygląda się jej z upodobaniem.

— I ten łańcuch rychło skończyć muszę. Kasztelanowi Mniszchowi w darze go przeznaczamy.



PUSZKA
DO KOMUNIKANTÓW
ROB. ZYGMUNTA III

Ujął w rękę wiszący u łańcucha medaljon z kamienia drogiego, na którym twarz jakaś wyrobiona widnieje.

— Kto to jest? poznaj, Reduto!

— Miłościwy Pan! ależ utrafiiony nad podziw! Kto to wyrzezał?

Uśmiechnął się Zygmunt.

— Ja sam. Utrafiione, mówisz?

Wyraz rozradowania, szczęścia prawie, rozlał się po bladej twarzy króla.

Zastukano do drzwi; wszedł dworzanin królewski.

— Miłościwy Panie, kanclerz koronny o posłuchanie prosi.

Schmurzył się Zygmunt. Wyraz rozradowania zastąpił wyraz nudy i zniechęcenia. Jeszcze raz objął wzrokiem swój warsztat, jeszcze pieśczętliwym ruchem dotknął ręką puszek i z westchnieniem, ciężkim krokiem opuścił pracownię.

W sali posłuchań czekał już arcybiskup i kanclerz, kilku senatorów i dygnitarzy. Rozmawiają żywo, w twarzach znać niepokój i troskę. Skłonili się głęboko wchodzącemu królowi.

— Co mi przynosicie? — zagadnął niechętnie Zygmunt, siadając w fotelu. — Byle nie jakie złe wieści.

Spojrżeli po sobie dygnitarze i wnet w oględnych wyrazach coś o wojnie zagadywać zaczęli. Słucha król, a twarz mu posępnieje coraz więcej. Ziewnął znudzony, po chwili zaś, dobywszy pugilaresu, pilnie w nim coś notować począł. Kanclerz, sądząc, iż król, głęboko zainteresowany sprawą, notaty sobie robi, rzecz wyklada coraz obszerniej i głębiej, dopomaga mu gorąco arcybiskup; a król wciąż notuje.

Umilkli wreszcie, wszystkie racje swoje wyczerpawszy. Król notuje jeszcze chwilę, uśmiechając się do siebie. Skończył i kartkę, na której, zdawało się, że notował, odwracając ku kanclerzowi, rzekł:

— Utrafiiona, co?

Na kartce widnieje wybornie odrysowana... mała sowa!¹⁾

Takim był ów król, więcej na artystę, niż na panującego stworzony, z ręką więcej do pendzla i do rylca włożoną, niż do szabli lub miecza.

¹⁾ Historyczne.

Wielką dla sztuki miłością przejęty i wielkiem znawstwem obdarzony, król-artysta, po którym odziedziczyła Polska wiele dzieł pięknych, albo z zagranicy sprowadzonych, albo własnymi rękoma w złocie i srebrze wykonanych z niemałym artyzmem.

I patrzcie, jak się to czasy zmieniły! Toć nie tak dawno malarz za rzemieślnika był jeno uważany, a praca artystyczna szlacheckiemu stanowi ujmę czyniła, a oto tu sam król malarstwem i złotnictwem się zajmuje, a Dolabellę w poczet swoich dworzan i przyjaciół liczy.

Prace królewskiej ręki ma warszawski kościół metropolitalny św. Jana, monstrancję jego roboty — kościół jezuitów w Orszy. Do kościoła na Łysej Górze posłał był król trzy posągi srebrne, odlewane, do których sam modele zrobił i sam je wykończył, podpisując na nich „Sigismundus Rex“.

Chlubił się tą pracą rąk swoich, a Polska ma w nim swego Benvenuto Celliniego.

* * *

Ów to Tomasz Dolabella, chociaż Włoch z rodu, słusznie jednak i do naszej sztuki zaliczony być może. W młodym bowiem wieku, opuściwszy Włochy, resztę długiego życia w Polsce spędził.



DOLABELLA

Umiała bo Polska przyciągać cudzoziemców i tak ich przyswoić, i tak im on kraj kochać kazać, że sercem doń przyrastali, jak i ów Dolabella, co pięćdziesiąt lat w Polsce przeżył i trzem królom polskim kolejno służył, malując obrazy do kościołów, a i historyczne polskie, różne zdarzenia odtwarzające, jak „Koronację Zygmunta III“, „Wzięcie pod Byczyną Maksymiljana Rakuskiego“, „Przyjazd

Cecylji Renaty“, żony Władysława IV i jej koronacja, „Obchód urodzin królewicza Jana Kazimierza“ — a potem i portrety króla Zygmunta III i Władysława IV. Tyle też przyczynił Polsce jej artystycznego dorobku, że go za pół Polaka uważać należy. Ożenił się też z Polką, Agnieszką Piotrkowczykówną, i z nią żył długie lata, dzieci się dochował, co też za przykładem ojca malarstwem się trudnili, tak syn, jak też i córki, których miał kilka. Wielce go cenił i lubił Zygmunt III, cenił również i Władysław IV, co z następującego zdarzenia wnosić można.



DOLABELLA
PORTRET WŁADYSŁAWA IV
WILANÓW

Jako dworzanin królewski, ufny w swe zasługi i łaskę królewską, nie dbał Dolabella o prawa miejskie i do cechu się nie wpisał.

Cóż się jednak dzieje? Po śmierci żony, siostra jej wystąpiła o zwrot wyprawy i sprawę wniosła do urzędu miejskiego.

— Dworzanin, nie dworzanin — orzekli rajcowie — praw naszych miejskich poniechał, osłaniać go nie będziemy.

Przegrał sprawę Dolabella. Od czegoż jednak łaska królewska? Udał się do króla.

— Ukrzywdzono mnie! — skarży się królowi i o zwalenie wyroku prosi.

Ale król wyroku rajców nie zwali, król prawa nie zgwałci, choćby to chodziło o najmilszego mu przyjaciela, może tylko łaską swoją wyrok uchylić, nadając Dolabelli prawa mieszczańska krakowskiego, w uznaniu jego wielkich dla sztuki i tronu zasług.

A oto jak brzmi owo nadanie:

„Z uwagi na posługę, którą w sztuce malarskiej wspominany Tomasz Dolabella od lat 40 przeszło Najjaśn. ojcu i poprzednikowi Naszemu, równie jako i Nam nie bez chwały i pilności czynił i czynić będzie...“, uznając „tegoż zacnego T. Do-

labelę jako dawnego i dobrze zasłużonego Naszego sługę w swej malarskiej sztuce Nam najlepiej poleconego...“ za godnego, „żeby tychże praw i swobód wszystkich wolno używał“.

Ile też obrazów namalował w Polsce Dolabella i zliczyćby trudno, ale o czterdziestu jednak pewne wiadomości są, a niektóre, w różnych kościołach przechowane, do dziś dnia istnieją i są ich ozdobą, jak „Pan Jezus Ukrzyżowany“ w katedrze krakowskiej, „Gody w Kanie Galilejskiej“, w refektarzu kościoła dominikanów w Krakowie i „Anioły“ w kaplicy św. Jacka; wiele jednak rozproszyło się po świecie, że i słuch o nich nawet zaginął.

* * *

W warsztacie stolarskim pana Marcina Ziarnki we Lwowie ustała dziś praca. Szepcą między sobą czeladnicy i uczniowie stolarscy, jaki taki rzuca piłkę i hebel w kąt i, założywszy ręce za pas, pogaduje z drugimi. Próżno nagania starszy czeladnik, nikt dziś o pracy nie myśli.

— Ot, dalibyście spokój — oganiają się próżnujący — majster świętuje, to i nam nijak jąć się roboty.

— Majster to majster — gderze starszy — waszeć się z nim nie równaj. Ma on swoje sprawy, ale niech was tu jeno próżnujących zdybie...

— Ale! dzisiaj to chociażby mu kołki na głowie ciesał, nie spojrzy nawet.

— O synie myśli, o Jasiu, wiem — szepnie jeden z chłopaków.

— Powiedział, co wiedział! toć wszystkie wiemy, że nie co innego ma w głowie.

Wnet też przed oknem mignęły dwie idące śpiesznie postacie. Jak jeden rzucili się ku oknu wszyscy rozmawiający.

— Bracia! — objaśniają stojący najbliżej okna — ten, co się na księdza sposobi, i ten drugi, co się też, jako Jan, malarzkiej sztuki uczy.

— Idą nowego magistra ¹⁾ witać.

¹⁾ Magister — najstarszy w cech.

— Czy aby go on splendor nie minie?

— Ejże, chyba nie, boć mało ma w kunszcie malarskim równych i zdatniejszych. Ale cicho no, cicho!...

Zdała dochodzą okrzyki i gwar zmieszanych głosów.

— Prowadzą go! ooo! już widać. Wiwat nowy magister!

Mało nie posypały się drobne szybki okien warsztatowych pod naporem ciekawej czeladzi.

— Jasio, mój Jasio magister — pomrukuje rozrzuwiony starszy, który chłopca od dziecka znał — taki młody i już magister!

Niedługo pan Marcin Ziarnko cieszył się zaszczytnem stanowiskiem syna. W kilka lat po tej radosnej chwili mianowania trzech synowie dzielą się pozostałym po ojcu spadkiem.

Dom rozbity, stanęli jak na rozstaju.

— Ja zostaję tu, tu moja praca — ozwie się ksiądz.

— Mnie Lwów najmiłszy — dodaje najmłodszy.

Jeden Jan milczy i coś rozważa, o czemś дума, dawno, już dawno marzą mu się dalekie światy, inne kraje, inni ludzie, wielka zachodnia sztuka.

Dochodzi rok 1600. Drogą ku Paryżowi dąży Jan Ziarnko. Dobił do celu i... został na długie, długie lata. I gdy tu, na dworze Zygmunta III-go sławy i dostatków dorabia się Włoch Dolabella, tam w dalekiej Francji obcemu krajowi służy polski artysta. Ziarnko jest na usługach książąt i królów, maluje i sztyczuje portrety księcia Orleańskiego, Ludwika XII-go, maluje i rysuje sceny historyczne, biblijne, widoki, o których tylko wiemy, słyszymy. Mało kto z Polaków widział na własne oczy prace utalentowanego lwowianina. Kto je jednak kiedykolwiek oglądał, długo i pracowicie szukał drobnouchnego podpisu i odczytywał: Jan Ziarnko Polonus albo Le Grain-Polonus.

— Le Grain-Polonus? — dziwiono się nieraz — więc jakże to? więc Polak jest, czy Francuz?

Lecz wnet oto znajdujemy wyjaśnienie: poprostu wyraz Ziarnko — przetłumaczono na francuski.

Długie lata, bo aż dwadzieścia lat czasu najpiękniejszego rozwoju talentu, spędził Jan Ziarnko na obczyźnie, tam też po-

zostawił swoją artystyczną puściznę z wielką dla sztuki naszej szkodą.

Podobno pod koniec życia wrócił do rodzinnego Lwowa i tam dokonał dni swoich.

* * *

W celi klasztoru bernardynów w Krakowie braciszek, obleczony w suknię zakonną, siedzi przed stalugami, na których stoi duży obraz, przedstawiający „Ścięcie św. Jana“.

Ostatnie już położył dotknięcia, ale nie odchodzi od obrazu. Zamyślił się chwilę, a potem, ująwszy raz jeszcze paletę i pendzle, zwolna, z namysłem kreśli coś u dołu obrazu.

Może kładzie swoją cyfrę lub podpis, może wypisze chociaż „pater Franciscus, pictor“?

I to nie. Z pod pendzla coraz wyraźniej występują kształty trupiej główki ze skrzyżowanymi pod nią pieszczelami.

Takim to znakiem pokory i myśli o znikomości tego świata pieczętował się skromny braciszek zakonny, a malarz niepośledni — Franciszek Lekszycki.

A oznaczył tym dziwnym znakiem sporą ilość obrazów.

Oto Jan Zebrzydowski, miecznik koronny, wzywa go do Kalwarji Zebrzydowskiej, aby tam kaplicę przyozdobił malowaniem. I oto obrazy cztery, przedstawiające „Ukrzyżowanie“, „Podniesienie krzyża“, „Skonanie na krzyżu“ i „Namaszczenie“, pokryły ściany kaplicy.

Ledwie skończył te prace, już ci go książę Zasławski do Dubna prosi. Nie nadażył jeszcze, aliści ojcowie bernardyni z Przeworska już go do swego klasztoru żądają.

Skądże jednak nabył tej wprawy malarskiej skromny braciszek zakonny? O! niezawsze Lekszycki był zakonnikiem. Był czas, iż zwiedzał Włochy, ten kraj wielkiej sztuki, i tam się uczył. Był czas, iż w związku małżeńskie wstąpiwszy, o życiu innem, ozdobionem wielkim dla sztuki zapałem marzył. Ale los chciał inaczej.

Zniechęcony przeciwnościami, nie dochowawszy się dzieci, których gorącym sercem pragnął, rzuca świeckie suknie i habit

reguły św. Bernardyna obleka, rozstawszy się z żoną, która sukienkę bernardynek przywdziewa.

I tak już dalej poszło życie pobożnego mnicha, na służbie Bożej. Z paletą i pendzlami w ręku objeżdża kraj, aż na daleką Litwę zaglądając, a głównie dla zakonu bernardynów pracując. Są też prace jego po różnych miejscach rozproszone, w Krakowie u bernardynów „Wieczerza Pańska“ i u św. Katarzyny, i u bernardynów we Lwowie — i „Św. Jan Kanty kłęzący“ w kościele w Poroninie.

Jeżdżąc tak tu i ówdzie, aż do Grodna zagnany, tam żywota pracowitego dokonał.

* * *

Istnieje w starych aktach dokument, podpisany przez Jana III, zaczynający się od przepięknych słów tego wielkiego króla:

„Oznajmujemy... Królewski nasz Majestat powinien za stracony uważać ten dzień, w którym żadnej łaski poddanym swoim nie wyświadczy. Że zaś niepospolite zasługi Jana Tricjusza, malarza i sługi Naszego rzeczywistego, Najjaśniejszym przodkom naszym i Nam samym okazane, zalecają; a także, gdy w posiadaniu i sztuce swojej malarskiej osobliwszą i widoczną dał poznać biegłość, więc takową uznając, onego obecnym listem Naszym do królewskiej łaski przypuszczamy i, jak poprzednicy Nasi, tak i My, w liczbę istotnych i rzeczywistych sług i malarzy Naszych na nowo przybrać i przyjąć umyśliśmy“.

Jakież to były zasługi onego Jana Trzyckiego, Tricjuszem zwanego?

Cofnijmy się wstecz do panowania Jana Kazimierza, do tych chwil strasznych, gdy szwedzka nawała kraj pustoszyła, a właśnie Kraków przez nieprzyjaciela zajęty został.

Noc już zapadała nad miasteczkiem, gdzie stanął kwatery uchodzący Jan Kazimierz. Światła też już pogaszono, gdy z izby dworku wyszedł młody mężczyzna, ciemnym płaszczem owinięty. Bystrem spojrzeniem rzucił w prawo, w lewo, i zwolna przemykał się pod ścianami, cicho jak kot.

— Kto idzie? — zatrzymał go głos warty — odpowiadaj, bo strzelę!

— Cicho! cicho! to ja, Tricjusz — no, przypatrzcie mi się waszmość dobrze, przeciwnie nie udany, jeno ten sam.

— Widzę, widzę, ale czego się po nocy włóczycie?

— A waszmość mi chciał kulkę pod żebro wpakować — drażni się Tricjusz.

— I wpakowałbym, jak Bóg na niebie. Ale doprawdy, gdzie was znowu djabli niosą?

— Do Szweda w odwiedzinę — rzucił przyciszonym głosem.

— W imię Ojca i Syna!... — przeżegnał się wartownik.

— Cicho! wam to jeno mówię, ale życie pana miłościwego w niebezpieczeństwie. Pono tu o stałą kręcą się szwedzkie podjazdy, więc idę...

— Jak Bóg na niebie ze skóry was obłupią!

Roześmiał się Tricjusz, aż mu zęby białe w ciemności błysnęły.

— Nie bójcie się! — rzucił jeszcze, odchodząc — wrócę i języka przyniosę!

Skoczył w bok i zniknął w ciemnościach.

— Djabeł, nie człowiek — mruczy do siebie wartownik — patrząc za znikającym cieniem. — I ktoby się spodział, że to jeno mieszczanin, a do tego, panie odpuść, malarz. Do rycerskiego rzemiosła sposobny i śmiały, że dziw!

Zadumał się wartownik, szczerze się w myśli dziwując.

— Malarz! malarz! niby to i król jegomość weneruje i honoruje, a zawsze to paskudne rzemiosło jest. Ale ten, to się na żołnierza rodził, a przebiegły, a chytry, a do pana naszego miłościwego przywiązany i wierny... Tricjusz! i nazwisko ma cudaczne, chociaż ci to pono z Trzyckiego przeinacone...

Rozmyślał tak wartownik, mruczając, a rękoma zabijając w chłodną nockę, gdy znów krok cichy dał się słyszeć. Wracił Tricjusz.

— I cóż?

— Kupa maruderów, ale odciągnęli w przeciwną stronę.

— Chwała Bogu!

— Ano spoczne, bo wnet i dalej ruszę. Listy mam od króla dane, co je kasztelanowi przemyskiemu doręczyć trzeba...

— Dlaboga! którędy? jak? zarzną jak barana.

Roześmiał się malarz.

— Przedrę się; umiem ja udać i chłopa, i żydowina, i głupiego...

Wnet też usta rozszerzył, a oczy postawił w słup, że jakby inny człowiek się przedstawił.

— Dlaboga! jakbym nie wiedział, tobym myślał, że głupi Maciek przy mnie stoi.

— Nie bójcie się! jeszcze jak suknie zmienię, a twarz podmaluję, obaczycie!

— Ano niedarmo z was malarz, ale co animusz, to całe nie mieszczański macie.

— Obaczycie jeszcze nie takie rzeczy — ciągnie rozochocony artysta — boć do Częstochowy trzeba posła wyprawić z wieściami. Jest tu taki, Lubnicki się zwie, co się iść waży, jeno go przebrać i umalować muszę. Djabeł go nie pozna!

Śmiał się wartownik, a Tricjusz żwawo ku kwaterze królewskiej ruszył.

Takie i tym podobne usługi wyświadczał Jan Tricjusz (Trzycki) w tych strasznych dla Polski czasach, a nie było odeń przywiązanszego sługi. Przetrwał też przy dworze królewskim jako malarz nadworny, przez czas panowania Jana Kazimierza, Wiśniowieckiego, i nie mniejszym, niż poprzednich królów, był ulubieńcem Jana Sobieskiego. Malował też głównie i z upodobaniem portrety królów, dobroczyńcy swego Jana III, Jagiełły, królowej Jadwigi, a także biskupów, marszałków i kasztelanów. Za dawne zasługi podczas wojen szwedzkich, oraz za nowe — dla sztuki, król Jan obdarzał go przywilejami i łaskami. Pobierał też Tricjusz pensję z żup wielickich, zwolniony był od podatków i ciężarów, osłonięty opieką królewską.

Szły lata. Po paradnych królewskich komnatach zamku krakowskiego krząta się żwawy staruszek. Co chwila przystanie przed jakimś obrazem, zaduma nad rzeźbą. Zwolna, deli-

katnie dotyka dzieł sztuki palcami, przygląda się bacznie, gdzie jakie uszkodzenie, rysa lub plamka.

— Tu trzeba naprawić — znowu pękło. Oj, czas, czas, niecnota — dąsa się staruszek. — A i pająki też Boże stworzenia, ale co psowają, to psowają.

Tricjusz jest konserwatorem, opiekunem wszystkich zabytków sztuki w zamku zgromadzonych. Z wielką też dumą posiada własne klucze od prywatnych komnat królewskich, gdzie wolno mu wejść w każdej chwili, żeby spędzać słodkie chwile, pielęgnując, dozorując dzieł sztuki, a w wolnych chwilach w ciszy pustych komnat biec myślą w przeszłość, wspominać wędrówki swoje po świecie, gdy to w Paryżu uczył się w pracowni malarskiej Poussina, a w Antwerpii u Jordaensa, i w naszym Gdańsku u Weinera. A potem one szwedzkie najazdy i podchodzenia Szwedów, jako to ich chytrze obchodził i jak lis się im wykręcał.

Uśmiecha się do siebie staruszek. Hej, młodość! bujna młodość!

Podeszłego wieku dożył Jan Tricjusz, dorobiwszy się dobrego imienia, sławy i domu na Florjańskiej ulicy. W tym też starym Krakowie, gdzie żyć począł, długiego i pracowitego żywota dokonał.

JERZY ELEUTER SIEMIGINOWSKI

około 1660—1711.

Pan na Siemiginowie chodzi niespokojnie po komnacie starego dworu, szarpiąc wąs zawieszisty i trąc chmurne czoło.

Od paru dni dochodzą uszu jego wieści niepokojące. Sąsiad Tatomir zamyśla jakąś napaść na dwór jego.

— Ano, niech spróbuje — myśli chmurno — pokaże się; jeszcze jest króćcie i nabojów dość, jeszcze i szabla w pochwie nie zardzewiała. Sas Siemiginowski bronić się będzie i obroni!

Podszedł do ściany, zdjął wiszącą szablę i, wyjąwszy z pochwy, ostro ciął nią kilka razy w powietrzu.

— Jeszcze ręka nie stężała! — zaśmiał się zcicha.

Drzwi się rozwarły gwałtownie, wpadł pachołek zdyszany i pół przytomny.

— Tatomiry! oj, hospody pomiłuj! Tatomiry!

Skoczył pan Siemiginowski. Nie upłynął kwadrans, a cały dwór pod bronią stanął, czekając zapowiedzianej napaści.

Pomiędzy uzbrojoną czeladzią i pachołkami uwija się chłopiec dziesięcioletni. Ani cienia niepokoju nie widać w twarzy małego zucha, oczy mu jeno błyszcą ciekawością wielką, a ręka ściska głównie szabelki, którą sobie przypasał do boku.

Dojrzał go ojciec kręcącego się między czeladzią.

— Jur! do matki!

— Ojczyku!

— Do matki! nie dla ciebie tu miejsce, gdzie się może krew poleje.

Łzy buntu zabłyśły w oczach dziecka; żalosnem spojrzeniem obrzucił gromadkę obrońców dworu i ruszył ku dalszym komnatom. Na progu sypialnej komnaty przystanął.

Przed krucyfiksem pali się migotliwa lampka, na klęczniku pochylona w modlitwie matka. Czepiec biały okala jej schyloną na złożone ręce głowę; poza nią, w mroku, gospodyni i dziewczęta dworskie w kornych postawach.

— Święta Marjo! — intonuje pani Siemiginowska.

— Módl się za nami! — odpowiada zgodny chór.

— Święta Boża Rodzicielko!

Chmura niechęci schodzi z wolna z czoła chłopca. Obraz jest tak piękny! Chłopiec stoi i patrzy, patrzy jak urzeczony.

— Królowo Aniołów!...

A tam u wejścia krzyk i łomot.

— Królowo Męczenników!...

Grzmia rusznice, szczękają szable...

Tatomiry następują! Siemiginowska czeladz z okien strzela, sam gospodarz z gołą szablą wydaje krótkie rozkazy. Wtem na czoło napastników wybiegł sam wódz.

— Ha! tuś mi! — skoczył Siemiginowski. Złożyli się... Ciał strasznie Siemiginowski... zwałił się z nóg Tatomir. Cofnęła

się czeladź napastnicza, a już im miejscowe pachołki na karkach siedzą, pędząc ku bramie.

Siemiginowski otarł połą kontusza ostrze szabli i patrzy na powalonego wroga. Schylił się jeden z czeladzi i rękę do piersi leżącemu przykłada.

— Żyw?

— Zabit, jasny panie! już w nim tchu niema.

* * *

Szumią stuletnie drzewa Niepołomickiej puszczy. Basem gadają dęby i buki, dzwonią w drobne listeczki białe brzozy i drżące osiki. Od rdzawych, szklistych bajorek idzie ostry zapach gnijących trzcin. Gęstwa tu nieprzejezana i nieprzebyta, a cisza wielka, że jeno słyhać poszum, po czubach drzew idący, że jeno gwar ptasi a furkot skrzydeł. Kryje się tu zwierz różny przed okiem myśliwca, kryje się człek przed innym człowiekiem, przed nieszczęściem, przed wyrokiem, przed własnem nieraz sumieniem.

W środku puszczy, gdzie gąszcz największy, gdzie dniem najjaśniejszym rzadko promień słońca się przedziera, przed szaląsem, skleconym z gałęzi, siedzi pan na Siemiginowie. Obok rozłożone ognisko, do którego mały Jur dorzuca zwolna gałązki chróstu. Zadumany okiem ściga unoszące się kłęby dymu, uśmiecha się do nich, bo też coraz to inną formę udają, rozwłócząc się sinemi pasmami w gęstwinie zielonej. To snują się jak obłok, to niby anioł ze skrzydłami, to jak duch rycerza w hełmie z pióropuszem.

Przygasło ognisko, a chłopiec zwraca nieśmiałe spojrzenie na chmurną twarz ojca.

— Ojczyku! czy prędko wrócim do domu?

Ocknął się z zadumy Siemiginowski i spojrzał na syna.

— Nie pytaj — odparł głucho — może nigdy.

Z głębi szalasu ozwał się bolesny szloch.

— Cicho, matko! wola Boża, może nigdy!

Nigdy! nigdy! wiruje w głowinie dziecka. Nigdy nie zobaczy białego dworu z wieńcem topoli wokoło. Nigdy nie klęk-

nie przed domowym ołtarzykiem, i wnet jak błyskawica migną mu przed oczyma on obraz, który przykuł jego dziecinne oczy, gdy w ów dzień straszny stanął w progu sypialnej komnaty. Więc nigdy już w te długie, zimowe wieczory, kiedy na kominię trzaska ogień wesoły, nie zasiądzie w izbie jadalnej, by, chwyciwszy kredę lub węgiel, utrafić wizerunki ojca, matki, księdza proboszcza lub kogoś z czeladzi? Uciechy też to bywało, a podziwu, a śmiechu nie mało.

Od paru już miesięcy błąka się dumny dziedzic, ukrywa po ostępach, uchodzi z miejsca na miejsce, jak zwierzę ścigane. Z całego wielkiego dworu jeno żona z synem i jeden stary sługa dzieli losy wygnańca.

— Banita, banita! — szepcze do siebie Siemiginowski, kryjąc twarz w dłonie, a w oczach staje mu okrwawiony trup sąsiada, a potem sąd... wyrok... ucieczka... Odsłonił twarz, nadstawił ucha.

W głębi boru grają trąbki myśliwskie; zdyszany przypada stary sługa.

— Panie!... uchodźcie... idzie obława!...

— Ha! ha! — zaśmiał się gorzko pan na Siemiginowie — grubego złowiliby zwierza!

Zalawszy ogień i chwyciwszy, co najpotrzebniejsze, uchodzi w bór gromadka wygnańca, jeno trzask łamanych gałęzi znaczy ich pochód.

*

Drogą, prowadzącą do Krakowa, dąży pieszo kobieta we wdowich szatach. Podtrzymuje ją wyrostek, troskliwie dobierając drózkę i niosąc co cięższe zawiniątka.

— Czy jeszcze daleko? — zagadnęła kobieta.

— Już blisko, matko, już widać wieże kościelne.

— Jerzy, czy pamiętasz? — pyta znów, przystając.

— O czem, matko?

— Jerzy, nie masz nazwiska! pomnij, nie masz nazwiska!

— Wiem, matko, pamiętam.

— Syn banity, syn banity! a przecie, Bóg widzi, nie wi-

nien był zbrodni. Pamiętaj, Jerzy, nie winien był rodzic twój nieboszczyk! w równym się boju starli, jeno go złość ludzka zjadła, a plamą nazwisko naznaczyła... I rodziny, pamiętaj, nie masz!

Spojrzał syn zdziwiony.

— Nie masz! wyrzekli się, znać nie chcą, jakże? — ciągnie z goryczą — żona banity, syn banity! — Na progu tego miasta — dodaje, ukazując odległe mury Krakowa — umrzeć musi Jerzy Siemiginowski.

*

W celi klasztornej Panien Krakowskich spędza resztę nieszczęsnego żywota pani Siemiginowska.

Na dworze króla Jana III przebywa młody dworak, Jerzy Eleuter.

— Osobliwie zdatny do malarskiego rzemiosła — gadają o nim ludzie — że kiedy konterfekt utrafi, to jeno mu mowy brak.

A młody chłopak w sztuce swojej szuka pociechy i ukojenia po onych burzach i zawieruchach, które jego młodem życiem targały.

Wizje napastowanego dworu, cichej u krzyża modlitwy, cudne, tajemnicze ostępy puszczy Niepołomickiej tkwią w jego głowie, nasuwają się przed jego oczy, stają przed nim jak obrazy, które jeno na papier lub płótno przenieść, ku swojej rozkoszy a podziwowi ludzkiemu.

Tak, wszystko to widzi Jerzy Eleuter, ale ręka niewprawna, nie wszystko jest w stanie tak pięknie odtworzyć, jak oko pięknie widzi. Ale oto król dobry i mądry, król, który „za stracony uważa ten dzień“, w którym „żadnej łaski poddanym swoim nie wyświadczy“, nie da zmarnieć rozwijającemu się talentowi, i oto niebawem widzimy Jerzego Eleutera w Rzymie, w tem mieście, gdzie sztuka rozkwitła jak kwiat cudny, gdzie pracowali mistrze nad mistrze, jak Michał Anioł i Rafael, gdzie na każdym kroku widzi się same cuda.

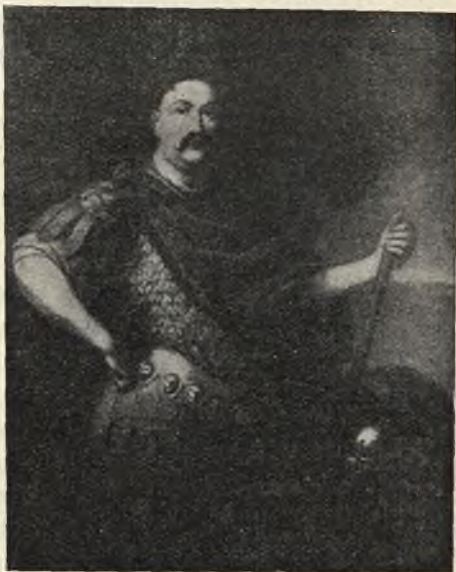
Chodzi tedy młody malarz po tem zaczarowanym mieście,

zwiedza ruiny starożytnego Rzymu, duma o jego potędze na Kapitolu i o potędze Chrystusowej wiary w ponurych murach Koloseum; wpojona mu od dzieciństwa wiara potężnieje i rośnie. W kaplicy Sykstyńskiej podziwia arcydzieła Michała Anioła, w Watykanie olbrzymie obrazy Rafaela, pracuje też u najlepszych mistrzów, oczy mu się otwierają, potężnieje jego talent w tem mieście wielkiej sztuki.

I rośnie w sławę. Chociaż jest cudzoziemcem, znają go i cenią Włochy, nie brak mu pracy i zadowolenia, ale jednak serce ciągnie do kraju i ciągnie głębokie uczucie wdzięczności dla wielkiego króla, który go własnym kosztem kształcić kazał. Rzuca więc ten kraj sztuki i piękna, rzuca otaczającą go sławę i dostatki i wraca do Polski, żeby się stać najpierwszym polskim malarzem owych czasów.

A jest co robić w rodzinnym kraju. Powstają oto kościoły, kaplice, fundatorowie dbają o to, żeby je pięknie przyozdobić. Maluje więc Eleuter obrazów religijnych bardzo wiele dla Krakowa, Lwowa, dla kościołów w Jaworowie i Żółkwi, a wreszcie dla Warszawy, która rozwija się i wznosi coraz wspanialej.

W tym to czasie staje w Warszawie świątynia okazała — kościół św. Krzyża. Któż, jeżeli nie Jerzy Eleuter Siemiginowski, ozdobi obrazem ołtarz główny? I do dziś dnia, z pomiędzy pozłocistych filarów ołtarza, ponad głowami modlących się, pochyla się umęczona twarz Zbawiciela, na krzyżu zawieszona



SIEMIGINOWSKI JERZY ELEUTER

PORTRET SOBIESKIEGO

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

nego. W dole rozpaczające niewiasty, a wdali smutny, ponury, chmurny krajobraz. Warto obejrzeć ten obraz, żeby się przekonać, jak dawno już miała Polska pierwszorzędnych artystów swoich.

Obejrzyjmy też i ambonę, którą w tymże czasie wykuła ręka polskiego artysty-rzemieślnika, brata Fetera.

Zbudziła się polska sztuka i szła przez ziemie nasze coraz pewniejszym krokiem.

Dzieło Siemiginowskiego ma też kościół Kapucynów, mają galerje królewskie, gdzie po kilkakroć widnieją odtworzone piękne, sarmackie rysy króla Jana, „co to po łbach bił pohana“.

A też i bił! Oto stoi obozem pod Wiedniem garść naszych rycerzy skrzydlatych, a wokół Wiednia, jak powódź, rozlało się pohaństwo.

Ze dworem króla Jana aż tu przyciągnął nasz malarz. Ciągnie go żyłka szlachecka i rycerskie dziedzictwo, które we krwi nosi, ciągnie i ciekawość artysty. Bo i cóż to za widok! Ten rycerz skrzydlaty z tygrysią skórą przez ramię, z proporcem w rękę, śmigający na strojnym w bogate rzędy rumaku, te stojące na odgłos trąbki wojennej szeregi, to morze pohańców, rozlane wokoło starej Windobony, pstrzące się różnobarwnymi namiotami i połykujące gęsto złotym półksiężycem! Czy słońce wschodzi czy zachodzi, jednaki to widok wielki i niezwykły. Więc chwyta za pendzel Jerzy Eleuter i odtwarza widoki bitwy na wieczną rzecz pamiątkę, na wieczną chwałę zwycięzcy!

Jakby w nagrodę za smutne i burzliwe dzieciństwo, szczególnie już i gładko toczy się życie Jerzego Eleutera. Król darzy go przywilejami, darowuje wieś Łukę. Ożenił się też artysta i dzieci kilkoro wychował, z których żadne jednak śladami ojca nie poszło.

Zmarł król wielki, a za następcy jego, Augusta II Sasa, znowu nazwisko Jerzego Eleutera Siemiginowskiego głośnie się staje. Oto jedzie poselstwo na dwór hiszpański, i kogóż to postawiono, aby posłował do obcych krajów? Oto znowu Jerzego Eleutera, który istotnie, obok swego talentu, nielada musiał

mieć głowę, skoro go na posła obrano i ważne sprawy poruczano.

I tu przypomina się historia wielkiego malarza flamandzkiego — Rubensa, który był ambasadorem na dworze hiszpańskim.

Kołem też otoczyła malarza-dostojnika rodzina ojca, która biednego i skrzywdzonego znać nie chciała, a Jerzy Eleuter hojną ma rękę i szlachetne serce, które, przebacząc urazy, jeszcze swoim prześladowcom dobrodziejstwa świadczyć umie.

Niezwykły ten człowiek i wybitny polski malarz zmarł na początku osiemnastego wieku.

* * *

W jednej z ozdobnych komnat pałacu w Lunewilu¹⁾ ustawiono stalugi malarskie, na których stoi wykończony prawie portret. Oprócz portretu cała komnata pełna jest dzieł sztuki, obrazów, rzeźb, pięknych mebli, o wygiętych, wykwintnych formach, pokrytych materją w barwne bukiety. Tu i ówdzie rozpoczęte prace malarskie, jedne robione olejnymi farbami, inne pastelowe. Widać ze wszystkiego, iż mieszkaniiec i gospodarz jest nie tylko człowiekiem bogatym, ale i amatorem sztuk i znawcą niepoślednim.

Przed stalugami zasiadł artysta pilnie zajęty pracą. Strój na nim wykwinny, a cała postać pełna powagi i szlachetności.

Na stalugach portret, przedstawiający młodzieńca w bogatym stroju francuskim. Włosy, modą ówczesną pudrowane, splecione na końcu w warkoczyk krótki, kapelusz z piórem tkwi pod ramieniem młodzieńca, z drugiego ramienia spada płaszcz szkarłatny.

Artysta z paletą w rękę miesza farby i z namysłem dotyka pendzlem to tu, to ówdzie, co chwila odstępując, aby się lepiej przyjrzeć swojej pracy. Ulubione zajęcie tak pochłania uwagę malarza, że nie słyszy kroków za drzwiami. Dopiero lekkie pukanie budzi go z zamyślenia.

¹ Lunéville — miasto w Lotaryngji.

— Sir — odzywa się dworzanin, stając w postawie pełnej uszanowania. — Ubodzy Waszej Królewskiej Mości czekają w podwórzu.

— Ach, tak? — zdziwił się Stanisław Leszczyński — jak prędko czas bieży!

— Może im kazać przyjść kiedy indziej, jutro?

— Nie, nie! — rzuca pośpiesznie Leszczyński — ubodzy czekać nie mogą.

Żwawo teraz zbiera swoje przybory i podąża do swego dzieła miłosierdzia, któremu ten mądry i szlachetny władca oddaje się sercem całym.

W godzinę później stoi znów przy swojej staludze. Ale widocznie nie było mu sądzone, by się mógł oddać dziś ulubionej pracy.

Zaturkotało w dziedzińcu, i znów dworzanin stuka do drzwi komnaty.

— Co tam? — rzucił niecierpliwie Leszczyński.

— Jej Wysokość, królowa Marja!

— Ach, tak! — radośnie wykrzyknął król i, nim zdążył odłożyć paletę i pendzle, dały się słyszeć lekkie kroki, i do komnaty wbiegła młoda kobieta, przypadając do ojca z serdeczną pieczęcią.

— Maryniu! co za niespodzianka! że też mogłaś się wyrwać z Paryża. Gdzież król małżonek?

— Ludwik ¹⁾ wyjechał na dni parę ze stolicy, więc i ja korzystam z chwili wolnej od przyjęć i uroczystości. Ach, ojczu, za wiele tego, za wiele!

I wyraz smutku osiadł na miłej, choć nieładnej twarzy królowej Marji.

— Jak ja ci, ojczu, zazdroszczę tego spokoju i tej sztuki, która ci życie wypełnia. O! tu widzę nowa praca!

I żywo podbiegła do rozstawionych stalug.

— Ach, jak żywy! — zachwyca się szczerze. — Panie ojczu, doprawdy, że artysta z was niepospolity.

¹⁾ Ludwik XV.

— Istotnie, tak sądzisz? — zagadnął Leszczyński, widocznie uradowany pochwałą.

— Doprawdy, jak żywy! kto też to jest?

— Starosta sulejowski, Antoni z Tenczyna Ossoliński.

— Bardzo piękny. Ach, i tu coś nowego!

I nuż szperać po zakątkach komnaty, coraz coś nowego odnajdując.

— Ach, nowy pastel! jaka piękna postać Zbawiciela; a i ta główka, prześliczna!

Śmiał się Leszczyński z zapału córki. Zagawędzili się o sztuce i nowych dziełach.

— Muszę ci się przyznać, panie ojczu — ozwie się królowa z pewnem zakłopotaniem — że i ja malarstwem się bawię.

— Doprawdy? — zdziwił się Leszczyński.

— Doprawdy. Jeno wiem, zdatności wielkiej nie mam, nie to, co ty, ojczu. Pomaga mi pewien malarz. Ach, ojczu! wielkie to szczęście i ukojenie, że lżejszym się zdaje ciężar panowania.

— Tak, wielkie szczęście! — podejmuje Leszczyński, obzracając oczyma swój kąt ulubiony i zatrzymując wzrok na ostatniem, udatnem dziele sztuki.

Szarżało. W pracowni króla-artysty długo słychać było przyciszoną rozmowę, a zmrok sypał się zwolna na te nagromadzone dzieła sztuki i na te dwie pochylone ku sobie głowy wygnańców polskich, szukających szczęścia i ukojenia w czystem źródle wiecznego piękna.

*

Było to w początkach XVIII wieku. Zachodzące słońce wdzierało się przez gęste krzewy i stare drzewa biskupiego ogrodu w Krakowie. Po bardziej zacienionych ścieżkach przechadza się zwolna, szepcąc pacierze wieczorne, biskup krakowski, Andrzej Załuski. Nagle podniósł pochyloną głowę i poczyną nasłuchiwać pilnie.

Od strony kuchen dobiega podniesiony, gniewny głos męski i piskliwe, żałosne zawodzenie dziecka. Zawrócił kroku

biskup i puszcza się ścieżyną wprost ku zabudowaniom gospodarskim.

— A to skaranie z chłopakiem! — dobiega wyraźnie głos męski — będziesz ty mi, hyclu, po ścianach mazał!

Z pomiędzy gęstwiny krzewów mignęły dwie białe postacie, szarpiące się z sobą. Przynagła kroku biskup i wnet dostrzega swego kucharza, trzymającego za ucho małego kuchcika, który z wielkim płaczem i krzykiem starał mu się z rąk wyrwać.

— Co to jest? — pyta biskup — puść mi zaraz chłopca! A ty, mały, mów, coś przeskrobał?

— Aaa! Wasza Przewielebność — ozwie się zasapany kucharz — niechże tylko Wasza Przewielebność spojrzeć raczy, co ten, odpuść Panie, łotrzyk, wyprawia! Ja ci tu... — pogroził chłopcu — ściana świeżutko obielona, a on... przecie on tu i Waszą Przewielebność udał, i mnie i księdza wikarego...

Ale biskup nie słucho już biadania kucharza, jeno, nałożwszy okulary, pilnie przygląda się ścianie, na której widnieją węglem nakreślone różne postacie ludzkie, twarze, konie, drzewa i budynki. Patrzy tak długą chwilę w milczeniu, wreszcie zwraca się do chłopca, który stoi z boku, pociągając nosem i ocierając łzy białym rękawem kitla.

— To ty rysowałeś? mów, nie bój się.

— Ja... Wasza Przewielebność... — wybełkotał chłopak.

— Kto cię nauczył? — zagadnął znów biskup.

— Kto go miał uczyć takiego łajdactwa! — buchnął kucharz.

— Nie wasana się pytam. Mów, chłopcze, no, śmiało!

Długo, ku wielkiemu zdziwieniu kucharza, łaskawie rozmawiał biskup z kuchcikiem, dowiedział się, iż mały Tadzio urodził się w Krakowie na Kleparzu, jako syn ubogich rodziców, a teraz służy tu za kuchcika. Jeno, że mu się to zajęcie okrutnie cni, a zato nic, tylkoby malował i rysował, nie uczył go zaś nikt, jeno tak rysuje sam ze siebie.

Zadumał się biskup, chłopca po głowie pogładził i znów, ku wielkiemu zgorszeniu pana kuchmistrza, każe chłopca nazajutrz do siebie przyprowadzić, a rysunków na murze, pod żadnym pozorem, nie zacierać.



KONICZ TADEUSZ

FORTUNA

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Jeszcze też większe było zdumienie i wiele między służbą biskupią gadania, gdy chłopca z kuchni zabrano i do szkół na naukę posłano, a więcej jeszcze kręcono głowami, gdy po paru latach Tadeusz Konieczny wysłany został, kosztem biskupa Załuskiego, do Włoch, aby się tam w malarstwie kształcił.

No, i powodziło mu się. Imię kuchcika biskupiego doszło aż do papieża, który powierza mu ozdobienie malowidłami pałacu swego — Castel Gandolfo.

Malarstwo religijne nie wystarcza żywemu umysłowi Koniecznego, porzuca pędzel, którym przed chwilą wykończył słodką twarz Madonny lub umęczone oblicze Chrystusa i, chwyciwszy teczkę pod pachę, przebiega ulice starego Rzymu. Oto tu grupa pauprów, wygrzewająca się na słońcu, zatrzymuje jego uwagę. Rozkłada tedy swoje przybory akwarelowe i, uśmiechając się wesoło, kreśli charakterystyczne figurki. Tam dalej praczeki z Transtevere, schylone nad wodami Tybru, piorą bieliznę. Przekupnie, mnisi w kapturach, wszystko się przyda, wszystko można odmalować.

Słoneczne, pogodne, wesołe te obrazki życia rzymskiego pokazują nam Konicza, jako malarza rodzajowego, pełnego werwy i humoru.

Po kilku latach usilnej pracy powraca Konicz do rodzinnego Krakowa.

— Udał się naszemu biskupowi wychowanek — mówiono, gdy pierwsze obrazy Konicza zawisły w kościołach krakowskich.

Chodzono też oglądać św. Florjana, św. Stanisława Kostkę, św. Jana Nepomucena w katedrze na Wawelu. Dziwiono się i kręceno głowami, jak piękne swoim świętym umiał dać oblicza, jaki słodki wyraz, jak ładnie układały się na nich szaty, i lśniła zbroja stalowa. Wieloma pięknymi obrazami przyozdobił Konicz różne kościoły w Polsce, ale malował też i obrazy mitologiczne dużej wartości.

Ruchliwej jego naturze nie wystarczał cichy, rodzinny Kraków. Duch niespokojny nosił go po świecie, widywano go to tu, to ówdzie, pod koniec życia aż na dwór króla hiszpańskiego zawitał „kuchcik biskupi“ — aż wreszcie w ulubionym Rzymie życie zakończył.

SZYMON CZECHOWICZ ¹⁾

1689—1775

Było to w pierwszych dniach kwietnia 1700 roku. Po moście, który przecina tak zwaną Starą Wisłę i wiedzie na przedmieście Kazimierz w Krakowie, biegło żywo drobne, dziesięcioletnie pacholę, przybrane w płową, wytartą kontusinę i skórzanym opasane paskiem. Z pod czapeczki, okrytej wytartym barankiem, wysuwały się kosmyki białych, jak konopie, włosów. Twarz chłopca była blada, oko błękitne, rysy dość kształtne miały wyraz tęsknoty i zadumy.

¹⁾ Częściowo według Seweryny Duchieńskiej.

Dobiegł do Krakowskiej ulicy i wąską przecznicą zawrócił na prawo. Oczy mu zabłyśły radością, gdy ujrzał naprzeciw siebie wspaniały, gotycki przedsionek kościoła św. Katarzyny. Wszedł z cicha, przeżegnał się krzyżem świętym i pobiegł przed ołtarz świętej Katarzyny, przed którym właśnie ksiądz odprawiał Mszę św. Chłopiec ukląkł na boku, złożył ręce i oczy wlepił w obraz, w promieniejące oblicze świętej, której Dzieciątko Jezus składa na głowie obłubieńczy wieniec, gdy tymczasem aniołowie, w śnieżną mgłę otuleni, rzucają z nieba lilje i róże, i na złotych harfach przygrywają pieśń wesela.

W miarę jak chłopiec obejmował wzrokiem cudowne dzieło sztuki, rumieniec oblewał zwolna jego bladą twarzyczkę, oczy płonęły jakby nadziemskim zapalone ogniem, pierś poruszała się żywiej.

Msza święta skończyła się, dziadek pogasił świece, pobożni wyszli z kościoła, pacholę jednak pozostało przed ołtarzem. Nieco opodal siedział w ławie mąż urodziwy i wspaniały, przybrany w zieloną, aksamitną delję, podbitą sobolem. Oblicze jego piękne było i ujmujące, wysokie czoło cechowała myśl podniosła.

Był to Franciszek Maksymiljan Ossoliński, chorąży, późniejszy podskarbi nadworny króla Stanisława Leszczyńskiego.

Ossoliński ciekawie spoglądał na chłopczynę, śledził okiem, chcąc go, jak się zdaje, odgadnąć, ale, widząc nareszcie, że chłopiec nie myśli powstać z miejsca, zbliżył się cicho i rękę położył na jego ramieniu.

Chłopiec drgnął z przerażenia.

— Święta Katarzyno, ratuj! — zawołał stłumionym głosem.



SZYMON CZECHOWICZ

— Nie bój się, chłopcze — zagadnął Ossoliński — ja ci nie złego nie robię. — No, spojrzij mi w oczy, wszakże ja nie taki straszny?

Chłopiec nieśmiało podniósł oczy.

— Jak ci na imię, mój mały? — zapytał chorąży łagodnie.

— Szymonek — odparło nieśmiało pacholę.

— No, mój Szymonku, uspokój się; nie masz się czego lękać, chodź ze mną, boć to w domu Bożym rozmawiać nie wypada.

To mówiąc, wziął za rękę chłopczyńę i przez pyszne podwoje gotyckiego przedsionka wyprowadził na ulicę.

— No, mój Szymonku — rzekł chorąży, idąc z chłopcem wzdłuż Krakowskiej ulicy — powiedzże mi, czemuś tak klęczał jak osłupiały przed ołtarzem? — Czy masz jakie zmartwienie, żeś się tak modlił gorąco? Czy ci kto zrobił co złego?

Szymonek milczał chwilę, spoglądając na chorążego z pod oka.

— Nie, proszę pana, nikt mi nie złego nie zrobił.

— O cóż się więc modliłeś? czy o zdrowie dla matki?

— Moja matka wcale nie chora.

— A gdzie ona jest?

Szymonek wskazał ręką w górę.

— Tam — odrzekł — z aniołami w niebie.

— A ojca czy masz jeszcze?

Nie, nie ma, wychowuje go stryj, nauczyciel w parafjalnej szkółce przy kościele Panny Marji.

— A czy dobry on dla ciebie? czy cię czego uczy?

— O i bardzo dobry, uczy mnie czytać i pisać, i rachować. Czytać i pisać lubię — dodaje po chwili — ale co rachunki, to mi nie idą w głowę. Wolałbym się uczyć czego innego.

— I czegoż naprzykład? — spytał Ossoliński z uśmiechem.

— Chciałbym się nauczyć malować. Och! malowałbym Pana Jezusa i Matkę Boską, i aniołów, i świętych! Oj, żebym ci ja umiał wymalować te wszystkie cuda, co mi się co noc roją

we śnie, toby to były śliczne rzeczy, takie piękne, jak te, co są na obrazie świętej Katarzyny u Panien Augustjanek.

— A wiesz-że ty, kto malował ten obraz? Oto malował go ojciec bernardyn, a nazywał się Franciszek Lekszycki.

— Czy on żyje jeszcze? — zapytał Szymonek z zajęciem.

— Nie, moje dziecko. Umarł już ze trzydzieści lat temu.

— Jaka szkoda! — I któż mnie tak malować nauczy, kiedy już jego na świecie niema.

Uśmiechnął się Ossoliński i pieszczotliwie pogłaskał chłopca po głowie, a Szymonek ujął jego rękę i do ust przycisnął. Choraży milczał chwilę zadumany.

— Powiedz-że mi, mój Szymonku — zapytał wreszcie — czy chciałbyś, żebym cię wziął do siebie?

Chłopiec spojrzał niedowierzająco.

— Jeżeli twój stryj pozwoli.

— Czemużby nie miał pozwolić? Tylko... tylko — dorzuca z niepokojem — czy będę mógł codzień, tak jak teraz, przychodzić do kościoła św. Katarzyny i przyglądać się Bożemu Dzieciątku? Bo co stryjna — to niebardzo temu rada, włóczęgą mnie nazywa i mówi, że ze mnie nigdy nic dobrego nie będzie.

— Ja ci tego bronić nie będę. Ale powiedz też, czy ty i do innych kościołów zagładasz z takim upodobaniem?

— O, tak! — potwierdza gorąco chłopiec. Chodzę, a jakże, do kościoła Marjackiego, gdzie to Najświętsza Panienka między apostołami klęczy, i na Stradom do kościoła Bernardynów, gdzie ta prześliczna Wieczerza Pańska w ołtarzu i jeszcze piękniejszy ukrzyżowany Pan Jezus...

Opowiadał ośmielony już, a oczy błękitne gorzały mu zachwytem i twarz się rumieniła. Ossoliński słuchał uważnie i uśmiechał się.

— No, ależ ty widzę, chłopcze, znawca nielada — ozwał się wreszcie — a sam nie próbowałeś rysować, choćby węglem po ścianie?

— Po ścianie to nie, bo się boję stryjny, ale jak mam papier i ołówki, to rysuję sobie, jak umiem.

— Jak będziesz u mnie, pozwolę ci rysować od rana do

wieczora i chodzić po wszystkich kościołach w całym Krakowie. Ale i uczyć się będziesz, posyłać cię będę do pana Tyllmana, który ci wskaże pierwsze początki rysunków...

Nie dokończył chorąży tych słów, gdy dwoje drobnych rąk objęło jego kolana i dwoje błękitnych oczu spoczęło na nim z wyrazem serdecznej wdzięczności.

— No, no — uśmiechnął się Ossoliński — dobrze już. — Prowadź mnie do stryja.

Zdumiał się stary nauczyciel i ucieszył niepomąlu, że takie szczęście spotkało chłopca, przystał też chętnie na żądanie chorążego, kłaniając się a sadząc gęsto łaciną. Nazajutrz zaś prowadził bratanka, wystrojonego w karmazynowy żupanik i w szafirowy kontusik, opasanego jedwabnym pasikiem, a stryjenka przejęta i wzruszona żegnała ich krzyżem świętym.

Szymonek, choć uszczęśliwiony w duszy, ocierał jednak łzy ukradkiem, gdy siedł obok stryja przez wielki rynek krakowski ku Krzysztoforom, kędy mieszkał chorąży Ossoliński.

*

Trzecia godzina z rana wybiła na zegarze farnego kościoła w Warszawie. Było to w początkach czerwca. Mrok nocny ustępował z wolna pierwszym brzaskom dnia.

W odwiecznej kamienicy Starego Miasta, na drugim piętrze, w sali jasnej i dość obszernej, pośród rozstawionych stalug i porozrzucanych palet, pendzli, farb i innych przyborów malarskich, siedzi w krześle mąż poważny; włos jego rzadki, przyprószone siwizną, rysy pełne słodyczy, ale zaostrome i wyciągnięte chorobliwie. Siedzi nieruchomo w krześle, ale na czole, w nawpół spuszczonych oczach, znać głęboką zadumę.

Był to Szymon Czechowicz, słynny malarz, przed kilkoma laty przybyły z Rzymu. Krakowianin rodem, od roku osiadł w Warszawie.

Długo spoglądał w otwarte okno, przez które słabo wdzierał się do pracowni różowy odblask świtu; potem spojrzał na piękny obraz, wyobrażający świętego Franciszka z Asyżu w chwili, gdy się modli, niebieskim uniesiony zachwytem,

a przed oczyma jego aniołowie roztwierają podwoje nieba i w całym blasku chwały pojawia się Chrystus i Najświętsza Panna. Głowa świętego istnym była wizerunkiem trupiej czaszki. Potrzeba było całego mistrzostwa artysty, aby w to oblicze, napiętnowane śmiercią, tchnąć odblask nieziemskiej piękności.

Długo, długo Czechowicz nie mógł oderwać oczu od obrazu; po raz pierwszy w życiu upodobał sobie własne dzieło.

Gdy tak dumał Czechowicz, słońce tymczasem weszło na widnokrąg i złotawem światłem rozjaśniło pracownię. Na jej głównej ścianie porozwieszane były obrazy włoskiej szkoły, pomiędzy którymi Chrystus z berłem trzcinowem w rękę, w cierniowym wieńcu na głowie, i Marja Bolesna — przyodziana w błękitną zasłonę; oba pendzla Carla Marattiego, słynnego rzymskiego mistrza a nauczyciela Czechowicza. Inne ściany od sufitu do podłogi ozdobione były pracami Czechowicza, wykonanemi po większej części w Rzymie. Na kilku stalugach oparte były nowo wymalowane, po powrocie do kraju, obrazy.

Pracownia Czechowicza jaśniała istotnie, jakby przedsionek nieba. Tu Anioł Stróż, odziany w białą powiewną szatę, z lilją w rękę prowadzi niewinną duszę do nieba, tu Chrystus modli się na puszczy, a Anieli Pańscy czuwają u stóp Jego, oczekując rozkazu. Tam Bóg-Człowiek nakarmia zgłodniałe rzesze rozmnożonym cudownie chlebem. Tu Michał Archanioł, w rycerską przyodzian zbroję, depce stopą szatana; tam anioł Rafael rozwija skrzydła ku niebu w oczach zdumionego Tobiasza. Tu śpi Dzieciątko Boże i wyciąga ręce do aniołów, tam znów Eljasz ulata w niebiosy na promiennym wozie.

Wszędzie niebo, wszędzie cud, wszędzie światłość. Tę drogę dla swojego talentu obrał sobie i ukochał Czechowicz.

Z pośród tych świętych i błogosławionych trzy tylko ludzkie odbijały postacie, ale wszystkie trzy wyższem naznaczone były piętnem. Jedną z nich opromieniał duch proroczy, czoło drugiej znamionowało siłę i mądrość, trzecia była uosobieniem dobroci i powagi. Były to wizerunki Piotra Skargi, Stefana Batoryego i Maksymiljana Ossolińskiego.

Długo siedział Czechowicz, w smutnej pograżony zadumie,

która tem dziwniejsza się zdawała przy godowych szatach, odświętnym kontuszu i wiaźance mirtu i rozmarynu, przewiązanej białą wstęgą i przypiętej na piersi artysty.

Skądże te godowe szaty, ta wiaźanka zielona? Owóż dzień to istotnie niezwykły, dzień ślubu urodziwej Reginy, ukochanej bratanki i wychowawcy Czechowicza. Kilka godzin ubiegło zaledwie, jak zacny opiekun powiódł ją sam do ołtarza i oddał w ręce młodego małżonka, Łukasza Smuglewicza, współzawodnika swego w sztuce. Dziś tedy Czechowicz czuje boleśnie sieroctwo swoje i opuszczenie.

Powstał z wolna, założył ręce na piersi, obszedł wokoło pracownię, a słaby rumieniec wystąpił mu na lica. Objął okiem wizerunek Ossolińskiego i z głębokiem uczuciem wpatrzył się w te szlachetne, pogodne rysy.

— Gdyby nie ty, drogi mój opiekunie — szepnął ze wzruszeniem — coby dziś ze mną było?

O, szczęśliwy był, pamięta to dobrze, gdy wobec licznie zgromadzonych artystów i kolegów w Akademji Świętego Łukasza w Rzymie Karol Maratti włożył mu wieniec zasługi na głowę. Sala zabrzmiała od oklasków, towarzysze otoczyli go; jedni z życzliwością, drudzy z ukrytą zawiścią podawali mu dłonie, a on uderzył w pierś dłonią i, jak niegdyś jeden z wielkich mistrzów, zawołał z uniesieniem:

„I ja też jestem malarzem!“

Oko artysty zapłonęło, podszedł do ściany, odsunął zasłonę, poza którą wisiał zeschły wieniec bluszczowy, i patrzył nań z rozrzewnieniem. Po chwili jednak twarz mu sposepniała znowu, spuścił zasłonę i, stanąwszy w oknie, ścigał wzrokiem szczyty farnego kościoła, odbijające ciemno na tle zarumienionego nieba.

Myślał długo, coś w myśli ważył, nagle oko mu zabłysło radosnem wzruszeniem.

— Wiem, co uczynię! — wykrzyknął prawie. — Co Bóg mi dał i mój opiekun, oddam to drugim! Sztuka moja nie umrze ze mną razem, bo rozdzielię między drugich ten ogień, co przepala pierś moją!

W tej chwili słońce pełnym blaskiem zalało pracownię, tak, iż wszystkie malowane postacie zdawały się ożywać i uśmiechać doń radośnie.

*

W rok potem, w tejże samej pracowni, pełno było gwaru i życia. Przy wielkim stole rysowały dzieci ze sztychowanych wzorów. Na osobnych stolikach pod oknami starsi uczniowie odtwarzali kredą gipsowe odlew.

Pomiędzy tym wesołym rojem przechadzało się dwóch mistrzów: sędziwy Czechowicz z młodym Łukaszem Smuglewiczem, mężem bratanki swojej. Postać Czechowicza mniej była wątła i pochylona, niżeli przed rokiem. Żyjąc w pośród młodzieży, we właściwym sobie żywiole, mając przekonanie, że nauka, którą nabył długą pracą, nie pójdzie z nim do grobu, uczuł w sędziwej piersi nową siłę.



CZECHOWICZ SZYMON

ŚW. STANISŁAW

Tak tedy powstała pierwsza malarska szkoła w Warszawie.

*

Upłynęło trzydzieści lat.

W ubogiej celi ojców kapucynów w Warszawie przy oknie, otwartem na ogród, siedzi przed stalugami ośmdziesięcioletni

starzec, przy nim ustawione wielkie zwierciadło. Starzec spogląda w nie co chwila, a potem drżącą ręką zbiera farby z palety i nakłada je na rozciągnięte w ramach płótno. Oblicze jego blade, ale pełne niezamąconej pogody; włos bieluchny, niby puch łabędzi, przysłania obie skronie; czaszka tylko świeci naga i gładka. Oczy starca, mgłą przysłonięte, zapadły głęboko, brew zbiegła, wysokie czoło poryło się zmarszczkami.

Szymon Czechowicz, podłożywszy farby na płótno, przygląda się sam sobie w zwierciadle, pragnąc zbadać dokładnie wyraz własnej twarzy, a potem dopiero, z pamięci prawie, odтворzyć ją na obrazie.

Popatrzywszy długo w milczeniu, skinął głową i uśmiechnął się niewinnym, dziecięcym prawie uśmiechem.

— No, i cóż ty mi powiesz, dziaduniu? — zapytał żartobliwie ochrypłym od starości głosem. — Żle coś, źle doprawdy! Oczy zagasły... jagody zwiędły... włosy wypadły z czaszki, reszta z nich zbiegła jak śnieg, i ziemia święta woła nie żartem do siebie. Nie bój się, stary, deptałeś ją po Bogu, to ci też ciężką nie będzie.

Łza cicho, spokojnie wybiegła z pod powieki starca, potoczyła się po licu i utonęła pomiędzy zmarszczkami.

— Wstydziliś się płakać, dziaduniu — dodaje — czy to ty dziecko, czy niewiasta? Myślałby kto, że masz czego żałować na ziemi! Twoja dziatwa rozpierzchła się po świecie, jakby jaskółki w jesieni! została ci tylko trójka na pociechę — mówił, obrzucając okiem ściany izdebki. — Ten Pan Jezus na krzyżu i ten drugi w żłóbku, i ten oto święty Wojciech, nasz ukochany patron i apostoł, com go zapisał ojcom kapucynom za gościnne przyjęcie. Niech go sobie zawieszają obok Przemienienia. — Oj, nie żałuj stary, nie żałuj! Pan Bóg miłosierny nad tobą, dał ci przejść spokojnie przez życie. Ludziom oddałeś wszystek kwiat twojej myśli, a co było w niej mętne, wypłakałeś sam na sam przed Bogiem. Dobrze, dziaduniu, kocham cię za to.

I, zapomniawszy się, wyciągnął dłoń zgrzybiałą do zwierciadła, chcąc pogłaskać siwą głowę dziadka; ręka oparła się

o zwierciadło, a Czechowicz, ockniony z marzenia, roześmiał się serdecznie sam z siebie.

Teraz ręce z paletą opuścił na kolana i zadumał się głęboko. Całe życie stanęło mu w myśli, życie, pełne myśli twórczej. Przed przymkniętymi oczyma przesuwają się te wszystkie święte postacie, które w swojej wyobraźni wypieścił i mocą talentu w formę widomą zaklął. Bo i jakże, toć wymalował tych obrazów około trzystu bezmała! Ogrom, ogrom pracy, wysiłków, natchnienia!

* * *

Miesiąc upłynął od tej doby. W kościele ojców kapucynów stoi na niskim katafalku prosta, sosnowa trumna, pomalowana czarno. Kilkanaście świec jarzących płonie wokoło niej. Gwardjan ojców kapucynów, odziany w ornat żałobny, odprawia Mszę świętą przed ołtarzem Przemienienia Pańskiego. Poza katafalkiem klęczy stary Łukasz Smuglewicz i małżonka jego, Regina, oboje czarno przybrani. Przy boku matki dwie dorodne dziewczeczki, przy ojcu zaś dwaj synowie, młodzieńcy pod wąsem, Antoni i Lucjan, obaj biegli malarze. Brakuje jeno najstarszego — Franciszka, który w Rzymie w malarstwie się kształci i najpiękniejsze rokuje nadzieje.

Ciche łzy płynęły z oczu obecnych w ciągu żałobnego nabożeństwa. Żal ich podwajał się jeszcze, ilekroć objęli okiem piękny portret, oparty o trumnę. Wyobrażał on starca z włosiem białym, jak puch łabędzi, o dziwnie łagodnem obliczu i napół zgasztem oku.

Był to portret Szymona Czechowicza, który on na kilka dni przed śmiercią drżącą wykończył ręką.

* * *

A Polska chyliła się ku upadkowi.

Szły czasy klęsk, czasy rozprzężenia, czasy obcych rządów, na tronie polskim zasiedli jeden po drugim Augustowie sascy, a wreszcie włożył koronę ten ostatni, ów stolnikowicz litewski, pełen wdzięku, elegancji, pełen zamięłowań artystycz-

nych, ale właśnie, tak jak Zygmunt III, więcej na artystę niż na króla stworzony.

A sztuka tymczasem, ani dbając o to, co się w polityce dzieje, właśnie sobie ów grunt, trzęsący się w posadach, podminowany, zabagniony, szczególnie upodobała i blaskiem swoim, krasą osłoniła szczyby i rysy, jak kwiat cudny czepiała się po walących się murach państwa, że niejeden zdala patrzący nie widział pod nią ruin, grożących ostatecznym upadkiem.

Kraj upadał, a król się bawił, czarne chmury szły od wschodu i zachodu, groziły pioruny, a król oczy odwracał i w słońce sztuki patrzył. Rozjaśniała mu się twarz, gdy widział się otoczonym dworem pięknym i błyszczącym, rad słuchał rozpraw o sztuce, rad patrzył na dzieła, któremi się otaczać lubił i które sprowadzał z zagranicy lub też na miejscu w Polsce tworzyć kazał.

Raj to był dla artystów prawdziwy,

Było ich też w Polsce wówczas, jak nigdy przedtem. Ściągali z zagranicy i osiadali na stałe u dworu królewskiego, nierzadko przyjmując poddaństwo polskie, było też i Polaków dość, co się sztuce malarskiej poświęcali.

A były między nimi nazwiska, których może nie spodziewaliśmy się znaleźć pomiędzy artystami.

* * *

Oto w celi twierdzy petropawłowskiej siedzi więzień stanu, twarz znękaną i pełną troski głębokiej pochylił nisko, pilnie wpatrując się w jakiś drobny przedmiot, który trzyma w ręku. Na stole rozrzucone narzędzia snycerskie, kawałki drzewa i kości słoniowej.

Więzień sięgnął po jedno z narzędzi i zwolna, z namysłem, majstruje coś koło filigranowego pudełeczka z kości słoniowej. Pracuje tak już pilnie parę godzin, wreszcie podniósł twarz i dzieło swoje odwrócił ku światłu. Wyraz troski znikł na chwilę z twarzy więźnia, a uśmiech pogodny rozjaśnił znękaną twarz.

A rysy te jakże nam znane i drogie! Te oczy pełne płomieni najszlachetniejszego zapachu!

To Tadeusz Kościuszko, Naczelnik ukochany, który sztuką słodzi sobie straszne chwile niewoli. Istotnie, wielki ten wódz narodu z zamięłowaniem oddawał się nietylko tokarstwu i snycerstwu artystycznemu, ale i rysunkowi i malarstwu, do których wykazywał wybitny talent. Udał się nawet do Paryża w celach artystycznych, całą myśl jego jednak opanowała idea odrodzenia Polski. Jej się też oddał.



KOŚCIUSZKO TADEUSZ STUDJUM

Mimo, iż pracował niewiele w tym kierunku, pozostało jednak po Kościuszcze trochę dobrych prac malarskich, które, jak relikwje najdroższe, przechowują właściciele. Są to krajobrazy akwarelowe, widoczki Rzymu, a także portret prezydenta Stanów Zjednoczonych, wykonany w Ameryce.

* * *

Chęć i zamięłowanie do sztuk rozlały się szeroko, obejmując nietylko tych, co pracować musieli dla chleba, ale i tych, którzy sztuką dla własnej rozkoszy się zajmowali. Długim szeregiem możnaby wymienić nazwiska wielkich rodów, które w synach swych i córkach talenty artystyczne kształciły.

Takim był hrabia Czapski, o którym następująca dochowała się opowieść:

Gdy hrabia przebywał w Londynie, przyszedł dzień, iż znalazł się w trudnem położeniu. Zabrakło mu pieniędzy. Cóż tedy robi młody hrabia? Oto udaje się do kilku znanych z zamięłowań artystycznych Anglików i, nie zdradzając swego na-

zwiska, pokazuje im piękne minjatury swojej roboty, proponując, iż może takie same z natury wykonać.

Podobały się minjatury Anglikom, wykonał ich też kilka Czapski na zamówienie, zapłacono mu dobrze tak, że mógł przeżyć czas jakiś i doczekać się pieniędzy z kraju. Mógł już wtedy opuścić Londyn i, jak zamierzał, do Paryża się udać.

Zdarzyło się, iż — gdy był na galowem przyjęciu w Wersalu — podchodzi do niego lord angielski i, wpatrując się weń pilnie, mówi:

— Nie mogę wyjść z podziwu, co za szczególne podobieństwo.

Spojrzał na lorda Czapski i uśmiechnął się.

— Do kogo? — zagadnął.

— Do malarza, który mój portret w Londynie malował. Tu już Czapski roześmiał się na dobre.

— Bo też ja nim istotnie jestem — odparł.

Ze śmiechem opowiedział lordowi swoją przygodę, i później nieraz rad ją przyjaciółom opowiadał.

Były w owym czasie całe rody, które malarstwu się poświęcały. Takimi byli dwaj bracia Lubienieccy, rodzina Smuglewiczów, Chodowieckich, byli malarze świeccy i zakonni po klasztorach i dla klasztorów pracujący.

* * *

W owym też to dzieje się czasie, gdy bracia bazyłjanie ze Supraśla do wielkiej jakiejś przygotowują się uroczystości.

— Król, król jegomość! — słysząc co chwila, coraz ktoś przebiegnie, śpiesząc się, a innych napędzając. Ledwie ukończono przygotowania, gdy braciszek, na czatach postawiony, dał znać, iż orszak królewski nadciąga. Otwarto szeroko bramy, i wnet też wtoczyła się pozłocista, królewska kolasa, otoczona świetnym i strojnym orszakiem. Wysiadł z niej król Stanisław August, właśnie z Grodna z sejmu powracający.

Strojny i młody, a więcej jeszcze pono młodość udający, witał się z przeorem, który z rewerencją wielką wiódł go

w głąb klasztoru. — Towarzyszyła im starszyzna z biskupem Wiślockim na czele.

Skierowano się najprzód ku kościołowi klasztornemu. W ołtarzu widniał obraz szczelnie zamknięty. Zwolna podniosła się zasłona, pokłękli obecni, ukląkł i król, ale gdy za chwilę wzniosł oczy, wyraz zdumienia odbił się na jego twarzy.

U dołu obrazu widniał wymalowany wybornie jego portret uderzająco podobny.

— Kto to malował? — zapytał król biskupa, wskazując portret.

— Zakonnik, Wasza Królewska Mość, brat Antoni Gruszecki.

Pośpiesznie wyszedł król z kaplicy, już na nic nie patrząc, i wołał niecierpliwie, aby mu owego zakonnika co rychlej doprowadzono.

Wszedł braciszek zakonny i, skłoniwszy się królowi, stanął u progu pokornie.

— Gdzieżeś mnie widział? — zagadnął król, przystępując żywo ku zakonnikowi — iżeś moją twarz tak odrobił?

— Nie widziałem nigdy Waszej Królewskiej Mości — odparł zakonnik.

— Jakżeś portret odmalował? Na Boga! nigdy podobniejszego konterfektu nie oglądał. Bacciarelli lepiejby nie utrafił. Z czegożeś go malował?

— Z trojaka ¹⁾, Wasza Królewska Mość — odparł cicho zakonnik.

— Z trojaka! — zdumiał się król — to więc chyba aniołowie święci resztę wam dopowiedzieli. Nie może inaczej być, jeno was, ojcze, do Warszawy ze sobą biorę, boć taki fenomen grzech w klasztornych murach skrywać.

Próżno się bronił brat Antoni, próżno przeor przedkładał, król rozgorzał i zakonnika do Warszawy wieźć kazał, chwalać się nim a ciesząc jak dziecko nową zabawką.

W Warszawie też brat Antoni Gruszecki osiadł na zamku

¹⁾ Na miedzianych trzygroszniakach były profilowe portrety Stanisława Augusta.

i, służąc królowi, wiele prac malarskich dla niego wykonał. Płacić mu też chciał hojnie król-artysta, ale zakonnik odmówił.

— Nie kuś mnie, Wasza Królewska Mość, tą namową, gdyż ja zaprzysiągłem ubóstwo.

Co było robić? jeno tylko hojnemi darami zarzucał król swego ulubieńca, a ten się znów pracami wywdzięczał tak, iż sporo ich niepośledniej wartości namalował, jak „Trzej Królowie“, „Marja Magdalena pokutnica“, biblijny „Złoty cielec“, „Wniebowzięcie“, i wiele innych jeszcze, nawet i świeckiej treści, wedle gustu i chęci monarszego protektora.

* * *

Protegowanie i popieranie talentów tak w owym czasie było powszechne, że oto hrabia Ossoliński nie waha się, zobaczywszy pilnie pracującego młodego niemieckiego malarza, wziąć go na swój koszt i opiekę, aby jeno owej sztuce służył.

Trudnoby było wymienić wszystkich malarzy polskich, którzy pracowali w owych stanisławowskich czasach, bo było ich istotnie bardzo wielu, mniejszej lub większej sławy, że wspomnieć tu należy o Janie Bogumile Plerschu, który, choć obcego nazwiska, warszawianinem był z rodu a Polakiem z duszy. Bardzo wiele jego roboty obrazów pięknych jest po kościołach warszawskich, jak: „Zesłanie Ducha Świętego“ w kościele paulinów w Warszawie.

Najważniejsze jednak prace Plerscha, to były dekoracje do teatru, do złudzenia wyobrażające to, co miały przedstawiać: przezrocza, kurtyny teatralne, na których przedstawiał jużto Apollina z Muzami, jużto amorki w obłokach, bujające wokół postaci Poezji. A gdy przyozdabiano teatrzyk królewski w Łazienkach, w Pomarańczarni, nie obyło się bez Plerscha.

Malował też i portrety, z których jego własny niby żywemi patrzy oczyma.

A i ten Jan Lintszej — malarz i budowniczy, który wiele kościołów i dworów polskich budował i ozdabiał, póki znużony twórczą pracą umysł nie odmówił mu posłuszeństwa. Widywano też tego nieszczęśliwego, jak rankiem obchodził kościoły,

z natężeniem wpatrując się w ołtarze i ich budowę, coś kombinując w biednej, skołatanej głowie. I gasł tak, żyjąc sztuką, a nie już dla niej uczynić nie mogąc.

I ów znowu Lesseur-Lesserowicz, malarz minjatur, które dla króla jegomości wykonywał, aby je potem obsadzać w tabakiery, medaljony i pierścienie. Ceniono też te maluchne arcydziełka narówni z klejnotami; w złoto je i w drogie kamienie oprawiano.

I kobiety nie zostały w tyle. Przynoszą nam kroniki nazwiska: Beaty Czackiej, która wiele obrazów religijnych wy-malowała, Kunegundy Czackiej, Julji z Czackich Steckiej, a i onej Weroniki Paszkowskiej, której prace były w zbiorach Stanisława Augusta. Ona też malowała minjatury Kościuszki i ks. Józefa Poniatowskiego. Znana była w Warszawie postać tej artystki, która, późnego dożywszy wieku, lubiła dumać i modlić się w cieniu drzew Botanicznego ogrodu, wspominając tego „prince charmant“, i tego króla-artystę, i tego bohatera o duszy kryształowej, których wizerunki miała szczęście wykonywać w dniach swojej młodości.

* * *

Nie można mówić o czasach Stanisława Augusta i nie wspomnieć o tych kilku cudzoziemcach, którzy po kilkanaście lat na dworze tego króla spędzili i dużo prac dla niego wykonali.

Takim był Francuz — Norblin, którego ks. Czartoryski sprowadził do Polski jako nauczyciela dzieci swoich. Znakomity ten malarz i rysownik przez czas pobytu swojego w Polsce wykonał długi szereg obrazów i rysunków, malujących doskonale obyczaje ówczesne, typy i ubiory polskie. Norblin, chociaż cudzoziemiec, więcej jest polskim w twórczości swojej od niejednego Polaka z rodu.

Włoch — Lampi, którego prześliczne, pełne wdzięku delikatnego portrety wysoko sobie wówczas ceniono. Sam król za swój portret nie tylko wysoką sumą pieniędzy, ale i w dodatku tabakierą bogatą zapłacił.

Canaletto — malarz i rytownik, autor dużego szeregu krajobrazów z widokami starej Warszawy. Pomyślcie tylko, czyż to nie ciekawe dla nas, zobaczyć, jak to wyglądała nasza Warszawa sto kilkadziesiąt lat temu? O! i mogę was zapewnić, czytelnicy, że nikt z wasby jej nie poznał i ze zdziwieniemby zawołał: Co? to ma być Krakowskie Przedmieście? to Miodowa i Senatorska? Gdzież te wyniosłe kamienice, które dziś oglądamy szeregiem stojące?

Tak, zupełnie inaczej wyglądała Warszawa wówczas i Canalettiemu zawdzięczamy, iż tyle o jej dawnej postaci wiedzieć możemy.

Wszystkich tych przybyszów gościł Stanisław August, obdarzał szlachectwem, opłacał hojnie, życzliwą opieką otaczał.

Dobrze im było w Polsce, nie śpieszyli do swojej ojczyzny, a niektórzy, jak portrecista Grassi, nawet i krwi swej dla przybranej ojczyzny nie żałował, bo gdy Warszawa przez Prusaków oblężona była, Grassi, jako podoficer, dowodził gwardją miejską. I zdarzyło się, iż, gdy znajdował się w ogniu bitwy i na wielkie niebezpieczeństwo narażony, nadjechał Kościuszko, zobaczył walczącego Grassiego i wnet szlachetnem sercem pożałował talentu, który lada kula zbłąkana zgasić mogła.

— Wracaj do miasta — rozkazał Naczelnik — jesteś tam potrzebny.

Rozkaz był pozorny, ale Grassi dzięki niemu ocalał.

Wielką sławę w Polsce zyskał triesteńczyk Pitchman, który, podróżując po kraju, około pięciuset portretów namalował. Całe rody szlachty polskiej sportretował.

Wiele, wiele nazwisk możnaby przytoczyć, tak Polaków jak i cudzoziemców, w kraju naszym pracujących. Z pomiędzy wielu jednak wyróżniają się nazwiska znamienitsze, a te są: gdańszczanina Daniela Chodowieckiego, Marcelego Bacciarelego, który, choć Włoch z pochodzenia, Polakiem się stał z duszy, i Franciszka Smuglewicza.

DANIEL CHODOWIECKI

1726—1801

— Daniel! Daniel! — rozlega się niecierpliwe wołanie po wszystkich zakątkach domu zamożnego kupca korzennego w Berlinie.

— Do pioruna! — wykrzykuje Herr Ulrich, stojąc w zasobnej izbie jadalnej, ubrany jak do wyjścia. — Do pioruna! gdzie się ten chłopak chowa, pewno znów swoje bazgroły maluje!

— Dajże pokój, ojcze — uspokaja pani kupcowa — sam chłopca zachęcasz, jużbyś też nie wydziwiał! Mało się pieniędzy nabierzesz za jego roboty?

— A zawsze nietyle, co za mój pieprz i goździki. Malowanie... malowanie... juści — ciągnie trochę uspokojony — ale mi go matka nie nato z Gdańska przysłała i pod opiekę oddała. Kupcem ma być i basta! Choć to i godziwa zabawka, ale dziś — ciągnie z wzrastającym rozdrażnieniem — kiedy pojutrze jarmark, roboty wyżej głowy, a on tam gdzieś... Daniel! Daniel! do pioruna!

A Daniel tymczasem ani słyszy. Od paru już godzin siedzi zamknięty w najcichszym, najbardziej oddalonym pokoiku wujowego domu, tak zatopiony w pracy, że świat z oczu mu zginął.

Właśnie ma przed sobą maleńki przezroczysty płatek słoniowej kości, na którym usiłuje skopjować obrazek, złożony z kilku figur ludzkich. Wzór do niego ma przed oczyma. Ze zmarszczonem czołem i zaciśniętymi ustami pracuje z widocznym wysiłkiem. Jeszcze parę niepewnych dotknięć i młody artysta porwał się od stolika, rzucając z niechęcią pendzelek.



CHODOWIECKI DANIEL
AUTOPORTRET

— To nie to, nie to! nie to!

Chmurny przeszedł się po ciemnej izdebce, wreszcie stanął w oknie i zadumał się. Myśl mu odbiegła do rodzinnego Gdańska, do tych chwil, gdy to ojciec, a później ciotka wskazywali małemu chłopcu pierwsze zasady rysunku. Od tego czasu nikt go nie uczył, i młodzietki Daniel sam idzie poomacku, sam dochodzi, szuka, ale niestety — nie znajduje.

I teraz oto przyszła na niego chwila zniechęcenia.

— Daniel! Daniel! — rozlega się znów wołanie na różne już teraz głosy. Chłopak drgnął i odwrócił się niechętnie; równocześnie otwały się drzwi idebki, i wtoczył się Herr Ulrich czerwony i zaspany.

— Do pioruna! szukam cię, szukam, a ty tu, próżniaku, darmożjadzie, gryzmoło!...

— Nie próżnowałem — bąknął chłopak.

— Ale! nie próżnowałeś! Ano, pokaż, coś tam nagryzmolił, może się to na co przyda.

— Niema na co patrzeć! — rzucił niechętnie Daniel.

— Zobaczym, zobaczym. — I z temi słowami przytoczył się pan wuj do stołu i uważnie rozpatruje rozrzucone w nieładzie minjaturowe obrazki.

— Wcale... wcale... niczego sobie, niczego — pomrukuje udobruchany. — Cóż ty, błaznie, gadasz, że niema na co patrzeć? Ty się znasz! Ooo! wcale niczego!

— Patrzajże, matka — zwrócił się do wchodzącej żony — namazał też tego, bo namazał, ale co ładne, to ładne.

W miarę jak mówił kupiec, wyjaśniała się twarz chłopca. Oczy mu zabłyśły.

— Jest tu jeszcze więcej — ozwał się, dobywając kilka małych obrazków z szuflady stołu.

— Aaa! — zdziwił się kupiec — to jeszcze lepsze. — No, no! nie dał ci Pan Bóg głowy do handlu, ale do tego to — oho! Ale nie myśl sobie, że ci pozwolę jeno tem się bawić, kupcem masz być i basta! — dodaje, postukując laską. — Ano, ruszaj mi wasze do składów dopilnować ładowania skrzyń — a to — to — zebrał Herr Ulrich kilkanaście obrazeczków w dłoń —

trzeba to co najrychlej w tabakiery oprawić, amatorzy się na to znajdą, jeno im pokaż.

I wytoczył się „Herr Onkel“, stękając a utykając po niewygodnych schodach, a pomrukując z zadowolenia, iż mu praca chłopca nowe a obfite źródło zarobku otwiera.

Niepierwszy to już raz młodzieńcze prace Daniela szły w świat, oprawiane w wieczka ozdobnych tabakierek. Niepierwszy raz Herr Ulrich zgarniał za nie pieniądze, o tem jednak, żeby siostrzan miał być malarzem, ani słyszeć nie chciał.

I tak trwało. Wuj gderał, a Daniel malował, widząc zaś, jak chętnie nabywano jego prace, zaczął wierzyć w siebie i swoją umiejętność. Zczasem wuj, widząc zdatność chłopca i korzyści z niej płynące, ugodził nauczyciela, żeby go malowania na emalii wyuczył.

Ej, nie wiedział Herr Ulrich, że sam bicz na siebie ukręcił.

— Herr Hayd! — zagaduje Daniel, odrywając oczy od drobiazgowej roboty, która coraz częściej nudzić go zaczynała. — Herr Hayd, więc jakże to?

— Ano tak!... — odpowiada powolny augsburczyk i z wolna odkrywa przed olśnionemi i zachwyconemi oczyma chłopca tajemnice wielkiej sztuki.

— No i co? no i jak? — dopytuje uczeń, a twarz mu płonie i oczy goreją jak żuźle.

— Daniel, Daniel! — coraz częściej rozlega się po domu, coraz rzadziej jednak to usilne nawoływanie osiąga skutek.

Daniel ginie, przepada, niknie jak kamfora. Herr Ulrich klnie i stuka kijem.

— Herr Je! — jęczy płaczliwie ciotka, gubiąc oczka drutowej roboty.

A Daniel w swojej izdebce przeżywa chwile dziwne i niepokojące. Te kilka rozmów, kilka obejrzanych drobnych dzieł sztuki, otworzyły mu nowe światy.

— Nie chcę! nie chcę! — mówi podniecony, biegając po swej izdebce — to rzemiosło, nie sztuka! precz z tem! precz! — i niecierpliwą ręką zrzuca ze stołu rozpoczęte minjatury.

W parę dni później Herr Ulrich wpadł do pokoju rozczzerwieniony i wzburzony.

— Koniec świata! sądny dzień!

— Herr Je! co się stało — porwie się wystraszona Frau Ottilie, aż robota z rąk jej wypadła, a kłębek potoczył się na drugi koniec pokoju.

— Co się stało? — sapie Herr Ulrich. — Nie chce malować tabakierek, nie chce być kupcem, nie chce... No, nic nie chce? — kończy, rozkładając bezradnie ręce.

W kilka dni później opustoszała izdebka na poddaszu.

— Matka! — wzdycha wieczorem Herr Ulrich, stukając kuflem w stół — jakoś tu smutno.

— Herr Je! — wzdycha Frau Ottilie, ocierając zaczerwienione oczy.

*

A Daniel poszedł w świat, szukać prawdziwej sztuki. Jak spragniony wędrowiec wodą ze źródła, tak on upajał się sztuką i nasycić się nie mógł. Widzimy go odwiedzającego pracownię znakomitych ówczesnych malarzy, z gorączką w oczach przeglądającego teki, pełne rysunków mistrzów.

— Nic nie umiem, nic nie umiem! — szepcze do siebie i wnet z zajądlnością, z zapamiętaniem rzuca się do pracy, do studjów, chcąc wynagrodzić czas, stracony przy kupiectwie.

Był też już wówczas młodzieńcem dojrzewającym. Poza rysunkiem i malarstwem wziął się też i do sztycharstwa. Z rylcem w ręku długie godziny spędza na cierpliwej a drobiazgowej pracy, albo też, upodobawszy sobie czerwoną kredę, wykonywa nią rysunki pełne życia i wyrazu.

Były też to portrety głów lub całych postaci, różne damy ówczesne w bufiastych sukniach i nadzwyczajnych fryzurach, na łokieć wysokich. Są rozmaite obrazy, obrazki i szkice, z których jak z książki poznać można życie, obyczaje, stroje ówczesnego mieszczaństwa niemieckiego.

Ach tak, niestety — niemieckiego! Chodowiecki, chociaż Polak z rodu i pochodzenia, przez to, iż mieszkał w Berlinie, modeli swoich wśród Niemców szukał. Wielka to szkoda dla nas, iż nie wrócił do rodzinnego Gdańska, bo byłby wtedy więcej

polskim malarzem. A tak tedy mamy wielki szereg wybornych obrazów i sztychów z życia Berlina.

Oto rodzina obsiadła stół, stojąca w środku świeca rzuca jasne światło na twarze, oto towarzystwo, grające w karty, a w każdym obrazie jakaś charakterystyczna Niemeczka z robotą drutową w ręku.

Oto „Urodziny ojca“, takiego niemieckiego „tatusia“ w szlafroku po pięty i szlafmycy, któremu rzuca się na szyję wyfryzowana jak pudelek żona i dwoje dzieci. Oto towarzystwo, zabawiające się w parku w ślepą babkę lub odpoczywające nad brzegiem stawu.

Pogodne, spokojne, jasne obrazki, niby wspomnienia żywe młodościowych lat, spędzonych w dostatnim, mieszczańskim domu pana wuja.

Umiał jednak Chodowiecki wydobyć i dramatyczny obraz bólu. Oto jeden z jego sztychów, przedstawiający skazanego na śmierć Calasa, którego na chwilę przed wykonaniem wyroku żegna zrozpaczona rodzina. Przyjrzyjmy się tylko, ile



CHODOWIECKI DANIEL

POŻEGNANIE CALASA

tu wyrazu, ile rzewnego bólu w twarzy córki, ile poddania się w wyrazie twarzy skazańca.

— „Miałem tę przyjemność — pisze o tym obrazie sam Chodowiecki — że nikt z oglądających nie odchodził bez wzruszenia“.

Pomimo jednak oddalenia od kraju Chodowiecki czuł się Polakiem.

„Kiedy zechcesz mnie liczyć do Polaków, których rodzice w Niemczech osiedli — pisze w liście do Józefa Łęskiego — to mnie krzywdzisz, bo tym sposobem nie byłbym Polakiem, lecz Niemcem: a ja sobie zaszczyt czynię być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł...“. Zaczem wymienia szereg przodków polskiego pochodzenia, kończąc list słowami: „Stąd widzisz pan, żem prawdziwy Polak“.

I istotnie, pomimo oddalenia i cudzoziemskiego otoczenia, polskość nie zamarła w utalentowanym gdańszczaninie. Piękne były wszystkie prace jego, ale bodaj czy nie najpiękniejsze te, które wykonał w Gdańsku, gdzie na paromiesięczny pobyt zawitał.

„Podróż do Gdańska“ — tak się zwie szereg rycin, związanych z tym pobytem, a obejmujący prawdziwe arcydzieła sztuki rysowniczej. Takie oto, na przykład, wnętrza starych gdańskich domów z kominkami, zegarami, krzesłami o wysokich poręczach, a w tych wnętrzach coraz to sam pan Daniel Chodowiecki, już to portretujący biskupa Podoskiego, już to malujący swoją matkę, już to hrabinę Czapską, obok której stoi dwór strojny, frakowy i kontuszowy.

Albo i ta śliczna „Starościanka Ledóchowska“, wychodząca z drzwi pokoju do sieni. „Starościanka“ w bufiastej sukni, o malutkich nóżkach i pełnym wdzięku uśmiechu.

Są i inne, długi ich szereg, i szkice różne, frakowi kawalerowie i kontuszowcy, damy w robronach, dziewczeczki młode.

Jakby jakiś nowy, świeży powiew z rodzinnego gniazda ożywił duszę artysty, jakgdyby poczuł, że z tego starego, polskiego Gdańska poczęła się jego twórczość.



CHODOWIECKI DANIEL

STAROŚCIANKA LEDÓCHOWSKA

Istnieje też kilka obrazów Chodowieckiego, na których odtwarza kilka chwil historycznych, jak: „Stanisław Leszczyński, uciekający z Gdańska“, „Zabójstwo Wapowskiego na Zamku krakowskim“, „Konfederacja barska“, „Konstytucja 3-go maja“ i kilka innych.

Przyzwyczajenie jednak przemogło. Chodowiecki powraca na obczyznę i tam, pracując ciągle usilnie, otrzymuje wysokie stanowisko dyrektora królewskiej Akademji Sztuk Pięknych.

Tam też życie kończy w samym początku XIX-go wieku.

MARCELI BACCIARELLI

1731—1818

Bacciarelli wstał od staług i, oddaliwszy się o kilka kroków, jał się pilnie przyglądać swej pracy. Przed chwilą ledwie drzwi się zamknęły za panią kasztelanową, której wizerunek rozpoczęty widnieje na staługach. Jeszcze na schodach słychać wesoły śmiech i gwar oddalającego się towarzystwa.

Odetchnął Bacciarelli z ulgą i, odłożywszy paletę, zagłębił się w fotelu, nie spuszczać z oka swego dzieła.

Z obrazu uśmiecha się do niego twarzyczka delikatna, różowo-biała; z pośród koronek i błękitnych aksamitów wysuwa się dłoń maleńka i wypieszczona, perły i klejnoty lśnią w pudrowanych włosach kasztelanowej.



BACCIARELLI MARCELI

AUTOPORTRET

MUZEUM NAROD. W WARSZAWIE

Siedzący w fotelu artysta zdaje się też postacią, jakby z obrazu wyjętą. Frak na nim ówczesną modą strojny, długa, haftowana kamizelka, aksamitowe, jasno-perłowe spodnie i białe pończochy dopełniają stroju.

Ponad białym koronkowym żabotem twarz dziwnie pogodna i jasna, o bystrych oczach, tem żywiej odbijających od pudrowanych włosów.

Teraz jednak na twarzy Bacciarellego maluje się trochę znu-

żenia. Powiódł dłonią po czole i, wsparłszy głowę o poręcz, zadumał się, czy zdrzemnął, gdy nagle otworzył znów oczy i, nastawiwszy ucha, słuchał gwaru, dochodzącego z dalszych pokoi. Gwar, z początku cichy, teraz przeszedł w hałas wyraźny, a z pośród zmieszanych głosów wyróżniał się jeden hałasliwszy niż inne, że aż w krzyk przechodzący.

— Coś tam głośno — wstrząsnął głową Bacciarelli. Podniósł się z westchnieniem i ruszył ku drzwiom, z poza których gwar dochodził.

Zaledwie drzwi uchylił, ucichło, a kilkunastu młodzieńców, zgromadzonych w obszernej pracowni, pochyliło się pilnie nad rysunkiem lub zaczętem malowaniem. Bacciarelli powiódł okiem po tej gromadce uczniów i, uśmiechając się dobrotliwie, zatrzymał wzrok na jednym z chłopców o rozburzonej czuprynie i zaczerwienionych policzkach. Chociaż pochyłony nad robotą, widać było, iż wre i kipi.

— Wojniakowski — ozwał się zwolna Bacciarelli.

Chłopak powstał, oczy mu błyszczały ponurym ogniem.

— Wojniakowski, słyszałem, nic nie mów — skinął Bacciarelli, widząc, że chłopiec usta otwiera — znam cię, szalaństwo, awanturniku niepohamowany. Oj! — dodaje, kładąc mu rękę na ramieniu — gdybyś ty chciał, gdybyś chciał pracować. A pokaż-no wasze, coś tam zrobił.

Odstąpił Wojniakowski, odsłaniając swoją pracę.

— Dobrze... dobrze, wcale nieźle... dobrze — rzucił zwolna Bacciarelli, przyglądając się malowidłu. — Bardzo dobrze! — powtórzył — będzie też ksiądz kustosz rad z waszeczki, żeby cię jeno ta gorąca krew nie zawiodła, gdzie nie należy, ty — niepohamowany!

Pogroził rozczochanemu chłopcu i poszedł dalej.

Obok wichrowatego Wojniakowskiego pracował Vogel, Wall i jeszcze kilku innych. Bacciarelli podchodzi do każdego z nich, dla każdego mając uwagę cenną lub słowo zachęty. Życzliwie uśmiechnął się do pogodnego, łagodnego Kopfa, który starannie i pracowicie wykończył drobiazgowy, minjaturowy rysunek.

— Rustem! — zdziwił się, stając obok młodego chłopca o wydatnych, dużych rysach i bystrych, czarnych oczach. — Rustem, co to jest? Cóż ty mi tu pokazujesz? A to jakbyś dziś dopiero pendzel w rękę wziął. Co to jest?

— Nie mogę — bąka zaczerwieniony Rustem — nie podobają mi się ten model; taki okropny!

— Ah, to tak! — zaśmiał się Bacciarelli — rozumiem. — Ale słuchaj mnie, chłopcze — dodał, poważniejąc — sztuka, to nie zabawka, a droga do niej długa i ciężka, a gusta swoje

nieraz na wodzy trzymać trzeba. Patrz, żebyś nie błdził, tylko swoim chęciom unosić się dając.

I poszedł dalej, pochylając się nad tym i owym, temu dobrą radę dając, innemu rozstrzygając wątpliwości.



BACCIARELLI MARCELI

PORTRET DAMY

Niedługo jednak zabawił dziś w pracowni z uczniami ulubionymi. Dziwnie coś nie szła mu dziś zwykła praca. Zasiadł też znowu na fotelu i zamyślił o przeszłości. Ci uczniowie przywiedli mu na myśl jego własną młodość.

Przymknął powieki i wnet przed oczyma wyrosły mu szerniałe mury Koloseum, ruiny Termów, wyniosła kopuła św. Piotra, kolumny Forum Romanum i potężne, rozsiadłe mury zamku Św. Anioła.

Rzym — kolebka jego, jak żywy stanął mu przed oczyma.

Ale wnet obraz się zmienia. Błękitna Elba wesoło toczy swoje wody, zieleni wokoło, i miasto nad rzeką czyste, wesołe, zalotne. Kunsztowny pałac, król i dwór jego strojny, zabawiony...

Ah, to Drezno, to król August III!

I znów inny obraz. Strzelista wieża św. Stefana, a w zamku władca-kobieta. Piękna, wspaniała i urocza Marja Teresa. Pamięta ją Bacciarelli jak żywą, a i ten obraz swój, gdzie wszystkie cztery królewskie córki jako muzy na Parnasie przedstawił.

A teraz... otworzył oczy. Przez okno widać szarą Wisłę i zielone wybrzeża poza nią.

— A teraz — wyrzekł prawie głośno — teraz tu, do końca życia, tu druga moja ojczyzna.

Spojrzał na zegarek.

— Hrabina Tyszkiewiczowa już nie przyjdzie dzisiaj. Dobrze, dobrze, źleby mi dziś pendzel chodził.

Wstał i zamyślony przeszedł się po pracowni. Ile tu życia, ile życia mu upłynęło u boku tego króla-artysty. Pamięta Bacciarelli to pierwsze poznanie, gdy Stanisław August jeszcze godność stolnika litewskiego piastował. Wnet też między artystą a przyszłym królem Polski nawiązała się nie sympatji, która długie lata przetrwała. Odrzuca też Bacciarelli świetne propozycje dworu wiedeńskiego i zjeżdża do Warszawy. Tak, pamięta to wszystko, pamięta, jakby to wczoraj było.

Krążąc po pracowni, zatrzymał się przed szkicem portretu męskiego.

— Prince charmant! — szepnął z uśmiechem. — Tak, to szkic do portretu księcia Józefa, i on sam strojny z dwoma goździkami w dłoni. A oto drugi w mundurze gwardji narodowej — rycerz niezłomny.

Rozejrzał się po ścianach, jakby po raz pierwszy oglądał wnętrze swojej pracowni, w której przecież tyle życia spędził; każdy



BACCIARELLI MARCELI
PORTRET STANISŁAWA AUGUSTA
ZAMEK WARSZAWSKI

szkie, każdy rozpoczęty portret coś mu dziś mówił, coś przypominał.

Oto portret króla, ten w stroju dworskim, ów w domowym, ten zwrócony wprost do widza — inny w profilu. Ileż razy odtwarzał te piękne, szlachetne, subtelne rysy! Z rozrzewnieniem wpatruje się w podobiznę dobrego króla, który jego, cudzoziemca, szlachectwem polskiem obdarzył i przyjaźnią swoją zaszczycał.

A tu księżna Poniatowska z synem w postaci Amora; notatka do portretu pani marszałkowej, trzymającej pieska. Oto wojewodzina podolska, kasztelan krakowski, pani Branicka, książę Adam Czartoryski... cały ówczesny wielki i strojny świat, wszystko, co jeno stolica miała najprzedniejszego, przesunęło się przez tę pracownię malarską. A jak on świat lekki był, wykwintny, pełny gracji, perfumowany i pudrowany, tak też i dzieła Bacciarellego przejrzyste są, harmonijne i wdzięczne, a jakby mgiełką złotawego pudru owiane.

Z mniejszem zato zadowoleniem wspomina wielkie kompozycje historyczne, które na żądanie króla do zamku wykonał. A był tam i Kazimierz Wielki, nadający prawa, i Unja Litwy z Koroną za Zygmunta Augusta, i Oswobodzenie Wiednia, i wiele jeszcze innych; długi szereg portretów królów i znakomitych ludzi. Nie, to nie był jego rodzaj umiłowany, te wielkie kompozycje historyczne. Ot, gdyby tak jeszcze sceny mitologiczne, różne Wenery, Diany na łowach, Apolliny lub Junony...

Zadumę artysty przerwało stukanie do drzwi wchodowych.

— Któż tam znowu! — zniecierpliwił się artysta, nierad, iż mu przerwano miłe dumanie. — Proszę!

We drzwiach stanął królewski sługa, z ukłonem podając artyście list.

— Od króla! — ucieszył się Bacciarelli, żywo rozrywając kopertę.

— „Jeżeli możesz przybyć dziś o g. 6-ej do Łazienek — pisał król po francusku — byłbym bardzo rad. — Moja bratowa, księżna szambelanowa pozwala odmalować swą rękę do twojej Muzy. A doprawdy nie znajdziesz nigdzie piękniejszej...”

Nie upłynął i kwadrans, a kolasa dworska pędziła co koń

wyskoczy ku Łazienkom, a Bacciarelli, zapomniawszy o swoich zadumach, rozweselony, odmłodzony, myślał jeno o tej cudnej ręce, którą będzie mógł w swoim obrazie umieścić.

Żwawo też wyskoczył z kolasy przed pałacymiem i lekkim krokiem przebiegł przedsionek kolisty, ledwie okiem rzuciwszy na cztery postacie, uosabiające Siłę, Mądrość, Sprawiedliwość i Litość, któremi był przyozdobił wyniosłe sklepienie przedsionka. Dłuższą zato chwilę zatrzymał się w prześlicznie przyozdobionej, wyłaczanej „Sali Salomona“, przebiegł oczyma sufit, gdzie namalował obraz, przedstawiający „Sen Salomona“ i trzy sceny z jego życia. Przyjaźnie skinął głową różnym znanym sobie postaciom, które sportretował w dwóch wielkich obrazach, pokrywających prawie przeciwległe ściany sali, a przedstawiające „Poświęcenie kościoła jerozolimskiego“ i „Salomona, czyniącego ofiary“.

Uśmiechają się z tych biblijnych obrazów wykwintne główki różnych pań kasztelanowych, wojewodzin i margrabin, różnych szambelaników i podkomorzyców, snujących się po salonach warszawskich.

— Ah, Bacciarelli! — ozwał się nagle głos dźwięczny i Stanisław August wszedł żywo do sali. — Bacciarelli — dobrze, żeś przyszedł, oczekujemy cię.

— Pani szambelanowa... — zaczął z ukłonem artysta.

— Oh, także ci pilno? — roześmiał się król — ale mówię ci, Bacciarelli, cud, nie ręka!

— Więc pójdźmy...

— Zaczekaj, mamy i my do ciebie interes. Za tydzień festyn, tu w Łazienkach, rachujemy na ciebie, trzeba nam transparentów, bram triumfalnych, dekoracji...

— Najjaśniejszy Panie, czy zdołam, czy potrafię?

— Więc któż będzie umiał? Eh, Bacciarelli! Czyż to po raz pierwszy? Ale pójdźmy do szambelanowej.

*

W nieustannej pracy zeszło życie tego niepospolitego artysty. Cenił go nasz król-artysta wysoko, czego dał dowód,

powierając mu urząd profesora malarstwa na wydziale sztuki przy szkole warszawskiej. Ceniła go i zagranica — bo, gdy odbywał podróż po Europie — w triumfie ją odbył i powrócił do ukochanej Warszawy uhonorowany, obdarzony orderami, obsypany łaskami panujących, z których każdy byłby go rad na dworze swoim zatrzymać.

Powrócił, do końca życia służąc krajowi, który za swoją drugą przybrał ojczyznę.

Kto zwiedzać będzie kościół farny św. Jana w Warszawie, winien zwrócić uwagę na dwa piękne portrety, umieszczone ponad chrzcielnicą, na lewo od głównego wejścia. Są to podobizny Marcellego Bacciarellego i żony jego Fryderyki z Rychterów, również zdolnej malarki. W tym też kościele złożone są ich doczesne szczątki.

Synowie i córki Bacciarellego w Polsce pozostali, przysparzając królowi szereg dobrych obywateli i wiernych synów ojczyzny.

FRANCISZEK SMUGLEWICZ

1745—1807

Wąskimi uliczkami Starego Miasta dążył człowiek w podeszłym wieku. Śpieszno mu widać było, bo żwawo mijał uliczkę za uliczką, a uśmiechał się do siebie, jakby jakąś wesołą myślą uradowany. Minał ulicę Kapitulną i skręcił ku klasztorowi kapucynów. Rażno wszedł na schody, minął jeden i drugi korytarz, wreszcie zapukał do drzwi jednej z cel zakonnych.

— Czy wolno wejść?

— A czemużby nie? — ozwał się głos z wnętrza celi — u starego zawsze otwarte i progi, i serce.

— Dobry dzień jegomości — rzekł, wchodząc imię pan Smuglewicz.

— Bóg z tobą, mój poczciwy Łukaszu — odparł białowłosy staruszek w habitie braciszka zakonnego, odkładając zwolna paletę i pendzle.

— A jegomość zawsze przy pracy — podjął Łukasz.

— Jakżeby nie? — odparł Czechowicz — odsuwając stalugi z rozpoczętym obrazem. — A cóż, mój Łukaszu, nie miałeś tam jakich wiadomości od Franusia?

— Panie odpuść, z tem ci ja tu przyszedłem. Są, są i jakie jeszcze! Pisze oto chłopak, że coraz lepsze ma powodzenie w Rzymie. Jacyś lordowie angielscy chcieli go gwałtem zabrać z sobą za morze i obiecywali mu złote góry, byleby jechał z nimi.

— A cóż on na to? — zapytał starzec niecierpliwie.

— Nie przyjął, jak mi Bóg miły; powiedział Anglikom, że jeżeli Bóg mu dał zdolność jaką, to na to tylko, aby ją poświęcił krajowi i współziomkom.

— Pocciwy chłopiec! — rzekł Czechowicz, ocierając oczy rękawem od habitu.

— Przysłał też obraz w darze dla króla jegomości — ciągnął Łukasz z rozradowaniem okiem — śliczna to rzecz co prawda, ale...

— I cóż na nim? Chrystus, czy Święta Rodzina? — zagadnął starzec z młodzieńczym zapałem.

— Gdzie tam! zupełnie co innego.

— Może Kupidyn ze strzałami, albo Diana na łowach? — zawołał Czechowicz oburzony. — Miły Boże! szkoda chłopca, zmarnuje talent; oj, napiszę ja mu prawdę!

— Nie bój się, jegomość, nie żadne to bóstwo pogańskie; on za tem nie goni, nie poszła w las nauka.

— Więc cóż takiego? Gadajcie, mój Łukaszu.

— Oto, Panie odpuść, wymalował „Prawdę“ — w postaci niewiasty, „Czas“ zdziera zasłonę z jej oblicza. Obraz śliczny, co się zowie, sam Rafael Mengs¹⁾ przyznałby się do niego. Ale to jakoś nie wypada ofiarować prawdę królowi.

— Nie widzę w tem nic złego, mój Łukaszu, a ciekawym też roboty Franusia. Choć nogi nie słuchają, powlokę się na Stare Miasto do twojej pracowni.

¹⁾ Malarz głośny, nauczyciel Smuglewicza w Rzymie.

— Bóg zapłać ojczcie. Oj, będzie Regina szczęśliwa! A spłakała się nieboga, jakem jej list syna przeczytał.

— Poczciwy Franuś — rzekł zwolna starzec. — Miły Boże! już go oczy moje nie zobaczą na ziemi. Toćże to już dziesiętek lat z okładem, jak stąd wyjechał. Powiadam ci, mój Łukaszu, że to najpiękniejszy kwiat z tego wianka młodych malarzy, cośmy w świat wypuścili z naszej pracowni. Żaden z nich nie ma takiej przyszłości przed sobą.

— Nieprawdaż — podjął gorąco Łukasz — poznali się też na naszym chłopcu. — Pamiętasz jegomość, iż mu zaraz w drugim roku nauki pierwszą nagrodę w Akademji rzymskiej przyznano, chociaż, dalibóg, nie brak tam artystów pierwszej wody; ale to już jegomości zasługa, żeś go tak przysposobił — dodał, skłaniając głowę przed starcem.

— Łaska Boża, łaska Boża nadewszystko — mówił Czechowicz. — Talent mu dał Pan Bóg. Te jego widoki Rzymu i Tivoli, te łaźnie Tytusa w Rzymie — przedziwne pono. Jen to szkoda, że się na obczyźnie zasiedzia! — boć i u nas, w starym Krakowie, a choćby i tu w Warszawie byłoby co malować i czem czy ucieszyć.

W tej chwili dzwonek kościelny wezwał wiernych na Mszę świętą. Powstał Czechowicz i, biorąc za rękę Łukasza:

— Chodź Łukaszu — rzekł wzruszony — pomódlmy się do Boga, niech zatrzyma Franciszka na obranej drodze i niech go oświeca.

I obadwaj starcy wyszli pomału z celi.

*

W kilka lat po śmierci Czechowicza, swojego pierwszego mistrza, zawitał do Warszawy Franciszek Smuglewicz, poprzedzony sławą, którą sobie zagranicą zdobył.

Niezupełnie jednak wszedł w ślady pierwszego mistrza swojego — bo obok obrazów religijnych malował też bardzo wiele scen mitologicznych, co w owych czasach wielce w modzie było i ogólnie się podobało.

Cóż, kiedy w obrazach Smuglewicza, tak pięknych i do-

skonałych w formie, brakuje szczerego uczucia lub ducha i życia.

I nic dziwnego. Ta moda naśladowania starożytnych wzorów niejednemu artyście zaszkodziła. Bo i pomyślcie! Czyż my, ludzie XX-go wieku, możemy tak żywo odczuć piękno świata starożytnego, żeby chcieć je ślepo naśladować? Nie odczuwał go Smuglewicz, jeno za modą poszedł, naśladował, zamiast w swojej duszy i uczuciach natchnienia szukać.

I tak — cokolwiek bądź odtwarzał — myślał o tem tylko, żeby to ładnie wyglądało, a nie o tem, czy to tak naprawdę w życiu bywa. Nawet suknie i płaszcze, chociaż wymalowane wybornie, tak się układają, że każdy pomyśleć musi:

— Chyba je tak czyjaś ręka ułożyła, bo sameby się tak nie poukładały.

A i ludzie Smuglewicza i jego święci! Oto w kościele karmelitów w Warszawie jest w jednym z ołtarzy obraz, przedstawiający św. Wawrzyńca. Męczennik stoi koło kraty żelaznej, do czerwoności rozpalonej, na której za chwilę żywot swój ma zakończyć. W takiej chwili jednak nie zapomniał męczennik Smuglewicza z gracją wygiąć dłoni, którą malowniczo ułożył na piersiach, z wdziękiem też pochyla pięknie ufryzowaną głowę.



SMUGLEWICZ FRANCISZEK
OBRAZ Z KOŚCIOŁA BAZYLIANÓW W WARSZAWIE

A szkoda! i wielka szkoda, bo obrazy Smuglewicza koloryt mają żywy i świeży — ugrupowanie ciekawe i zajmujące, czasem nawet i wyraz piękny i naturalny.

A teraz przenieśmy się wraz ze Smuglewiczem do Wilna i zobaczymy, co tam robi ten wielkiej pracowitości i umiejętności artysta.

Powołany na profesora malarstwa do ówczesnej Akademii Wileńskiej, ma mnóstwo uczniów, nad którymi sumiennie pracuje. Wychodzi z jego szkoły zdolny malarz Peszka i Oleśkiewicz. Pracuje z zamiłowaniem i powodzeniem, kto? Trudno by doprawdy odgadnąć. Oto wielki historyk i rewolucjonista polski, Joachim Lelewel.

Jest ich wielu, wielu, którzy przeszli szkołę wileńską Franciszka Smuglewicza.

A on sam? czy może znużony pracą nauczycielską przestał malować i tworzyć?

Bynajmniej.

Pracownia pełna obrazów rozmaitej treści. Są tu i obrazy religijne, i historyczne, i ulubione mitologiczne, różne sceny z życia Grecji i Rzymu, są nawet i krajobrazy, i widoki kraju, sceny rodzajowe.

Gdyby obliczyć wszystkie obrazy Smuglewicza, dorachowalibyśmy się do dwustu przeszło, a w tej liczbie są i wielkie, po kilka i kilkanaście figur naturalnej wielkości liczące. A co rysunków, szkiców, widoczków, tego już i obliczyć niepodobna.

Wszędzie po całej Polsce i Litwie rozproszone są prace tego zdolnego i pracowitego artysty, jednego z tych sumiennych budowniczych sztuki polskiej,

*

*

*

W ubogiem mieszkanku, w okolicy Starego Miasta, zmrok już zapada.

W kuchence słychać krzątanie się i szcęk ustawianych naczyń, a u okna, przez które wdziera się ostatnia poświata gasnącego dnia, siedzi młodziutki, może dwunastoletni chłopczyna, pilnie coś kreśląc i zapisując w rozłożonym zeszycie.

Już też i zmrok zapadł zupełny, a chłopiec, nie mogąc dojrzeć liter, wstał ze stołka i, zbliżywszy się do okna, z wysiłkiem coś jeszcze wyczytuje.

— Zygmysiu, litości nad sobą nie masz, dziecko — ozwał się łagodny głos niewieści.

Słowa, które wymawiała wchodząca właśnie w średnim wieku kobieta, brzmiały w jej ustach trochę twardo, znamienując cudzoziemskie pochodzenie.

— Ot, pobiegłbyś, pobawił się, powietrza użył trochę.

Chłopiec oderwał od zeszytu znużone oczy.

— Nie brońcie mi, mamó — odparł czystą polszczyzną. — Tutaj z wami i moją nauką najmiłsze mi wczasy. Nie brońcie mi — odparł przymilnie, obejmując matkę serdecznie. — Zobaczcie: jak się wyuczę wszystkiego, toż to raj będzie!

Uśmiechnęła się pani Vogłowa i pogłodziła bujną czuprynę syna.

— Jenó mi się nie zapracuj!

— Nie bójcie się... Ale dziś jeszcze do onego profesora, co mnie rysunków uczy, wpaść muszę.

— Jeszcze? Tak późno.

— Wnet wrócę, ale bo musi mi na jutro robotę zadać; a tak, cóżbym od rana robił? Wnet wrócę.

Chwycił czapeczkę i zbiegł ze stromych schodów.

Nie spodziewał się jednak Zygmus Vogel, iż dziś dłużej, niż zamierzał, zabawi na mieście; ledwie bowiem pokazał się na ulicy, ozwał się gwizd przeciągły i kilka cieni zamajaczyło w mroku wąskiej uliczki.

— Antek Ryś ze swoją bandą — mruknął Zygmus — i zrobił ruch, jakby się chciał cofnąć w głąb sieni; w tej samej jednak chwili wstrząsnął głową i ruszył naprzód.

Drugi przeciągły gwizd przeszył powietrze i wnet posypały się okrzyki, biegnące wślad za odchodzącym chłopcem.

— Niemiec! Szwab! Szwab! huź! huź! Szwab!

Zygmus zarumienił się, oczy mu błysnęły, ale się pohamował i szedł dalej równym krokiem. Wtem kamień, czyjąś ręką rzucony, świsnął mu koło uszu. Tego mu nadto było. Chło-

piec odwrócił się i z błyszczącymi oczyma przyskoczył do najbliższego napastnika.

— Czego ode mnie chcecie? Com wam winien?

— Szwab! Niemiec! — krzyżowały się urągliwe wykrzyki.

— Nie jestem Niemcem!...

— To co jesteś? Polak może? a jak się zwiesz? aha! patrzcie! Przez gardło mu jego szwabskie nazwisko nie przechodzi. No, jak się zwiesz?

— Ptaszek! — pisał jakiś głos z boku.

— Tak! Ptaszek! — wybuchnął Zygmus — zwę się Ptaszek — słyszyście! a kto mi jeszcze szwabstwem oczy wykłuwać będzie, to ja mu...

— Wiwat „Ptaszek“! — wrzasnęła naraz cała banda urwiszów, przechodząc od prześladowania do uwielbienia. — Wiwat Ptaszek! — grzmiało jeszcze długo po zacisznej uliczce, gdy bohater tego zajścia był już daleko.

Tymczasem pani Voglowa, ani spodziewając się, co spotkało jej jedynaka, krzątała się koło skromnej wieczerzy. Oj, nie przelewa się u nich, nie! Inaczej było, gdy żył mąż jej i w obowiązku u książąt Czartoryskich pozostawał, a i teraz, gdyby nie księstwo... Westchnęła wdowa.

— Ot, Bóg jeszcze łaskaw, że mi takie dobre dał dziecko: ale gdzie się też ten chłopak podziewa?

W tej chwili otworzyły się drzwi, i wpadł do izdebki rozpromieniony Zygmus.

— Matko! — wołał od proga — zgadnijcie, co mnie spotkało! Ooo! szczęście to dla mnie wielkie. — Wystaw sobie — ciągnie gorąco, klękając u kolan matki — zastałem tam, wicie, u nauczyciela mojego, inżyniera Dejbla. — Rozmawiał ze mną łaskawie, wypytywał i wicie, co mi zaproponował?

Tu Zygmus wstrzymał się, i cień smutku przemknął mu po twarzy.

— Jenoo... że dla was, matko... ale przecież nie może być inaczej... Oto chce mnie wziąć do siebie i uczyć geometrii, architektury, rysunku... Ooo! matko! nie mów nic, wiem, że przecierpisz, ale zato potem, potem...

— Dziecko, czyż ty się mało uczysz: i języki, i rysunek, i matematyka...

— Mało! mało! O matko, nie broń!

I poszedł Zygmunt między obcych, na trud i pracę. Od Dejbla dostał się do budowniczego królewskiego, który żadnego pracy chłopca dalej kształcił.

Tak przeszło lat kilka.

W królewskiej malarni pod kierunkiem Bacciarellego wre praca. Kilkunastu młodych uczniów pracuje pilnie, nie tak pilnie jednak, żeby nie słyszeć zegara, wybijającego koniec godzin pracy.

— Ah już! chwała Bogu! — wykrzykuje płowy blondynek, rzucając paletę i pendzle.

— Czekaj, czekaj na mnie! zaraz idę! — dodaje drugi, zestawiając ze stalug rozpoczęte studjum.

— Co za pogoda! — woła trzeci, wyglądając oknem — idę nad Wisłę!

— Ja z tobą!

— Lepiej ku Belwederowi!

— Na Mokotów!

Gwar się zrobił, sprzeczano się, śmiejąc i opuszczając pośpiesznie pracownię.

— Zygmunt, a ty? — zagadnął jeden z młodych, widząc współkolegę, który nie myśli przerywać pracy.

— Jeszcze zostanę. Chcę skończyć tę robotę.

— Ale chodź, chodź, robota nie zajac.

— Daj mu pokój! — woła już we drzwiach wesoły blondynek — to ciężka artylerja. — No, chłopcy, idziemy!

To mówiąc, wyskoczył do sieni, a za nim cała śmiejąca się gromadka. Vogel nasłuchiwał chwilę oddalających się wesołych głosów, a potem pochylił się znowu nad swoim rysunkiem. Zatopiony w pracy, nie słyszał szmeru otwieranych drzwi i szelestu zbliżających się kroków, nie widział, że ktoś stanął poza nim i długą chwilę spoglądał w milczeniu to na rysunek, to na pochyloną głowę chłopca.

— Cóż ty tu sam robisz, chłopcze? — zabrzmiał tuż poza nim głos łagodny i melodyjny.



VOGEL ZYGMUNT

KOŚCIÓŁ ŚW. TRÓJCY

Porwał się Vogel i kłaniał się zmieszany i zaczerwieniony. Przed nim stał król Stanisław August.

— Wszakże godziny pracy dawno upłynęły, czyś nie sły-
szał zegara? Może i to być — uśmiechnął się król — boś
i Naszego wejścia nie słyszał. Także cię ta praca zajmuje?
i tak ci miła?

Tu wypytał król Vogla o jego przeszłość i zamiary na przy-
szłość i zdziwił się, iż tyle o własnych siłach osiągnąć zdołał.

— Pilność jest w tobie chwalebna i niezwykczajna, a i uspo-
sobienie ponad wiek poważne, przeto dopomóc ci pragniemy
i pensję miesięczną ci naznaczymy. Jenó żebyś w pracy a do-
skonaleniu się nie ustawał.

I znów parę lat upłynęło.

Po zakątkach Polski wędruje młody rysownik z teką pod
pachą i jużto ołówkiem, jużto akwarelą odtwarza widoki rozmaite,
jak Krzeszowice, Tenczyn, Olkusz, Rabsztyn, Pieskową Skałę,
Ojców, Częstochowę, stare zamki, kościoły i pałace.

„Ptaszek“ — podpisywał też najchętniej swoje roboty, jako
potwierdzenie, iż, chociaż z rodziców Niemców — czuł się Polakiem.

I nie takie jeno świadectwo dawał, nietylko podpisem je stwierdzał, ale i krwią własną zaszczytnie pieczętował. Oto zamieniwszy pendzle i paletę na szablę i ostrogi, służbę w polskiej artylerji sprawuje pod księciem Józefem i pod Kościuszką.

Po upadku powstania, ze zranionem głęboko sercem, powraca do swojej artystycznej pracy i znów przebiega Polskę wszerek i wzdłuż, malując jej piękności, jak Puławy, Wilanów, Łańcut i wiele jeszcze innych.

A pośród tych widoków jest i szereg widoków starej Warszawy, którą nasz polski Canaletto odtworzył wiernie taką, jaką wówczas była. A nie łatwa to rzecz rysować architekturę i wszystkie w niej skrócenia. Wiedzą o tem wszyscy ci, co choć trochę rysować się uczą.

Pracowity i sumienny Vogel doszedł w tych rysunkach do doskonałości i zostawił nam nieocenione dokumenty, świadczące o wysokiej cywilizacji kraju naszego.

*

*

*

Prawda, jaka piękna polska twarz patrzy na nas z tego portretu? Oczy żywe, pogodny, miły uśmiech, a i te z fantazją wyrzuczone wyloty. Polska dusza wyziera z tej szlachetnej twarzy.

Polakiem też z krwi i kości, krakowianinem z pochodzenia i umiłowania był Michał Stachowicz, a w dziwnych zaiste i strasznych chwilach światła dnia ujrzał.

Oto drżą od wystrzałów stare, obronne mury Krakowa, mieszkańcy przerażeni uchodzą z domów, kryją się po zaułkach, kościołach i piwnicach. W jednej z tych piwnic matka

Polscy artyści



STACHOWICZ MICHAŁ
AUTOPORTRET

strwożona i półprzytomna tuli do piersi nowonarodzone dzieciątko.

— A oni tam!... oni tam!... — szepce zbieletemi wargami. Tak, oni, czterej starsi bracia maleńkiego przybysza, walczą w szeregach obrońców starego grodu.

Pod znakiem miłości i ofiary dla kraju przyszło na świat to dziecko.

Upłynęło lat kilkanaście. Chłopiec podrosta — dziwny jest, jakiś inny, niż rodzeństwo starsze. Słabo i zwolna rozwija mu się umysł, cichy jest, powolny i mało mówny.

— Tępy jest — orzekli rodzice — trzeba go chyba do rzemiosła sposobić.

Do jakiego jednak — niewiadomo, a chłopiec do niczego szczególniejszego upodobania nie zdradzał.

— Nygus jest! — mawiano też czasem, bo chłopiec zamiast czemś się zająć, lubił zbiegać na miasto, błąkać się pod starcami, nawpół zrujnowanymi murami starego Krakowa, z zadartą głową i rozwartymi ustami stawać przed odwiecznymi basztami i wodzić oczyma po ich smukłych lub przysiadłych kształtach. Uśmiechał się też do nich jak do dobrych przyjaciół i, sam nie wiedząc kiedy, zapłonął dziwną, fanatyczną miłością do tego miasta, pełnego pamiątek, do tych murów i wieżyc, wieńcem otaczających stary Kraków.

A wróciwszy do domu z tych wypraw, rysował; nieumiejętnie jeszcze, ale z zapałem wielkim i pewną wrodzoną zręcznością.

Ano, możeby chłopca i malować uczyć? bo coś do tego jednego pociąg ma i sprawność.

No i Michałek poszedł na naukę malarstwa, do którego przez lat kilka wytrwale się przykładał.

Zdarzyło się, iż przez Kraków przejeżdżał, sławny już wówczas Franciszek Smuglewicz, z Włoch wracający. Pokazano mu prace młodego chłopca.

Zdumiał się Smuglewicz, dowiedziawszy się, że chłopiec nigdzie zagranicą nie był i wogóle niewiele u bardzo porządnego malarza się uczył.



STACHOWICZ MICHAŁ

PRZYSIĘGA KOŚCIUSZKI

— Jedź ze mną do Warszawy — nalega gorąco Smuglewicz. — Szkoda twego talentu. Jedź! Tam los znajdziesz, pomoc, poparcie.

Ale Stachowicz patrzył na stare mury Krakowa, gdzie —

Marjacka wieża stoi,
Dla miasta strażnica,
Na jej widok myśl się korzy,
A dusza zachwyca...

— Jedź! przeszłość wielka przed tobą.

Z wieży Marjackiej płynie głos odwiecznego hejnału... Jak żyć bez tej piosenki, która od kolebki aż po wiek młodzińczy do snu go kołysała?

Nie, nie! nad skarby świata, nad złoto i wawrzyny, milszy mu ten gród stary, cichy, ta baśń odwieczna o minionej chwale.

I został; został, z miłością wielką obserwując życie Krakowa i okolice jego, tak, iż miał je już nie tylko w sercu i w duszy, ale i w oczach utrwalone głęboko.

Gorąco też przejmował się wypadkami z dziejów naszych. A oto obrazek, świadczący o jego umiłowaniach, przedstawiający „Przysięgę Kościuszki na Rynku krakowskim“. Brak wyrobienia artystycznego znać w tym drobnym obrazeczku, ale nie brak w nim życia i typów ciekawych, i całego tła, na którym się ta wielka scena odbywa. Rynek krakowski, taki, jak był wówczas, za kościuszkowskich czasów, staje przed nami jak żywy, a i ludzie ówczesni sportretowani: Kościuszko i generał Wodzicki i ks. Józef, cały tłum różnobarwny, przysadziste mieszczki, baby, zabawne dzieciaki.

I inne sceny z tych czasów malował Stachowicz, jak bitwę racławicką, wejście do Krakowa wojsk księcia Józefa Poniatowskiego.

Gdybyśmy około 1816—1817 mogli zajrzeć do jednego z pałaców krakowskich, zobaczylibyśmy tam niezwykle ruch i krętaninę.

Oto biskup-poeta Woronicz odnawia pałac, a ściany, wzorem starowłoskim, malowidłami pokryć każe.

W jednej z sal pracuje właśnie wezwany malarz. Zarzucawszy wyloty kontusza, pracuje usilnie, oczy goreją mu zapaleń, rumienia się policzki od wysiłku myśli twórczej. A przed nim na ścianach sal wyrastają kolejno obrazy z historii polskiej, portrety, a nadewszystko ciekawe obrazy z życia ludu krakowskiego, jego obrzędy i zwyczaje.

Oto tu „Targ zbożowy na Kleparzu“, „Spław wiślany na Kazimierzu“... Hej! „Sobótka!“ — ognie płoną, młodzież się bawi, skacze tradycyjny konik zwierzyniecki, strzelcy krakowscy święcą swoją uroczystość, a dalej kopalnie wielickie i swoszowickie; całe życie bogatej ziemi krakowskiej, bogatej, wesołej, przepięknej odtwarza Stachowicz na ścianach pałacu. Rozkosz to dla niego nad rozkosze, bo wszystkie swoje umiłowania może przelewać w dzieła sztuki, i nic nie jest dla niego mniej ważne, mniej potrzebne, każdy drobiazg odrobiony z sumiennością wielką, bo on to wszystko od wieży Marjackiej do najdrobniejszego złomka starego muru obejmuje jedną, wielką, gorącą miłością.

Skromny, cichy malarz z Grodzkiej ulicy był ostatnim od twórcą starego Krakowa.

* * *

Na dworze księcia generała Czartoryskiego w Puławach snuje się ludzi coniemiarą. Pośród liczego dworu zwraca uwagę mały chłopiec o odmiennym jakimś, cudzoziemskim typie. Czarne, skośne trochę oczy, załamane brwi, duży, zgarbiony lekko nos i śniadawa cera odbijają wyraźnie od lnianowłosych i błękitnookich mieszkańców Polski. Przytem chłopiec źle mówi po polsku, chociaż co dnia prawie wybitne w tym kierunku robi postępy. Wielka inteligencja wyziera z bystrzych, czarnych oczu chłopca.

— Turek! Turek! — wołają na niego nieraz towarzysze zabaw.

I nie bez racji. Mały Janek Rustem urodził się w Konstantynopolu i dziś sam jeszcze nie wie, czy jest Turkiem, czy Polakiem. Niedarmo jednak chowa się w patryjotycznym domu

ks. Czartoryskich, prędko też zapomniał o rodzinnem mieście, a przywiązał się do nowej ojczyzny. Jeno czasem w mglistych wspomnieniach strzelają w niebo wysmukłe minarety, błyskają złote półksiężyce, czasem jeno widzi rozśłonecznione wody Bosforu.

Szły lata, i nie miał powodu żałować ks. Czartoryski, iż małego Turka do kraju przywiózł i Polaka zeń zrobił. Zdolny, bystry chłopiec postępy robi znakomite. Chwałą go profesoro-
wie Norblin i Bacciarelli.

A oto właśnie w pracowni swej malarskiej w Wilnie przyjmuje Rustem grono znawców i amatorów. Przechodzą od pracy do pracy, chwając lekkość rysunku i przejrzystość kolorytu w zgromadzonych licznie portretach.

— Ooo! ależ to ponad wszystko! — zakrzyknął jeden ze zwiedzających, stając przed obrazkiem, skromnie umieszczonym na boku. — Spójrzycie, waszmościowie, co za światło! Zdaje się, jakby istotnie ognie tu rozpalono.

Zbiegli się widzowie.

Obrazek przedstawiał krajobraz nocny i grupy ludzi, oświetlonych blaskiem rozpalonego ogniska.

— Majster z waszeci, majster — dodaje drugi z oglądających, uderzając artystę po ramieniu. — A nie masz tam co więcej w tym rodzaju?

Znalazły się i głowy oświetlone blaskiem świecy, i widoczki w świetle latarni, wszystko ze szczególniejszem odczuciem oddane.

Dziękował Rustem miłym, uprzejmym uśmiechem i z tymże uśmiechem życzliwości zwracał

się do uczniów swoich w Wileńskiej Akademji.

Znały ulice i zaułki Wilna czerwoną krymkę, którą, modą



RUSTEM JAN
MINJATURA KOŚCIUSZKI

turecką, zwykł był nakrywać głowę, znały ją i poddasza, i ubogie izdebki, po których gnieździli się młodzi malarze, a do których śpieszył, nigdy nie strudzony, Rustem z zachętą, życzliwą radą lub pomocą.

Sam zaś celował w malowaniu portretów, których bardzo wiele wykonał. Malował też czasem obrazy historyczne i religijne, a także minjatury bardzo piękne. Między innemi wykonał wyborny, minjaturowy portrecik Kościuszki.

Do końca życia pełen humoru i fantazji, ołówka i pendzla z rąk nie wypuszczał, a nie mogąc już większych dzieł tworzyć, zajmował się komponowaniem fantazyjnych kart do gry, pełnych ciekawych pomysłów.

* * *

W szkole artylerji i inżynierji za czasów Księstwa Warszawskiego wisiały trzy portrety niepośledniego pendzla.

Jeden — to Napoleon, z podpisem: „Dał nam ojczyznę, uczmy jej bronić“. Drugi — księcia warszawskiego w polskim mundurze i z napisem: „Fryderyk August, król saski, pierwszy książę warszawski, potwierdził i uposażył tę szkołę“. Trzeci — portret ks. Józefa Poniatowskiego z mapą księstwa w ręku, a pod portretem te wyrazy: „Pierwszemu założycielowi swemu, wdzięczna szkoła“.

Historja wielkiej chwili dziejów naszych, utrwalona ręką owego niepohamowanego szalały, owego niespokojnego ducha pracowni Bacciarellego.

A oto i on sam, Kazimierz Wojniakowski, patrzy na nas z portretu własnego, patrzy z lekkim uśmiechem z ponad wysokich kołnierzyków i halsztuka. To Wojniakowski z lat późniejszych, ale przypatrzmy się też, co to za sztukę pokazał nam, mając zaledwie lat dziewiętnaście.

Oto obrazek z mnóstwem postaci; rozpoznajemy z pośród nich uderzająco podobne głowy: Małachowskiego, Branickiego, Sapiehy, Bacciarellego i wiele innych.

Cóż to być może? co to za zgromadzenie niezwykle? A oto — sesja sejmu czteroletniego z dnia 3 maja 1791 r.

Niezwykła chwila, ale i obraz niezwykły. Oto na ławach tłoczą się posłowie i widzowie, życie wre i kipi w tym ruchliwym tłumie.

I rósł w sławę i znaczenie utalentowany malarz; niezrównane są jego portrety Kościuszki i Stanisława Augusta.

Rósł, wznosił się i spadał zarazem.

Niepoprawny „hulaj-dusza“, topi swój talent w zabawach i winie. Zabija duszę i niszczy ciało.

I oto przyszedł jakiś mroźny dzień styczniowy. W progu sklepu z trunkami stanął zziębnięty przechodzień.

— Wina! — zażądał.

Podano mu szklanke wina. Znały już tego straceńca wszystkie staromiejskie austerje. Chwycił gorączkowo szklanke, wychylił duszkiem i zwałił się z nóg, aby więcej nie powstać.

Wypalił się, zmarniał zbyt prędko dla polskiej sztuki.

ALEKSANDER ORŁOWSKI.

1777—1832

Nasz malarz Orłowski,

Przerwała Telimena, miał gust soplicowski.

(Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,

Że im oprócz ojczyzny, nic się nie podoba).

Orłowski, który życie strawił w Peterburku,

Sławny malarz (mam jego kilka szkiców w biurku),

Mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w raju:

A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił do kraju!

Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,

Wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy.

Mickiewicz „Pan Tadeusz“.

W skromnej prowincjonalnej oberży ruch i gwar panuje niezwykły. Zamiatają i wietrzą gościnne pokoje, uprzątają dziedziniec i podjazd. Gospodarz oberżysta kręci się jak w ukropie, zagląda to tu, to tam, łajac i nagląc do pośpiechu. Oto stoi na środku najparadniejszej izby, którą dziewczyna słuzebna omiata z kurzu i pajęczyny.

— Skaranie Boże! — mruczy pan oberżysta, wodząc oczyma po ścianach izby — tego już się ani zetrzeć, ani zabielić nie zdąży; skaranie Boże z tym wisusem!

A ze ścian, pieca, pułapu nawet, patrzą na zafrasowanego pana oberżystę postacie rozmaite, szeroko i śmiało węglem szkicowane. Śmieją się, płaczą, drwią, hasają na ognistych rumakach, wloką się na wychudłych szkapach.

— Skaranie boskie, nie na starczyć mu ścian i węgla. Maryśka, weź ino szmaty i chociaż z pieca zetrzyj te gryzmoły.

Nie zdążyła jednak Maryśka wziąć ścierki do ręki, gdy dało się słyszeć trzaskanie z bicia; szereg pojazdów świetnych, zaprzężonych w pyszne konie, zatrzymał się przed gospodą. Wysiadają księstwo wraz ze swoją świtą — a w progu wita ich, zgięty we dwoje i zakłopotany, pan oberżysta. Bąka coś nieśmiało, z czegoś się tłumaczy i przeprasza, wskazując drzwi świeżo uprzątniętej gościnnej izby. Nie upłynął kwadrans, gdy wezwano gospodarza, by się stawił przed księstwem.

— Kto to rysował? — pyta księżna wchodzącego nieśmiało oberżystę.

— Masz djable kaftan! — myśli zakłopotany gospodarz — syn mój, wasza miłość... — jąka z pokornym ukłonem — wisus, do niczego, księstwo raczą wybaczyć... nie zdążyliśmy pościerać...

— A niechże Bóg broni! — przerywa żywo księżna — a tożby była szkoda niepowetowana.

— Księżna raczy żartować, nie zdążyliśmy...

— Słuchajcie, panie gospodarzu — przerywa ksiązę —



ORŁOWSKI ALEKSANDER
AUTOPORTRET

gdzie jest ten chłopiec, co to wszystko rysował? Radzibyśmy go zobaczyć... To dziecko — dodaje z naciskiem — szczerze Bóg obdarzył, uczyć je należy. Sprowadź mi je!...

Za chwilę wyciągnięto z kąta dwunastoletniego malca, który ze swej kryjówki pilnie śledził i notował w pamięci nowe postacie i twarze, obiecując sobie solennie zarysować niemi jeszcze jedną ścianę. Stawiono go przed księżną. I oto jedna szczęśliwa chwila zdecydowała o losie małego malarza.

Księżna bierze w opiekę utalentowane dziecko, zapewniając zdumionego oberżystę, że „gryzmoły“ malca więcej są warte, niż cztery oberże.

Gdzie się to działo? Czy to nie historia jakiegoś włoskiego mistrza z czasów „odrodzenia“? Czy może którego z Holendrów lub wielkich malarzy hiszpańskich? Coś jakby z dziejów artystycznej Florencji i Rzymu, z przedmieść Wenecji lub Antwerpji? — Bynajmniej, nie potrzebujemy tak daleko szukać kolebki wielkiego artysty, bo stała ona o kilkanaście mil od Warszawy, w ubogiej gospodzie małego podlaskiego miasteczka — Siedlec, gdzie, prócz natury, nic podniecającego wyobraźnię nie mógł oglądać chłopiec-artysta. Ojcem jego nie był ani wielki artysta, ani pan możny, ani kupiec bogaty, gromadzący pod swoim dachem dzieła wielkiej sztuki. I talent jego wyrósł, jak kwiat polny, ze swojskiego gruntu czerpiąc soki.

A któż byli owi, co dostrzegli ów kwiat i ustrzegli od zagłady? I ci wyszli z naszego narodu, jedni z dobrych jego dzieci, księstwo Czartoryscy, którym los pozwolił ocalić dla kraju jedną więcej niezwykłą jednostkę, w osobie Aleksandra Orłowskiego.

Działo się to w końcu XVIII w., gdy kraj upadł i gasł, jako całość polityczna, ale żył pełnią sił swoich moralnych i umysłowych. Na szczęśliwą chwilę trafił mały artysta. Zaopiekowano się nim i oddano na naukę do znakomitego ówczesnego malarza, Francuza z pochodzenia — Norblina. Mały Oleś poczuł się w swoim żywiole, nikt mu nie dawał po karku, nikt go nie łąjał za niczem niepohamowany zapał do odtwarzania widzianego. Pracował i niebawem niezwykle poczynił postępy.

Niespokojna i rogała dusza mieszkała jednak w młodym

Orłowskim. Zaledwie rozpały się pierwsze ognie powstania kościuszkowskiego, gdy szesnastoletni zaledwie wyrostek rzuca pendzel i ołówki i rusza na pole walki. Niebawem raniony ciężko opuszcza wojsko, a następnie wyleczony wraca do Warszawy, zamierzając odszukać swego mistrza.

Próżno jednak, stęskniony do ulubionego ucznia, Norblin oczekuje powrotu młodocianego wojaka. Orłowski przepadł i tylko chodzą wieści, że gdzieś go widziano w okolicy Warszawy. Poszukują go koledzy, poszukuje sam stary Norblin i odnajduje wreszcie zagospodarowanego na dobre w jakiejś podmiejskiej oberży, gdzie w wesołej kompani czas spędza.

Wraca do pracy niesforny młodzieniaszek i znów parę lat upływa spokojnie. Trzeba nieszczęścia, Orłowski pogniewał się ze swoim mistrzem, pogniewał się i przepadł jak kamień w wodzie.

W tym czasie w Warszawie rozgościł się cyrk wędrowny, wesołe towarzystwo skoczków i hecarzy, włóczęgów i obieżyświatów. Warczą bębny, ogłaszające nowe widowisko, pstrzą się jaskrawe ubiory, a między bezmyślnymi twarzami hecarzy i kłownów dziwnie odbija wyrazista twarz młodzieńca o wybitnych rysach i inteligentnych, żywych oczach. Otacza go paru młodych ludzi, również rażąco odbijających od cyrkowego otoczenia.

— Wracaj do nas! — nalega jeden z przybyłych.

— Przed tobą sława i zaszczyty! — dorzuca drugi.

Młodzieniec stoi chmurny i wahający.

— Zarzekłem się — odzywa się wreszcie — Norblin mnie obraził, nie chcę go znać, wolę tych tu! — dodaje, wskazując grupkę linoskoczków i błaznów.

— Nie wolisz i wrócisz; stary tęskni do ciebie, świat ci sławę gotuje.

Wahanie odbija się na wyrazistej twarzy młodzieńca, pierwszy krok zrobiony. Po paru tygodniach uszczęśliwiony Norblin wita z radością powracającego pod jego skrzydła zbiega. Jako cenna pamiątka pobytu w budzie cyrkowców, powstała akwarela, roboty Orłowskiego, przedstawiająca jego samego

konno, z bębniem przed sobą, ogłaszającego nową hecę w cyrku Chiariniego.

Orłowski wyrasta już z młodzieńca i ucznia, talent jego dojrzewa, umiejętność wzrasta szybko. Szkice jego, wyborne karykatury, pysznie rysowane konie i wojskowi, zaczynają być znane w mieście, docierają aż do zamku i do pałacyku „pod Blachą“, zajmowanego przez księcia Józefa Poniatowskiego.

Księżę wzywa do siebie młodego malarza.

— Dukata dziennie i konia wierzchowego — proponuje księżę.

A zato ma Orłowski codzień wieczorem stawiać się „pod Blachę“ i zabawiać zebrane towarzystwo rysowaniem karykatur i portretów osób obecnych lub powszechnie znanych.

Zgadza się na ten układ młody artysta. Wszakże cały dzień do niego należy i może go swojej pracy poświęcić, a wieczory w wesołym gronie, przy boku ubóstwianego księcia, nie są bynajmniej ciężarem dla pełnego werwy i humoru artysty. Sypią się tedy szkice za szkicami, akwarele, rysunki węglem, ołówkiem, piórem i kredą, sceny z życia ludu, postacie znane, widoki, konie. Rozchwytyują je możni, płacąc suto i zachwycając się życiem i swobodą, tryskającą ze wszystkich prac Orłowskiego.

Księżna Czartoryska miała rękę szczęśliwą.

Kto wie, czy nie z tych wspomnień o owych wieczorach „pod Blachą“ powstał jeden z większych obrazów olejnych Orłowskiego — „Księżę Józef pod Lipskiem“, przedstawiający księcia, rzucającego się z koniem w fale Elstery.

Parę lat upłynęło. Niespokojna natura Orłowskiego potrzebuje zmiany. Opuszcza Warszawę i przez Gdańsk morzem udaje się do Petersburga.

Pojechał i został, z wielką stratą dla naszej sztuki, bo chociaż nigdy nie przestał pracować, jednak życie jego, przeniesione na obcy grunt, odbiło się w jego pracach, w obieranych tematach. Jużto mamy typy ludu rosyjskiego, jużto trójki zamaszyste z grubym na koźle woźnicą. Jużto sanne na Newie, postacie aresztantów, wyborne w ruchach i wyrazie zbiedzonych twarzy o wybitnym typie obcym.

Polecony wielkiemu księciu Konstantemu i popierany przez niego, wiedzie życie wygodne, zadowolając nie tylko potrzeby swoje, ale nawet oryginalne, jak zawsze u Orłowskiego, zachcianki.

Nieznający jego gustów, wchodząc do pracowni artysty, próżno szukali go oczyma. Ze zdziwieniem dowiadują się, że witający ich w malowniczym stroju Pers, w wysokiej czapie, lub Czerkies w pełnym uzbrojeniu jest to właśnie sam Orłowski.

Pozostał nawet jego autoportret w takim właśnie czerkieskim stroju.

Czerkiesów też z największym zamiłowaniem malował i rysował.

Pracownia jego, wspianiale urządzona, była zarazem całym muzeum, pełnym przepysznej broni, zbroi, obrazów i książek. Przyjmował w niej też dygnitarzy wszelkiej narodowości, do każdego w jego rodzinnym zwracając się języku.

Obok tego pięknego i strojnego, jak królewicz z bajki, gospodarza, kręciła się, jak zmyślny piesek, biała papuga (kakadu), z którą i on wzajemnie miał co moment coś do czynienia.

Jako ulubieniec wielkiego księcia Konstantego, wiele prac malarskich dla niego wykonał i, co zadziwiające, nie obawiał się tego przerażającego satrapy. Oto, co opisuje przyjaciel jego i biograf, lekarz wileński — Morawski:

„Raz, nie wiem za co — łaska pańska na pstrym koniu jeździ — rozgniewał się na niego w. książę po swojemu i za-



ORŁOWSKI ALEKSANDER

FORNAL

pomniął się do tego stopnia, że, ścisnąwszy kułaki, skoczył do Orłowskiego, mówiąc:

— Czy wiesz, co ja z tobą zrobię?

Orłowski bynajmniej nie strwożony, wyprężywszy się i wyrósłszy jeszcze od tego na kilka cali, z najzimniejszą krwią odrzekł:

— A czy wie Wasza Książęca Mość, co ja z nim zrobię?

W. książę, który się nigdy z podobną odpowiedzią spotkać nie spodziewał, odskoczył od niego na kilka kroków. Orłowski z flegmą kończył dalej:

— Ja odmaluję Waszą Książęcą Mość takim, jakim go teraz widzę...

W. książę pojął natychmiast, mimo całego swego zapędu, jakaby to ogromna była zemsta, rozśmiał się, przeprosił, uściśkał Orłowskiego, i od tego momentu najlepsza znowu nastąpiła zgoda“.

Istotnie, miał się czego obawiać wielki książę. Orłowski celował w chwytaniu charakterystycznych rysów twarzy i wyrazów. A można sobie wyobrazić, co byłby zrobił z potwornej z natury twarzy ks. Konstantego, którą dojrzał zniekształconą wyrazem gniewu.

Nie byłoby to dla Orłowskiego żadną trudnością, doszedł bowiem do takiej umiejętności, że rysunek stał mu się jakby drugą mową. Śmiejąc się, rozmawiając, żartując, rzucał na papier z szaloną szybkością wyborne swoje szkice. Rysował tak, jak ptak śpiewa, dla przyjemności i potrzeby wewnętrznej. Nie było chwili, któraby mu była po temu niesposobna.

Znano tę jego namiętność i korzystano z niej nierzadko. Nieraz, gdy Orłowski przychodził gdzieś w odwiedziny, znajdował na stole kartki papieru i ołówki, jakby odniechcenia rzucone.

Po pewnej chwili machinalnie brał ołówek i, rozmawiając, rysował, pozostawiając jako pamiątkę swojej wizyty owe niezrównane szkice. Czasami rozpoczynał szkic nie od głowy, ale od ręki, nogi, kawałka ubrania, wszystko mu było jedno, od jakiego miejsca, a zawsze doprowadził go wybornie do końca.

Czasem nie podoba mu się ołówek, albo mu go umyśl-

nie nie podano, chcąc go zmusić podstępnie do innego sposobu rysowania.

— A nie macie tam gdzie ołówka? — pyta Orłowski.

— Jak na licho, niema.

— Ah, jacyż wy partacze, nie mieć ołówka! Kaźcież choć świecę łożową podać; choć to mieć przecież musicie!

Podają świecę. Natychmiast knot jej staje się czarną farbą, łój służy do półcieniów, palec jego wielki staje się tuszemblem, zwinięty i przypalony kawałek bibuły — ołówkiem — i warsztat gotowy!

Jak już raz zaczął, wielu was jest, choćby stu było, gadajcie tylko a poddawajcie materję. Każdemu z was w dwie minuty zrobi po arcydziele.

Gorączkowa ta, bezustanna praca, przejścia rodzinne, a i życie niespokojne, ruchliwe, pełne pracy i zabaw, poderwały zdrowie Orłowskiego. Liczył wówczas zaledwie 53 lata, a silna, Herkulesowa budowa zdawała się wróżyć długie jeszcze życie.

Inaczej jednak stać się miało.

Przyjaciół Morawski, powróciwszy z podróży do Petersburga, otrzymał rozpaczliwy list Orłowskiego. Natychmiast pojechał do niego. Artysta ze łzami rzucił mu się na szyję.

— Ratuj! — wołał — przyjacielu, ratuj mnie! Czuję — dodał, uderzając się w piersi — że to wszystko stąd idzie!

Zrzucił ubranie, i oto, co pisze szczerzy przyjaciel.

„Chociażem się uśmiechał i wesołym starałem pokazać, łzy mi w oczach stanęły, jakem tylko spojrzał na jego piersi! Skakały one jakby pod młotem kowalskim!

Bystry był jak licho! Spostrzegł złą wróżbę na mojej nieszczęśliwej, nie nie tającej twarzy.



ORŁOWSKI ALEKSANDER
SZKIC HUMORYSTYCZNY

— A więc niema już ratunku?

— Uspokój się! Jest ratunek. Ale cierpliwości trzeba, a ty taki gorączka! Nie odrazu Kraków zbudowany! Pokaż mi, jak ciebie leczą? Będziesz zdrow, tylko trzeba czasu.

— O, ja czytam w twoich oczach, ja wiem, co to jest. Widzę, że już umarły! Nie przyciskaj mnie do siebie, odejdz ode mnie, bo przyciskasz trupa!...

A potem w parę sekund ochłonął. Zaczął wkładać powoli na siebie ubranie i bieliznę. Zaśmiał się głośno, dobrodusznie i powiedział:

— *Eh bien! soit!* Marsz, panie Aleksandrze. Marsz! woła na mnie ta stara wiedźma, ta śmierć koszczawa, którą ci zaraz odrysuję, jak na mnie ostrzy pazurki.

I, nawpół ubrany, począł rysować kościotrupa, mocującego się z olbrzymem.

— No, to i pójdź — mówił, rysując — zobaczymy, kto się kogo złąknie — i po chwili:

— Ale patrz, mój Morawski, jaka to jeszcze żyłasta, muskularna ręka! O, ja dziś jeszcze, jak konający Napoleon, powiedzieć o sobie mogę: *Oui, c'est encore moi!*"

I rozpoczęło się badanie. Okazało się, iż Orłowski, niegdyś, przed laty, spadł z wysoka na plecy. Potem zmartwienia, gwałtowne przełknięcie przy ratowaniu własnych dzieci od rzucającej się na nie rozsrożonej krowy. Choroba się rozwijała, rozszerzone serce groziło katastrofą.

„Od chwili, kiedy go za powrotem z Rosji zobaczył — pisze znów Morawski — Orłowski tlał tylko i dogorywał powoli, zawsze od wiernej swojej i ukochanej karesowany papugi. Jeszcze rok jakiś, nim się budowa jego z lekarstwami oswoiła, niby trochę odżył, ale złe górę brało i brało. Wkrótce nowe przybyły kłopoty. Odebrano mu mieszkanie, stracił po śmierci w. ks. Konstantego pensję; musiał się zatem z całym ogromnym swoim muzeum przenieść za miasto. Znosił jednak wszystkie pociski losu jak prawdziwy filozof, nigdy nie sarknął, zawsze był w pogodzie.

Jeszcze mam u siebie szkic jego, na dwa dni przed śmier-

cią na poduszce słabą już ręką zrobiony, w którym narysował szlachcica, kłócącego się z żydem o pieniądze za karczmę“.

I tak do ostatniej chwili, do ostatniego technienia tworzył. Tworzył te swoje niezrównane szkice, jakich niewiele znalazłoby się podobnych w malarstwie polskim, szkice znane nie tylko w Warszawie i Petersburgu, ale i rozchwytywane przez cudzoziemców, wiele bowiem prac Orłowskiego znajduje się w Anglii.

I zmogła „śmierć koszczawa“ to Herkulesowe, niepożyte, zdawało się, ciało, zgasła przedwcześnie niezwykle talent.

* * *

W pałacu ks. Radziwiłłowej w Nieborowie praca wre i kipi. Księżna chce mieć pałac przyozdobiony freskami. Zjechał więc Norblin, wezwany z Warszawy do tej roboty. Sam stary majster pracuje usilnie, nienajgorzej też nagania swoich uczniów ulubionych, których sobie do pomocy przywiozł.

Spokojny i łagodny Norblin niejedno ma z nimi utrapienie. Wichrowaty Orłowski jenoby konie zamasyżuje rysował, kapryśnemu Rustemowi nie wszystko się podoba, co mu do roboty dadzą, ale jest ktoś, co staremu jeno w oczy patrzy i myśli zgaduje. Chłopczyzna to młodziuchny, ledwo czternaścieletni.

— Michałek! — wołają na niego starsi koledzy. — Dzieciuch! — podrwiwają nierzadko.

Ale Michałek Płoński nie uraża się, uśmiecha się pogodnie i swoje robi.

Wkrótce też „Dzieciuch“ miał pokazać, co umie!

Gdy wieczorami zebrało się malarskie grono na pogawędkę i fajeczkę, znajdowały się, jakby cudem, na stole kartki papieru i ołówki, które zresztą natychmiast brał w arendę Orłowski i, gadając, żartując, szkicował niestworzone rzeczy. Nie było ołówka — brał Płoński pióro, inkaust stał w kałamarzu. Ręka chodziła mu dziwnie sprawnie i lekko, i kartka po kartce pokrywała się rysunkami.

— Michałek, pokaż, coś nagryzmolił! — wołano wokoło i wnet fruwały kartki z rąk do rąk.

— Przepyszne! cudowne! No, dałże mu! — rozlegało się wokoło a wtórowały tym wyrazom wybuchy szczerego śmiechu.

A chłopaczek siedział zarumieniony i uśmiechał się nawpół wesoło, nawpół smutno.

Setki humorystycznych rysunków Płońskiego pozostały jako wspomnienie owych wieczorów nieborowskich.

Upłynęły lata.

Drogą od Paryża ku wschodowi idzie wędrowiec młody. Nie idzie, ale wlecze się z trudem wielkim, objuczony ciężkim



PŁOŃSKI MICHAŁ

TYP

pakunkiem, który ugniata mu nieźnośnie plecy i przygina ku ziemi wątłe, szczupłe ramiona. Idzie tak już dzień drugi. Co jakiś czas podnosi wymizerowaną twarz i tęsknym wzrokiem spogląda ku wschodowi. A twarz to dziwnie miła i mówiąca, o drobnych, zaciśniętych wyrazem bólu ustach, i dużych, smutnych oczach. Coraz leniwiej niosą go zmęczone nogi, ustaje co chwila, wreszcie ustał zupełnie i z westchnieniem ciężkiem przysiadł u brzegu drogi.

— Nie dojdę... nie zdołam... — szepce do siebie, ocierając pot z czoła.

Więc wrócić do Paryża?

— Nigdy! — zawołał głośno prawie — nigdy!

— Warszawo, Warszawo! — szepce, wyciągając ręce ku wschodowi — jakżeś ty daleko!

Zrzucił ciężar z pleców i wnet raźniej mu się zrobiło.

— Oj, żeby tak iść lekko, doszedłbym, tak, doszedłbym na pewno.

Zamyślił się, coś kombinował, rozważał, wreszcie, zarzućwszy znów ciężar na plecy, ciężkim, ociągającym się krokiem ruszył z powrotem.

Po dwudniowej wędrówce zamajaczyły mu zdala mury wielkiego miasta, znać też było jego bliskość, jechały karoce i dylżanse, mijali się piesi przechodnie.

— Płoński! jakto, ty tu? — ozwał się zdziwiony głos, gdy objuczony wędrowiec przebiegał z gorączkowym niepokojem ciasne uliczki starego Paryża. — Myślałem, że gdzieś heł, przez Niemcy wędrujesz. Więc wróciłeś? Stary Paryż ciągnie, co? — i wesoły Francuz uderzył po ramieniu naszego wędrowca. — Więc zostajesz, co?

— Ani jednego dnia! — żachnął się Płoński — musiałem wrócić, bo z tym ciężarem nie dojdę. Zlituj się — ciągnie gorączkowo — dopomóż zbyć te blachy, które mi ciążyą nieznośnie. Za byle co! za byle co! aby prędeż... dziś... zaraz...

— Powoli, powoli, zaczekaj. Jakto? chcesz się pozbyć tych cudnych swoich prac? Jakto? te nadzwyczajne roboty, te obrazy rytowane jakby ręką czarodzieja? Nie, Płoński, oszalałeś.

— Jeszcze nie — podjął chmurno Płoński — ale oszaleję, jeżeli tu dłużej zostanę. Ginę z tęsknoty za nią, schnę, umieram... Więc prędeż, prędeż! pierwszy lepszy przekupień.

I ruszył dalej wąskimi uliczkami, upatrując pilnie szyldu przekupnia rzeczy artystycznych.

Kolega dążył za nim wzburzony i poruszony, mrużąc gniewnie:

— Oszalał!... takie cuda... jakto? Drugi polski Chodowiecki... Ileby to z tych blach można rycin odbić!...

Dobiegli wreszcie celu. Płoński gorączkowo wyrzucił na stół kilka blach miedzianych, na których widniały wyryte delikatnie wizerunki, portrety, głowy, kopje obrazów Rembrandta, krajobrazy cudne, tajemnicze, poetyczne. Oglądał je pod światło przebiegły kupiec, targował się, do oczu mu skakał oburzony kolega, a Płoński jeno przynaglał i cenę obniżał, aż targ w targ poszło wszystko za nędzne ośm franków, które Płoński roztargniony pośpiesznie wtłoczył do kieszeni i wybiegł na ulicę.

— Twoje Rembrandty, twoje Rembrandty! — biada niepokieszony kolega.

— Do widzenia! — rzucił Płoński, wyciągając rękę.

— Jakto? przenocuj chociaż, odpocznij.

— Nie, nie! ani chwili dłużej, żegnaj mi, żegnaj!

I rzucił się nerwowo w pierwszą boczną uliczkę, wiodącą ku krańcom miasta.

I znów upłynęło lat kilka.

W domu obłąkanych w Warszawie dogorywa dwudziesto-ośmioletni Michał Płoński.

W schorowanym umyśle snują się wizje zagranicy: Amsterdam, w którym, studjując ulubionego Rembrandta, długie lata spędził, morskie pobraża Danji, Kopenhaga i Paryż, ten cały świat cudzoziemski, który dał mu imię, ale duszę zabił i przeżarł tęsknotą.

* * *

A czasy się zmieniały. Kraj politycznie upadał, znikł pełen wykwintu dwór Stanisława Augusta i on sam, z władzy wyzuty, od kraju oddalony, już przestał być możliwym, wykwintnym protektorem i przyjacielem każdego talentu. Rozproszyli się jego protegowani, rozbiegli, jak ptactwo wędrowne, cudzoziemcy dwór jego zapelniający, ale jednak to, czego zdołały dokonać rządy tego króla-artysty, pozostało, żyło i rozwijało się dalej ku chwale naszego narodu.

Uczniowie szkół malarskich, uczniowie wielkich cudzoziemców rozniesli po całym obszarze Polski umiłowanie sztuki malarskiej.

I oto jest ich długi szereg o czysto polskich nazwiskach. Taki Maciej Topolski, malarz portrecista. Oto roboty jego portret hr. Sierakowskiego. Jak żywe patrzą czarne oczy, krew zdaje się krążyć pod skórą. Nie powstydziliby się tej pracy stary majster Bacciarelli.

Oto dwóch Brodowskich, z których młodszy, Antoni, o pięknej, miłej twarzy. Widzimy ją na portrecie, tak wyraźnie określającym epokę. Wysokie kołnierzyki, grubo owinięta koło szyi chustka, pięknie ufryzowane włosy, spadające zwiniętym łokiem na czoło. Twarz to piękna, wyrazista, choć ma jeszcze w sobie cały wdzięk młodości. A wykonanie — wykończenie mi-

strzowskie! Wykończenia zresztą nie boi się Brodowski. Niedarmo w Paryżu uczył się malowania minjatur, tak bardzo w owym czasie będących w modzie.

Czyż mogła piękna pani obejść się bez swojej minjatury? Minjatury zawieszano nad kominkiem buduarów, obdarzano się nimi wzajemnie, noszono je w medaljonach, bransoletach, na tabakierkach i... na sercu. Portretowano w nich damy-boginie, ich dzieci i ich pieski. Minjaturzyści byli w modzie.

Brodowski jednak prędko sprzykrzył sobie ten rodzaj roboty i przerzucił się do malowania obrazów, portretów i do nauczycielstwa.

Ubóstwiany był przez uczniów, których, jako profesor na wydziale sztuki w uniwersytecie warszawskim, miał okazałą gromadkę.

Poza tą pracą nauczycielską widzimy Brodowskiego obcującego z najznakomitszymi osobistościami Królestwa Kongresowego. Jest „ich malarzem“ i pozostawił ciekawy i piękny zbiór portretów współczesnych, malowanych olejno.

Przewinął się przez pracownię Brodowskiego ogromny szereg znakomitości owego czasu, jak Józef Sułkowski — adiutant Napoleona, hr. Mostowski, ks. Józef Poniatowski, ks. Radziwiłł, biskup Krasiński, Julian Ursyn Niemcewicz i wielu innych, wszystko, co błyszczało umysłem i zacnością, w portretach Brodowskiego gra barwami, połyskami biskupich fioletoów, mundurów i krzyżów zasługi.



BRODOWSKI ANTONI
AUTOPORTRET

Zajrzyjmy do skromnego dworku na Lesznie, która to ulica była wówczas krańcem Warszawy.

W jednym z pokoiów niedużego mieszkanka założono pracownię malarską. Na stalugach stoi obraz, przedstawiający kwiaty i owoce, dziwnie pięknie i miękko malowane. Takież sam bukiet kwiatów stoi na stoliku, ustawionym w dobrym świetle. Cicho w pracowni, jasno, czysto i miło, czuć jakąś troskliwą, umiejętną rękę, która porozstawiała malowniczo sprzęty i ułożyła kwiaty w wazonach.

Za drzwiami słyhać gwar głosów dziecięcych, a wnet też otwały się drzwi i weszła kobieta młoda jeszcze, w skromnych sukniach. Skinieniem ręki usunęła czepiające się jej sukni

dzieci, zwolna podeszła do stalug i bacznie wpatrzyła się w rozpoczętą pracę.

— Doskonale! gratuluje! gratuluje! — ozwał się niespodzianie głos męski.

Odwróciła się żywo pani Henryka Beyerowa.

Za nią stał, uśmiechając się życzliwie, Antoni Brodowski.

— Gratuluję — powtórzył, skłaniając z galanterją piękną głowę — te kwiaty mają lekkość i barwę nadzwyczajną, a owoce pełne i soczyste, że tylko je w usta kłaść.

— Istotnie? — uradowała się Beyerowa — wielka, wielka to dla mnie po-

ciecha i łaska Boska, że mi zdatność do tej pracy, a i takiego, jak waszmość pan, przyjaciela i doradcę dała. Może też i te moje sieroty na ludzi wychować zdołam.

— Jenobym tu nieco przyrzucił — podejmuje Brodow-



WAŃKOWICZ WALENTY

PORTRET MICKIEWICZA

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

ski. Ujął węgiel i kilku śmiałymi rzutami dopełnił rysunek bukietu. A tubym kolor wzmocnił — i wnet ująwszy pendzel, lewą ręką zręcznie położył kilka plam barwnych.

Obie ręce chodziły mu jednakowo sprawnie, jeno, że jedną do ołówka, drugą do pendzla miał włożoną. Nieraz tak po koleżeńsku odwiedzał wdowę, rad jej życzliwych udzielając.

W kilka lat później w dworku na Lesznie wielka zapanaowała radość. Pani Henryce Beyerowej ówczesny minister oświecenia przyznał medal złoty za malowane kwiaty, które na wystawę przysłała.

W parę lat później otrzymała drugi medal za inny obraz, a w reskrypcie słowa pochlebne: „za doskonałe naśladowanie natury, które najwięcej go zaleca“.

Nie ustaje też w pracy wytrwała kobieta. Jużto krząta się pośród swoich uczenic, dla których w pracowni swojej szkołę otworzyła, jużto pracuje w ogrodzie Botanicznym, studiując pilnie żywe kwiaty, rośliny i krzewy.

Oto z drzew sypią się ostatnie liście, niby kwiaty żałobne, a ku cmentarzowi ewangelickiemu ciągnie orszak pogrzebowy. Trumna tonie w powodzi kwiatów, kaplica kwiatów pełna, i kwiaty ścielą drogę, którą orszak żałobny przechodzi. I z rąk licznych a wdzięcznych uczenic padają świeże wiązanki wraz z grudkami ziemi na trumnę polskiej malarki kwiatów.

* * *

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Młody Mickiewicz zadumany i wsparty o skały nadmorskie, z ramion zsuwa mu się burka czerkieska, a oczy lecą gdzieś daleko, poza sine morza.

Tę chwilę zachwyty i zadumy wziął sobie za temat do portretu-obrazu Walenty Wańkowicz. W Petersburgu go malował, wtedy, gdy młody wygnaniec duszą i sercem leciał ku ojczyźnie; poprzez sine morza patrzą oczy wieszczą naszego

tak tęsknie, że zdaje się, iż przez przestworza widzą Litwę rodzinną, uszy słyszą „głos z Litwy“.

Ten to portret stał się dla Wańkowicza drogą do sławy. Można nie pamiętać wielu obrazów i portretów tego chmurnego Litwina, można zapomnieć, iż namalował zajmujący obraz „Napoleon grzejący się przy ognisku przed bitwą“. Można zapomnieć o szeregu doskonałych portretów i tym nawet najpiękniejszym skrzypka Lipińskiego, ponad którym unosi się zwiwna postać wieńczącej go sławy, ale niepodobna zapomnieć, iż on to właśnie namalował ten jedyny w swoim rodzaju portret Mickiewicza, wspartego na „Judahu skale“.

JAN FELIKS PIWARSKI.

1794—1859.

Było to w pogodny dzień letni. Już słońce zasuwało się zwolna za dachy podmiejskich dworów i drzewa ogrodów. Długie, błękitne cienie rysowały się na zalanej złotawym blaskiem szosie, po której, ku widniejącej zdala za Wisłą Warszawie, posuwa się żwawo gromadka młodzieży.

Jest ich kilku różnego wieku i wzrostu, wszyscy jednak są do siebie podobni, wszyscy jednako objuczeni przeróżnemi przyborami malarskiemi, wszyscy noszą przydługie włosy, niemożliwe, zawadjackie kapelusze i... wszyscy mają w oczach jednaki zapał i ogień, w całej twarzy jakąś wesołość bujną, młodzieńczą i niefrasobliwą.

— Wojtek! Franek! a patrzajno! — woła jeden z chłopców, czarny jak młody Włoszek — patrzajno, jak to jego królewska mość słońce Warszawę wymalowało! Umiałby tak z was który, co? fuszery!

— Trochę minji, kadmium, ultramaryny...

— Ano, ano! i będzie jajecznicza ze szczypiorem, aha! mamy cię, równaj się z jego jaśnie wielmożnością słońcem! Patrzno, patrz! czy nie pycha? Te dachy — czysty cynober,

a w oknach gra jak iluminacja. Umiałbyś tak? Aha, właśnie! Może nasz profesor, a i to...

— Cicho, gaduła, usłysz.

Zamilkł gaduła, uderzając się ręką w usta i zezując w prawo, skąd wolnym krokiem zbliżał się ku niemu człowiek niemłody, ale krzepki i żwawy w ruchach. Twarz miał dziwnie jasną i pogodną, prawie dziecinny uśmiech w oczach, a twarz czerstwą, otoczoną białymi włosami. Głowę miał odkrytą i wyłożoną zachodzącym słońcem.

— Jak święty z obrazka — mruknął jeden z chłopców, patrząc w rozpromienioną twarz profesora.

— A co? — zagadnął profesor, wskazując widok i znacząc ręką w powietrzu zarysy miasta.—A co? warte trudu, jeno brać ołówek, węgiel...

Smukły szatynek skrzywił się niemiłosiernie.

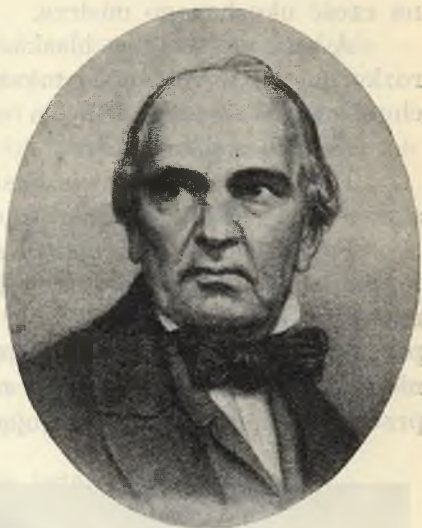
— Farby — pisnął błagalnie — farby, panie profesorze!

— Niechby farby — podjął żywo profesor — nie mi do tego, czem będziesz robił, aby mi to, co widzisz, żywe było, abyś w to duszę swoją włożył.

Gdy ołówki i wiszory
Nie zrównają czuciom twoim,
Chwyć pendzelki i kolory
A naturze kurtę skroim.

zaśpiewał ślicznym tenorem smukły blondynek o słodkiej twarzy panienki.

Jest chłop z ciebie tęgi, dziarski,
Tak ci powie pan Piwarski¹⁾



PIWARSKI JAN FELIKS

rys. W. GERSONA

¹⁾ autentyczne.

Ostatnie dwa wiersze podchwyciła cała gromadka, aż echo się niesło po bliskich łąkach, a z dworów podmiejskich wyrzały ciekawe głowy.

— Wiwat nasz pan profesor! — zahuczał na zakończenie zgodny okrzyk, i wnet „niemożliwe“ kapelusze poleciały wgórę na cześć ukochanego mistrza.

A on siedł cały w blaskach, uśmiechając się i obejmując rozkochanym wzrokiem te młode głowy swoich synów po duchu i ową Warszawę słońcem wyłożoną.

Zbliżali się ku Wiśle.

Płynęła wolno, leniwie, jasno bieleły szerokie ławice piasku, a woda szklila się jak złoto-czerwona łuska.

Przebyli most drewniany i zatrzymali się u brzegu. Gwałt też tu panował nieopisany. Dobijały galary pełne owocu, zgrabne berlinki kołysały się powoli, sunęły łódeczki rybackie, ale przedewszystkiem snuły się tłumy ludzkiego mrowia, przekupnie, żydki pejsate, przekupki zamaszyste, i ludność wreszcie przeróżna, śpiesząca się, targująca, krzycząca różnemi głosami.



— Pia! pia białego! wiślanego! — rozległ się piskliwy głosik, i przebiegł obdarty chłopczyna z workiem piasku na plecach.

Zapatrzyli się chłopcy na ten cały tłum ruchliwy, że aż przycichli na chwilę. Piwarski zato ożywił się, twarz mu jaśniała.

— Co tu typów! co typów! — mruczał sam do siebie — patrzcie no, ta baba: czy nie przewyborna?

— Obsadzysta — zauważył z przekonaniem brunecik.

Rozśmiał się profesor, machinalnie dobywając ołówek i notatnik.

— A ten druciarz? a ten tu handlarz pejsaty? ale czape ma, bo ma, ciepło mu — zauważył szczupły szatyn.

Piwarski już coś szkicował w notatniku i tak utonął w tem zajęciu, że nie zauważył nawet, jak uczniowie, otoczywszy go ciasnem półkolem, wyciągali szyję, starając się zajrzeć mu przez ramię, nie słyszał, jak niepoprawny blondynek intonował zcicha improwizowaną napoczekaniu zwrotkę.

Pan profesor nie żartuje,
Co zobaczy, odrysuje.
Niechaj żyje cech malarski
I nasz majster, pan Piwarski!

Gdybyśmy tak mogli odwiedzić pracownię Piwarskiego w owych czasach, zastalibyśmy go często pochylonego nad wielkim kamieniem litograficznym, na którym pracowicie i mozolnie ryje rysunki przeróżne do odbitek. Niełatwa to robota, cierpliwości trzeba i wytrwania, ale Piwarskiemu jej nie brak, i z pod jego kamieni litograficznych wyfruwają w świat coraz nowe obrazy.

Oto „góral“ z kobzą pod pachą, oto ulica Rybaki na Powiślu, ogarnięta przez powódź, oto powrót z miasta po jarmarku, grajek rznie na skrzypicach hu! ha! aż się dusza raduje; „pia! pia! białego!“ zdają się wołać mali roznosiciele piasku, a zażywny mieszczanin w długiej czamarze z szamerowaniem, w czapie rogatej, maszeruje z fantazją przez starodawne uliczki, a tu: „Tużurki, fraki, angielskie surduty, na paryski

krój! A... co jasny pan daje? Wiele mam wiaśszcz? jedno jasne słowo“... zachęca chytry żydek w wielkiej futrzanej czapke.



PIWARSKI JAN FELIKS
POŻYCZKA NA ZASTAW

„A WIELE NA TO MAM DAĆ? TO MAŁO CO WART...“

Inny włacza nową czapkę na głowę gapiowatego Maćka czy Bartka, dogadując: „Ny! w sam raz, jakby na miarę, to pańskie czapke, aj waj!“

Z tych luźnych, pojedynczych kartek, rysowanych z pogodnym, szczerym humorem, zaopatrzonych w wesołe dopiski, utworzyło się całe album, które Piwarski nazwał „Kram malowniczy“, i drugie p. t. „Album cynkograficzne“. Autor sam czuwał nad odbitkami, dbał, żeby były robione na polskim papierze, polskimi rękoma, nie pozwalał nikomu obcego pochodzenia tknąć swojej pracy. Życie swoje dzielił między swoją

własną, twórczą pracę i ulubionych uczniów, których miał cały legion po różnych szkołach i w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych.

Do ostatka życia pracy nie opuszczał i zgaśł nieomal z nieodstępnym ołówkiem w ręku.

*

*

*

Czy znacie dobrze Warszawę, czytelnicy warszawscy? Czy znacie dobrze Kraków, młodzi krakowianie?

— Oh, doskonale! — odpowie mi niejeden z was.

Ej, czy doprawdy? i tak mi się zdaje, że gdyby was zagadnąć, co też to znajduje się w tym lub tamtym kościele, ja-

kie to tam ołtarze, nagrobki, jakie zakątki ciekawe, zaciszne, tajemnicze, to nie wiem, czy wielu z was umiałoby coś na to odpowiedzieć.

I znowu, gdyby wam pokazać jeden z wielu, wielu obrazów artysty-malarza Marcina Zaleskiego i zapytać was, co przedstawia, namyśliliście się głęboko i nieraz odpowiedzielibyście:

— Nie wiem, nie znam tego.

Jakto? czyż nie znacie kościoła św. Krzyża w Warszawie z tym złożonym ołtarzem w głębi? Czy nie znacie naszej katedry św. Jana o gotyckich łukach i ślicznej, niby z koronek wyrobionej ambonie, z tą ciemną, tajemniczą kaplicą, gdzie wisi na krzyżu pełna świętych legend postać Zbawiciela? Czy nie poznajecie pięknej kolumnady przy ogrodzie Saskim, albo placu Zygmunta z szeregiem wąskich, staroświeckich domów? Ulicy Freta z kościołem Paulinów, kramami i przekupkami w barwnych kaftanach, przekupkami, jakich już dziś niema ani tam, ani nigdzie w Warszawie? Czy nie znacie Zjazdu z tarasami i budowlami Zamku królewskiego?



ZALESKI MARCIN

TARASY ZAMKU WARSZAWSKIEGO

TOW. ZACH. SZT. PIĘKN. W WARSZAWIE

A i wy, krakowskie dzieci, znajdziecie w obrazach Zaleskiego swój i jego rodzinny Kraków — bo Marcin Zaleski w Krakowie się rodził. A więc wnętrza kościołów, choćby i ten — Dominikański, gdzie ku górnej kaplicy pną się schody kamienne, a światło, bijąc z wielkich okien, kładzie się lśnięciami, jasnymi plamami na kamiennych taflach podłogi kościelnej.

Takie to wszystko żywe, taka tam prosta, szczerza prawda! Ale i poetą umiał być Zaleski.

Oto jedna ze złocistych komnat w Wilanowie, światło słoneczne igra na gobelinach starych i portretach, na meblach adamaszkiem krytych, na inkrustowanych szafach i sepecikach, a w głębi, przez drzwi otwarte, widać gabinecik królowej Marysienki, jak pudełeczko strojny i wykwintny, i zdaje się, że jeszcze słyhać szelest powłóczystych robionów królowej, zdaje się, że ledwie chwila, jak opuściła ten uroczy zakątek. Przez otwarte szeroko okno widać zielen i błękit nieba i znowu zdaje się wam, że się tam w głębi ukążą strojne postacie dworaków, spacerujących pośród strzyżonych szpalerów parku.

Tak to nam pokazuje Zaleski różne piękności miast naszych, pałaców, zamków i kościołów, jakby nam chciał powiedzieć:

— Patrzcie, jakie to piękne, a wy nie dostrzeżliście tego.

* * *

— Teraz to niema takich ludzi, jacy byli za czasów „odrodzenia“ — mówią nieraz terażniejsi ludzie — takich zdolnych do wszystkiego, jak Leonardo da Vinci lub Michał Anioł; może jeszcze gdzie indziej, zagranicą tacy bywają, ale u nas!...

Tak mówią, ale wy im nie wierzcie, czytelnicy; mówią tak, bo nie wiedzą, nie znają historii sztuki naszej, nie wiedzą, że lat temu sto przeszło, w Krakowie, w domu senatora Rzeczypospolitej, Michałowskiego, z lat pacholących wyrastał syn jego, Piotr, chłopiec dziwny i niepospolity.

Czternastoletni zaledwie młodzieńczyk o ogorzałej twarzy, przenikliwych oczach i dziwnie rozumnem, wysokiem czole, święci dziś uroczystość niezwykłą. Oto w tych dziecięcych pra-

wie latach otrzymał już maturę, świat mu otworem stoi, a on, jak ów pielgrzym na rozstajnych drogach, duma i myśli: „Gdzie iść? kędy moja właściwa droga?”

Czemuż tak się waha i namyśla? czy niema nic, coby go pociągało i wabiło?

Przeciwnie, właśnie przeciwnie! Wszystko go pociąga, wszystko go nęci, wszystko porywa, a on sam nie wie, co wybrać, za czem biec, co w młodzieńcze pochwycić ramiona.

Bo i jakże? Tu ze ściany patrzy na niego wąsaty szlachcic na białym koniu, kopja z rysunku Orłowskiego, kopja tak wyborna, że oryginałowi równa. To jego praca przecież. Więc chyba malarzem być powinien? Ach, nie! cóż w takim razie z muzyką będzie? wszakże profesor wróży mu przyszłość świetną.

Więc muzyka, tak, muzyka.

— A nas czyż porzucisz? czyś o nas zapomniał? — zdają się szeptać wyzierające z szaf i półek książki przeróżne.

Więc co wybrać? co? co mu zdoła całkowicie duszę wypełnić?

Ale ojciec czuwał i kierował, i oto młody zapaleniec zakopuje się po uszy w poważnej pracy naukowej, w akademii w Getyndze, i wychodzi stamtąd nie tylko niezwykle biegły w matematyce i przyrodzie, ale i mówiący po angielsku jak Anglik, po hiszpańsku jak Hiszpan, po francusku, niemiecku, po łacinie i po grecku i, Bóg wie, jakimi jeszcze językami świata...

Ówczesny minister, ks. Lubecki, powierza mu reformę górnictwa.

Malarz i górnictwo! Cóż to ma wspólnego?

Przypomnijmy sobie jednak. Czyż to nie Leonardo da Vinci sztuką inżynierską nawodnił suchą równinę Lombardji? Czyż Michał Anioł nie pisał poematów i nie budował twierdz? A oto, co pisze o Michałowskim współczesny mu biograf:¹⁾

„Orlem okiem odgaduje wady ludzi i organizacji, żelazną energią kruszy wszystko, co mu stawia zapory... Pięć lat nie

¹⁾ Popiel.

minęło — ale pięć lat prawie bezsennych, pięć lat krwawej pracy — Michałowski zostawia fabryki w tym stanie kwitnącym, w jakim zastał je rok 1830, zostawia administrację natchnioną jego duchem, to jest duchem pracy, porządku, poświęcenia dla dobra publicznego, zostawia szkołę górniczą i rozpoczęte olbrzymie fabryki...”

Ale dość już tej mozolnej i odpowiedzialnej pracy; sztuka, umiłowana sztuka coraz silniejszym głosem go woła. Więc rzuca wszystko, władzę, byt, zaszczyty, i oto widzimy go w Paryżu całą duszą sztuce oddanego.

Ale zaszczyty poszły za nim.

Mistrzowskie studia koni, zwierząt, z rozmachem węglem, czarną i czerwoną kredą rysowane, zapełniają ściany pracowni. Oto zaprzęg ogromnych perszeronów, oto karoca staroświecka, kolaski i wozy dwukołowe, wózki i poszóstne karety, oto lekkie, o cienkich nóżkach, wyścigowce, jeźdźcy i amazonki, wszystko to, chociaż nieraz zapomocą kilku linii i kleksów zaznaczone, rusza się i żyje... Jeden z najznakomitszych ówczesnych malarzy francuskich, Charlet, zobaczywszy pracę Michałowskiego — dragona na koniu — wykrzykuje z zapałem:

— To nie amator, nie uczeń, to mistrz!

Za zaszczytami idzie i powodzenie materjalne. Prace Michałowskiego rozchwytują nabywcy, zanim je jeszcze ze stalug zdjąć zdąży. Zwłaszcza zaś chciwie rozkupują je Anglicy, płacąc bez rachuby ceny niebywałe. Legenda mówi, iż za obraz Michałowskiego płacono tyle luidorów¹⁾ ile ich trzeba było na pokrycie powierzchni obrazu.

Sypią się więc prace coraz nowe, jak z rogu obfitości, a niepożyty duch artysty zdaje się wołać: „dalej! dalej! jeszcze coś innego, jeszcze coś nowego!”

Tak, coś innego, coś nowego.

Oto starzy weterani napoleońscy zgromadzili się wokół posążka konnego, odlanego w bronzie.

— L'empereur! l'empereur!²⁾ — szepczą zwiędłe usta, załzawione wzruszeniem oczy nie mogą się oderwać od twarzy

¹⁾ Złota moneta francuska.

²⁾ Cesarz.



MICHAŁOWSKI PIOTR

POWRÓT Z BIELAN

ukochanego wodza. Tak podobny! tak bardzo podobny, że tylko mowy mu brakuje!

I to jest to nowe dzieło Michałowskiego.

Idą lata, a z nimi rośnie tęsknota do umiłowanej ojczyzny. Trzeba wybierać — zaszczyty, powodzenie, sława zagranicą, czy cicha praca w kraju?

I Michałowski wybrał. We wsi Krzysztoporzyce osiada na roli, pendzel na pług, to znowu pług na pendzel zamieniając.

Wieńc były okresy, gdy hohaterskie postacie dawnej Polski nęcą jego wyobraźnię: zatem Chodkiewicz, Rewera Potocki, Jabłonowski, Klemens Branicki — senatorskie twarze, zamazyste postacie i cudne, jak żywe, konie pod nimi. A marzenia sięgają dalej: marzy mu się bitwa pod Somosierrą, marzy się sala hetmanów...

Obraz się zmienia. Artysta sam cwałuje na dzielnym koniu, troskliwie objeżdża gospodarstwo, otoczony podrastającymi dziećmi, to znów, zwoławszy wiejską dzieciarnię, zabawy im urządza i ugascza serdecznie.

Kiedy indziej, znużony pracą na roli lub też wysiłkiem ar-



MICHAŁOWSKI PIOTR GŁOWA KONIA

tystycznym, siada do fortepianu, i gra godzinami; całe opery z pamięci wygrywa z niebywałą wprawą i biegłością.

I nagle uderza grom. Rok 1848 — straszny, upiorny rok klęski.

— „Stróżem nocnym być, byle służyć ojczyźnie“. — Temi słowa określa Michałowski swój stosunek do Polski. Rzuca też pendzel, rzuca wieś ukochaną i idzie służyć słowem, czynem, radą, wszystkim, co ma w sobie najlepszego i najdzielniejszego, idzie goić rany po strasznej zamieci pozostałe i krwawiące, idzie zbierać po kraju

te dzieci bezdomne, może przyszlých zbrodniarzy i włóczęgów.

I oto co znowu o Michałowskim pisze przyjaciel-biograf: „Utrzymywał własnymi funduszami, nieraz pracą rąk swoich, przybrane sieroty; karmił, uczył pracy i bojaźni Pana Boga... to była korona życia, przepędnętego w pracy uporczywej, prawie nadludzkiej, która razem z wadą sercową zniszczyła żelazną konstytucję“.

Przedwcześnie dla sztuki, przedwcześnie dla kraju zszedł ze świata ten polski człowiek renesansu.

* * *

Gdybyśmy dziś objechać mogli różne stare wiejskie dwory po zapadłych kątach Polski, gdybyśmy mogli zwiedzić te, do dziś dnia jeszcze istniejące gdzie niegdzie, saloniki po owych dworach i dworkach, saloniki o starych jesionowych meblach po prababkach — nad niejedną „familiijną“ kanapą, nad niejednym starodawnym biurkiem, nad kominkiem, obstawionym żółkłami fotografjami, znaleźlibyśmy nieraz oprawne pod

szkło drzeworyty lub litografie, przedstawiające różne sceny wojenne z dziejów Polski.

A więc: „Śmierć Czarnieckiego“ z historycznym białym koniem, więc „Zdobycie Saragossy“, „Obronę Częstochowy“, „Bitwę pod Raszynem“, ułanów polskich na San Domingo, nad Renem, we Włoszech... ach i mnóstwo, mnóstwo podobnych reprodukcij z obrazów tegoż samego autora. A autor ich — to January Suchodolski.

Obok tych wojennych obrazów postawmy marsową postać ich autora. Żołnierska postawa, wąs sumiasty, widać w nim wojaka, który lata spędził w trudzie bojowym.

A rozpoczął go wcześniej.

Oto szkoła korpusu kadetów Księstwa Warszawskiego. Pośród wielu uczniów wyróżnia się mały January wielkim zapalem nie tylko do wojaczki, ale i do odtwarzania scen bojowych. Oczy mu się śmiały i paliły, gdy im, małym żołnierzykom opisywano bohaterskie chwile z naszej historii.

— Być tam, z nimi! — wołał w nim duch bojowy.

— Namalować, jak to było! — szeptał głos malarski.

A miał też i sprzymierzeńca, który popierał jego gusta i chęci. Znajomy to nasz — Zygmunt Vogel, „ptaszkiem“ zwany, nauczyciel rysunków w szkole kadetów.

— Dajcie chłopcu pokój, niech maluje — gderał pocziwie — niech maluje, mówię; takich, co się bić umieją, jest dużo — talent Bóg daje niewielu wybranym.

I chłopiec malował, rysował, ale więcej jednak uczył się sztuki wojennej; i lata długie przejść miały, zanim January Suchodolski, zamieniwszy mundur kapitana gwardji pieszej na bluzę malarską, wziął się na dobre do pendzla.

A nie miał też odwagi do onego pendzla ten wojak barczysty i wąsaty. Drżał i cofał się przed jejmość panią Muzą i powtarzał uparcie, gdy go do pracy malarskiej wabiła:

— Nie mogę, nie umiem, boję się...

Zniecierpliwili się wreszcie koledzy wojenni Januarego. Widzieli nieraz, jak udatnie szkicował ich portrety. Cóżto u licha! Czyż nie znajdzie w sobie dość siły, dość odwagi?

Gniewa to przede wszystkim kolegę i przyjaciela, Adolfa Cichowskiego.

— Namaluj obraz swego pomysłu — namawia gorąco — nie kopję, dość ich już robiłeś — ale obraz oryginalny.

— Nigdy w życiu! — protestuje Suchodolski — ależ toby było zuchwalstwo niebywałe, cóż ja?... cóż ja potrafię?

— Musisz! — nalega przyjaciel. — Oto temat: patrz! nawet temat ci daję. Znasz czyn bohaterski generała Kwaśniewskiego? Oto ułani polscy, napierani przez Prusaków, chcą opuścić armaty, poprzednio zdobyte. Jenerał tedy siada na działach i woła: „Zarąbać się dam, a dział nie ustąpię!“ Ułani, podnieceni tym czynem, z nową furją rzucają się na wroga. No, i cóż? czy nie pyszny temat? Dalej! lewo zwrot! bierz pendzle i paletę!

No, i cóż powiecie?! — Suchodolski posłuchał rozkazu, a obraz jego pokazano artyście ówczesnemu, Antoniemu Brodowskiemu, który szczerze pochwalił pracę Suchodolskiego, namawiając zarazem do dalszych studiów.

I oto stało się, iż owa chwila wojaka na malarza zmieniła. Suchodolski zaczyna malować coraz więcej, zaczyna wystawiać swoje obrazy na wystawach, a Brodowski czuwa nad nim, naucza, wytyka liczne jeszcze błędy, do pracy pobudza i zachęca. Widzi zresztą i sam Suchodolski, iż dalej tak swoim tylko rozumem iść nie może, zabiera więc swe malarskie manatki, trochę pożyczonych pieniędzy, kilka swoich obrazów i jedzie do Rzymu. W drodze zatrzymuje się w Wiedniu; i cóż robi przemysłny wędrowiec? — oto zbywa swoje obrazy, odsyła pożyczone pieniądze i jedzie dalej, zarabiając po drodze na chleb i farby.

Widzimy go więc w Rzymie, w akademji pod kierunkiem Horacego Verneta, artysty francuskiego, malującego sceny bojowe. Uczeń pokochał mistrza — mistrz polubił pogodnego, pełnego zapału Polaka, polubił w nim swego młodszego następcę. Z Vernetem też jedzie Suchodolski do Petersburga, gdzie na żądanie Mikołaja I malują razem szereg wielkich obrazów, ilustrujących wojnę na Kaukazie. Zwłaszcza obraz, przedstawiający wzięcie nocą twierdzy Achałcyk podobał się cesarzowi,



SUCHODOLSKI JANUARY

KS. JÓZEF POD RASZYNEM

WŁ. TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

podobał mu się efekt oświetlonej ogniem palących się domów twierdzy. Ozdobił też Suchodolskiego krzyżem zasługi, mianował członkiem Akademji i opłacał suto.

— Oto znakomity autor Achałcyku! — przedstawiał go swojej rodzinie ten zresztą okrutny i bezwzględny dla innych monarcha.

Vernet i Suchodolski, obydwaj malarze wojen; ale każdy szukał tematów, które mu do serca przypadały. Więc Vernet malował francuskich żuawów, Suchodolski — polskich ułanów, Vernet odtwarzał „Zdobycie Konstancji“, Suchodolski marzył o Saragossie i Somosierze. I nie brakowało mu pomysłów; sypał też obrazy jak z rogu obfitości i doszedł do ogromnej liczby pięciuset dzieł wykonanych, a osnutych na bojowej, bohaterkiej legendzie Polski.

I oto dlaczego w wiejskich dworach i dworkach, gdzie żyły tradycje rycerskie, gdzie każdy wyrostek od dzieciństwa dosiada konia i marzy o szabli pradziada, obrazy Suchodol-

skiego stały się ulubioną ozdobą ścian, patrzano na nie ze wzruszeniem i łąą w oku, nie dbano o to, iż nie były bynajmniej arcydziełami, że bywały zbyt wymuskane, trochę sztuczne. To nie; one mówiły o wielkich chwilach naszej przeszłości.

Oto „Bitwa pod Raszynem“ — Godebski ranny kona w ramionach towarzysza broni, a księżę Józef na białym koniu podjeżdża ze swoim sztabem. Oto „Odwrót z pod Berezyny“ w r. 1812 — masy wojsk, rozbitych na tle śnieżnych obszarów, wlokące się ku zagładzie i zatraceniu. Oto „Somosierra“! — w zamęcie bitwy, w kłębach armatniego dymu migają ułańskie rabaty i czaka.

Całe bohaterskie dzieje polskiej husarii, polskich legionów przesunęły się w obrazach Suchodolskiego. On jeden, w chwili, gdy wszyscy prawie malarze czołem bili przed klasycyzmem, sucho, martwo odtwarzali obce nam klasyczne i biblijne tematy, on jeden obrazami swemi pukał do serc polskich.

I przeszedł przez życie z jasną, pogodną twarzą, z uśmiechem dobrotliwym na ustach, i chociaż nowe, potężne prądy w cień go spychały, nie ustał w pracy; do końca swego długiego życia pendzla z rąk nie wypuścił. Żołnierzem był — jak żołnierz wytrwał na placówce.

* * *

„Przepyszny widok uderzył moje oczy. Nie miałem już odwagi zamknąć się w powozie i szedłem dalej piechotą. Wielki krajobraz podolski rozścielał się wdał i przede mną...”

Któż to tak nóg nie żałuje, aby nacieszyć się pięknym widokiem?

„Zdaje mi się, że całe album bardzo zajmujące możnaby utworzyć z różnych widoków Kamieńca...” — pisze znów ten sam, a jest nim Józef Ignacy Kraszewski, znakomity powieściopisarz polski, wrażliwy na piękno otoczenia, tak wrażliwy i zdolny, iż niezawodnie, gdyby nie był literatem, na pewno i z powodzeniem byłby się oddał malarstwu.

Rysuje też i maluje od dzieciństwa. W szkołach już odaje się rysunkowi z wielkiem upodobaniem i niemałe musiał

czynić postępy, skoro władza szkolna powierza mu zrobienie planu gmachu szkolnego i obsypuje go pochwałami za doskonałe wykonanie.

— „Chodzę na lekcje malarstwa, rysuję z natury“ — chwali się w liście do matki już z uniwersyteckiej ławy. Już jako wyrobiony literat, osiadłszy w Dreźnie, „nie tylko muzyce i malarstwu oddaje się z upodobaniem, ale się bawi litografią, miedziorytnictwem, a nawet malowaniem na porcelanie“. Do powieści swojej „Poeta i świat“ robi sam ilustracje.

Ale oto przychodzą dla Kraszewskiego chwile ciężkie. Podejrzany przez rząd niemiecki o działanie na korzyść Polski, zostaje osadzony w więzieniu w Magdeburgu. Czemże słodzi sobie wielki więzień chwile niewoli? Oto rozłożone przybory malarskie, farby akwarelowe. Więzień pracuje. Krajobrazy włoskie, które poszkicował w podróży swej po Italji, wykończy starannie i umiejętnie. Sześćdziesiąt pięć dużych akwarel — to plon tych dni więziennych. A prace te, to nie dyletanckie próby. Krajobrazy jego stale znajdują miejsce na wystawach krajowych.

I kiedy ten niestrudzony powieściopisarz, ten autor, który „zbudował miasto powieści polskiej“, miał czas tak poważnie zajmować się malarstwem — to już jego tylko było tajemnicą.

* * *

Po jednej z sal Zamku królewskiego w Warszawie, gdzie ściany pokryte są wielkimi historycznymi obrazami Bacciarellego, przechadza się zwolna młody uczeń oddziału sztuk pięknych przy uniwersytecie. Zbliża się do obrazów, oddala, przechodzi od jednego malowidła do drugiego.

Czy młodemu Aleksandrowi Lesserowi podobają się wielkie płótna Bacciarellego.

I tak, i nie. Tematy śliczne, oczywiście: Jadwiga, Sobieski, Unja lubelska. Ale wykonanie? Lesser nie jest z niego zadowolony, onby to inaczej zrobił. Bo jakże można wymalować Jadwigę wyfryzowaną, upudrowaną i w robionie? jak można myśleć, że ten lalkowaty jegomość w blond peruce, to Zygmunt

August? przecież to nieprawda, żeby tak wyglądać mogli, żeby tak byli ubrani?

— Jak można, jak można! — myśli Lesser — ach, gdyby też to samo namalować, ale zbadać przedtem cechę epoki, odnaleźć potrzebne szczegóły, gdyby tak...

Niejeden raz nad obrazami Bacciarellego duma młody Lesser, i rośnie w nim zapał, budzi się chęć do malarstwa historycznego; tak, to jego droga, to jego cel.

Upłynęło lat wiele, bo blisko cała setka, i dziś w jednej z sal Zamku warszawskiego wisi obraz historyczny, przedstawiający Władysława Hermana, przed którym klęczy syn Bolesław. Obok wojewoda Sieciech na mieczu wsparty i królowa matka, podająca tarczę synowi.

Autorem obrazu jest Aleksander Lesser. Obok obrazów, które mu drogę życia wskazały — zawisła jego własna praca.

Ale wróćmy do młodzieńczych czasów artysty i przenieśmy się do Drezna, do tego ślicznego, czystego miasta, a spotkamy tam znów naszego znajomego, który z ciekawością wielką obiega sale Zwingeru, pałacu królewskiego, obiega przebogate muzeum, a gdy tylko dopatrzy coś, co związane jest z dziejami Polski, chwytą za ołówek i notatnik, zapisuje skrzącnie, rysuje; jak pszczoła miód z kwiatów, tak Lesser pracowicie zbiera po świecie wiadomości artystyczne i starożytnicze. Gdziekolwiek droga mu wypadnie, choćby go na końcu tej drogi czekał wymarzony Paryż lub Rzym, zatrzymuje karetkę pocztową i przepada na czas jakiś, tonie w jakimś zapadłym kącie, bo tam jest coś do obejrzenia, coś do zbadania. Więc w Lignicy trzeba obejrzyć groby książąt piastowskich, w Norymberdze odnaleźć wiadomości o Stwoszu — wszędzie, wszędzie szukać pamiątek polskich.

A potem, potem te wszystkie zdobyte wiadomości kładzie w swoje obrazy historyczne. A nie szuka tematów w Rzymie, lub Grecji, lecz w dziejach kraju swojego.

Z Monachjum, gdzie dziesięć lat przemieszkał, malując i badając naprzemian, nadsyła do Warszawy obrazy swoje.

Oto „Obrona Trembowli“, ta śliczna opowieść o kobiecie-bohaterze. Więc grupa rycerzy zasmuconych i zawstydzonych,

a pośród nich, biegnąca wśród murów twierdzy, postać Chrzanowskiej z historycznym sztyletem w dłoni. A potem — „Wincenty Kadłubek“ o natchnionym wyrazie twarzy. Co najlepszego wymalował, słał Lesser do Warszawy, której kochane mury coraz częściej nasuwają się jego myślom.

No, i przyszedł dzień, że w pracowni Lessera zebrało się liczne grono kolegów i przyjaciół, Polaków i Niemców. Coraz to wchodzi jeszcze ktoś nowy i serdecznie ściska dłoń wzruszonego i rozrzuwnionego gospodarza. Żegnają w nim dobrego, szczerego kolegę, który jest już na odlocie i pół duszą w Polsce.

Gwar rośnie, krzyżują się wesołe wykrzykniki, pytania i odpowiedzi, gdy wtem pada magiczne słowo:

— Profesor!

Rozstępuje się gromadka młodych malarzy, by dać przejście mistrzowi, który przyszedł pożegnać byłego ucznia.

— Za co? czem zasłużyłem? — szepcze Lesser, ściskając dłoń profesora i odbierając z rąk jego szkic malowany, który mu na pamiątkę w darze przyniósł.

I odjechał, wrócił do rodzinnej Warszawy, aby tu, w kraju dla kraju pracować i nie dla zarobku, bo tego nie potrzebował, i nie dla zaszczytów, bo ich nie szukał, raczej one go szukały i gradem spadły pod nogi. Więc medal złoty od króla szwedzkiego, pierścień brylantowy od króla saskiego, zaszczytne członkostwo Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

I za cóż tyle honorów, tyle nagród cennych, za jaki czyn? za jakie dzieło?

Nie obraz to żaden, nie dzieło pojedyncze, ale księga cała. Czterdzieści portretów królów polskich w bardzo pięknych litografiach, wzorowanych wiernie na starych pomnikach i portretach. Wiele lat później to samo wielkie i piękne dzieło stworzył Jan Matejko. Znamy wszyscy jego „Królów polskich“ — pierwszy jednak podjął tę pracę Lesser, i przez wiele dziesiątków lat z jego rysunków robiono odbitki do dziejów Polski.

Dokładny i skrupulatny w swych pracach artysta dba nie tylko o podobieństwo twarzy, ale i o wierność w strojach, koronach, berłach, uzbrojeniu — bada więc, szpera skrętnie i pracowicie. Z tą samą dokładnością maluje i swoje obrazy



LESSER ALEKSANDER

OSTATNIE CHWILE KOPERNIKA

historyczne, które też w niezliczonych odbitkach zdobią książki historyczne dla dzieci i młodzieży.

Ile też to było takich wieczorów, długich zimowych wieczorów, gdy na stole lampą oświetlonym pojawiała się czarodziejska książka z „królami“ lub „Dzieje Polski“ z ilustracjami z obrazów Lessera. Babunia drutem, wyjętym z włóczkowej roboty, pokazuje obrazki.

— Oto Bolesław Chrobry... Jadwiga... Stefan Batory...

Snąją się opowieści, a w wyobraźni małych słuchaczy ożywają malowane postacie.

Więc „Wanda“ ¹⁾, której bezwładne ciało dobywają z wody lechiccy wojownicy, a towarzyszeki zgromadzone na brzegu opłakują śmierć królowny, „Ostatnie chwile Kopernika“, gdy wielki

¹⁾ Tow. Zach. Szt. P. w Warszawie.

uczony, zmożony chorobą, składa dłoń osłabłą na księdze swojej, którą mu właśnie przyniesiono, by ucieńczyć jego gasnące oczy. Oto „Pogrzeb pięciu poległych“¹⁾, chwila podniosła i tragiczna z dziejów powstania w 1863 r., „Habdank“ — legenda piękna o onym rycerzu, co cesarzowi niemieckiemu rzucił do skrzyni pierścień kosztowny ze słowami; „Idź złoto do złota, my Polacy żelazo tylko cenić umiemy“.

Jest i Jadwiga, oczekująca Jagiełły, i Łokietek, uchodzący z klasztoru kaptucynów, i „Hołd pruski“, gdy Niemiec przed królem polskim czołem uderza.

I tak snują się legendy Polski w obrazach Lessera; pierwszy też to odtwórca zamierzonych dziejów kraju naszego, pierwszy malarz polski, który w obrazy dziejów włożył prawdziwą ich znajomość.

Cichy, skromny Lesser pracą swoją mrówczą mościł gościniec, po którym, w lat kilkanaście później, poszła w królewskim przepychu historyczna twórczość Matejki.



PIOTROWSKI MAKSYMILJAN

WANDA

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

* * *

Gdy Lesser wystawia swoją „Wandę“ — utopioną, na stalugach w pracowni Maksymiljana Piotrowskiego stoi obraz, przedstawiający „Ostatnie chwile Wandy“.

¹⁾ Muzeum Narodowe w Krakowie.

Taż sama legenda, legenda opiewana przez poetów, od-
twarzana przez artystów polskich. Więc owa Wanda-królowna,
w białych szatach, w wieńcu dziewiczym, stojąca na burcie
barki, zrzucająca z siebie ozdoby i klejnoty książęce. Wdali
Wawel stary, u nóg Wandy splakane i zrozpaczone służebne.

Legenda, jak wszystkie. A obraz? Obraz rozszedł się w ty-
siącach odbitek, barwnych, czarnych, w książkach jako ilustra-
cja. Zdobył popularność, jaką niewiele dzieł, nawet bardzo wy-
bitnych poszczycić się może: mówi do wszystkich, dużych i ma-
łych, wykształconych i prostaczków. Cóż w nim jest, co mówi
do ludzi? Może wyrazy postaci, tak jasne, zrozumiałe? może
sama postać Wandy, pełna skupionego w sobie spokoju i ma-
jestatu, może jej twarz, nietyle ładna, ile poważna i bardzo
smutna.

Spróbujmy podług tego obrazu ułożyć obraz żywy a zo-
baczmy, jak doskonale się uda; jest to grupa, którą równie
dobrze możnaby wyrazić w rzeźbie.

Piotrowski namalował w życiu¹ swoim sporo obrazów,
zrobił dużo rysunków. Chociaż są między nimi bardzo dobre
prace — choćby ten „Wieczór flisaków na Niemnie“, gdzie
umieścił dobre typy tańczących, bawiących się flisaków, to jed-
nakże w pamięci starszych i młodszych zostanie przedewszyst-
kiem autorem „Ostatnich chwil Wandy“.

JULJUSZ KOSSAK

1824—1899

Tętentem i gwarem rozbrzmiewa obszerny dziedziniec
przed dworem hr. Dzieduszyckiego. „Wrzask psów, krzyk strzel-
ców, trąby dojeżdżaczy“, kurtki myśliwskie, długie buty, du-
beltówki, sterczące na plecach, twarze śmiejące się i rozo-
gnione.

Na łów! na łów! na łowy!
do zielonej dąbrowy!

Hej, na łowy! Do onych borów, za niedźwiedziem i lisem,
na mokradła za dziką kaczką, za dropiem, szarym brzaskiem
za cietrzewiem i nocną na wilki obławą!

Błyszczą oczy, jeżą się wąsy sumiaste. Na łów!

Zatrąbiono wsiadanego. Zarząły, zaparskały konie, i wnet
długi korowód jeźdźców, psów i kolas ruszył z dziedzińca, niby
wąż długi, ruchliwy, a we wschodzącem słońcu połyskujący.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,
Teraz pusto i głucho jak na mogilniku,
Wszyscy ruszyli w pole...

Takie to sceny, pełne ruchu, barw i rozmachu odbywały
się lat temu kilkadziesiąt przed dworami możnych panów
polskich.

Oto i z przed dworu onego hr. Dzieduszyckiego wyjeżdża właśnie całe towarzystwo myśliwców. A wśród tego ruchliwego grona, jako jeden z gości i uczestników tej rycerskiej zabawy, zwraca uwagę młodzieńców lat około dwudziestu, wysoki, smukły, zgrabny i prześliczny, o regularnych rysach i wielkich, półdziecięcych jeszcze oczach; nad pełnemi ustami ledwie się wysypuje pierwszy puch młodzieńczy.

I żywe oczy śmieją i błyszczą uciechą wielką. Bo i cóż to za obraz wspaniały, ten cały orszak, mieniący się barwami w słońcu jesiennem.

I to, co dla wszystkich innych uczestników jest jeno chwilą zabawy, dla młodziutkiego Juliusza Kossaka jest jakby poematem, pieśnią, którą na swój sposób wyśpiewać musiał; co innym ludziom przemknęło przed oczy-



KOSSAK JULJUSZ
RZEŹBA TEODORA RYGIERA

ma i znikło, jemu pozostawało w oczach niby obraz skończony i póty dręczyło i męczyło, póki, chwyciwszy ołówek i pendzel, nie poumieszczał na papierze tych zamaszystych wąsali, tych koni różnej maści i budowy, spoglądających z obrazów Kossaka prawie ludzkiemi oczyma, w których maluje się wyraźnie ból, przywiązanie, radość lub niepokój.

Młody Kossak jest też ulubieńcem całej drużyny myśliwskiej, i wiedzą wszyscy, iż niech tylko wrócą z wyprawy, wnet posypią się szkice za szkicami, w których uczestnicy poznają nie tylko siebie, ale swoje konie i psy ulubione.

„A biada strzelcowi“ — pisze ktoś, co znał Kossaka w owych czasach — „biada strzelcowi, co kozę ustrzelił albo do niedźwiedzia spudłował. Lepiej sforami dostać, niż przy Kossaku podobnie się spisać. W jednej chwili rzecz uwieczniona *ad aeternam rei memoriam* (na wieczną rzecz pamiątkę) ku radości wszystkich i delinkwenta także, bo dla niego rysunek.“

A dziwny też to ów dwór hr. Dzieduszyckiego, gdzie młody Juljusz jako domownik i przyjaciel dłuższy czas już przemieszkuje. Bo tylko wystawcie sobie, czytelnicy, taki dwór niby z bajki, niby z powieści fantastycznej. Oto piękny, bogaty salon, a z niego drzwi jakieś tajemnicze; myślicie, że prowadzą może do skarbcza, biblioteki bezcennej lub muzeum? Bynajmniej! Z poza drzwi rozlega się od czasu do czasu wesołe rżenie, tupot nóg końskich i nawoływanie stajennych.

Więc cóż? Stajnia tuż przy salonie?

Nieinaczej. Wprost z salonu, niby jego część dalsza, ciągnie się stajnia ogromna, wspaniała, czyściutka, gdzie szeregiem stoją konie prześliczne, araby o wypukłych mądrych oczach i cienkich nóżkach, pieszczochy hrabiego, po które aż do dalekiej Arabji jeździł i dziś je narówni z klejnotami ceni i ochrania.

Więc nie mógł lepiej trafić Juljusz Kossak, jak do owego dziwnego dworu, boć gdzie, ale tam nie zbrakło mu modeli i obrazów, do których rwała się młoda dusza i oczy, i wszystkie upodobania.

Co tam uniwersytet! Skończył go wprowadzie, ulegając woli matki, ale po skończeniu rzucił w kąć kodeks prawny.

Co tam byt przyszły! „Jakoś to będzie“ — mówił sobie i chwycił za ołówek. Niech tam młodsze rodzeństwo korzysta ze schedy rodzicielskiej, on czuje w sobie siłę, która góry przenosi, sam pójdzie w świat o własnych siłach, jeno z tym ogniem zapału w duszy.

I poszedł. Poszedł między obcych ludzi, w obce strony, boć i na Ukrainie bywał, i w Petersburgu, zawsze z nieodstępną teczką i ołówkiem.

A chodził mu też ten ołówek, chodził zręcznie i lekko, z pod pendzla sypały się akwarele — portrety ludzi i koni tak wyborne, iż czasem można się było zastanowić, kto podobniejszy, koń czy pan jego?

I dobrze mu się wiodło. Zapasik pieniędzy uzbierany, można puścić się w świat, do Paryża, tego miejsca marzeń wszystkich młodych malarzy.

Jedzie więc Kossak, ale mu przecież Warszawa po drodze... zatrzymywał się i... został.

„Oj, twarde to były, twarde lata“ — pisze jeden z przyjaciół Kossaka o owych warszawskich czasach.

Twarde, ale i wesołe pono. Chłodno i głodno bywało na poddaszach i marnych ciupkach, gdzie koczowała „cyganerja“ warszawska. Tak ich zwano i może nie bez racji, bo żyli, jak one ptaki niebieskie z dnia na dzień, to tu, to tam, kątem mieszkając.

Cyganerja miała swój „szyk“ i swoje własne mody, miała przytem niepożytą fantazję i humor, a nadto zapał do sztuki, za którą dałaby się porąbać.

W takie to grono tych, co jak żołnierze szli przebojem, wołając „miejsce dla sztuki polskiej!“, wpadł starszy od nich o lat kilka Juljusz Kossak.

A była ich tam cała gromadka: Gerson, Kostrzewski, Henryk Pillati, Szermętowski, Cegliński, Gierdziejowski. Wszystko to było młode i biedne, twardą szkołę życia przechodzące.

Kossak jednak nie tracił otuchy nigdy.

— I to minie — mówił zawsze — trzeba tylko wytrwać, nie dać się złamać, przed cierpliwością i pracą nawet djabli pierzchną... Szerment, bracie, pomyślnie, jakby nam sprokurować jaki serdelek na przekąskę: tyś na to majster.

„Szerment“ był to później dobrze znany, znakomity pejzażysta Szermętowski, wówczas uczeń i famulus Kossaka. I Szerment, praktyczniejszy od swego mistrza i bieglejszy w chodzeniu koło powszedniego chleba, zawsze jakąś przekąską upolował. Biedowano też, zarabiając, czem można, i nie grymaszono wcale.

Oto w mieszkaniu Kossaka zgromadziło się kilku młodych artystów; pochyleni nad stołem pracują pilnie w głębokim milczeniu. Na twarzach ich jednak nie znać ani zapału, ani rozradowania, towarzyszącego zwykle pracy artystycznej. Czasem ktoś zaklnie siarczyście i pendzelek o ziemię ciśnie; zrzadka tylko zadźwięczy piosenka, stłumiona wnet westchnieniem lub wymowniejszem jeszcze — ziewnięciem.

Oh, bo nudzą się ci chłopcy nad swą robotą, nudzą się straszliwie. Całe godziny trawiają nad kolorowaniem fotografii na sprzedaż. Praca to jednostajna, nudna i żmudna, ale cóż, głodne żołądki gwałtu krzyczą, więc chłopcy pracują wytrwale pod przewodnictwem Kossaka, pracują, tłumiąc w sobie bunt i artystyczne zapały.

A gospodarz muska małego wąsika i zgrabny, smukły, śliczny, z niezmaconą pogodą, z jasnym uśmiechem kieruje, dopomaga, zachęca, dodaje otuchy, on, który więcej niż wielu innych wart był lepszego losu.

—Widzisz, mój stary — mawiał do kolegów — chleba i dobrej rady nigdy szczerdzić nie należy, bo tylko tym sposobem można spłacić dług, jaki zaciągnąłeś u tych, którzy ciebie karmili i uczyli. Trzeba to jednak czynić uprzejmie, delikatnie, żeby jaki taki nie spostrzegł się, że chcesz burmistrzować i nad nim przewodzić.

Rycerski był w duszy, jak rycerską i szlachetną była cała jego postać.

*

Na jednym z placów Paryża gromadka ciekawych otacza dwóch małych chłopczyków i towarzyszącą im niańkę.

— *Tiens!* — dziwią się Francuzi — co to za ubrania?

rumuńskie, ruskie? Ktoś twierdzi, że z Nowej Zelandji, albo z Buenos Ayres...

Ano! Francuzi nie są silni w geografji ani etnografji innych narodów. Tymczasem wystraszona Kujawianka tuli do siebie dwóch maleńkich krakusów w białych sukmanach i czerwonych czapeczkach i odprowadza ich czem prędzej do „tatusia“, pana Juljusza Kossaka, który, ożeniwszy się, osiadł od lat kilku w Paryżu.

A był wówczas w stolicy Francji malarz wielkiej sławy, Horacy Vernet, do niego też, w początkach swego pobytu, udał się młody nasz artysta i przedstawił mu swoje prace.

— Do jakiej szkoły mam się udać? — zagadnął mistrza młody Kossak.

— Do żadnej! — odparł żywo Vernet — patrz na naturę i maluj, to szkoła, której potrzebujesz. Ja nie cię już nie nauczę. Zresztą, ja już schodzę, a ty wchodzisz i zajdziesz daleko, ja ci to przepowiadałem!

I nie mylił się mistrz stary. Kossak poszedł swoją własną drogą, malując wszystko, co mu pod oczy podpadło.

„Wisiął u okna swojej pracowni — pisze o nim Witkiewicz — gdzie z czwartego piętra rozlegał się szeroki widok na ogrody i wielki obszar nieba, które Kossak ciągle „łapał“, malując wszelkie zmiany kształtu, barw, światła na obłokach. Jak dawniej na stepach Ukrainy i wśród jarów Podola, tak dziś, na paryskim bruku, Kossak przedewszystkiem uczył się, obserwując bez wychnienia...”

A potem jeszcze rok oddalenia od kraju, rok, spędzony w jednej ze stolic sztuki, w Monachjum, gdzie, zdaje się, że można zapomnieć o wszystkim, wsłuchując się w odgłosy wielkiej, wszechświatowej sztuki. Kossak jednak nie dał się porwać temu międzynarodowemu wirowi, wciąż myślą, uczuciem wybiegając ku Polsce, jej urokom i tradycjom; śniły mu się legendy szlacheckie, rycerskie rapsody, snuły po głowie pieśni i poematy staropolskie...

Dwa były stada, jedno zwał hetmańskim,
W niem rosły konie polskiego zawodu.
Drugie nazywał zazwyczaj — sułtańskim,
To już drobniejsze, choć wielkiego rodu.

Tak mówi w swojej staroszlacheckiej gawędzie Wincenty Pol, a Juliusz Kossak wnet pokazuje nam na swoim obrazie owego pana Mohorta, jak ks. Józefowi i jego świcie „podpędzić kazał swoje stada“.

Więc z jednej strony nadjeżdża dwór świetny, damy i kawalerowie, z drugiej podchodzi zbite w gromadę stado różnych rodów, różnej maści, przepyszne konie, zaniepokojone, spłoszone, wypukłym, mądrym okiem mierzące przybyszów.

A jakby dla pokazania, iż rozumie nie tylko tego konia, wolnego, pięknego, bohaterskiego, maluje Kossak, ot, spojrzymy lepiej, biedne, spracowane koniska, wstrzymujące omnibus, taką „arkę Noego“, niezdarną, ciężką, pełną pasażerów i ich tobołów. Biedne, spracowane koniska, ciągnące lat temu kilkadziesiąt takie trzęsące pudła po ulicach Warszawy. Wasze babcie, czytelnicy, pamiętają jeszcze takie na żółto malowane omnibusy, zaprzężone w nędzne konie i trzęsące niemiłosiernie, z obdartym konduktorem i równie obdartym woźnicą na kozle.

Zapytajcie waszych babek i pokażcie im obrazek Kossaka, a każda powie:

— Ach, tak! toż to „kanarek“ warszawski! — i uśmiechnie się do swojej młodości, i zapewni was, że „kanarkiem“ lepiej się jeździło, niż dzisiajszym tramwajem.

Długi szeregiem prac pełnych charakteru i werwy wspominał Kossak kraj swój rodzinny.

*

„Obsiedliśmy stół redakcyjny — pisze





KOSSAK JULJUSZ

OMNIBUS WARSZAWSKI

Maleszewski, jeden z literatów owych czasów — przy którym pierwsze miejsce zajmował Ludwik Jenike, naczelny kierownik „Tygodnika Ilustrowanego“. Na stole były rękopisy i rysunki, teki, księga protokółarna i papierosy. Uwagę Jenikego co chwilę przerywał to ten, to ów spostrzeżeniem, nie mającem nic wspólnego z przedmiotem czytany lub najświeższą wiadomością brukową i dowcipem, od którego pomimo dzwonka, chrząkań i upominań redaktorskich nie mogli się powstrzymać Kostrzewski, Anczyk i Szymanowski. Nareszcie i sam kochany redaktor wybuchał śmiechem, grożąc jednak, że takie przekroczenie statutów zapisze do protokołu na wieczny wstyd szanownych kolegów.

— Zgadza się na protokół! — odezwał się tonem poczciwie rubasznym Szymanowski — ale niech go Kossak ilustruje. Kossak, rysuj! — zwrócił się do pana Juljusza, podając mu papier i ołówek.

— Może z tych psich figlów skorzysta i pismo — rzekł udobruchany redaktor.

Ani redaktor, ani wydawcy z „darmoch“ kossakowskich nie mieli korzyści, bośmy szkic wyrywali artyście z pod ręki i chowali do kieszeni. Nawet Julian Bartoszewicz, pomimo po-

wagi historycznej, upominał się o „bazgroty“ Kossaka i zabierał je z sobą.

Mnie, jako najmłodszemu w tem gronie senatorskiem, dostawały się tylko okruchy: to noga końska, łeb dzika, hełm krzyżacki, kreślone na skrawkach papieru, na kopercie, podczas gawędki; raz udało mi się pochwycić większy szkic: jeźdźca na rozbrykanym koniu, pędzącego w tumanach kurzu. Porwałem go i schowałem pod surdut, chociaż wołano ze wszystkich stron:

— Pokaż, coś świsnął!

Jenike zaproponował nawet ogólną rewizję, ale ja zdobywszy swej nie puściłem, zaklnąwszy się, że dostaną się do niej chyba po moim trupie“.

*

A działo się to w Warszawie, dokąd po opuszczeniu Paryża zawitał Kossak i gdzie jako kierownik artystyczny wstąpił do redakcji „Tygodnika Ilustrowanego“.

Jeżeli gdzie w domach rodziców czy dziadków waszych, czytelnicy, znajdziecie stare roczniki „Tygodnika Ilustrowanego“, takie bardzo dawne od r. 1860 do 1868, obejrzyjcie je uważnie, a niewiele znajdziecie numerów, gdzieby nie było rysunków Juljusza Kossaka. I czego tam niema! Ilustracje do powieści, ubiory w dawnej Polsce, jarmarki, obrazy bitew, wesołe sceny z życia codziennego, wesele krakowskie; czego tam niema! Ach, tak! niema. Niema scen brzydkich i przykrych, niema smutnych i gnębiących; ze wszystkich obrazków wieje jakaś radość i pogoda, piękno i szlachetność, fantazja szlachecka i zapal młodzieńczy.

Znała go też i kochała Warszawa.

— „Urodę Kossaka podziwialiśmy tak samo, jak jego talent — pisze Maleszewski — obchodziliśmy go dookoła, z ubożem, ukradkiem, bo trzeba było wielkiej śmiałości, zuchwalstwa nawet, aby tak wprost przystąpić do Kossaka, kiedy kroczył przez Krakowskie Przedmieście, z głową wzniesioną, ze spojrzeniem przenikającym, z sumiastemi wąsami. Przechodnie ustępowali mu z drogi, przypatrując się ciekawie...“

Wąsale też tacy i junaki snują się przez dwanaście kart kalendarza — „Rok myśliwca“. Każdy tam obrazeczek miły i zajmujący, czy ci myśliwcy, naprawiający sieci w wieczór zimowy przy ogniu kominkowym, czy one brodzące po moczarach czaple, czy miś chytry, zaszyty w gąszczach; a oto „siedzi sobie zając pod miedzą“, a okiem strzyże i słuchy nadstawia; czy ci wreszcie dojeżdżacze, szczujący chartami biednego, wystraszonego szaraka, rwącego w pole, co ma siły w skokach, lub wracająca saniami z polowania na żubry obława, kosmaty łeb króla puszczy, zwisający bezwładnie, pyskiem okrwawionym zamiatający śnieg. Wraca obława ku wsi, ku dziedzicznemu dworskiemu, co to:

wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki świeżo deptane czernieją...

gdzie

wszystko zamarło do czasu,
Zdaleka ciemna wstęga sosnowego lasu
Ściemniała — widać przez las błękit bitej drogi —
Wiatr przez nią leci — sosny jak litewskie bogi
Chwieją się — jodły siedzą śniegiem przywalone...

*

Na krańcu Krakowa, na Zwierzyńcu, otulony w zieleni stoi sobie dom obszerny i wygodny, niby to miejski, niby wiejski, rodzaj dworka parterowego. Przed dworkiem trawnik, kwiaty i cienisty ogród.

Wejdzmy. Wejdzcie tam ze mną, czytelnicy, i spojrzycie tak, jak ja z ciekawością patrzałam, przekraczając w towarzystwie ojca mego¹⁾ próg pracowni jednego z najdzielniejszych artystów polskich. — Obszerna pracownia z wysoko umieszczonym oknem, na ścianach dywany, zbroje piękne, hełmy, pancerze, szable, rozstawione stalugi, na nich zaczęte akwarele.

Zaledwie zdołałam obrzucić to artystyczne wnętrze jednym spojrzeniem, gdy z pod okna, dotychczas ukryty trochę w cieniu, dzwignął się z trudem ten, co był duszą tego za-

¹⁾ Wojciecha Gersona.



KOSSAK JULJUSZ

WJAZD POSŁA RZECZYPOSPOLITEJ DO STAMBUŁU

kątką — Juliusz Kossak. Starzec już wówczas, postąpił kilka kroków, prostując swą piękną, imponującą postać i wyciągając obie ręce do mojego ojca:

— Wojciechu kochany! jak się masz? — witał serdecznie, wyraźnie wzruszony i uradowany.

Żwawo potoczyła się pogawędka; tyle mieli sobie do powiedzenia, tyle ich wiązało dobrych, młodzieńczych wspomnień!...

Po długiej chwili ruszyliśmy na przegląd wokoło pracowni. Kossak pokazywał swe prace rozpoczęte, szkice i studia, gdzie wszędzie przewijał się jako część ich główna — koń; koń w biegu, koń w skoku, koń w galopie, w tym trudnym ruchu, co to zdaje się, że niepodobna go okiem pochwycić.

— Jakie to trudne, konie w ruchu — ozwał się — nigdybym tego nie umiała.

— Trudne? nie! — podjął żywo Kossak — to tylko trzeba naszkicować z pamięci, a szczegóły potem wystudjować z natury. To bardzo łatwo.

— Tak, to bardzo łatwo — roześmiał się mój ojciec — tylko to trzeba... umieć.

Tak, dla Kossaka łatwe to było i proste, tak łatwe, jak śpiew dla ptaka. Tworzył, bo chciał, bo musiał, bo mu to sprawiało rozkosz najwyższą, a pomagała mu w tej pracy fenomenalna poprostu pamięć, jaką był obdarzony.

I z tej to zacisznej pracowni na Zwierzyńcu rozchodziły się przez długi szereg lat po kraju całym i poza kraj setki, tak, setki prac nieustrudzonego artysty.

Przeważnie jednak po kraju się rozchodziły, bo Kossak przede wszystkim swoim śpiewał, nie obcym. Rodakom opowiadał w obrazach swoich te niezliczone legendy szlacheckie, te chwile bohaterskie, jasne i piękne z przeszłości naszej, te wesołe, beztroskie zabawy i uroczystości ludu naszego.

Więc dla kogóżby to było bardziej zrozumiałe, jak nie dla nas? Kogóż żywiej zajmie utwór-obraz, gdzie Florjan Szary,



kilkoma oszczepami przebity, kona na pobojuwisku pod Płowcami, a król Łokietek nadjeżdża ze swym zwycięskim hufcem, aby rycerza swego obżałować i uhonorować, herb mu „Jelita“ nadając na pamiątkę, iż w owe jelita¹⁾ ugodzon za kraj zginął.

I jakiegoż cudzoziemca za serce chwycą te bohaterskie opowieści w obrazach o rodach Fredrów, Gniewoszów i Sanguszków? Albo ów Czarniecki na srokatym koniu, co, uniósłszy kołpaka z czaplem piórem, wzywa za sobą wiernych towarzyszy, boć ich nielada czeka przeprawa przez pół zmarzniętą Wisłę. Kogóż wzruszy ówże Czarniecki na łożu śmierci?

Zarzał stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę hetman polny.
Witał księdza, jak ze snu powstały,
I znów słuchał, jak rzy jego Biały.
— Sprowadźcie go — skinął na husarzy,
I wnet Biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy,
A obadwaj biali, jak dwa duchy...

Tak opowiada poeta tę chwilę, tak nam ją Kossak maluje.

*

A tu znów śliczny obrazek. Brama w częstokole, taka staropolska brama ze słomianym dachem. Obrastają ją gęsto krzewy i rozłożyste drzewa. Z bramy wychodzi właściciel domostwa, za nim psy i służba, i wita — wyraźnie widać, że wita ślicznego konia-białonóżkę, który, pochyliwszy zgrabny łebek, kopytem w ziemię uderza. A dalej całe stado koni różnej maści. „Stado Przybysława Śreniawity“ zwie się ten obraz a opowiada historję dziwną, którą kroniki rodzinne przechowały: oto ów Przybysław Śreniawita sprzedał był konia aż do Węgier. Po paru latach, jak mówi podanie, powrócił wierny rumak i przywiódł ze sobą całe stado. I tę to rozrzewniającą scenę przedstawił Kossak w swoim obrazie. A wyraz tego konia — nieporównany. Jest w nim i pokora, i niema prosba o przebaczenie, i radość, i przywiązanie.

¹⁾ Wnętrznosci.



JULJUSZ KOSSAK

STADO PRZYBYSŁAWA ŚRENIAWITY

Nie byłby jednak Kossak mieszkańcem Krakowa, żeby go nie zachwycił lud krakowski — piękny, barwny, zamaszysty. Jakże to nie malować tego krakusa w sutej białej sukmanie, pędzącego na ognistym mierzynku? A te baby krakowskie, w sutych, kwiecistych „kieckach“, w haftowanych kaftanach i gorsetach? toć to się samo pod pendzel prosi! A dopieroż niechno zajędzie wesele krakowskie, z krzykiem, śpiewem i muzyką, postrojeni družbowie, druchny jako kwiaty...

Na basetli Roch wygrywa,
Śliczna družka cienko śpiewa,
Klaszczą swatki i z paradą
Drabiniastym wozem jadą.

Jest też tych družbów i wesel krakowskich bezliku. Ostatnia, niedokończona już praca Kossaka, to jeszcze taki jeden družba krakowski, z bukietem u kapelusza, na białym koniu jadący.

A teraz znów jakże znane wam rzeczy, czytelnicy: oto spotkanie Chmielnickiego z „Tuhaj Bejem“, oto „Longinus i Wołodyjowski“, „Śmierć Podbipięty“, „Pan Zagłoba na weselu“, „Oleńka i Kmicic“, „Baśka i Azja Tuhajbejowicz“ — znane nam rzeczy — znane i ukochane zawsze. Wielki powieściopisarz znalazł wielkiego ilustratora, szkoda jeno, iż stało się to zbyt późno i że zbyt mało jest tych niezrównanych ilustracyj.

A jakżeby jednak mógł przejść przez życie Kossak, nie odtworzywszy tego wielkiego naszego bohatera, jakim był nasz król Jan III? A więc jest „Wjazd Sobieskiego do Wiednia“, a tu znów Sobieski żegnający krzyżem husarję swoją, którą pokryła éma pohańców.

Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożone następują rotę;
Każą wodze ukrócić, w łuku złożyć groty,
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice!
Przerzedzają się chmury, blask o gwiazdy bije,
Gradem lecą turbany i obcięte szyje,
Janczarów zgraja pierzeła jak do piasku wbita.
Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta...

A król Jan błogosławi, a wargi jego zdają się szeptać krótką modlitwę żołnierską: „Zmiłuj się nad ludem Twoim!...“

I tak przeszło Kossakowi to życie piękne, pracowicie wypełnione sztuką po same brzegi.

A lata szły; ocieężała rośla, barczysta postać, zbieła włos kruczy i wąs zawieszisty. Ubyło miłych kolegów i rówieśników. — Kossak boleśnie odczuwał pustkę, która zwolna tworzyła się koło niego.

„Tak mało już starych, dawnych towarzyszy ołówka i pendzla, że zawsze, zawsze miło, jak się usłyszy głos przyjacielski jednego z takich“... — pisze Kossak w odpowiedzi na list Gersona.

Zawsze pełen miłości dla świata, sztuki i ludzi stał do końca jak dąb krzepki i pracował, pracował bezustanku.

„Złamany chorobą — pisze o nim Witkiewicz — w ostatnich dniach życia był tym samym człowiekiem, który się nie poddaje, nie opuszcza... Kiedy przyszła ostateczna chwila, i ksiądz z Panem Bogiem stanął na progu, Kossak dzwignął się z poduszek i musnął wąsa, jak był zwykł robić, witając uprzejmie gościa“...

JÓZEF SIMMLER

1823—1868

Śmierć Barbary Radziwiłłówny — i natychmiast nasuwa się nazwisko — Simmler! Zrósł się autor ze swoim dziełem w jedną nierozdzieloną całość, tak jak zrosła się „Marja“ z nazwiskiem Malczewskiego.

Czemu to tak? Czyż jedyne to dzieło Simmlera, czyż nie więcej nie malował? Wcale nie. Taki zrost nazwiska autora z jego dziełem zdarza się wtedy, gdy jedno dzieło przerasta wartością inne, gdy jedno dzieło, jak kwiat jakiś cudowny, buja wyżej, zakwita żywszemi, piękniejszemi barwami pośród wielu skromniejszych, drobniejszych. I wtedy to dzieło staje się koroną, płaszczem, który na barki zwykłego człowieka zarzuca szmat królewskiej purpury, na głowę kładzie mu wieńiec nieśmiertelnej chwały.

— Patrzcie, to ten, co namalował „Barbarę“.

Tak, to ten, co zniknie tak prędko, „jak prędko przemijają w przestrzeni ludzie“ — ale w czasie wspomnienie nie gaśnie, gdyż poza niem staje najlepsza część ducha ludzkiego.

„Śmierć Barbary Radziwiłłówny“!... Dwie tylko postacie, obie ciche, jakby martwe, skamieniałe, ona — martwością śmierci — on, martwością bólu. Dwie tylko postacie, żadnych ruchów gwałtownych, żadnych barw ostrych, bijących w oczy. Cisza i spokój, a ból rozpaczny, zamknięty głęboko w opiętej królewskim strojem piersi, tylko wybiega na czoło zmarszczką bolesną, zaciska usta i dłonie skurczem, konwulsyjnym skurczem cierpienia. A obok na łożu biała postać bezwładna — „zewłok lichy“, pełen majestatu, piękna i żałosnego uciszenia śmierci.



SIMMLER JÓZEF

ŚMIERĆ BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

Tyle można wyczytać z obrazka — reprodukcji. A z obrazu — oryginału? O! nieskończenie więcej jeszcze. Bo odezwijmy wzrok i myśl od treści i wyrazów twarzy, a zatrzymajmy je na wykonaniu.

Co za doskonałość rysunku, czystość linii, co za aksamity, atłasy i futra! Jaki koloryt poważny i spokojny, jakby dobrany umyślnie, aby nie spłoszył słaniających się cieni śmierci. I ta głowa bezwładnie, ciężko wciśnięta w poduszkę, i ta ręka cudna, młoda a jak kość słoniowa biała, zwisająca sztywno i martwo.

„Śmierć Barbary“ — korona twórczości Simmlera.

I wszystko? O, nie! Jak architekt, który umie zbudować pałac lub świątynię, a obok nich buduje domy i dworki, tak i Simmler prócz „Barbary“ ma za sobą długi szereg dzieł wartościowych.

A przede wszystkim — portrety. Można by nimi zawieść całą wielką salę. Są różne. Przeważnie ludzi zamożnie ubranych, o minach pewnych siebie, zadowolonych. Zasobność, dobrobyt wieje z tych portretów. Simmler sam pochodził z rodziny zamożnej.

— Jakto? — zapytacie — malarz, który zamłodu nie klepał biedy? Malarz, który się nie tułał po poddaszach? Nie oszukiwał głodu dymem tytoniowym? Nie marzył w zimie?

A tak, był taki szczęśliwiec, był taki, który nie potrzebował wykrzykiwać z cygańską fantazją: „My artyści, my, którym nieraz na chleb braknie suchy, my, do jesiennych tak podobni liści“... Życie go niosło, jak cicha, spokojna fala bez burz,



SIMMLER JÓZEF

PORTRET

wstrząśnięć, bez wichrów i katastrof. Uczył się, podróżował, żył między Monachjum, Paryżem a rodzinną Warszawą, ciągle niepewny siebie, ciągle szukający ideału.

— Ależ to doskonałe studjum, zupełnie artystyczna robota — zachwycali się koledzy, otaczając stalugi Simmlera.

— Czemu nie malujesz obrazów? — zapytywali inni.

Ale on wstrząsał głową. Nie! to jeszcze nie to, jeszcze dalej, dalej szukać trzeba, trudzić się, mozolić, zasługiwać tej wielkiej i despotycznej pani — Sztuce. I niewiadomo, jak długo byłby szukał i wątpił, wątpił i szukał, gdyby na drodze życia nie stanęła jak Muza dobra — wykwintna, piękna kobieta. Jak dobry duch wzięła wahającego się za rękę i wiodła. Była to panna Julja Hoeggenstaller, która godzinami cierpliwie pozo-
wiała młodemu artyście do jego obrazu, przedstawiającego św. Cecylję, pełną wiary w jego artystyczną przyszłość.

Wierzono w niego, uwierzył i on wreszcie; skrzydła mu u ramion wyrosły, i coraz doskonalsze, coraz głębsze dzieła zappełniają pracownię w Monachjum, Paryżu, a wreszcie i w Warszawie.

Dzieła to przeróżne, a na ich czele — stały portrety. Z każdego kąta pracowni patrzą na ciebie żywe oczy. Oto powstaniec — marzyciel, w czamarce, burce i z oczyma nie z tego świata, trzyma obie dłonie na szabli i stoi, jakby wyczekiwał kogoś. A dalej damy, strojne w atłasy i koronki. Koronki, zdaje się, narzucone na barwną materję, przezrocze, leciuchne, żywe, tak jak żywe są damy, które je noszą, jak żywe są ich pie-szczone rączki, niedbale wsparte na kolanach lub opuszczone naturalnym, swobodnym ruchem.

Nie wierzycie? Idźcie, czytelnicy, obejrzyć zbiory Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, a znajdziecie tam owe portrety, owe cudnie malowane jedwabie i koronki, zdziwicie się sumienności i doskonałości wykończenia. A przynajmniej przyjrzyjcie się tej oto damie w szerokiej, bufiastej sukni. (Takie noszono w czasie, kiedy żył i pracował Simmler). Jak to ona ślicznie, swobodnie siedzi, jak szczerze, prosto w oczy wam patrzy. A jeśli tego mało, odpowiedzcie uśmiechem tej malusiej białej dziewczuszcze, co, ugiąwszy sukienki, kwiatkami



SIMMLER JÓZEF

PRZYSIĘGA JADWIGA

napełnionej, ząbki do was szczerzy w dziecinny, promiennym uśmiechu.

Jeżeli jednak twarze Simmlera żywe są i mówiące, to równie mówiące są ręce w obrazach i portretach jego. Simmler nie bał się rąk.

— Jakto „nie bał się“? — zapytacie.

Ano tak. Bo są malarze, co boją się ręce malować. Boją się, wykręcają, chowają je po kieszeniach, kryją za wachlarze, zasuwają w zarękawki, zakładają za plecy modela: „bo to trudne“. O! i bardzo trudne, prawie tak trudne jak twarz ludzka, a ruchem ich można tyle wypowiedzieć!

Czyż tylko portrety malował Simmler? A obrazy historyczne? Czyż tylko na jedną „Barbarę“ się zdobył? O, nie, jest ich kilka i bardzo pięknych, żaden jednak nie dorównywa „Barbarze“. Jest więc „Katarzyna Jagiellonka w więzieniu w Gripsholm“ — królewska córka, trzymająca w objęciach maleńkiego Zygmunta (przyszłego Zygmunta III, króla polskiego) o smutnym, przedwcześnie dojrzałym spojrzeniu dziecka nieszczęścia. Brodaty, poważny i smutny król Jan Waza, wsparty o poręcz fotelu, u drzwi szyderczo uśmiechnięci strażnicy.

„Przysięga Jadwigi“ — gdzie młoda, piękna, nieszczęśliwa królowa, klęcząc, składa rękę na Biblii i zaprzysięga swą niewinność wobec duchownego, wobec króla-mążonka, wobec podłego potwarcy, który ją fałszywie oskarżył. Spójrzycie na cudną twarz królowej, ile w niej wyrazu bólu, jaka czysta i niewinna dusza w niej się maluje.

Jeszcze ciekawy obraz historyczny: „Wychowanie Zygmunta Augusta“. Młody, piękny, strojny królewicz — wokoło grono pięknych pań, zabawiających śpiewem, śmiechem, dowcipnem słówkiem królewskiego jedynaka. U stołu rozsiadła się królowa Bona, czuwa nad synem, czuwa jak zły duch, aby żadna myśl głębsza nie zagościła w tej młodej głowie. Ale król stary też czuwa. Oto ukazuje się we drzwiach w głębi z marszem na czole, z głębokim smutkiem patrzy, jak to syn jego przygotowuje się do wladania wielkim narodem.

I tak oto idą lata pracy Simmlera. Dzieła przeróżne zapełniają pracownię, coraz to nowy obraz idzie w świat, między

ludzi, do kościołów. Bo i religijnych obrazów namalował nie-mało.

Lecz wiele zamierzonych obrazów pozostało tylko w szkicach.

Czemu? Bo życia nie stało. Ciężka, trawiąca choroba niszczy i podkopuje wątły organizm.

Simmler gaśnie powoli. Nanie sztuka lekarska, nanie starania kochającej rodziny, nanie pieniądze, wygody, dostatek; nie mu nie brakło, jeno sił do życia. I zgasł ten wielki, subtelny artysta, który jak klejnoty wypieszczał każdą pracę swoją, zgasł — przedwcześnie dla sztuki polskiej.

* * *

Świat artystyczny w Paryżu w r. 1852 obchodzi uroczystość wielką — oto dziś właśnie otwierają „Salon“ doroczny, czyli wystawę sztuki, gdzie artyści francuscy i artyści całego świata swoje obrazy, rzeźby, projekty architektoniczne na widok publiczny wystawiają.

Od paru już miesięcy wre praca gorączkowa, przygotowują hale dla rzeźb, salony dla obrazów, zbierają się sędziowie, oglądają nadesłane dzieła i sądzą: przyjęty — nieprzyjęty.

A wokoło gmachu krążą ci, na których owe wyroki paść mają, starsi, pewniejsi siebie — oni już po kilkakroć obrazy swoje w „Salonie“ wystawiali — młodsi niespokojni i zgorączkowani, przyjmą czy odrzucą? Bo wszakże przyjęcie do „Salonu“ paryskiego, to niby otrzymany patent dojrzałości.

Ale i to nie koniec. Sąd artystyczny ocenia jeszcze, kto wart odznaczenia, komu dać medal pierwszej, drugiej, trzeciej klasy, kogo uhonorować, wynieść ponad innych?

Po kawiarniach, w bliskości „Salonu“, wokoło wystawionych na chodniki stolików, zbiera się brat artystyczny, krzyżują się nazwiska, wybuchają dysputy zajadłe. Nikt nie na pewno nie wie, zgadują więc, przypuszczają, a w tym roku dziwnie jakoś głucho, coś przebąkują o niższych medalach, o odznaczeniach — o pierwszym medalu nie jakoś nie słysząc.

Więc snują na ten temat marzenia ci i owi. Czemużby nie? Przecież każdemu żołnierzowi wolno o generalstwie marzyć!

Dziś wreszcie dzień rozstrzygający, tłumy od rana oblegają gmach, gdzie urządzono „Salon“.

Otwarto podwoje, ruszył tłum zaproszonych i artystów — rozsypał się po salonach niecierpliwy i zgorączkowany.

Śród klombów zieleni bieleją marmury, lśnią brzozy posągów, na ścianach barwią się obrazy, portrety, krajobrazy. Każdy z artystów niespokojnie poszukuje swojej pracy, gdzie ją umieszczono? Czy dobrze oświetlona? Czy farby nie zmatowały?

Krążą tłumy, wykrzykując co chwila:

— O! patrzcie, i ten już w „Salonie“!

— *Tiens!* ten ma odznaczenie!

— A ten medal drugi! brawo! brawo!

— Gdzież pierwszy medal? — szukają niespokojnie — mówią, że wziął Szwed.

— Nie, Amerykanin!

— Polak wziął! wiem na pewno.

— Kto on jest? jak się nazywa? gdzie jego dzieło?

A w honorowej sali, z dwóch stron obstawiony zielonemi krzewami z napisem na ramie „pierwszy medal“, wisi duży portret, portret-obraz!

Na tle namiotu, gdzie przez uchylone płótno widać daleki krajobraz i ruchliwe sceny obozowe, siedzi wsparty na dłoni stary generał Dembiński. Zdaje się, jakby tylko co powrócił znużony i siadł odpocząć. Obok, na beczułce od prochu, rozłożona mapka sztabowa. Stary generał spoczywa i дума. Portret-obraz!

Ciekawi szukają nazwiska autora. Jest! to Henryk Rodakowski.

Publiczność francuska jest zawiedziona. Czy obraz im się nie podoba? O, nie! zanadto się tam znają na sztuce, żeby nie dostrzec, jak mistrzowską jest robota portretu. Nie, ale czemu to nie Francuz zdobył wieniec sławy — ale jakiś cudzozie-

miec — a do tego Polak! Skąd się wziął? Ta Polska, gdzież to ona leży? Czy się do niej okrętem jedzie?

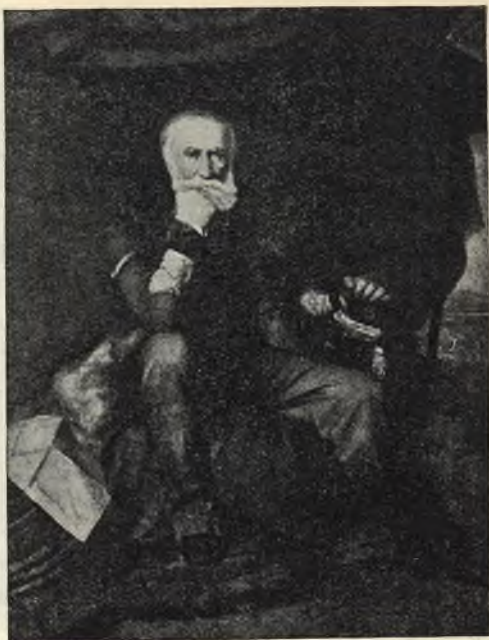
— Czy to czasem nie murzyn? — zaniepokoiła się jakaś strojna paryżaneczka.

Nie, nie był murzy-nem, a nawet wybredne oczy Francuzek z przyjemnością zatrzymują się na tej postaci wykwintnej, twarzy inteligentnej, opromienionej jakimś ujmującym spokojem i pogodą.

Upłynął rok. Na takiej samej wystawie „Salonu“ — zawieszono znowu pracę Rodakowskiego — „Portret matki“.

Co za portret! poprostu zdaje się, że za chwilę otworzą się malowane usta tej staruszki w czarnych aksamitach, i padnie żywe słowo. To już nie portret, to żywy, czujący człowiek, tak, jak żywa jest ta druga staruszka, ciotka artysty, o dziecięcym prawie spojrzeniu błękitnych, spłowiałych oczu, o zwiędłych rękach, trzymających starą, wyczytaną książkę i okulary.

Posłuchajmy też, co pisze wielbiciel Rodakowskiego i znawca niepospolity o portrecie ojca artysty, iż „gdyby obraz był bez ram, o ścianę tej samej barwy jak jego tło oparty, każdyby mniemał żywą widzieć osobę“. Dalej „każda wypukłość, pryszczyk, brodaweczka, każda wklęsłość, rys na skórcie, plamka, zgoła wszystkie, jakie tylko wiek, słabość, czyli w oczach, czyli też na skórcie zostawił ślady, wszystko najdokładniej oddane“.



RODAKOWSKI HENRYK
PORTRET JEN. DEMBIŃSKIEGO
MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Więc zawsze portrety? O, nie! Rodakowski maluje i obrazy historyczne, większe i mniejsze. Oto hrabia Wilczek, błagający Sobieskiego o pomoc dla Wiednia; „w pięknej, stojącej postaci Jana III, z rysów bardzo wiernej, jest i dostojność wielka i pewne wzruszenie na twarzy mu się maluje, i w kornym ruchu posłów cesarskiego i papieskiego jest i godność, i przerażenie, i prawdziwie błagalna prośba“¹⁾

Są i inne obrazy: „Bitwa pod Chocimem“, „Wojna kokoszka“, a kto zna Lwów, kto zwiedzał salę główną dawnego Sejmu (obecnie uniwersytet) — kto ją może zwiedzać będzie, niechże zauważy obraz duży, przedstawiający „Dobrodziejstwa kultury“, niech w sali obok obejrzy wyborne portrety marszałków: hr. Dzieduszyckiego, ks. Sapiehy i hr. Tarnowskiego. Malował je Rodakowski dla kraju swego, a ile przez dwadzieścia lat pobytu w Paryżu malował dla Francji!

Paryż, wybredny Paryż, nieraz powierza Rodakowskiemu malowanie portretów różnych wybitnych osobistości.

„Cudzoziemiec“ imponuje im, wdarł się na wyżyny i zepchnąć się z nich nie daje.

Lata mijają. Rodakowski coraz częściej zagląda do kraju, coraz dłużej przebywa między swymi, osiada wreszcie na stałe, gospodarząc na roli i malując naprzemian, zawsze jednakowo równy i pogodny.

— Jaki ja w życiu byłem szczęśliwy! — mawiał, nieraz z promiennym uśmiechem, jakby dziwiąc się, iż tyle dobrego w życiu doznał.

Rzadki człowiek, który tyle w sobie znaleźć umiał, tyle umiłowań w sercu zamknąć, tyle ukochać, tyle wybaczyć, iż życie, które innym goryczą jest i udręką, jemu było radością i szczęściem.

* * *

W końcu pierwszej połowy przeszłego wieku na ulicach Warszawy coraz częściej i liczniej ukazywać się poczęły dziwne dla przeciętnego mieszkańca typy. Oto patrzcie, idzie ich gromadka — płaszcze szerokie, długie, niezawsze dość starannie

¹⁾ Mycielski.



CYGANERJA WARSZAWSKA

uczesane włosy, kapelusze — ach kapelusze! nieprawdopodobne, à la Rinaldo Rinaldini, z szerokimi rondami. Dodajmy do tego fajki w zębach i nierzadko potężne kije w rękach, a nie zdziwimy się, iż pocziwe panusie warszawskie, dążące przykładnie na targ lub do kościoła, ustępują im skwapliwie z chodnika.

— W Imię Ojca i Syna!... — szepnie niejedna poważnie zgorszona.

— Cyganerja! do stu diabłów! — zaklnie porządny i pracowity mieszczanin.

— Próżniaki! obibruki! włóczykije!

Niech sobie pocziwi mieszczenie mówią i myślą, co chcą, a dziwaczna gromadka kroku nie ustąpi. Zamaszyście, wesoło, junacko maszerują ulicami Warszawy i giną w bramie Kazimierzowskiego pałacu¹⁾. Wesołe powitania, wykrzykniki, wy-

¹⁾ Dzisiejszy Uniwersytet Warszawski.

buchy śmiechu jasnego, młodzieńczego, i gromadka rozsypuje się, rozchodzi w różnych kierunkach, po korytarzach i salach obszernego gmachu.

Pójdźmy i my za nimi.

Oto trafiamy na drzwi, z poza których dochodzi gwar zmieszanych głosów i szmer, jakby przesuwanych sprzętów.

Uchylmy drzwi owe. Sala obszerna, wysoka, oświetlona wielkim oknem, stopnie szerokie wznoszą się amfiteatralnie. W środku podniesienie, a na stopniach, w tej właśnie chwili, ruch panuje jak w mrowisku. Ten ustawia stalugi i umacnia rajsbręt, ów szuka stolka, który mu „świsnął“ z pod ręki usłużny koleżka. Szeleszczą zwoje papieru, strzelają dowcipy i żarty. Ktoś puścił papierową bombę w kierunku rozlokowujących się na najwyższym stopniu rzeźbiarzy — wnet obóz zaatakowany odpowiada gradem pecyn glinianych.

— Ordynarni gliniarze! — oświadcza jeden z poszkodowanych — oskrobując swój rajsbręt, do którego przyłgnęła mokra glina. — Panowie! wojna wypowiedziana!

A na dole wybucha sprzeczka:

— Zabrał mi moje miejsce, właśnie najlepsze, upatrzone.

— Numerowane? — podrwiwa zaborca.

— Opłacone! — dogaduje drugi.

No — jakoś się umieszczono, wchodzi model i staje na podniesieniu, przybierając określoną pozę.

— Model! hej, model! ręka prawa wyżej!

— Prawa ręka niżej!

— Głowa do góry!

— Głowa nadół!

Model jest obrażony. Cóż to chcą od niego? nie jest z drzewa, ani z gipsu, niech sobie panowie innego modelu szukają.

— Cicho no! model nam ucieknie.

Model nie uciekł, jakoś każdy znalazł wreszcie swoje miejsce. Chwila ciszy i skupienia, ogólnego natężenia uwagi.

Niebawem jednak — posłuchajmy: kilka młodych, świeżych głosów nuci jakąś popularną piosenkę, kilku kolegów wiedzie zajadłą dysputę. Cegliński z filuternym uśmiechem

rzuca cięte uwagi i przycinki — poważny Maleszewski basowym głosem mityguje zbyt ostre spory.

— Franek! gwizdź! Franek! — odzywają się głosy z różnych stron sali.

Franek Kostrzewski, młody, ładny, smukły blondynek, zwiija usta w trąbkę i gwizdże, ale jak gwizdże! jak ptak, jak flecik, cieniuje muzykalnie, ślicznie. Cichnie sala, milkną spory, słuchają koncertu.

— Panowie! profesor!

Franek urywa w pół tonu, a na najwyższym stopniu amfiteatru ukazuje się profesor rzeźby, Hegel — twórca posągu „Syreny“ na Starem Mieście. Obchodzi zwolna swoich rzeźbiarzy i pracownice udziela im wyjaśnień. Niżej, między malarzami krąży Rafał Hadziewicz. Cicho w sali, tylko węgiel skrzypi po papierze, i rozlega się poważny głos profesora.

— Rysunek — panowie — rysunek! — słychać co chwila.

W salach obok, gdzie młodzi uczniowie rysują gipsowe ornamenty i figury, krąży portrecista zdolny, Ksawery Kaniewski, gdzie indziej Marcin Zaleski kładzie w głowy zasady perspektywy, gdzie indziej jeszcze „kują“ anatomję i historję sztuki.

Pracują poważnie, w skupieniu. Hadziewicz zrzadka rzuca słowo zachęty, częściej ostrą naganę. Cisza też pełna niepokoju panuje wśród młodych artystów, gdy ten mistrz surowy obchodzi pracownię. Ale zato, gdy w którejkolwiek z sal ukaże się stary, kochany Piwarski, jak na komendę uśmiechają się wszystkie usta i oczy zwrócone na dobroduszną, pogodną, promieniającą twarz „pana profesora“. A i cieszyć się mieli z czego. Jeśli to była pogodna jesień lub wiosna, wiedzieli, iż wnet rozlegnie się wesoły głos:

— No, chłopaki, dalej! na świat! na słońce!

Piorunem spakowano farby, pendzle, ołówki i albumy, i „cyganerja“ rusza w świat. Czasem niosą ich łodzie na Saską Kępę lub do Tarchomina, czasem nogi własne na Bielany lub do Wilanowa. Wracają z tekami pełnemi studjów, z oczyma i duszami pełnemi słońca.

Cóż to jest za uczelnia? Kto są ci młodzi pracownicy? Do czego dążą? Co chcą zdobyć?

Uczelnia — to Szkoła Sztuk Pięknych w Warszawie, założona w r. 1844 staraniem zasłużonego artysty malarza, Kokulara, a uczniowie? o! to garść zapaleńców, marzycieli, romantyków. Gdzie chcą iść? — do słońca! Co chcą zdobyć? — wieniec sławy! Co dać krajowi? — wszystkie siły młodych ramię i dusz pełnych zapału. Dać wszystko — brać niewiele, bo i cóż mógł im dać kraj w niewoli, i społeczeństwo, które dość kosem okiem patrzy na rozwichrzoną gromadkę?

Cyganerja! — to pół żartobliwe, pół pogardliwe imię przylgnęło do nich. Roilo się też od nieszkodliwych figlów w wesołej, niefrasobliwej gromadce. Stróże porządku publicznego z niepokojem śledzili przeciągającą „cyganerję“, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy im przyjdzie chęć sięść, na przykład, wierzchem na lwach kamiennych przed pałacem namiestnikowskim, kiedy, ku uciesze przechodniów, przemaszerują ulicą połączeni wieńcem serdelków — kiedy w pogodną noc uchylą się lufciki, i zaspane mieszczuchy, klnąc przerwany sen, będą zmuszeni wysłuchać serenady do księżycy.

Tak bywało w chwilach wolnych. W godzinach szkolnych pracowano gorliwie. Niem mało ich też tam było, tych młodych zapaleńców, niem mało imion, które potem zabłysły jasnym światłem — Brodowski, Gerson, Kostrzewski, Kurella, Pillati, Tegazzo, Lerue, Gierdziejewski i wielu, wielu innych — przesunęło się przez obszerne sale szkoły.

A ich nauczyciele? Oni, jak ci ojcowie, co troszczą się o swoje dzieci, żeby je godnie wychować, sztuce i krajowi na pociechę, jak owi ojcowie, co radują się, że ich praca, ich umiejętność nie zginie, zagon ukochany chwastem nie zarośnie — krzątają się, zabiegają, gromadzą koło siebie młodzież, która chce życie sztuce poświęcić, cieszą się, że są tacy, co po nich spuściznę wezmą.

A spuścizna to była ani tak świetna, ani potężna, jaką nam zostawili ich następcy, ale uczciwą, sumienną pracą zdobyta, wyborną znajomością rysunku cenna.

Mieli też i swoje ambicje artystyczne. Oto Kokular wysyła na wystawę portret — głowę starca bardzo udatną, pod portretem napisano: „namalowany w ciągu czterech godzin“.

— Hadziewiczby tak nie umiał — szepcą jedni drugim w kółkach artystycznych. Hadziewicz nie ma tyle śmiałości, on wszystko wykończa, przekończa, wypracuje pomału, poprawia bez końca.

— Czy tak? Tak mnie sędzicie? — myśli pan Rafal — otóż pokażę, co umiem — i wnet zjawia się na tejże wystawie studjum głowy w stroju średniowiecznym, namalowane szeroko, z rozmachem i, wedle podpisu, wykonane odrazu, bez żadnych przeróbek i poprawek.

Takie to oni sobie urządzali szlachetne pojedynki, artystyczne turnieje.

Turniej! i wnet nasuwa się myśli taki sobie wesoły, dowcipny obrazek, wykonany przez jednego z najzdolniejszych uczniów szkoły, Henryka Pillatiego. Zatytułował go „Turniej“, walka, współzawodnictwo kolegów po pendzlu. Więc Gierdziejewski w szlafroku i konno godzi w Brodowskiego, który wdział pancerz na frak, Gerson spada z konia, Lerue leży plackiem na ziemi, Pillati sam potyka się z kolegą na szpady, krawiec



PILLATI HENRYK

ROZEJŚCIE SIĘ NARODÓW

dopasowuje pancerz Kaczorowskiemu. Inni godzą w siebie nożami malarskimi i kulami bilardowymi, rannego Kostrzewskiego wnoszą koledzy, bo zemdłał ze strachu i gubi papierozy, stosowany kapelusz i drewnianą szabelkę. W głębi potykają się też panowie profesorowie — Suchodolski, Lesser, Kaniewski, Zaleski.

Po paru, po kilku latach nauki idą w świat młodzi ochotnicy — na pracę, na własne życie, idą uzbrojeni w umiejętność, w zapał i wiarę w swe siły, i oto na uczczenie tej chwili zjawia się drugi obrazek tegoż autora p. t. „Rozejście się narodów“. Widzimy tu tę samą gromadkę, która to wędrowała z Piwarskim i studjowała pilnie przy Kazimierzowskim pałacu, jak rozchodzi się w różne strony świata. Istotnie — jechali wtedy jedni do Paryża, inni do Rzymu, inni jeszcze do Monachjum. I znów mamy tu szereg scen humorystycznych.

Oto Kostrzewski, który się młodo ożenił, wiedzie za sobą osiołka, na którym jedzie żona z synkiem na rękę. Gierdziejewskiego niosą djabli do piekieł. Szermentowski, Pillati i dwóch jeszcze kolegów idą za gwiazdą przewodnią... na bilard. Inny zmyka z zapasami marchwi i buraków na plecach, ile, że się też ożenił i zapasy dla rodziny gromadzi.

Wesoło i komicznie wygląda to rozejście się na obrazku. Inaczej bywało w życiu. Rozeszli się istotnie, rozjechali na różne losy, na różną dolę. Bywali na wozie i pod wozem, czasem jadali, a czasem nie, czasem był dach nad głową, czasem jeno strop niebieski, niejeden padł zmożony chorobą lub biedą. Nie czekali też laurów i złota zagranicą. Dokształcili się tam, douczyli i wrócili do kraju. Niejedno z tych imion zginęło w „zapomnienia fali“, niechże jednak wspomnienie o tych pracownikach przetrwa w pokolenia, o tych, co uczciwie, pracowicie przeorywali zagon polski pod przyszłą siejbę, pod przyszłe złote polny.

I tak trwało. Co rok szkoła wysyłała w świat nowy zastęp pracowników, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, przez jej pracownię przesunął się ich szereg niemały, jak — malarz dekoracyjny Strzałecki — kościelny — Buchbinder, Kamiński, Szerner — twórca kościoła Zbawiciela w Warszawie — Dzie-



PILLATI HENRYK

SZYNK NA STAREM MIEŚCIE

koński, autor pomnika Mickiewicza w Krakowie — Rygier, Dukszyńska, Brzozowski, i wielu, wielu innych.

Zmieniali się i profesorowie, wchodzili nowi, jak Lesser, Suchodolski, pejzarzysta i szczerzy przyjaciel młodzieży artystycznej — Breslauer.

Trwali, póki tej ważnej placówki artystycznej nie zmiotła burza narodowa 1863 roku. Garść zapaleńców zapaleńcami została, pendzel ich zmienił cel, zamiast krajobrazów i studjów z modela — malowano teraz orły i pogonie, a gdy przyszła chwila, gdy inni jeszcze politykowali, „cyganerja“ pierwsza wyszła na ulicę ze sztandarami i pieśnią podniosłą na ustach, gdy trzeba było, poszła się bić, ginąć i marnieć na wygnaniu.

I to był kres istnienia Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, zamknął ją rząd rosyjski. Kres to był pełny chwały i narodowej zasługi — zaszczytny, jak śmierć na polu bitwy.

FRANCISZEK KOSTRZEWSKI

1826—1911

Było to około 1844 roku.

„Właśnie tylko co ze złapaną ziembą i czyżykiem, w chustce do nosa uwięzionemi, powrócił do domu gwiżdżący chłopiec“.

Za chwilę z drugiego pokoju wszedł z pocziwą, ale za-kłopotaną twarzą szpakowaty jegomość i, zażywwszy porządnymiuch tabaki, tak zaczął:

— Mój Franku, ja się martwię, co z tobą dalej robić, a ty jakby nic. Albo rysujesz, albo gwiżdżesz, albo włóczysz się po lesie... Co z ciebie będzie?

— Mój kochany ojcie, co ze mnie będzie, sam nie wiem, ale do szóstej klasy na drugi rok nie pójdę za nic na świecie!

— Zacząłeś, za mojem staraniem, w kancelarji fabrycznej aplikację. Nawet z początku chwalił cię dyrektor, że ładnie piszesz, i cóż? Licho nadało, że na marginesie jakiegoś raportu wyrysowałeś ogromny zadarty nos. Dyrektor poznał, że to jego nos — i wypędzili cię sromotnie. Co ja nieszczęśliwy z tobą zrobię!

Franek poskoczył do ojca, pocałował go w rękę i rzekł:

— Ja muszę być malarzem!

Tym chłopcem, zamieszkującym dworek wiejski w Krakowskiem, pokój, gdzie ściany zagryzmołone były szkicami przeróżnemi, w których przeważały typy polskie ludowe i małomie-

szczańskie, był Franciszek Kostrzewski.

Ów namalowany nos zdecydował o jego losie. Niebawem po tej znamiennej rozmowie z ojcem, szosą radomską toczy się bryka ładowna, budą płócienną na obręczach osłonięta, a z budy uśmiecha się



KOSTRZEWSKI

WYJAZD DO SZKOŁY

do świata, do słońca, do topól i wierzb przydrożnych, do wszystkiego wreszcie, różowy, roześmiany buziak „Franka“, błękitne oczy radośnie rozglądają się po szerokim świecie, a zwinięte w trąbkę wargi gwizdzą prześlicznie piosenkę za piosenką.

Niewiele też czasu upłynęło od chwili, gdy „familijna“ bryka dotrząsała się do Warszawy, gdy do Szkoły Sztuk Pięknych przybył nowy uczeń; zasiadł wnet do pracy przejęty wielce ważnością chwili, boć oto klamka zapadła — ma być malarzem. Niby też to wszystko dobrze a jednak.. coś gnębi i dręczy, wokoło same obce twarze, gdzie kochane Bartki i Maćki! Gdzie pocziwe, znane twarze! Gdzie wieś polska, szkapy narowiste, rudy arendarz i karbowy z czerwonym nosem!

Znikły jak sen, a przez ciche sale przesuwają się surowy Hadziewicz, jak złowróźbna Pytja, rzucając wyroki swoje. Ciasno tu i duszno radosnej, wesołej duszy chłopca, z uciechą też wita koniec zajęć i, gwizdząc jak ptak, zbiega ze schodów.

— Jak ty ładnie gwizdzesz — odzywa się kolega Petzold — a gdzie ty mieszkasz?

— Właściwie to ja nigdzie jeszcze nie mieszkam. Zostałem w hotelu na Grzybowie kuferek i nie wiem, co dalej robić.

— Wiesz co... mieszkaj u mnie; tanio ci wypadnie, i będzie nam wesoło... Chcesz, to chodź zaraz.

— A dobrze — i poszliśmy.

Ot i znajomość zawarta. W młodości to prędko idzie. Wnet też kółko się powiększyło, znaleźli się koledzy, życzliwi, zniewoleni jasnym usposobieniem, pogodą Franka. Pełen werwy i humoru talent chłopca zastanawia i zjednywa mu profesorów, zwłaszcza Piwarski szczególniejszą otacza go opieką. Bo jakże? Wszakci to jego następca rośnie. Wprawdzie on to jakoś w inny sposób dworuje z zapitego chłopka, z chytrego żydka lub zafrasowanej Magdy. Inaczej — ale niegorzej, a nawet... Toć to życie aż tryska z tych szkiców chłopca, którymi zapełnia albumy, brzegi rajzbretów, każdy świstek papieru.

Rysunki Kostrzewskiego zaczynają sobie wyrabiać markę, coraz to ktoś nabędzie jakiś obrazek, akwarelkę, rysunek. Kilka lekcji rysunków dają też jaki taki zarobek, żyje się

różnie, to lepiej, to gorzej, jak wypadnie, ale mimo to: „Choć to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie“ twierdzi „Franek“ i zupełnie poważnie, obserwując milionera ze skwaszoną miną, zapytuje:

— „Poco on to wszystko ma, i co mu z tego przyjdzie?“
Przyszło lato, z niem upragnione wakacje.

„Wiele czasu spędzałem z wędką na stawie, w gęstych tatarakach, łowiąc ryby na różne sposoby. O, bo gdy dzień piękny, bez wiatru, jest coś czarującego w tych zarosłych stawach“.

Te zachwyty młodzieńcze, te dni słoneczne, księżycowe noce odbijają się żywym echem w obrazach Kostrzewskiego.

Tymczasem jednak, po powrocie do Warszawy, trzeba zarabiać na życie, jak można i czem można, więc malowaniem drobnych obrazków, portrecików a nawet — szyldów, aby tylko znaleźli się tacy, coby je zamawiać chcieli. Miewał też z temi zamówieniami różne kłopoty młody malarz.

Oto pan majster szewski, mieszkający naprzeciwko pracowni Kostrzewskiego, chce mieć piękny but na szyldzie, uszyje za to parę prawdziwych butów panu malarzowi. Propozycja nęcąca, ile że brać malarska nierzadko bez butów chadzała.

Z zapalą zabiera się Kostrzewski do roboty. But prześlicznie się przedstawia: zgrabny, wysoki, lśniący, ma i cień rzucony na podłozę, ile, że jest bryłą nieprzezroczystą, ma i światła połyskowe wyraźnie, ostro zaznaczone — wszystko wedle zasad, obowiązujących w Szkole Sztuk Pięknych.

Ale pan majster ma swoje własne zasady.

— Jakto! — protestuje, wskazując jasne światła na bucie — czyż ja robię buty z dziurami? Poco, proszę, te białe plamy?

Trzeba było światła zamalować.

— Mój Boże — pisze Kostrzewski — wielu ja potem takich szewców spotykałem, uchodzących za znawców i protektorów sztuki!...

Kiedy indziej oto — z Gersonem, Olszyńskim i Ceglińskim idą na pieszą wędrowkę po kraju. Różne tam były w tej dro-

dze przygody; dotarli wreszcie do Ojcowa i ku zdumieniu miejscowej ludności, kalkulującej, „co te mizimetry opisują“ — rozeszli się po dolinie i, rozłożywszy skrzynki malarskie, zabrali się do roboty.

„Dnia pewnego, do zaglądającego mi przez plecy Wicka, mając na kolanach otwarte pudełko, w ręku owalną paletę, odezwałem się:

— Cóż, mój przyjacielu, podoba ci się to?

— A które? czy to kwadratne (to widok, który malowałem), czy okrągłe? (to była paleta z przygotowanymi farbami). Zdaje mi się nawet, że więcej mu przypadła do gustu paleta, niż studjum“.



KOSTRZEWSKI MALARZ I WICEK

Niełatwo, nielekko snuło się wówczas życie młodych artystów. Z radością też witają nowy pomysł jednego z kupców, posiadających skład papieru. Oto kupiec otwiera u siebie rodzaj wystawy i sprzedaż obrazów. Więc jest gdzie pokazać Warszawie swoje prace, jest je gdzie zbywać!

I wnet Kostrzewski ani się spostrzegł, jak stał się ulubieńcem Warszawy. Obrazki jego, typy, podobają się powszechnie.

— Ah, to Kostrzewski! — mówią przygodni widzowie, uśmiechając się do tych widoków scen rodzajowych, postaci, typów, bo doprawdy wszyscy to są ich bliscy, dobrzy, kochani znajomi.

Kostrzewski, humorysta, umiał być i lirykiem. Dwóch w nim było ludzi.

Oto „Powrót z jarmarku“, taki grzęznący w błocie polskim wóz chłopski, zaprzężony w woły, muzykanci na wozie, Boża męka u rozstaju.

Oto „Odpust“¹⁾.

¹⁾ W zbiorach Tow. Z. Szt. P. w Warszawie.

Jakaś zagroda, plebanja, szkołka
I stare drzewa koło kościółka...

Siedzą grupy wieśniaków i wieśniaczek, kupią się przy rozstawionych kramach, rozsiedli się śpiewający i grający żebracy. Ież tu typów! Od fireyka miejskiego, nadskakującego panience, do zażywnego dziedzica i statecznego gospodarza. — Oto „Powrót od chrztu“ z przejętymi ważnością chwili kumami i rznięciami od ucha muzykantami. Oto „w polskim lesie“ przysiadł żebrak staruszek, jakaś Magdzia czy Kasia sypie mu jagody do kapelusza, a bosonogi Jasiek zagapił się na staruszkę, aż usta otworzył od ucha do ucha.

A wszystko to na tle polskiego krajobrazu — brzóz, sosen i wierzb pochyłonych, gdzie:

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żyłasty,
Kędy bieleą płótna wesołe niewiasty.

Kostrzewski niezwykle żywo wyczuwał krajobraz polski i życie ludu polskiego. Wszystko jest u niego znane nam i swoje, od Magd i Bartków, od zagapionych Jaśków do wiejskich Kruczków i Brylków, ujadających zażarcie, strzygących kosmatymi uszami, od szeregu chłopskich zagród, brzoźowych gajków, do rozmiękłych dróg i śmietnisk z grzebiącymi kurami.

To swojskość wsi polskiej. A miasteczko, a Warszawa?

Gdybyśmy tak obejrzeliby dawne roczniki *Tygodnika Ilustrowanego*, *Kłosów*, *Biesiady*, co parę numerów niemal natrafilibyśmy na rysunki podznaczone cyfrą F. K. Prosto tysiące szkiców rzucanych lekko, od ręki.

Pismo sobie z rąk wydzierano, zapytując z gotowym już na ustach uśmiechem:

— Co tam nowego pan Franciszek wymyślił?

A pomysły sypały się jak z rękawa.

Ulicznik warszawski, kawaler wyfraczony i wyfryzowany, bankier z grubym brzuszkiem, handełes pejsaty, przekupka zamaszysta, uczeniak, zatabaczony profesor — a do każdego obrazka jakiś żart, koncept wesoły, dowcipny, zabawny.



KOSTRZEWSKI FRANCISZEK

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

ODPUST

Któż te dopiski komponował? Któżby, jak nie pan Franciszek, nieoceniony, niewyczerpany pan Franciszek?

A nie darował nikomu, młody czy stary, mądry czy głupi, pan majster z warsztatu czy pan hrabia z pałacu, wszyscy dostawali się pod ołówek pana Franciszka.



KOSTRZEWSKI

TYP

Śmiano się z „pana doktora“, „pana barona“, „pana profesora“ — śmiano się z siebie samych w uciesznych rysunkach Kostrzewskiego. I nikt się nie gniewał — kto by się gniewał na pana Franciszka, który, jak ptak wędrowny, przejeżdżał z miejsca na miejsce, ze dworu do dworu — ze swoim pogodnym uśmiechem i teką pełną rysunków?

— „Ludziska wolą śmiać się, niż nudzić — mawiał — i stąd wynikło powodzenie tych moich pośpiesznych malowidełek“.

Tak, malował i rysował pośpiesznie, najczęściej z pamięci, bez modelu. Złe to było, czy dobre, Bóg jeden wie! Każdy może być tylko tem, czem być może.

Wiedział o tem Kostrzewski. Czuł, że obrazy jego nie zawsze wytrzymują miarę artystyczną, czuł ten brak i skarżył się na niego.

— „Ile razy starannością dokładałem, zawsze nietęgo na tem wychodziłem. Obrazy moje nie mogłyby wytrzymać surowej krytyki“.

Nie mógł być innym, więc dobrze, że był takim, jakim był, humorystą bez zjadliwości, bez żółci, bez złośliwości — uśmiechem polskiego malarstwa.

* * *

Na dwóch krańcach Polski, w jednym prawie czasie, bo w ostatnich chwilach przed samą rewolucją 1831 r., urodzili się dwaj polscy artyści, jednym i tem samem ochrzczeni imieniem — Franciszek Tega — lwowianin rodem i rodem warszawianin — Franciszek Tegazzo.

Innemi jednak drogami poszło życie onych dwóch „Franków“, jak ich w poufalej gwarze koleżeńskiej zwali towarzysze pracy.

Tegazzo całe życie prawie spędza w rodzinnej Warszawie przy pracy zarobkowej, ciężkiej i żmudnej — Tępa buja po świecie, zbiera wrażenia, jak pszczoła miód z kwiatów.

Zdolności Franciszka Tegazzy ujawniły się wcześniej, — przypadkiem. Oto malca jedenastoletniego zabrano do teatru na operę „Robert-Djabeł“. Chłopiec patrzył uważnie — tak, więcej podobno patrzył, niż słuchał, a wróciwszy do domu wyrysował, co widział, ze zdumiewającym życiem i prawdą. A potem warszawska Szkoła Sztuk Pięknych, Akademia Petersburska, coraz szerzej rozwinięte do lotu skrzydła i... jak kule ołowiane, ciągnące je ku dołowi, obowiązki rodzinne, troski, kłopoty, chora żona i dzieci. Zmaga się z temi trudami życia codziennego, upada i podnosi się, pendzel i ołówek nie ustają w pracy, coraz to inny obraz religijny wychodzi z jego pracowni, coraz jakiś drobny rysunek ukazuje się w piśmie ilustrowanem lub książce.

— Czemuż tylko obrazy religijne, czemu tylko rysunki? — zapytacie.

Ha! bo za to płacono, bo na chleb zarobić było trzeba; talent poszedł w twardą służbę życia codziennego. Jeszcze jedna piosenka smutna, jak dzień jesienny.

Od r. 1868 w redakcji *Tygodnika Ilustrowanego* widnieje szczupła sylweta artysty, pochylonego nad rysunkiem na drzewie dla drzeworytnika, który je dla *Tygodnika* pracowicie wyrze.

— Ah, to Tegazzo! — mówił każdy warszawianin z przed lat kilkadziesiątu, gdy jeno cyfrę F. T. pod rysunkiem zobaczył.

Tegazzo był dobrym znajomym całej ówczesnej czytającej Warszawy.

I tak przez lat jedenaście z punktualnością zegarka zasiada Tegazzo przy swoim biurku kierownika artystycznego *Tygodnika*, ilustrując pozatem długi szereg książek dla dzieci i młodzieży — szeregi powieści do pism rozmaitych.

Pędzi go życie, potrzeba, obowiązek ciężą na barkach, niszczą przedwcześnie. Zaledwie pięćdziesięcioletni, w sile wieku męskiego, sterany już, schorowany, ledwie mogąc w drżącej ręce utrzymać ołówek, do ostatniego technienia służy sztuce i krajowi.

* * *

A drugi z „Franków”? O, życie Tepy innem płynęło korytem.

Oto równiny Palestyny, wypieczone słońcem, zasypane gruzowiskiem kamieni, oto ruiny Akropolu, błękitne zatoki u greckich brzegów, i gdzie jeno piękniej załamują się cienie, gdzie żywiej gra słońce, gdzie cudniejsze, gorętsze refleksy, tam zasiada młody podróżnik i, rozłożywszy akwarelowe przybory, chwytą tę naturę na gorącym uczynku, a protektorzy

jego talentu: hr. Potocki i Mann z radością śledzą zadziwiające postępy, jakie czyni młody artysta i współtowarzysz ich niezwykłej podróży.

Kiedy indziej pociąga go twarz, postać ludzka, charakter jej, wyraz, i z pod pendzla wychodzą portreciki akwarelowe, pełne życia i charakteru.

Wypodróżował się też i przedtem już, pracując kolejno w Monachjum i Wiedniu, a po owej wschodniej podróży w Paryżu.

Czy znacie ten portret?

— O, tak! — odpowie wielu z czytelników. — To portret

Mickiewicza, tyle razy widywany w książkach.

Znacie? Więc przyjrzyjcie mu się raz jeszcze i zobaczcie, ile Tepy, autor tego portretu, wlał w niego wyrazu, ile subtelnego wykończenia, jakie dał ciekawe światło, zboku padające na profil poety.



TEPA FRANCISZEK

MICKIEWICZ

A nabiedził się też nad nim Tępa, nabiedził niemało, próbując rozmaicie, i akwarelę, i kredę, i ołówkiem, wszystkim razem wreszcie. Cóż dziwnego, niełatwa to rzecz odtworzyć rysy człowieka, około którego wiję się aureola geniuszu, wielkości, natchnienia.

Mnóstwo portretów i portrecików wielkich polskich ludzi, jak historyków: Lelewela, Szajnochy, malarzy: Kossaka i Grottgera; a prócz tego ile podobizn ludzi mniejszych i zupełnie małych? ilu ich unieśmiertelnił swemi ślicznymi akwarelami? Jedne były poważne, inne wesołe i żartobliwe, jak ów wystrojony kolega Löffler w roli „motyla uniwersalnego“.

I tak żył, pracował w rodzinnym swym Lwowie, nie chcąc go opuścić dla najkorzystniejszych propozycji, chociaż niedostatek i zapomnienie, jak dwie złe mary, coraz częściej jawiły się w ubogim i coraz uboższemu schronieniu artysty. I nawiedzają go tak długo, póki trzecia, najsilniejsza z nich — śmierć nie uniosła go w krainę ciszy i spokoju.

* * *

Jedna ze znanych artystek malarek na zapytanie, jakie dzieło malarskie najżywiej pamięta z lat dziecińczych — opowiedziała, co następuje:

— „Pierwszy obraz, który żywo, bardzo żywo zajął moją dziecięcą wyobraźnię, to był ten, który od lat najwcześniejszych pamiętam wiszący na ścianie, w domu rodziców moich, naprzeciw mojego łóżka. Około tego obrazu snuły się całe historie w mojej dziecięcej głowie. Najpierw zainteresował mnie biały pies, wyjący na zgliszczach domu, potem zaraz tulący się do płaczącej matki czy siostry mała dziewczynka w zielonym kabaciku. Później dopiero zajęły mnie postacie „starszych“. Co myśli ten siwy starzec, wsparty na ramieniu wyrostka? czemu matka płacze? Czemu ze zgrozą chwytą się za głowę sługa, prowadzący objuczonego konia? O obrazie tym snułam bez końca historie przeróżne, niebywałe, coraz to inne. Znacznie później dopiero, przeczytawszy pod obrazem podpis „Powrót po napadzie Tatarów“, powiedziałam sobie: „aha! tak,

więc to to“, i wyobraźnia przestała pracować — już wiedziałam wszystko.

Poznanie się na tem, iż postacie są doskonale narysowane, wyrazy postaci i twarzy prawdziwe i szczere, koloryt harmonijny — miało przyjść jeszcze później, jak również i to, iż autorem obrazu jest malarz polski Leopold Löffler“.

Obok tego zajmującego obrazu stoi drugi, z którego też można odczytać z łatwością całą opowieść — na ten raz — radosną.

Oto „Powrót z jassyru“¹⁾. Na tle staropolskiej komnaty zebrana cała rodzina, pełna radosnego uniesienia. Do ojca, powróconego z niewoli, cisną się wszyscy z powitaniem, klęczy mu u nóg rozradowana żona, o fotel oparty patrzy uśmiechnięty stary ojciec, rozwartymi ramionami obejmuje go mały synek, a pies wierny liże rękę pana. U drzwi zakonnik, który wykupił jeńca, opowiada przygody, które w drodze przeszli.

Dwa obrazy, dwa odmienne tematy, jeden smutny, drugi radosny, inna treść — wykonanie równie staranne i opracowane.

A teraz popatrzmy; ten może najładniejszy, chociaż niby taki prosty, codzienny — „Kwestarz“. Wizyta kwestarza, staruszkazakonnika, którego rodzina przyjmuje gościnnie i serdecznie. O! nie trzeba tu tłumaczenia, obraz sam się tłumaczy, zwróćmy tylko baczniejszą uwagę na twarz i wyraz młodego zakonnika, który ze smutkiem i wzruszeniem patrzy na siedzące na ziemi dziecię. Coś on myśli, coś wspomina, ale co?

Obrazy Löfflera, których jest dość dużo, mówią, opowiadają nam rzeczy smutne i wesołe, pokazują nam ludzi różnych, każą się domyślać różnych myśli, które krążą w tych malowanych głowach. Ludzie Löfflera żyją i czują, a to jest bardzo wiele.

Starożytna Wszechnica Jagiellońska obchodzi w r. 1864 jubileusz rzadki, jubileusz pięćsetletniego istnienia swego. Wszystko, co miał kraj najznakomitszego, zgromadziło się w Kra-

¹⁾ Zbiory Tow. Zach. Szt. Pięk. w Warszawie.



LÖFFLER LEOPOLD

KWESTARZ

kowie i we Wszechnicy i na tę chwilę wielką wygotowało Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych dar dla Wszechnicy krakowskiej. Oto portret króla Jagiełły, odtworzony podług starych pomników i malowideł, jego twarz sucha i zwiędła pod królewską koroną — dzieło Löfflera, w bogate ujęte ramy, zdobi do dziś salę Collegium Novum.

Im dalej w lata zachodzi Löffler, tem mniej go zna publiczność, zwiedzająca wystawy bieżące. Znają go zato liczni uczniowie krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, którym imponuje stary profesor wyborną znajomością rysunku i głębokiem umiłowaniem sztuki.

WOJCIECH GERSON

1831—1901

W latach, kiedy nad Warszawą rozpalila się burza dziejowa, cichy dworek przy ul. Żelaznej w Warszawie zamieszkiwała rodzina Gersonów. — Ojciec był pochodzenia francuskiego, matka z niemieckiej rodziny pochodziła, mimo to, gdy przyszedł czas, poszedł ojciec, poszli i stryjowie do wojska polskiego, by walczyć za kraj, który już za swój uważali.

We dworku została matka z drobnymi dziećmi, z których młodszy Wojtuś ledwie kilka miesięcy liczył wówczas.

Przeszła burza — przeszły i lata; z pomiędzy gromadki dzieci ów mały Wojtuś od dzieciństwa odznaczał się dziwnymi i odmiennymi upodobaniami.

Oto lubił stawać przed lustrem i, dojrawszy w niem swoją dziecięcą twarzyczkę, okoloną bujnemi lokami, wpatrywał się w nią z upodobaniem, uśmiechając się, marszcząc brwi, przechylając głowę na prawo i lewo. Kiedy indziej znów, wzięwszy pustą ramkę od obrazka, stawał z nią przed zwierciadłem i „udawał“ obrazek. Trochę się dziwiono, trochę śmiano z chłopca, ale ostatecznie dziwna ta zabawa nikomu nie przeszkadzała.

Kiedy chłopiec dobiegł pięciu lat, uznano, iż należy bujne loki ostrzyć „po męsku“. Chłopiec nie bronił się. Był ciekaw. Kiedy jednak po dokonanej operacji spojrzął w lustro, wybuchnął płaczem i, chowając twarz w dłonie, uciekł z pokoju. Długo szukano dziecka, aż wreszcie znaleziono je wciśnięte w kąt i zanoszące się od płaczu.

— Czego płaczesz? Co ci się stało? — nalega matka.

Chłopiec nie odpowiada.

— Czyś sobie co zrobił? Powiedz!

— Jaki ja brzydkii!... jaki ja brzydkii!... — wyjąkał wreszcie chłopiec, zasłaniając szczelnie twarz.

Śmiano się i wzruszano ramionami. Skądże mogło przyjść komu do głowy, że w tem dziecku pokutowało już wszechmożne poczucie piękna?

W parę lat później zabrano kiedyś malca na wystawę. Z wielką uwagą przyglądał się obrazom. Stanąwszy jednak przed jednym, przedstawiającym małego chłopca, począł wykonywać jakieś niezwykle ruchy głową i ramionami, aż dziwne te ewolucje zwróciły uwagę towarzyszącej mu matki.

— Co ty robisz, Wosiu? — zagadnęła zaniepokojona.

— Nic — odparł chłopiec — ja tylko próbuję, czy mógłbym tak głowę wykręcić, jak ten chłopiec na obrazie, ale nie mogę.

Była to, doprawdy, najostrzejsza i najtrafniejsza krytyka, jakaby mógł usłyszeć autor nieudanego obrazu.

Bystra spostrzegawczość malca i wielka łatwość rysunkowa zwróciły wreszcie uwagę rodziców. Ojciec zaprowadził dwunastoletniego chłopca do znanego artysty malarza, Kokulara, przedstawiając mu syna i prosząc o radę. Kokular dał trudny wzór konia i polecił przerysować go, powiększając



znacznie. Po kilku dniach powrócił ojciec z synem i skończonym rysunkiem.

Popatrzał Kokular i potrząsnął głową.

— To nie ty sam rysowałeś — zagadnął. — Kto ci pomagał?

— Nikt! — odparł chłopiec — sam rysowałem.

— To nie może być, za dobrze narysowane na twoje lata.

Dopiero przedsięwzięte nowe próby przekonały Kokulara, że istotnie chłopiec ma bystre rysownicze oko i wprawę techniczną, którą niewiadomo kiedy i gdzie nabył.

Od tej chwili los dziecka był zdecydowany. Uczęszczał do szkoły, kształcąc się równocześnie w rysunku, a po ukończeniu średniego wykształcenia wstąpił do ówczesnej Szkoły Sztuk Pięknych pod kierunek Piwarskiego i Zaleskiego. Z tych dwóch nauczycieli pogodny, rodzajowy malarz Piwarski był ulubionym mistrzem Gersona.

Sama szkoła nie wystarcza Gersonowi, nie wystarcza też i innym młodym zapaleńcom. Ciągnie ich natura żywa, stare zabytki, krajobraz polski, lud w swoich malowniczych strojach.

Przychodzi lato, więc dalej w świat! Węzełki na plecy, albumy rysunkowe, ołówki, farby — i w drogę!

I chodzili tak wędrowcy-malarze: Gerson, Olszyński, Kostrzewski, Cegliński. Gerson chodził co rok, koledzy zmieniali się. I tak, od miasteczka do miasteczka, od jednej wieży kościelnej do drugiej, od ruin do ruin. Nocowali... ach, Boże! ktoby się tam o nocleg troszczył, gdy się ma 18 lub 20 lat! Nieprawdaż, młodzi czytelnicy? A więc spali, gdzie się dało, w chałupie, stodole, czasem na plebanji, czasem w zajęździe; tam — rzadziej, bo przecież studenci chude mieskali.

Zatrzymywano się tam, gdzie było ładnie, gdzie było co rysować lub malować.

Zapełniały się albumy, zapełniały się głowy i serca nowymi wrażeniami.

Nie brakło też i przygód, a nie brakło ich dlatego, że wówczas młodzież nie podróżowała tak wygodnie, jak my dzisiaj. Nie było kolei. Trudno to sobie dziś wyobrazić, a jednak tak było. Zabierali się więc wędrowcy to na wózek chłopski — to na żydowską furmankę, czasem podpłynęli tratwą, najwięcej

jednak na własnych jechali nogach. Czasem bywało i chłodno, i głodno, czasem brano ich za włóczęgów i osadzano w kozie.

Nic to! ale co zebrali na tych wycieczkach, złotem dziś nie opłacić.

W gruz się rozpadły ruiny, spłonęły kościoły i pałace, pozmieniały się stroje ludu naszego, a w tych albumach zostały pamiątki tego, jak to kiedyś w Polsce było od Warty do Bugu i Niemna, od Drwęcy po góry Świętokrzyskie i Tatry.

Całą Polskę i Litwę zeszedł Gerson z kolegami swymi, zapoznał się z ludem polskim, jego ubiorami, i oto z pod jego ręki wychodzi szereg obrazków p. t. „Ubiory ludu polskiego“.

Zbiór ten posiada dziś każde muzeum i wysoko go ceni, bo drugiego takiego niema dotychczas.

Po ukończeniu Akademji Sztuk Pięknych w Petersburgu i studjach w Paryżu doszedł Gerson już do zupełnej pewności ręki i oka, i rozpoczyna się dla niego okres pracy twórczej, gdzie znowu lud polski i krajobraz polski jest ulubionym tematem jego obrazów.

„Jak rzewnie, serdecznie — pisze Józef Chełmoński — jest pomyślany obraz „Pożegnanie z koniem“. Chłop wyprowadza na pole konia, zabiedzonego do ostatnich granic, ażeby go tam, jako do pracy niezdatnego, zostawić. Wierny pomocnik chłopca, koń, jakby wszystko rozumiał, z ciężką boleścią ogląda się za swym panem“.

Oj, dudni woda, dudni,
Da, w cembrowanej studni.
Oj, zakochać się łatwo,
Da, odkochać się trudniej!

Stara, krakowska przyśpiewka widnieje na ramie obrazu — na którym śliczny chłopak wiejski nalewa wodę z wiaderka do dzbana, trzymanego przez hożą dziewczynę (w Tow. Zach. Szt. P. w Warszawie). A potem „Dziewczyna z kurą“, „Góral“ idący po śniegu za chlebem. A oto „Dzieci góralskie“ i wnętrze chaty: młody góralczyk zabawia dzieci, puszczając ruchome światło z lusterka. A dzieci, jak dzieci, gonią ułudne światelko. Niedawne to czasy, gdy i wy, czytelnicy, zabawialiście się może w ten sposób.

„Pamiętam — pisze znów Chełmoński — że kiedyś widziałem w pyle leżący w pracowni Gersona mały, niedokończony obraz, który pozostawił po sobie w mej duszy jakieś tak bardzo długotrwałe wrażenie... Z rozkoszą go sobie przypominam, jako widzenie czegoś bardzo niezwykłego... Na obrazie, o którym mówię, namalowany był zasuty śniegiem cmentarz. Dziad, oparty na łopacie, ma zakopać trumienkę dziewczynki wiejskiej, która wygląda w otwartej trumnie jak kwiat zmrożony. Było w tym obrazie coś strasznego, bolesnego dla serca...”

A potem i inne: „Odpoczynek w szałasie“ górali tatrzańskich, „Dziewczyzna na grzybach“, „Kościołek wiejski“ i wiele, wiele innych.

*

„Któż z jego uczniów (a były ich liczne setki) — pisze Popowski — nie pamięta dotychczas tego szczególnego, uroczystego nastroju, jaki panował w jego pracowni, zastawionej mnóstwem płócien, od małych aż do olbrzymich, zapchanej stalugami, odlewami gipsowymi, zbrojami, kostjumami... Mocny, charakterystyczny zapach farb olejnych i żywic — przykry może dla niepowołanych — ale nozdrzom malarskim znajomy i miły, przesycił to obszerne ustronie czwartego piętra. W tej atmosferze przebywał Gerson od rana do wieczora — przynajmniej przez wszystkie wolne od obowiązkowych i społecznych zajęć chwile — malując, rysując, pisząc lub czytając, najczęściej malując aż do szarej godziny, gdy zapalono lampy, i gdy schodzili się jego uczniowie.

„Wchodzili cicho na palcach do pierwszego pokoju, wiedząc, że tam w drugim, w głównej pracowni, przy staludze pracuje profesor. Szeptem wymieniali uwagi między sobą, śmielsi zbliżali się ku drzwiom pracowni, za tymi inni, i wkońcu cała gromada, w pewnem trzymając się oddaleniu, stała za plecami Gersona, który, często nawet nie spostrzegłszy ich obecności, porwany zapałem, malował, choć zmierzch wieczorny gasił już siłę farb. Zatrzymując oddech, wpatrywali się w tajemnicę powstawania dzieła...”



GERSON Z UCZNIAMI

ALCHIMOWICZ — OWIDZKI — SZWOJNICKI
WYCZÓŁKOWSKI — PIECHOWSKI — PIOTROWSKI ANTONI

„Wkońcu zatrzymał się Gerson, odwracał swą zapłoną podnieceniem twórczem twarz, piękną twarz mądrego i szlachetnego człowieka, okoloną srebrzystą grzywą długich, bujnych włosów, i wesołym skinieniem głowy witał swych uczniów. Przytem systematycznie składał pendzle i zmywał paletę, odwracał do ściany stalugę i chętnie wdawał się w rozmowę, czy to o nowych obrazach na wystawie, czy też na jaki inny ze sztuką związany temat“.

Z czasem w przerwach między pracą, lub po skończonej pracy, Gerson wydobywał wielką tekę, mówiąc:

— Teraz pokażę wam dzieła samych tylko wielkich.

I przed oczyma uczniów przesuwaly się podobizny prac Rafaela, Leonarda da Vinci, Luiniego, Andrea del Sarto, Rembrandta.

Kiedy indziej rozkładał im atlasy anatomiczne i objaśniał budowę człowieka.

Kiedy indziej znów stawano gromadką przy oknie, a Ger-

son, korzystając z widoku na ulicę, uczył, jak obserwować naturę, niebo, drzewa, odległe budowle, ruchy ludzi i koni.

Tak było, póki „majster“ był w pracowni; niechno się jednak ruszył, a drzwi zamknął za sobą, wnet z poza stalug i rajsbretów błyskały wesołe oczy, strzelały łobuzerskie spojżenia.

— Poszedł „majster!“, poszedł! — i wnet też sypią się żarty i dowcipy, ktoś cicho gwizdże, ktoś pośpiewuje.

Wysoki, o bystrych oczach Piotrowski, spokojny Piechowski, maleńki, żywy jak iskra Owidzki, cichy, zamknięty w sobie Litwin, Alchimowicz, i współrodak jego, niby do kontusza i szabli stworzony, Szwojnicki, Wyczółkowski o ostrych, suchych rysach — to jedna z najdawniejszych grup młodych malarzy.

Wciąż też zgłaszają się nowi, podczas gdy najdawniejsi, Maszyński i Chełmoński, już zagranicą sił swych próbują.

— Czy nie boisz się pracy? — zapytywał Gerson każdego nowowstępującego — bo zawód malarza trudny jest i pracowity.

Pracowano też sumiennie w szkole Gersona — uczniowie żywali się ze sztuką, z pracownią i ze swoim „majstrem“. Przychodzili nieraz po radę i pomoc, wielu uboższych kształciło się bezpłatnie, o ile tylko okazało się, iż mają istotne zdolności.

Wszystko, co dotyczyło „ich szkoły“, interesowało ich szczerze. Oto Gerson się przeprowadza, przeprowadza więc i pracownię, i całe ich uczniowskie gospodarstwo, jakżeby oni nie mieli w tem wziąć udziału? Zbiera się tedy cała „malarja“. Oni „majstra“ przeprowadzą!

I oto idą triumfalnym pochodem przez ulice Warszawy, jeden niesie figurę gipsową, drugi głowę klasyczną, trzeci obraz, inny lampę, inni jeszcze zwoje papierów i rysunków, stalugi, teki, cóż ich to obchodzi, że zdumieni przechodnie zatrzymują się i oglądają za tym dziwacznym pochodem.

Nie obywa się i bez pustoty.

Oto już wyniesiono na podwórze część mebli, gdy wtem kilku młodych podnosi wielki krzyk i lament.



GERSON WOJCIECH

JADWIGA I DYMITR Z GORAJA

— Człowiek się zabił! człowiek się zabił! wyleciał z okna! — wołają.

Zbiega się wnet tłum, patrzą, istotnie na sofce leży postać ludzka nieruchoma, twarz czarniawo-żółta przeraża martwością.

— Nie dotykajcie! nie zbliżajcie się! — wołają malarze, obstępując sofkę i odsuwając ciekawy tłum.

— Laboga! jak to szerniał! — wrzeszczy jakaś kumoszka.

W oknach domu ukazują się ciekawe głowy — ktoś uderza w płacz, ktoś inny woła policji. Nadbiega zziębnięty rewirówy, rozpycha tłum i urzędowym krokiem zbliża się do nieboszczyka...

Na sofce leży manekin drewniany, naturalnej wielkości, którego Gerson używał przy malowaniu ubrań.

Rewirówy klnie, „malarja“ nie posiada się z uciechy.

No, ale wreszcie przeprowadzka odbyła się szczęśliwie, i w nowej, obszernej pracowni znów gromadzą się zastępy uczniów, co rok wzrastające w liczbę, przybywa też i oddział kobiet malarek, jak Bilińska, Klass-Kazanowska, Biernacka, Dułębianka, Stankiewiczówna, i młodsze pokolenie malarzy: Ryszkiewicz, Masłowski, Stanisławski, Słupski, Piątkowski, Popowski, Rapacki... tyłu, że już nie na dziesiątki, ale na setki rachować można tych, co przewinęli się przez pracownię Gersona i Szkołę Rysunkową warszawską, której był profesorem.

Był też niejako ojcem duchowym całego zastępu malarzy polskich, z których wielu zabłysło jako gwiazdy pierwszej wielkości.

*

Ta wielka praca nauczycielska nie przeszkadzała Gersonowi pracować jako artyście malarzowi. Każdą wolną chwilę poświęcał malowaniu, tworzeniu.

Przez jego pracownię przesuwwały się kolejno obrazy rozmaitej treści. Więc „Krzyżacy w Polsce“, porywający kobietę Słowiankę. Więc „Warszawa“, dająca opiekę sztukom, naukom, rzemiosłom¹⁾. — „Krzyżaków“ i szkic do plafonu widzimy za-

¹⁾ Plafon w sali Tow. Kred. Ziems. w Warszawie.

wieszzone i ustawione w pracowni Gersona. Więc dalej: „Cień Barbary“, wywołany przez Twardowskiego, i Zygmunt August, wyciągający ręce do ukochanego widziadła, i „Syreny“ — jako symbol Warszawy ¹⁾, obraz potrójny, uosabiający „Syrenę herbową walczącą“, „Syrenę miłosierną“ i „Syrenę bawiącą się“. Uosobienie tego, czem umie być Warszawa. Wielki obraz „Powrót jeńców“ ²⁾, malujący chwilę owego powrotu z niewoli litewskiej za Kazimierza i Aldony. To żywe „wiano królowej“



GERSON WOJCIECH

KOPERNIK WYKŁADAJĄCY W RZYMIE

przeprowadza się przez rzekę graniczną... Na wzgórzu widać mury starego zamczyska, a na brzegu polskim uwolnieni padają na kolana i całują ziemię ojczystą, witają opuszczone rodziny.

A oto młodzieńca „Królowa Jadwiga“ z toporem w dłoni w chwili, gdy przemocą chce się wydobyć z zamku krakowskiego. O wrota zamkowe oparty stoi Dymitr z Goraja, starzec nieustraszony, który nie waha się oprzeć królewskiej woli i su-

¹⁾ W klatce schodowej Ratusza w Warszawie.

²⁾ Muzeum Narodowe w Warszawie.

rowem słowem przypomina obowiązki panującego. U boku Jadwigi dwór strwożony i pomieszany, młody paź tylko chwytą ciekawie porzucony list, przez Wilhelma królowej przysłany.

Są i typy z naszej zamierzchłej przeszłości. — Oto „Mieszczka krakowska“ z wieku XVI-go. W czepku bogatym, w sukni haftowanej, w łańcuchu na szyi. Mieszczka urodziwa, strojna, uśmiechnięta powabnie, taka, jakich setki widywały w szczęśliwych, złotych czasach mury starego Krakowa.

I jest tych obrazów ilość niezliczona, a między niemi jeden, może najpiękniejszy — to „Kopernik“, wykładający swoją teorię w Rzymie.

Słucha polskiego uczonego cały świat wielki ówczesnego Rzymu: i Ojciec Święty, i Cezar Borgia, i Michał Anioł, i piękny starzec Leonardo da Vinci, i znakomity architekt Bramante. Skupienie, uwaga, wątpliwość a nawet niedowierzanie malują się na twarzach słuchaczy.

Wiele chwil historii naszej przedstawił Gerson w obrazach swoich.

Ale oto przychodzi lato, śnieżne szczyty Tatr różowią się w słońcu, a między dzikimi turniami w smrekowych lasach zakłada Gerson swoją pracownię. Wielu z nas zna Tatry, zna te cudne dolinki, najeżone skałami z szumiącymi potokami na dnie, one skalne kotliny, gdzie...

Z pośród fantastycznej rudych skał oprawy
Zielonemi oczami patrzą ciche stawy...

A one szczyty czarne, połamane, przetkane płatami wiecznych śniegów, a one mgły, włóczące się po turniach! Wszystkie te cuda utrwał Gerson na swoich obrazach, pierwszy niemal z malarzy polskich, który piękno Tatr naszych tak prawdziwie na płótno przenosił i mówił, jak to:

Dzkie, zębate wichry strzelają w niebiosa,
Niby olbrzymie maszty wszechświatowej nawy;
W dali w przepaść zagłąda limba czarnowłosa,
Wysłuchana w szum huczącej, jak burza, siklawy.

A niełatwa to rzecz malować krajobraz, który, jak pisze jeden z przyjaciół Gersona: „malowało naprzemiany słońce zło-



WOJCIECH GERSON W PRACOWNI

ciste, chmury błękitne lub czarne, gęsta mgła, lub powietrze przezroczyste. Nie można było nic z tych piękności pochwycić, i zdolni byliśmy tylko powtarzać jako machina: jakie to piękne! cudowne!

— I okrutne! — dodał Gerson, chowając do kieszeni album, w którym szkicował owe cudności tatrzańskie. — Niepodobna — mówił prawie zrozpaczony — nie złapać na gorącym uczynku; ja udaję, ja kłamię, myśląc, że to, co rysuję, podobne jest do tego, na co patrzę...

A jednak żaden z malarzy polskich tak piękności Tatr wybornie nie odtworzył, jak on.

— „Nie znam Tatr — mówił Chełmoński, przyglądając się długo i uważnie krajobrazom Gersona — ale to musi wyglądać tak właśnie, bo jest tak doskonale malowane“.

Olbrzymia wprawa malarska, jakiej nabył Gerson jeszcze

w młodości, pozwalała mu wykonywać mnóstwo obrazów, krajobrazów, obrazów religijnych. Znał też malowanie ścienne, freskowe, i wiele obrazów wykonał na sufitach lub ścianach gmachów publicznych i prywatnych. W sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie jest pięć obrazów na suficie, obrazów alegorycznych, uosabiających „Trzy sztuki“, „Poezję“, „Naukę“, „Zapał“ i „Równowagę“.

Zwłaszcza postać „Nauki“ — „przedstawia tak jasno, na ile stać malarstwo, czynność ludzkiego umysłu, którego rezultatem jest Nauka“ — pisze Witkiewicz. Postać ma „twarz zamysłoną i wątpiącą, rękę wyrażającą wahanie się, badanie, roztrząsanie“.

Jedną z ulubionych postaci Gersona był Jan Sobieski. Malował go kilkakrotnie. Jużto sadzącego drzewka w Wilanowie, jużto żegnającego się z rodziną przed wyprawą wiedeńską, jużto przyjmującego posłów, proszących o pomoc dla Wiednia — wreszcie odpoczywającego w gronie rodziny na tarasie wilanowskim, podczas gdy jacyś cudzoziemscy poeci wygłaszają poematy na jego cześć. Poważnie i spokojnie wysłuchuje król-bohater wymyślnych madrygałów, więcej w guście królowej Marysieńki, niż jego napisanych.

W czasach niedawnych jeszcze, gdy wyrazy „Polska“ i „Litwa“ niezawsze mogły być wymawiane, a tem bardziej — pisane, powstał też obraz, przedstawiający dwie postacie kobiety w żałobie, splecione ze sobą ramionami, wpatrzone smutnie w przestrzeń. Obraz ten nosił tytuł „Siostry“, bo nie można było podpisać tak — jak podpisać możemy dziś, tak jak go autor rozumiał. Siostry — Polska i Litwa!

Poza obrazami historycznymi, krajobrazami, ileż obrazów religijnych, rozproszonych po całym kraju. Oto w Warszawie jest ogromny obraz „Chrzest Chrystusa“ w kościele Wszystkich Świętych, a w ołtarzu głównym tegoż kościoła wielka grupa „Wszyscy Święci“. A oto patron Litwy, młodziutki Św. Kazimierz“, w ubraniu królewicza i z lilją świętego.

Dość powiedzieć, iż liczba prac malarskich Gersona dosięgła olbrzymiej cyfry, bo przeszło pięćset obrazów w ciągu

życia swego namalował, a pomiędzy nimi były takie, na których umieszczał po kilkadziesiąt postaci.

A ilustracje do książek, a studia i rysunki w albumach! Gdyby to wszystko zebrać, to liczba tych drobniejszych prac doszłaby na pewno do kilku tysięcy sztuk! Poprostu trudno to sobie wyobrazić, zwłaszcza że Gerson podejmował jeszcze mnóstwo prac pobocznych, pisał o sztuce, założył, wraz z innymi artystami, Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie; trudno uwierzyć, iż jedno życie na tyle starczyło.

Starczyło jednak, starczyło nawet na niegasnący nigdy do ostatnich chwil życia zapal do sztuki i tworzenia, że, jak pisze Popowski: „rozpinał coraz to nowe olbrzymie płótna, ledwie mieszczące się w pracowni... wspinał się po schodkach malarskich ku górze i tworzył, tworzył nieustannie. I zastałem go raz wtedy przypadkiem w pracowni jego o zmierzchu (przez niego narazie niepostrzeżony), jak, zszedłszy ze schodków, usiadł sobie na stopniu z twarzą, zaróżowioną od pracy, i sypał okruszyny myszom, co ufnie ze wszystkich kątów pracowni zbiegły się do stóp jego. On się do tych małych, domowych natrętów uśmiechał i gościnnie chlebem z nimi się dzielił. Było to na parę lat przed jego śmiercią“.

I tak do ostatnich chwil życia trwał na posterunku, „miłość do ojczyzny, dla sztuki, dla życia przepełniała go i była motorem jego czynu“.

Zmarł w Warszawie, „której był wiernem dzieckiem, i która była przez niego nadewszystko ukochaną. Bo znał w niej on każdy kamień i jego historję, i każdy kamień, godny miłości — kochał“.

* * *

W szkole malarskiej w Krakowie, około r. 1845-go, cisza panuje, jakby makiem siał, jeno od stalug do stalug lecą spojrzenia filuterne, jeno czasem szept tak cichy, że ledwie go ucho pochwyci.

Że milczy poważny i spokojny Matejko, to nic dziwnego, ale jaka siła powstrzymuje tryskającego życiem Grottgera, pełnego animuszu młodego Suchodolskiego, Andrzeja Grabowskiego

i tyłu, tyłu innych? Jest tak cicho, jak w kościele, znużony model drzemie na swoim podjum, a gromada uczniów pracuje w grobowem milczeniu.

A „siła“ krąży po sali, rzucając od czasu do czasu to karzące spojrzenie, to srogą naganę, to skąpą pochwałę.

Ta siła, trzymająca na uwieży młode temperamenty, to zasłużony już czterdziestokilkoletni dyrektor szkoły — Wojciech Statler.

Drży skóra na każdym z uczniów, gdy dyrektor stanie za jego plecami i wzrok surowy skieruje na rozpoczętą pracę. Niejeden z mniej pewnych siebie opuszcza pendzel, jakby urzeczony i obezwładniony. Kto tam zresztą jest pewny swego, gdy surowe oczy Statlera przesuwają się po rysunku lub malowaniu, śledząc, dobywając każdy błąd, każdą usterkę. A jak często słowa jeszcze nie powie, a uczeń już sam:

— Jestem osioł dardanelski — myśli ze szczerą desperacją — tu błąd i tam... tu kolor do diabła, tu rysunek do niczego...

Tak sugestyjnie działają oczy profesora. Słów też pada niewiele, najczęściej krótki, zwięzły nakaz:

— Rób, jak widzisz.

Aha, właśnie! Łatwo to powiedzieć, trudniej wykonać. Pocą się też i biedzą, a dyrektor nieubłagany wymaga więcej i więcej.

Czasem znów wśród skupionej ciszy rozbrzmiewa poważny głos Statlera:

— Kto chce odtworzyć wiernie niepojęte cuda, ukryte w tajemniczym łonie przyrody, powinien być czysty w duszy i sercu, powinien naturę ukochać.

Czyż nie kochali jej ci młodzi zapaleńcy? Czyż ich tego uczyć było trzeba?

Zaiste, nie! kochali ją, tylko inaczej może. Zamiast na modela w sztucznem oświeceniu pracowni, woleli patrzeć na rozświetlone brzegi Wisły, na poganiającego woły oracza, na wylegujących się w trawie pastuchów, na kraśne kiecki i białe sukmany krakowianek i krakowiaków.

Więc zbiegali z pracowni i szli w świat szeroki szukać tej innej natury.

Ale Stattler nie ustępuje, stoi twardo na straży szkoły, którą z wysiłkiem wielkim własnymi barkami dźwignął z upadku. Więc stoi nieugięcie, twardą, mocną i pewną dłońią wiodąc za stępy młodych.

Twardą — a jednak...

Oto jeden z uczniów, kolega i przyjaciel Grottgera, Grabowski, noce spędza na pracy zarobkowej, malując, co się nadarzyło, obrazy „na łokcie“ dla okolicznych włościan; dniem — znużony, licho odżywiany, z wysiłkiem i trudem wielkim pracuje w szkole, ganiony nieraz surowo przez dyrektora za zbyt małe postępy.

I oto zdarzyło się, iż, wyczerpany do ostatka, zasypia twardo przy rozstawionych stalugach wtedy, gdy szczęśliwsi współkoledzy wyszli z pracowni na południowy wypoczynek i na obiad. Nie słyszy też cichych, zbliżających się kroków. Nad uśpionym biedakiem staje dyrektor Stattler. Obrzuca szybkim spojrzeniem zmizerowaną twarz chłopca, porzucony obok kawał suchego chleba, liche odzienie, i surowa twarz obleka się wyrazem głębokiego współczucia. Pracownia przylegała do mieszkania Stattlera, który, wyszedłszy na palcach, wraca po chwili z żoną i synami.

— Oto los młodego malarza w Polsce! — mówi ze smutkiem, wskazując wynędzniałego chłopca.

Od tej też chwili serdeczną opieką otacza Grabowskiego, dopomagając mu w jego kłopotach życiowych.

Ilu też to było takich „Grabowskich“; większość żyła jak ptacy niebiescy, niewiadomo za co i niewiadomo czem. Szczerze współczuł im dyrektor, wspominając swój dziesięcioletni pobyt na studiach we Włoszech, w tym błogosławionym kraju artystów. Tęskni też do niego i od czasu do czasu powraca do Włoch, niby do drugiej ojczyzny swojej, by pracować tam samodzielnie, tworzyć własne dzieła.

Jedno z tych dzieł zjednało mu uznanie ówczesnych znawców sztuki: jest to wielki obraz p. t. „Machabeusze“¹⁾. Obraz,

¹⁾ Własność Muzeum Narodowego w Krakowie.



STATTLER WOJCIECH

MACHABEUSZE

doskonały w rysunku, jasno tłumaczy oną chwilę biblijną, gdy zrozpaczona, pół omdlała matka, podtrzymuje zwłoki swego dziecięcia.

Gdy Stattler wyjeżdżał, na jego miejsce stawał w szkole krakowskiej — Władysław Łuszczkiewicz.

„Był to człowiek wysokiego wzrostu, o miłej twarzy i pięknej figurze, z usposobienia łagodny; z uczniami, jeżeli na to zasługiwali, postępował po bratersku“ — pisze ktoś ze współczesnych.

Za Łuszczkiewiczem przepadali uczniowie, a on życie całe wkładał w swą pracę nad nimi.

A młodzież poza szkołą pracowała po swojemu. W pracowni Suchodolskiego gromadzili się koledzy. Był między nimi Grottger, Grabowski i inni; schodzili się i pracowali samodzielnie. Może niezbyt chętnie patrzył na te próby Stattler, zato serdecznie pochwalał Łuszczkiewicz, odwiedzał młodych w ich schronieniu artystycznym, zachęcał szczerze, chwalił otwarcie.

— Oto siedzicie tutaj i pracujecie bez rezultatów — ma-

wiał do innych uczniów w szkole — a oni czynią znakomite postępy.

Stattlera młodzież szanowała i obawiała się, Łuszczkiewicza — kochała.

I tak kwitła ta szkoła artystyczna, zmieniali się dyrektory i profesorowie, ustępowali jedni, wchodzili drudzy, zmieniali się i uczniowie, przesunął się ich szereg niemały. Prócz Matejki i Grottgera pracowali i uczyli się w niej Gryglewski, Löffler, Kotsis, Łuszczkiewicz — z dawniejszych — z późniejszych: Krzesz, Wodzinowski, Jacek Malczewski, Żmurko, Wyspiański, Mehoffer, Ajdukiewicz; z rzeźbiarzy Celiński, Madejski i wielu innych.

Plon to bogaty i zaszczytny.

Do dziś stoi ta placówka sztuki polskiej, dziś już we własnym pięknym gmachu, pełna chwalebnej tradycji, a na froncie widnieje biust Matejki — jej byłego ucznia, a potem długoletniego dyrektora.

* * *

Smukłe gotyckie kolumnienki biegną ku górze, nikną w mroku strzelistych sklepień, wiążą się, splatają, krzyżują. Surowe, szarawe wnętrza gotyckiej świątyni, pleśń wieków czepia się nagich ścian i filarów. Powaga, surowy majestat minionych stuleci, a w końcu kościoła, jak klejnoty, migocą witraże trzech wielkich okien, a w ołtarzu, jak wizja nieziemska, wyzłocony, wykolorowany ołtarz Stwoszowy.

Tak wyglądał niegdyś kościół Marjacki w Krakowie, takim go nam w obrazie swoim zachował Gryglewski.

Na stalugach jeszcze stoi ono wnętrza czaru pełne, gdy staje przed nim kolega artysty, młody, dwudziestoletni wąły chłopiec, o mizernej twarzy i gorejących oczach. Wpatrzył się w to ciche wnętrza, myśl jakaś błysnęła pod wypukłym czołem, sięgnął po pendzel, i wnet na marmurowej posadzce kościoła jawią się klęczące, schylone kornie, zamodlone postacie ludzkie. Drobne figureczki wyborne w rysunku i wyrazie. I nie dziwnego, toć-że wykonała je ręka przyszłego twórcy „Skargi“

i „Grunwaldu“, związanego z Gryglewskim więzami szczerej przyjaźni.

Tak tedy powstało jedno z tych „wnętrz“, które raz po raz rzucał w świat ten pracowity, cichy artysta.

Tak; cichy był, milczący, zamknięty w sobie, może dlatego, iż życie go nie oszczędzało i powiodło po nim twardą dłońią.

Oto w małym miasteczku galicyjskiem tuła się i boryka z biedą. Dusza mu się rwie do sztuki a bieda gnębi, odbiera siły. Energji jednak i zapału zmóc nie może. Krok po kroku dźwiga się biedny, grosz za groszem zdobywa ciężko, krwawo i wreszcie promień słońca — Kraków! nareszcie jest w Krakowie!

Jak skarbnica niewyczerpana rozwarły się przed oczarowanym chłopcem podwoje Wawelu i kościoła Marjackiego, przemówiły marmury, ciche swe tajemnice wyszeptwały mu grobowce i sarkofagi, uśmiechnął się słoneczny rynek z Sukienicami.

— Tu, albo nigdzie! — zdecydował. I został, za dach mając strop niebieski, a za pożywienie coraz nowe zachwyty nad krakowskimi cudami.

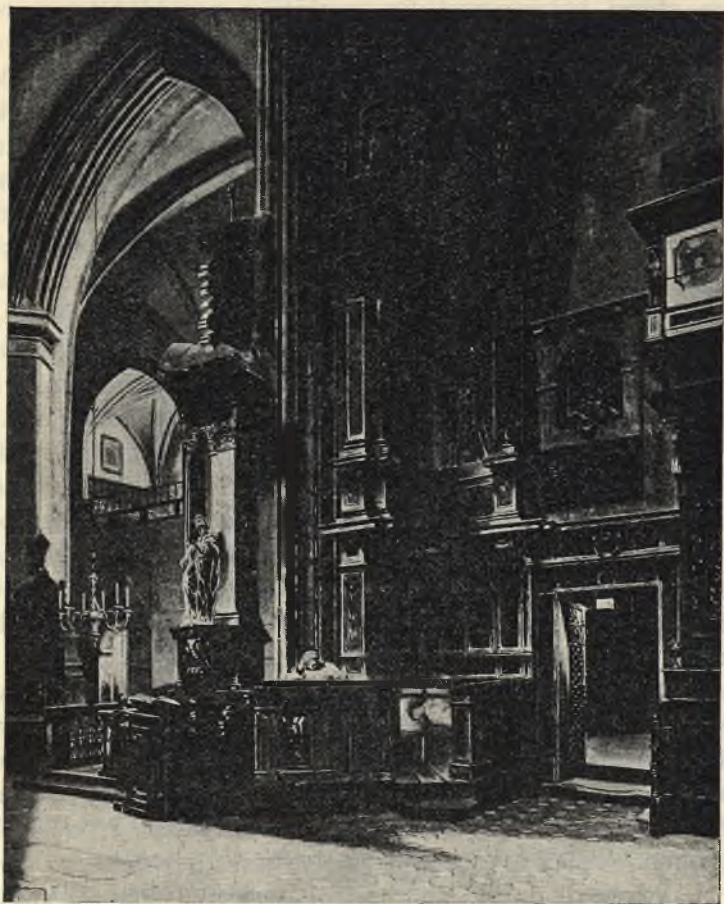
I znów promień słońca. Jakaś dobra dusza, jakaś przyjaźnie wyciągnięta ręka, i oto szczyt marzeń: krakowska Szkoła Sztuk Pięknych, stary Stattler, poczciwy Łuszczkiewicz, koledzy, ich dążenia i zachwyty.

— Człowiek! jego dusza, jego zapały, uczucia! — woła swymi obrazami młody Matejko.

— Dusza mrocznych kaplic i komnat zamkowych, dusza pałacowych salonów, mowa murów, w których duch ludzki mieszka, w których żyje, cierpi, kocha i umiera! — mówi swymi obrazami Gryglewski.

I doprawdy — mówi, a raczej szepce zeicha, jak balladę, jak baśń dawno zapomnianą.

Spojrzymy na obraz Gryglewskiego, zapomnijmy o tem, co nas otacza, wnuknijmy okiem w tę głąb zacisznej kaplicy lub w złociste komnaty Sobieskiego w Wilanowie, „w których pachnie prawie jeszcze *larendogra* robronów królowej, a w po-



GRYGLEWSKI ALEKSANDER

WNĘTRZE KOŚCIOŁA MARJACKIEGO

wietrze jakby drgały z przed paru wieków słabe brzęki karabeli Jana III, po posadzce stukającej, i odgłos jego ciężkiego, potężnego kroku“. Albo i on zamek w Podhorcach: „Groza jakaś i pustka wieje z tych komnat hetmana Koniecpolskiego, Lubicze jego błyskają ponuro na czarnych, marmurowych odrzwiach, głucho tam, i powietrze zatęchłe od półtora wieku z górą, a czeka się tylko, czy nie przemknie na tle słodkich madonn Czechowicza i między spłowiałe meble postać zło-

wroga starej hetmanowej Rzewuskiej z przekleństwem rodu na ustach¹⁾).

A one salony w Łazienkach i w Zamku warszawskim, gdzie światło igra po atlasach i aksamitach, iskrzy się w kryształowych żyrandolach, ślizga po lśniących posadzkach. Wpatrzmy się dobrze, a może wśród ścian odwiecznych na obrazie Gryglewskiego ożyją postacie dawne, może na parkietach Łazienek menuetowym krokiem przesunie się dwór „króla Stasia“, a w mrokach Wawelskiej katedry ukażą się duchy pancernego rycerstwa.

Ulicami odwiecznego Gdańska przesuwają się nieraz, pochyłony nie wiekiem, ale jakąś ciężką zgryzotą przytłoczony artysta krakowski. Z trudem dźwiga swoje pudło malarskie, niechętnie rozkłada swe przybory, z twarzą znużoną i zgnębioną bierze się do ulubionej dotychczas pracy. Niechętnie wychodzi z domu, niechętnie doń wraca, chociaż na progu witają go radośnie dwie małe córeczki. — W chwilach zadumy, jak żywa, staje mu w oczach zgasła niedawno żona, którą ukochał całą mocą swej zamkniętej w sobie natury, całą tęsknotą do chwil dobrych, jaką przeżył w swej smutnej młodości.

Co dnia jednak, mocą przyzwyczajenia, sięga po malarską skrzynkę i dąży do ratusza gdańskiego, gdzie śmiało rzucał podnaczył już wewnątrz t. zw. „czerwonej sali“, co dnia jednak niesie go krok mniej pewny, biedny desperat przemyka chyłkiem pod murami, rzucając wokoło trwożne i podejrzliwe spojrzenia.

I przyszedł dzień, że rozstrój nerwowy dobiega szczytu. Nagły obłęd czepia się nieszczęsnej głowy, nagły obłęd spycha go z okna ratusza na bruk uliczny.

* * *

Na zielonem wzgórzu, obrosłem dzikimi krzewami i zielonem przeróżnem, wznoszą się malownicze ruiny zamku bodzentyńskiego; to oświetlone łuną zachodu, to mające groźną,

¹⁾ Mycielski.

tajemniczą sylwetą w błękitnych zmierzchach, to znów ociekające jesienną ulewą.

Jakiegolwiek są, czy wesołe pod jasnym słońcem, czy ponure pod kłębiącymi się chmurami, czarem swej dzikiej malowniczości ciągną oczy młodego, kilkunastoletniego chłopca, którego najmilszym zajęciem jest wałęsać się godzinami wokoło zwalisk i, zasiadłszy przy drodze, nad rzeką, gdziekolwiek, szkicować: jużto one zwaliska, jużto pochyłe nad rzeką wierzyby, jużto — zapuściwszy się szerszym kręgiem — faliste wzgórza kieleckiej ziemi, płot krzywy koło chaty, krzyże przydrożne, zórawie studienne. Milsze mu jednak nad wszystko nie one osłonecznione pola, ale raczej wieczorne, chmurne zmierzchy, mgłami otulone świąty, szarpane wichurą bezlistne drzewa. Nic to, że deszcz jesienny jak szpilkami kłuje, nic to, iż ręka kostnieje, iż mgły wieczorne do kości chłodem przejmują, chłopiec nie ustępuje i codzień przynosi do domu nowy, ślicznie wykonany obrazeczek. To „zwaliska zamku“, to „kościółek wiejski“, spróchniały i pochyły, dalej równina, równina cicha, jednostajna...

Od wczesnego dzieciństwa ukochała te pustki i mroki melancholji pełne dusza Szermętowskiego; dziś może już swobodnie oddawać się swojemu zamiłowaniu, dziś — uczeń warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych — ma obowiązek patrzeć uważnie wokoło siebie i dostrzegać i notować skrętnie; gorzej było lat temu kilka, gdy „nieznośny smarkacz“ zbiegał z domu i wracał przemoknięty, obłocony i zziębły ze swoich „artystycznych“ wycieczek. Ale tu mu los poszczęścił: zdybał go przy robocie człek rzadkiej kultury i znajomości rzeczy — Tomasz Zieliński.

— Chcesz być artystą malarzem? — zagadnął.

— Tak! — odparł bez wahania chłopiec.

I oto wolno mu bez przeszkody obiegać swe rodzinne strony, zapuszczać się w głąb kraju i szukać w nim piękności w krzywych płotach obejść chłopskich, w pochyłych krzyżach wiejskich cmentarzy, w przydrożnej kapliczce wśród brzoź i topoli. W obrazach Szermętowskiego niemniejszy czar miała pół-

rozwalona chałupa na pustce, jak groźne i dramatyczne ruiny zamku biskupiego.

W pracowni na rue Truffaut w Paryżu, nad stalugami, na których stoi rozpoczęty obrazek, pochyla się wymizerowana, okolona sutemi zwojami włosów, twarz malarza smutnych pustek i mroków. Od lat już kilkunastu bieduje w tem rojowisku europejskiem Józef Szermętowski.

„O czym tu marzyć na paryskim bruku...“ O! Szermętowski wie, o czym marzyć. Cóżto za obrazek przed nim? co przedstawia?

Jeden to z wielu podobnych, jakie idą w świat z pracowni paryskiej polskiego artysty, a treść ich: „Młynek pod Karpatami“, „Z pod Puław“, „Brzegi Pilicy“, „Kościołek wiejski pod Krakowem“, „Brzozy“, „Wioska polska“...

Więc jakże to? Jak malował te polskie obrazy swoje tam, zdala, na obczyźnie? skąd brał treść, skąd materiał?

Materiały, szkice ma Szermętowski w tekach i albumach, które przywiózł z kraju; myśl, uczucie, którego tyle zamknął w każdym obrazku swoim, czerpie z głębokiej tęsknoty za krajem, z tych chwil, gdy, przymknawszy oczy, widzi, jak:

. leci zawierucha,
żywioły dzikie poczynają waśnie,
i wyją wichry, i ulewa bucha...

Te tęsknoty Szermętowskiego w świat lecą jak jesienne liście, wiatrem niesione; rozsyła je artysta po świecie, ma je w Salonach paryskich, w Rouen, w Laon, w Londynie, śle je do Warszawy, Krakowa, Lwowa.

Tęsknota za krajem niszczy go i zjada. „Nadewszystko dziś pragnę nasz kraj, nasze drzewa i wody zobaczyć“ — pisze w liście do Gersona, z którym przez ostatnie lata życia ożywioną prowadzi korespondencję. „Jak się ma Piłat i Sypek?“¹⁾ zapytuje. Każdy kolega Polak, zbłąkany w Paryżu, interesuje go żywo, sam już chory i w niedostatku przygarnia umierającego rzeźbiarza Święckiego, marząc ciągle, aby zdobyć

¹⁾ Pillati i Sypniewski, koledzy artyści.



SZERMĘTOWSKI JÓZEF

«WIATR BIEDNEMU W OCZY»

„jakaś znaczniejszą kwotę“, któraby go „z tej tu ziemi egipskiej wydobyła“.

Tak więc znowu to przekleństwo doli artystycznej — niedostatek.

„Siedzę i dłubię na powszedni kawałek chleba i oganiam się, i bronię biedzie, jak mogę“.

Śle też do kraju obraz za obrazem w nadziei zarobku nie tylko dla siebie, ale dla żony i dwojga dzieci małych. Więc pełny nastroju obrazek p. t. „Gwiazda zaranna“ — przedświt nad pustą, omgloną równiną, zatopioną jeszcze w półmrokach, w chmurach, sama jakby z chmur utkana, Najświętsza Panna z Chrystusem na ręku, gwiazdę zaranną na czole niosąca ¹⁾. A oto inny jeszcze p. t. „Wiatr biednemu w oczy“. Przed kościołem wiejskim, gdzie z poza muru wyglądają odarte z liści topole, zatrzymał się wóz z trumną biedaka; chłopiec-woźnica oczekuje na wyjście księdza, aby ruszyć dalej po roz-

¹⁾ Zbiory Tow. Zach. Szt. P. w Warszawie.

mięklej drodze, pod welonem chmur w wichry i ulewę. Ot, życie ludzkie i bieda ludzka, i, jak ten smutny obrazek, odpowiada kolejom życia artysty. Wiatr w oczy aż do samej trumny.

„Kaszel rozdziera mi piersi — pisze — i często po całych nocach nie pozwala zamknąć oczu. Stan taki wyczerpuje mnie strasznie i robi nerwowym do najwyższego stopnia. Zdaniami doktorów możnaby sobie przynieść ulgę a nawet i wyleczyć, lecz na to potrzebaby mieć pieniądze i przez parę lat jeździć do Pirenejów; nie mając pieniędzy, trzeba sobie zdychać pomału“. Tak, kaszel rozsadał piersi, szedł koniec nieubłagany. Choroba wyczerpuje wszystkie środki, nie wystarczają zasilki, przysyłane z kraju za obrazy.

„Jestem nad przepaścią! — woła z rozpaczą Szermętowski — nie wiem, jak długo będę mógł walczyć z zawistnym losem, wiem tylko, że codzień czuję mniej sił do wytrwania“.

W sierpniu 1875 roku wyjeżdża nareszcie na kurację do St. Honoré les Bains.

„Od tygodnia jestem u celu moich marzeń, a najwięcej nadziei, u źródła, które mi ma powrócić, jeżeli nie zdrowie, to przynajmniej jakie takie życie, życie, które jeszcze jest tak konieczne dla moich biednych malców!“

Przyroda francuskiego kurortu nie zadowala go, „wolę już nasze równe Mazowsze — pisze — gdzie jakaś rzeczka, jakieś stare wierzbisko, kąpiące się w niej, kiedy tu nic a nic!“

Nie dane mu było jednak zobaczyć w życiu wierzb rosochatych i mazowieckiej równi. Choroba szła; rozrywający piersi kaszel, plucie krwią, krwotoki... Dość jednak silna natura Szermętowskiego jeszcze się opiera; jeszcze walczy, jeszcze się zwleka z łóżka, maluje gorączkowo „mimo, że się na nogach nie trzyma“, rozsyła obrazy na wszystkie strony, żeby zdobyć grosz jakiś.

Wszelka pomoc nadsyłana z kraju nie może powstrzymać srożącej się choroby.

Od marca do września 1876 r. dogorywa w strasznych cierpieniach ten najsmutniejszy z romantyków polskiego malarstwa.

W różnych miastach, w różnych krajach pracowali i zdobywali sławę rodacy nasi, ale żadnego nie zapędziły losy tak daleko, jak Stanisława Chlebowskiego.

Oto widzimy go zajętego malowaniem w pracowni, gdzie z okien widać szczyty minaretów i srebrną toń Bosforu. Na ścianach pstrzą się dywany wschodnie, materje złotolite, poduszki barwne zalegają niskie kanapy.

To Konstantynopol! to miasto do dziś pełne tajemniczego wdzięku, pełne barw, słońca i zamierzchłych legend, miasto, gdzie nie trzeba obrazów malowanych, bo każdy zaułek zalany słońcem, każdy siedzący na podkurczonych nogach z nargilem w ustach Turek, każda mknąca z napół zasłoniętą twarzą niewiasta, każda opuszczona marmurowa cysterna — jest żywym obrazem.

Jednak sułtan Abdul-Azis chce mieć obrazy malowane, i dla niego to pracuje pochylony nad stalugami polski malarz; dla niego starannie czyzeluje pendzlem błyskotki, strojące głowy i szyje pięknych Arabek, dla niego dobywa błyski na atłasowych i aksamitnych, złotem szytych kaftanach paszów.

Sułtan zna obrazy Chlebowskiego! Wszakże ich cztery otrzymał w darze od wezyra Fued-paszy! Zna je, a jednak ze wschodnią podejrzliwością myśli, czy aby cudzoziemiec zdoła zadowolić jego sułtańską mość?

I oto kiedyś, gdy Chlebowski, zajęty pracą, ani zważa, co się w jego pracowni dzieje, słyszy nagle gwałtownie otwierane drzwi, tupot kilku par nóg... Wnet zaroilo się od zakrzywionych pantofli i białych turbanów, wnet też kilka par rąk porywa obraz ze stalug i unosi, pędząc co sił.

Chlebowski zostaje przed pustymi stalugami, osłupiały, z paletą w ręku, z szeroko rozwartymi oczyma i ustami. Co znaczy ten rabunek? Czy się czem naraził sułtanowi? Już niepokojące przypuszczenia przebiegają po głowie artysty. Kto wie, co się tam roi we wschodniej głowie sułtana, kto wie, co z nim, w chwili niezadowolenia, uczynić może?

Jeszcze nie zdążył ochłonać, nie zdążył myśli zebrać i nie przedsięwziąć, gdy znów rozlega się tupot nóg, wpada do pracowni ta sama czereda, obraz nieuszkodzony stawia na stalu-

gach, a zasapany basza, prędko i żywo gestykulując, tłumaczy oniemiałemu artyście:

— Jego Sułtańska Mość chce tak... Jego Sułtańskiej Mości to się podoba, a owo znów nie...

Cóż było robić? Trzeba się było zastosować do wymagań wschodniego despoty, czy były słuszne, czy nie. Porywanie obrazów ze stalug powtarzało się niejednokrotnie, tyle razy, ile razy sułtanowi zachciało się natychmiast obraz zobaczyć. Tak jednak umiał Chlebowski dogodzić swemu dzikiemu protektorowi, że oto niebawem już nie w zwykłym domu, ale na rozkaz Abdul-Azisa zakłada pracownię tuż przy boku władcy w pałacu sułtańskim w Dolma-Bagdże.

Jak w baśni Szeherezady płynie teraz życie artysty naszego. Pracownię ma jak pałac zaczarowany. Dniem słońce się ślizga po przebogatych kobiercach i niskich kanapach; wieczorem czarownem światłem goreją lampy różnobarwne, lśnią tajemniczko klejnoty pasów i naszyjników, snują się lekkie, pajęc-

cze gazy kobiecych zasłon, wszystko, co ma Wschód najwspanialszego, zgromadził Chlebowski w swojej pracowni, stąd też idą obrazy za obrazami, idą i — przepadają. Co Ildiz-Kiosk pochłonie, to już świata Bożego nie ujrzy.

Utonęły tam też obrazy Chlebowskiego, przedstawiające historję Turcji, walki zwycięskie z niewiernymi; utonął wspaniały portret Abdul-Azisa, siedzącego na białym, cudnym koniu, w promieniach południowego słońca. Zostało jednak sporo obrazów i szkiców, których nie zdołał po-



CHLEBOWSKI STANISŁAW
PORTRET ABDUL-AZISA

chwycić sułtan, lub się na nich nie poznał. Są więc pyszne głowy Arabów, janczarów, wspinałe studja broni, nabijane złotem zbroje, rzędy na konie, migocące oczkami klejnotów, Turczynki, sułtanki, przekupnie, Bosfor, cały wschodni przepych odtworzył Chlebowski w swoich obrazach.

Abdul-Azis obsypywał złotem ulubieńca, ale, jak każdy wschodni władca, chciał mieć w nim oddanego sobie niewolnika. Sprzykrzył sobie artysta tę złotą niewolę, ale wyrwać się z niej nie było sposobu, i dopiero wypadki polityczne i upadek sułtana zwracają Chlebowskiemu upragnioną swobodę.

Około r. 1876 widzimy go w Paryżu, gdzie rozpoczyna olbrzymi obraz, przedstawiający „Wjazd Mahometa II do Stambułu“¹⁾. Miał też tu możność zużytkowania całej swej znajomości Wschodu, uwydatnienia całego przepychu, całej grozy i wspaniałości jego władcy.

No, i cóż? Oto jeden krok fałszywy, jeden nieszczęsny upadek z rusztowania malarskiego wytrąca pendzel z ręki pierwszego, tak wybitnego polskiego malarza Wschodu.

* * *

Z domu zamożnego kupca i kolonisty w Ludwinowie pod Krakowem przepiękny roztacza się widok. Jak na dłoni widać wysmukłe wieżyczki kościoła na Skalce, wielką masą rysując się rozsiadłe szeroko mury odwiecznego kościoła św. Katarzyny, a dalej jeszcze wieżyczki, kopuły i kopułki przeróżne, bo wszakże kościołów nie brak w Krakowie.

Na widok ten, z dziwnem, jak u pięcioletniego dziecka, upodobaniem, oczy wypatruje mały Olek, syn gospodarza. Dziś tem uporczywiej wpatruje się w zwartą masę murów św. Katarzyny, boć oto ledwie parę godzin upłynęło, jak wrócił z wielkiej wyprawy na miasto, gdzie zaprowadzono go do owego kościoła i gdzie to z podziwem i trwogą oglądał malowidła na korytarzach klasztornych, z których jedno: „Godzina śmierci“ osobiwie mu w pamięci utkwiło.

¹⁾ Własność Muzeum Narodowego w Krakowie.

Dziecko myśli o tym strasznym obrazie, nie może nie myśleć. „Śmierć“, szczerząca zęby, przeraża go i pociąga zarazem.

Zmrok zapada. Na podłodze jednego z pokoiów błyszczy fosforycznem światłem kościotrup z kosą w ręku. Po podłodze czołga się jakiś drobny cień czarny. Drzwi się uchylają, i nagle krzyk przerażenia.

— Co to? co to? — zdyszany szept — a ciemny cień umyka w kąt pokoju.

Na krzyk zbiegają się domownicy, kto odważniejszy podchodzi bliżej. Próchno! Tak, z próchna błyszczącego ułożono to straszdyło.

— Kto to zrobił? — sroży się ojciec; matka jeszcze dygoce z przerażenia.

Żle! Trzeba wyjść z kąta i, przeprosiwszy ojca i matkę, obiecać poprawę. Nie układa też więcej strachów z próchna, zato znowu wszelkie obrazki mają dla malca urok nieprzeparty. Cóżto za święto było, gdy dziewczyna służąca otwierała swój kuferek, którego wieko od wewnątrz wyklejone było przeróżnemi obrazkami i malowankami. Wątpliwej tam one były wartości, ale dla dziecięcych oczu Olka były przesłiczne. Ile zabiegów, podstępów, kosztowało chłopca zdobycie tych skarbów! Nigdy żaden zbieracz dzieł sztuki nie doznał takiej radości, zdobywszy prawdziwego Rafaela lub Rubensa, jak mały Olek, gdy wszedł w posiadanie obrazków z kuferka jakiejś Kasi czy Rózi.

Do uzyskanych już dołączał coraz to nowe, tworząc sobie w ten sposób własną galerję obrazów.

Gdy miał około dwunastu lat oddano go do szkoły św. Barbary w Krakowie. Żeby tak miał zabłysnąć w gronie kolegów, olśnić ich — to nie. Trochę ponury, ciężki, niezawsze trafnie odpowiadał.

— Kotsis! nie uważasz, z obłoków spadłeś!

— Kotsis! o czem myślisz? nie o lekcji — pewno!

Nie, nie myślał o lekcji. Widział zato wybornie, jaki kształt mają odstające uszy kolegi z przedniej ławki; ten ma przekrzywiony kołnierzyk, a tamten taki zabawny wicherek

na głowie. Widział tysiące rzeczy, niby na nie nie patrząc, same mu się nawijały, pchały do oczu, nic na to poradzić nie mógł. Zato cyfry i formuły przedstawiały mu się jako szeregi dość zabawnych zygzaków i nic więcej. Nie rozumiał wogóle, do czegooby mu to mogło być użyteczne. Odpowiadał też niechętnie i leniwie.

Do szkoły nie było mu pilno, zato droga z Ludwinowa do szkoły nie dłużyła mu się nigdy. Bo i cóż też to widział, czego się napatrzył, idąc przez stary Kazimierz i Stradom! Mija kościoły, pleśnią wieków okryte, siedzących u krucht żebraków i baby prośbne, mijają go dążące na targ, ku rynkowi, hoże, kraśne krakowianki z tobołami na plecach, snują się żydki pejsate w chałatach atlasowych, białych pończochach i pantoflach. Drwale z piłami, przekupki, dzieci, beczące kozy! ile ruchu! ile typów! a każdy inny, każdy zajmujący. Zostają mu też w oczach i pamięci, jak żywe.

Już wie, czem chce być. Chce być malarzem!

Zato stary pan Kotsis nie chce tego wcale. Sroży się też nie na żarty. Olek będzie kupcem, jak ojciec, nic nie pomoże!

Wreszcie uproszony, ubłagany ustępuje trochę. Niech tam już chodzi chłopiec do Szkoły Sztuk Pięknych, ale to tylko tak, w dodatku do handlu.

Ale ze sztuką to tak, jak z djabłem: daj jej jeden palec, wnet całego człowieka zabierze.

Chłopiec coraz mniej myśli o handlu, a coraz więcej o sztuce. Nie wzrusza go nawet to, że ojciec osobny sklep dla niego założył. Stoi za ladą, a myśli tylko o tem, jakby to on odmawiał te wszystkie twarze, które mu się przed oczyma przesuwają.

— Nie będziesz nigdy malarzem! — grzmi nieubłagany ojciec.

— Będę! — myśli chłopiec — tak mi, Panie Boże, pomóż! Ale walka jest nierówna: nawykły do posłuszeństwa, kochający syn nie chce walki otwartej. I niewiadomo, co by było, gdyby nie pomoc niespodziewana.

Pewnego dnia do domu pana Kotsisa zapukał człek znany w świecie artystycznym Krakowa — dyrektor Stattler.

Stary kupiec nie wie, gdzie posadzić znakomitego gościa, O co idzie? Czego pan dyrektor sobie życzy?

Dyrektor prosi: niechaj nie bronią chłopcu drogi artystycznej, ma talent, może mieć i zarobek.

Machnął ręką kupiec. Taki tam zarobek! On w niego nie wierzy.

A jednak jest, nalega dyrektor; oto właśnie nabyto dwa obrazki chłopca. Wymienił sumę dość sporą.

Zdumiał się kupiec. Więc jednak to jest towar, za który płacą? Ostatnie lody pękły, i uszczęśliwiony chłopak, już jawnie i całkowicie, poświęca się malarstwu, już mu tego nikt nie broni. Sprowadza też do domu oberwańców, cuchnących cebulą żydków, obrośniętych dziadów, których z upodobaniem maluje. Już przed nim droga jasna i pewna, przy pomocy udobruchanego ojca, przy swoich rosnących zarobkach, przy stypendjach, które mu szkoła przyznaje, może pracować zagranicą, rozglądać się po świecie, szukać w nim tematów do swoich obrazów.

Świat szeroki, ale Kotsis nie w tym świecie szuka treści do prac swoich, jeno we wspomnieniach młodości, w życiu ludu polskiego, w polskim krajobrazie. Chłop, góral i polski żyd — to trzy typy, które z upodobaniem odtwarza w swoich obrazach Kotsis. Maluje je częściowo zagranicą, wywiozłszy z kraju potrzebne szkice i studia. Pracowity był i zabiegliwy w swej pracy artystycznej i nieraz widzieć go było można, jak, wyciągnawszy notes z kieszeni, przystawał na ulicy, by zanotować typ, ruch, ubiór, który go zainteresował.

Jako rezultat tej usilnej pracy, oto obrazek jeden i drugi, i trzeci. Oto zagroda wiejska z bydłem i ludźmi — taka zagroda gdzieś z Ludwinowa, czy z sąsiedztwa. Oto „Przy stępie“. Młoda, ładna dziewczyna, obłukująca ziarno w stępie, i dwoje dzieci, przyglądających się ciekawie tej robocie¹⁾. Oto „Piskłęta“. W izbie, pełnej domowego statku, jakaś babunia bardzo zajęta dobywaniem z jajek pisklątek. Dziewczynka przygląda się tej szczególnej operacji z zachwyconą minką, przygląda się też i zaniepokojona mocno kokosz. Obrazek jakby

¹⁾ W zbiorach Tow. Z. S. P. w Warszawie



KOTSIS ALEKSANDER

PISKLETA

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

przez jakiegoś Holendra malowany, tak wykończony w każdym szczególe.

Studja monachijskie przerywa śmierć ukochanej matki.

„Po jej śmierci — pisze Kotsis — liczne kłopoty i rodzinne sprawy zajęły mię tak, że mi mało czasu pozostawało na sztukę, utrudniając i opóźniając postęp co do strony technicznej, bo co do kompozycji i pojęcia, to czerpałem zawsze sam z siebie, motając na tematach ludowych własnych uczuć tkanę“.

A uczucia te były szlachetne i czyste. Malował swoich chłopów, górali, cyganów, a zawsze szukał i wybierał jakieś ich chwile lepsze, piękniejsze, boć, że każdy człowiek miewa różne chwile w życiu, i od artysty zależy, jakie wybierze, wyłowi i pokaże światu.

Z upodobaniem też malował Kotsis sceny dziecięce. Oto

„Zuch“, który z patyka i klucza zrobił sobie pistolet i celuje z niego w stronę cielęcia, ku wielkiemu przerażeniu młodszego dziecka. Oto „Mechanik wiejski“, puszczający w ruch koło młynka drewnianego. Oto „Przewrócona maślnica“, z przerażoną dziewczynką — nasrożoną babą i dzieckiem w koszulinie, uciekającym pod piec razem z królikami.

Podobnych obrazków, zawsze ślicznie wykończonych, na przeróżne tematy, namalował około 350 przez ciąg swego dość krótkiego życia. Pomysły snuły mu się po głowie bezustannie tak, że wykonywać ich nie miał czasu. Jedna myśl goniła drugą tak, że ręka myślom nadążyć nie mogła. Dużo też pozostało obrazów pozaczynanych ledwie, podmalowanych, nieskończonych.

Być bardzo może, iż ten ciągły wysiłek, ta ciągła gorączka twórcza, zmęczyła i zmąciła umysł artysty. Ledwie czterdziestoletni — zapada na straszną chorobę umysłową. Na rok przed zgonem zapomina czytać i pisać. W końcu życia ten, co mówił do świata śliczną mową swych dzieł, zapomina całkowicie mowy ludzkiej.

Dopala się płomyk świadomości i z nim razem gaśnie lampa życia.

* * *

W końcu zeszłego wieku, w żeńskich szkołach czyli — jak wówczas mówiono — na pensjach, na godziny rysunków zjawiał się nauczyciel niemłody już, z długimi, siwymi włosami i brodą.

Nieraz podczas lekcji zasiadał w ławce i, ujawszy ołówek, objaśniał. Kilka kresek, i wnet niedołężny, błady, nieudolny rysunek zmienia wygląd, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Z zazdrością patrzy ta lub owa uczennica na zręczną rękę profesora i... czuje się srodze pokrzywdzona. Oto profesor lewą ręką, w braku prawej, takie robi cuda, a ona i prawą nie może.

Brzozowski utracił prawą rękę, już artystycznie wyrobioną,

w czasie swoich studjów. I cóż? ujął ołówek lewą i, powiedziawszy sobie: „pomimo wszystko“ — został malarzem.

„Pod staremi lipami dumiał Miecznik stary...“ Znów ta kusząca artystów scena z „Marji“. Ale u Brzozowskiego nie postacie są rzeczą główną, ale krajobraz. Postacie to dodatek, a cały czar leży w tej zacienionej staremi drzewami alei, w tem świetle, padającym na otwarte przestrzenie.

Na czerwonej skale, piorunami zrytej,
Stary Czorsztyn stoi, w głębi fala pluszcze...

Ten to widok odtworzył Brzozowski na swoim obrazie. Zamki polskie, widoki Warszawy, Tatr, widoki pełne romantycznego wdzięku. Ciche, ciemne puszcze, zalane słońcem polanki, słońce przeglądające przez zarośla i liście — że aż czasem dziwić się można, jak to tak mógł zrobić, jak i czem wykonać.

Kilkaset obrazów i rysunków wykonała w życiu ta jedyna lewa ręka Brzozowskiego, a mimo tych licznych prac, gdy



BRZozowski FELIKS

KRAJOBRAZ

która z uczenic, podszedłszy do profesora z albumem, poprosiła: — „Panie profesorze, proszę się wpisać na pamiątkę“ — Brzozowski jeno uśmiechał się łagodnie i w kilka dni odnosił album z wyrysowanym widoczkiem. Ile takich rysunków rozproszył po świecie, tego już ani on, ani nikt nie umiałby zrachować.

ELWIRO ANDRIOLLI

1836—1893

— „Wiesz co — mówił Andriolli do jednego ze swych serdecznych przyjaciół — sporym już byłem wyrostkiem, gdy mnie zaczęła prześladować myśl, aby zostać rozbójnikiem... gdyby nie matka, której się bałem jak ognia, kto wie, czy nie byłbym zrobił jakiej awantury, udając Rinaldiniego, przynajmniej dopóty, dopóki mi skóry porządnie nie obito“.

Pali się w głowie chłopca, burzy się krew włoska, odziedziczona po ojcu, śnią mu się napaści, boje, ciemne groty i pieczary, buchające ogniem czeluści. Jakże częste to i zwykłe marzenia wyrostków, ogień — z którego najczęściej nie pozostaje nic.

Ale u Andriollego zostało, zostało tak wiele, że starczyło na życie całe.

Fantazjujący wyrostek kończy jednak szczęśliwie szkoły i oto z rodzinnego Wilna jedzie z bratem do Moskwy, aby się uczyć — medycyny! No, tak, tak chce stary pan Andriolli. Dawny żołnierz napoleoński nie zna pardonu, Elwiro, chce czy nie chce, musi być lekarzem, musi sobie wybić z głowy marzenia o sztuce.

Ojciec może sobie mówić, co chce, a Elwiro zamiast krajać nieżywych ludzi w prosektorjum, woli malować żywych w Szkole Sztuk Pięknych.

— Jeżeli rzucisz medycynę, grosza z domu nie dostaniesz — grozi nieprzejednany ojciec.

Nic nie szkodzi, że mu tam czasem puste kiszkki marsza

grają, że grosza przy duszy nie ma, ale zato — oj, mocny Boże! co za obrazy po głowie chodzą, co za typy, sceny wirują w rozgorączkowanej wyobraźni, tylko je chwytac, chwytac i na papier przenosić!

Otóż to! chwytac! Ale jak? Niewyrobita jeszcze ręka nie może nadążyć galopującej wyobraźni, więc zżyma się chłopak, dręczy i pracuje coraz usilniej. Wreszcie — eureka! — zwycięstwo! Lat dwadzieścia zaledwie i patent ukończonej szkoły rysunkowej w Moskwie. Już teraz nic nie wstrzyma młodego zapaleńca na obranej drodze.

Z pomiędzy uczniów petersburskiej Akademji wyróżnia się młody Andriolli nie tylko talentem, ale i wyglądem zewnętrznym, piękną postawą, czarnemi, wyrazistemi oczyma, bujną czupryną, ocieniającą wyniosłe czoło, ale ponad wszystko jakąś werwą, fantazją, lekką, elegancką, musującą, jak pianka szampana. Różne ocieężałe „muzyki“, pracujące w pocie czoła przy swoich stalugach, zazdrosnem okiem mierzą młodego Polaka, któremu jakoś wszystko samo do rąk idzie. Życie go niesie... a nie! raczej on to życie za bary chwytą i do potrzeb swoich nagina.

Chce jechać zagranicę, nie ma pieniędzy na podróż. Co robić? Ha, no, od czego młode, zdrowe nogi? Więc rusza pieszo ku zachodowi, ku nowym światom.

Jeść się chce, ostatni grosz wydany? Więc dalej! Kto chce mieć portret? Portret niedrogo, prędko, na poczekaniu!

Amatorów uwiecznienia swoich fizjognomij nigdy nie braknie, więc trochę pieszo, trochę koleją, jak się dało, dociera wreszcie do Paryża.

Wpadł w zamęt paryski, jak w toń morską, ale wnet wypłynął, rozejrzał się, wnet też grunt pod nogami poczuł. Niedarmo mówi przysłowie, iż Litwina nagiego do wody rzucić, a wypłynie w garniturze i z zegarkiem w kieszeni, a Andriolli miał po matce krew litewską w żyłach, miał też litewski upór i wytrwanie.

Trafił tu i ówdzie, pogadał z tym i owym, i o dziwo! „Illustration“, najpierwsze francuskie pismo obrazkowe, zamieszcza jego rysunek. Już droga utorowana, już i angielskie

pisma zamieszczają rysunki młodego Polaka. Mógłby też zostać w Paryżu lub Londynie, żyć tam, dorabiać się i tyć... Gdzie tam! Już go znów niesie gdzieś światami, aż utknął gdzie? W Rosji! w Wiatce! skąd mu władze wyjechać nie pozwalają. Złowili go gdzieś na granicy, a że to czasy były niepewne, bliski jeszcze rok 1863 — więc niech młody Polak posiedzi trochę pod opiekuńczym okiem władz miejscowych. Siedzi więc i nie najgorzej na tem wychodzi.

Oto na ulicach Wiatki ukazuje się przekupień, sprzedający obrazki ręcznie malowane. Przystają zaciekawieni kupcy i kupeczychy, zapytują o cenę. Tanio! kupuje ten i ów, czytając podpis autora — Andriolli. Niewiele czasu upłynęło, a nazwisko Andriollego stało się dość znane w Wiatce.

Jakiś kupiec chce mieć swój portret. Zamawia go u Andriollego. Portret się udał. Za tym pierwszym poszły inne, dowiedział się o malarzu archierej wiacki, i oto widzimy Andriollego, jak z właściwym sobie rozmachem pokrywa malowidłami ściany cerkwi. Maluje też ikony i portrety, portrety i ikony na odmianę, a wieczorem już też nie było przyjęcia w polskim domu, któreby się bez Andriollego obeszło.

Tylko się drzwi przed nim otwarły, wnet wraz z jego zręczną postacią, z żywymi błyskami czarnych oczu, wchodziła do towarzystwa werwa, ożywienie, rozlegały się wesołe wybuchy śmiechu. Usta mu się nie zamykały, a przed oczyma słuchaczów sunęły obrazy zachodniej Europy, Turcji, Krymu, Besarabji... Gdzie nie był! czego nie widział! z ilu pieców chleb jadł — a czasem nie jadł, bo i tak bywało, dość, że wypłynął z przeróżnych tarapatów. A i z tej ostatniej przygody na granicy, zgodnie z przysłowiem o Litwinie, wychodzi cało i wyjeżdża z Wiatki z niezłe zaopatrzoną kieszenią.

*

Od r. 1871 niema w Warszawie pisma obrazkowego, w którymby co tydzień nieomal nie znalazł się rysunek Andriollego.

— Co Andriolli narysuje w tym tygodniu? — interesuje się czytająca Warszawa. Ach, „Kolędnicy wiejscy“ z gwiazdą na drążku. „Nowy Rok“, „Środa popielcowa“, „Święcone“

z księdzem, dawną tradycją błogosławiącym świąteczne jadlo, obrazki okolicznościowe na każde święto, każdą chwilę roku polskiego, a pozatem ilustracje do powieści, nowel, wierszy, a pozatem niezliczoną, nieskończoną ilość rysunków własnego pomysłu Andriollego, nie obrazek do opisu, lecz obrazek, wedle którego powiastkę, wiersz, nowelę napisaćby było można.



ANDRIOLLI ELWIRO
„WIWAT KAWALERSKI STAN!..“

Ot para starszków, kładąca kabałę. „Mój aniele ukochany“, wygrywa na flecie stary kawaler w szlafroku, „od szyneczku do szyneczku“ wędruje sobie pijaczyna z dobrą miną, chociaż w obłachanem ubraniu. Żebrak, uczony, domorośli politycy, to wszystko typy, którymi zapełnia bogato szpalty pism warszawskich.

Więc jest ilustratorem. Tak, Andriolli jest jedynym z polskich artystów, który życie całkowicie ilustracji poświęcił.

Rysował na drzewie. Tak, taki był wówczas sposób odbijania rysunków. Artysta rysował na płycie twardego drzewa, a drzeworytnik wycinał rysunek ostremi rylcami. I dobrze, gdy się trafiło na zdolnego, znającego rysunek drzeworytnika, ale bieda prawdziwa, gdy się lichy nawinął i najpiękniejszy rysunek do niepoznania oszpecił. Biadał nad tem często Andriolli, ale cóż było robić? innych, lepszych sposobów odbijania rysunków wówczas nie znano jeszcze.

W pracowni, a raczej zwykłym pokoju przy ulicy Chmielnej, spędza Andriolli pracowite godziny.

„Mieszkanie jego było zawsze pełne — pisze Piątkowski — rozmowa, dyskusje, śpiewy, ruch ciągły nie ustawały, samowar kipiał cały dzień, a dym tytuniowy unosił się pod



ANDRIOLLI ELWIRO WACŁAW I MARJA
TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

stropy sufitu, nadając wnętrzu pracowni fantastyczny wygląd... Po całym mieszkaniu rozrzucone grupy: Tu Władysław Dmochowski, tam znowu Roman Szwoynicki, Marcin Olszyński, Wojciech Piechowski, Antoni Piotrowski i tylu, tylu innych, którzy jak w kalejdoskopie zmieniali się ciągle.

Ja i Dmochowski byliśmy uczniami mistrza, malowaliśmy więc ułożoną przez niego barwną martwą naturę, której głównym motywem była w pergamin oprawna księga i trupia czaszka na tle jakiejś pluszowej zasłony.

Wśród tego ciągłego wiru, Andriolli, siedząc przy stoliku u okna, rysował wciąż na słynnej, swego pomysłu desce, od czasu do czasu dorzucając jakie słowo do ogólnej rozmowy“.

*

Rok 1874. Ten rok złotemi głoskami zapisuje się w księdze życia Andriollego.

Pod staremi lipami miecznik dumał stary
I dźwigał w zwiedłej głowie utrapień ciężary.

.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?

Prześliczny obraz! Czy można mu co dodać lub ująć? czy moglibyśmy powiedzieć — „Lepiej, żeby było inaczej?“ Doprawdy — nie! A i ten drugi — Marja wsparta głową na rycer-

skiem ramieniu Wacława. Poza tą cudną parą lśni tajemniczo, złowrogo, w zaroślach powierzchnia stawu, groźne memento losu nieszczęsnej Marji.

To te obrzydłe maski w swej zdradnej zabawie
Śliczne łono tej pani zatopiły w stawie.

Pan wojewoda! naprawdę pan wojewoda, pełen wielkopąńskiej pychy.

W okazałe komnaty dawno niewidziany
Zeszedł pan wojewoda bogato przybrany.

Królewiątko, niepomne na nic, prócz własnej chwały i chwały rodu swojego.

Przechodzi teraz lat kilka w pracy niebywałej. Andriolli rysuje po dwanaście godzin na dobę, żyjąc zarazem życiem podwójnem artysty i gospodarza; za zarobione pieniądze kupuje sobie piękny kawał ziemi nad Świdrem, z wrodzoną zabięgliwością zagospodarowuje się i — rzecz w Polsce niebywała! dochodzi własną artystyczną pracą do pewnego dobrobytu.

W pracy jednak ani na chwilę nie ustaje. Ilustracje sypią się jedne za drugimi.

Oto obrazki do „Pamiętników kwestarza“ Chodźki. Oto bory przedhistoryczne, czarne, bez słońca promienia, knieje tajemnicze, dęby olbrzymie o powykrzywianych konarach, jak jakieś duchy przeszłości zamierzchłej. A na tem tle — ludzie, ludzie w płótniankach i skórach, kapłani Nijoły i Kupały, czarownice i lirnicy-bajarze. Poemat do poematu — bajka do bajki. To obrazy do „Starej baśni“ Kraszewskiego, tak opowiadające obrazem o dziejach przeszłości, jak Kraszewski słowem je maluje — że możnaby powiedzieć z poetą Brodzińskim:

Piękne kunszty wzajemnem rozkwitły wspieraniem,
Uczą mową malować, mówić — malowaniem,
Przez wszystkie zmysły drogi szukają do duszy,
Głos prowadzą przez oczy, a widok przez uszy.

A potem szły cykle za cyklami, ilustracje do „Pana Tadeusza“, „Lilli Wenedy“, „Meira Ezofowicza“ — tyle tego, że



ANDRIOLLI ELWIRO „STARA BAŚŃ” — PUSZCZA

...aż źle! Pasji twórczej nie może nadażyć ręka, oko, czas wreszcie, którego powinienby mieć Andriolli nie dwadzieścia cztery, ale czterdzieści ośm godzin na dobę.

Tak to jest. Jednemu człowiekowi starczyłoby pół życia na to, co wypracuje, innemu i trzech istnień byłoby mało. Do takich ludzi należał Andriolli, grała w nim krew włoska z polską zmieszana i pchała, pchała do pracy, którejby kilku ludzi nie podołało.

Ostatnie prace Andriollego pośpieszniej kończone, słabiej opracowane, mniej się podobały.

Czy zniechęcony usunął się, skapitulował, zamknął w pozorach milczeniu?

Gdzietam! Właśnie przeciwnie. Jak rumak dobrej krwi, ostrogą podrażniony, bierze na kiel, mówi sobie „źle jest, ale musi być lepiej“, i jednym rzutem woli przenosi się do Pa-



ANDRIOLLI ELWIRO

GRA JANKIELA Z PANA TADEUSZA

ryża, wiedząc o tem, że „ten, co jedzie do tego piekła na zarobek, musi odrazu wszystkich wziąć za łeb“, albo zginie marnie.

Andriolli nie zginął. Trzy lata pracuje dla ilustracji francuskiej, zarabiając i... ucząc się. Co rok zresztą z tęsknotą wielką wpada na lato do kraju.

— A wiecie co, myślałem, że nie dojadę! — mawiał do przyjaciół, witających go na dworcu.

Uczył się, poprostu uczył, dokszałcał w tej stolicy sztuki, chwycił równowagę, straconą przez ostatnie pośpieszne prace warszawskie i, powróciwszy wreszcie do kraju na dobre, rzuca przed oczy widzów najcenniejsze swoje dzieła, jakby chciał powiedzieć:

— Patrzcie! oto mnie macie, tak umiem tworzyć, tak mogę! — mogę i więcej!

Znowu ilustracje? Nie! To już obrazy, całe obrazy ilustracyjne do dzieł ukochanego Mickiewicza. Powstają tedy dwa duże rysunki z tłumem postaci, opracowanych ze starannością, z całym nabożnym kultem dla wieszca naszego.

Oto „Koncert nad koncertami“.

Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkimi ruchy,
Jakgdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy.

Przyjrzyjmy się, szukajmy, oto są wszyscy, wszyscy drodzy nam, bliscy, kochani, i tacy, tacy właśnie, jak widzieliśmy ich w wyobraźni. Oto dwór w Soplicowie, Sędzia i Podkomorzy, śliczna Zosia i Tadeusz. Taki też być musiał muzyk nad muzykami — Jankiel-cymbalista. Jak ten cały tłum szlachty, wojska, ludu stoi, jak słucha, jak nosi swoje kontusze, mundury i siermięgi!

A tu coś zupełnie innego.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi :
To byli Bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją do posługi.

To „Uczta“ z Konrada Wallenroda.

Co za twarze średniowiecznych zabijaków! jakie wnętrze



ANDRIOLLI ELWIRO

UCZTA Z KONRADA WALLENRODA

(FRAGMENT)

sali gotyckiej, sztandarami zdobycznymi ubranej. Ale ponad wszystko postać Konrada, uosobienie potęgi i mocy, a zarazem nadludzkiej walki duchowej! Palce kurczowo zwinięte, jak szpony sępa, twarz pełna bólu i mocy. A obok komtur krzyżacki kruczemi oczyma śledzi na czole mistrza przechodzące chmurne myśli.

Czy tylko te dwa dzieła? Nie, długi szereg scen przeróżnych, już i wybierać trudno. Ołówek Andriollego w ciągłym ruchu, myśl w ciągłym napięciu.

Około 1892 roku, gdy artysta liczył zaledwie pięćdziesiąt kilka lat, silny jego, młody, zahartowany organizm, zaczyna podlegać jakimś zaburzeniom, których źródła dojrzeć nie mogą zaniepokojone oczy serdecznego przyjaciela, doktora Dobrzyckiego.

Po paru miesiącach „z przerażeniem dostrzegłem — pisze doktor — że ten organizm o spiżowych mięśniach, siłacz

doniedawna, stacza się ze stromej pochyłości w otchłań śmierci“.

Rak toczył organizm, niszczył, miażdżył, jak zła, bezlitosna siła, wszystkie zasoby duchowe tej bogatej, artystycznej natury.

Na parę tygodni przed zgonem odwiedza go w Nałęczowie przyjaciel. Artysta wyciągnął do niego wyschlą rękę, utkwil oczy, w których ból głęboki się malował.

— Jeśliś zapomniał osteologii¹⁾ — wyrzekł z goryczą — to sobie na mnie możesz przypomnieć, a może kto potrzebuje modelu Łazarza, to powiedz, że mu służy.

I dalej skarży się cichym, przerywanym głosem, że los odrywa go od pracy ukochanej:

— Nigdy duch mój nie był tak silny i nie ogarniał jednym rzutem oka wszystkiego, jak teraz; nigdy możność skupienia się nie była dla mnie tak łatwa, jak dziś...

Już w chorobie komponuje w myśli szereg ilustracji do „Dziadów“, ma je gotowe, ze wszystkimi szczegółami opracowane w myśli, w oczach, tylko brać ołówek i rysować.

„Cóż, kiedy ta ręka nie utrzyma już ołówka“.

Nie mówił o swoim zdrowiu, co do którego już ostatnią stracił nadzieję, „natomiast mówił ciągle o sztuce, jakby się pragnął wyskarżyć na losy, że mu jej dłużej służyć nie pozwolą“.

ARTUR GROTTGER

1837—1867

Czy znacie te dwory wiejskie, dawniej gęsto po ziemiach polskich rozsiane, dziś — jak ludzie starzejący się i schorowani, wymierające powoli? Czy znacie te ganki na białych słupkach, te dachy gontowe, wysokie, strzeliste, smagane deszczem jesiennym, bielone szronem?

¹⁾ Nauka o budowie kości.

Czy znacie ten dwór w wieńcu wiosennej zieleni, lub wówczas, gdy:

...twarzy zupełnie odmienił —
Ów las topoli już się więcej nie zielenił,
Dziedziniec, gdzie bławatki, cykorje i maki
Barwiły się, jak szalów indyjańskich szlaki...
Teraz biały, wczorajszą zasutą zawieją...

— Ano Arturku, możebyś ty to wyrysował, coś słyszał ode mnie?

Słowa te obijały się nieraz o ściany właśnie takiego starego, szlacheckiego dworku we wsi Ottyniowice, w okolicy Lwowa, a wymawiał je wąsaty, marsowy pan Józef Grottger, a słuchał ich chłopiec wątły, szczupły, o suchych, wyrazistych rysach i dużych, błyszczących inteligencją oczach.

I nie zostawały bez echa. Mały Artur poprostu rwie się do ołówka i karty papieru, na której można bez końca rysować, szkicować, co mu pod oczy podpadnie. A wszystko mu piękne i ciekawe: i dzielne czwórki, zajeżdżające przed gościnny dwór w Ottyniowicach, i tłumne polowania, i sfory ujadających psów gończych. A potem znów ciche wieczory w wiejskim dworze, gdy za oknami wiatr hula i deszcz drobny w okna siecze, ogień płonie na kominku, matka zasiada z robotą w rękę, a pan Józef z ulubioną fajeczką w zębach prawi a prawi, jak to z Belwederu wyszła młodzież nasza, jakie to były potyczki, zasadzki, postoje w lasach, pieśni obozowe...



GROTTGER ARTUR

Dziecko słucha i serce mu rośnie. Dziesięcioletni, genjalny malec maluje dramatyczną scenę, przedstawiającą wieszanie

szpiega rosyjskiego przez polskich ułanów. A potem szereg obrazków rzeczy widzianych i niewidzianych, wyjazdy na polowania, konie w galopie, utarczki wojsk polskich z Tatarami.

Pewnego dnia w r. 1851 przed wystawowem oknem sklepu Jurgensa we Lwowie zatrzymał się major wojsk austriackich, hrabia Pappenheim. Po chwili wchodzi do sklepu.

— Kto malował ten obrazek? — zapytuje właściciela, wskazując niewielki, olejny obrazek, przedstawiający pogoń szlachty polskiej za Tatarami.

— Artur Grottger — odpowiada sprzedający — czternastoletni chłopiec.

Major nabywa obrazek, a wślad zatem zapoznaje się z autorem i odkrywa w nim, jak sam pisze, „tak bogato uposażoną, tak nawskrós poetyczną naturę“ — iż odtąd szczególniejszą znajduje przyjemność w pogawędkach poufnych z utalentowanym młodzieniaszkiem, we wspólnych spacerach pieszych lub konnych.

Wtedy to, podczas jednej z wycieczek takich w okolice Lwowa, dwaj jeźdźcy stanęli u skraju głębokiego parowu. „Strome urwisko zatamowało nasz pochód“ — pisze Pappenheim. „Niepodobna było zawrócić konia na stromej skale, nie mając wyboru, należało skoczyć z jednej strony na drugą... zapytałem Grottgera, czy nie brak mu nato odwagi, a gdy odparł, że nie czuje trwogi, skoczyłem naprzód, pouczyłem go, jak się ma zachować w stanowczej chwili, i wstrzymałem oddech, oczekując z najwyższym niepokojem, co się stanie?... Odetchnąłem dopiero z głębi piersi, widząc, że rumak olbrzymim skokiem osiągnął bardzo szczęśliwie przeciwną stronę skały, a młody jeździec siedział w siodle spokojnie i lekko, jakby mu przed chwilą nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo“.

Chwila ta jednak sprawiła na Grottgerze tak silne wrażenie, że po wielu, wielu latach wymalował akwarelę, przedstawiającą Czerkiesą, skaczącą przez taką samą przepaść.

Tegoż roku, ówczesny cesarz austriacki, Franciszek Józef, ze zdumieniem ogląda dużą akwarelę, przedstawiającą wjazd

cesarski do Lwowa. Werwa, życie, prawda biją z tego pośpiesznie wykonanego szkicu.

— Kto to malował? Kiedy zdążył? Jak mógł tak zapamiętać. Więc kto? kto? — krzyżują się pytania widzów.

I znów zdumienie. Czternastoletni chłopiec!

Cesarz zaciekawiony, chce widzieć autora. Wzruszony i onieśmielony Artur zostaje przedstawiony cesarzowi, który zapewnia mu stałą zapomogę miesięczną z warunkiem, aby jechał kształcić się do Krakowa, do Szkoły Sztuk Pięknych, a potem do Wiednia.

Wyjeżdża więc i pisze z drogi do rodziców listy, pełne miłości i dziecięcej prostoty.

„Z bólem serca powiedzieć wam muszę, że tego roku, niestety, oko moje nie będzie was oglądać, usta moje nie wpiją się w najdroższe na świecie, ucho nie usłyszy pieszczot rodzicielskich. Nie ucałuję Olesia, Jarusia i Muni¹⁾. Ależ skoro przyjadę, to będę tak całował, ścisnął, cieszył się, że aż zachoruję“.

„Bądź mi zdrów i wesół — pisze znów pan Józef do syna — a nie trać czasu“.

„Wyjechałem z kochanych Zagórzan o pierwszej w nocy, ciemno i cicho było, kiedym opuszczał ten przybytek przedszczęścia mojego“ — pisze w innym liście do rodziców, wspominając uroczą wieś polską, gdzie parę miesięcy przed odjazdem z Krakowa spędził. Kraj złocił się jeszcze ostatnią krasą jesieni, a Kraków witał go odwiecznym hejnałem i całą poezją swoich starych murów.

*

U stóp malowniczego klasztoru zwierzynieckiego, pod Krakowem, nad brzegami szarej Wisły, zasiada nieraz dwóch młodziutkich uczniów i, rozłożywszy albumy, pilnie pracują.

To Artur Grottger i jego przyjaciel, Grabowski, obydwaj uczniowie krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, z której zbiegali nieraz pokryjomu cieszyć się słońcu, szarej Wiśle i krzy-

¹⁾ Rodzeństwo Grottgera.

wym wierzbom, uczyć patrzeć na naturę i, poznając ją, kochać i naśladować. Pracowali tak godzinami samodzielnie, co w połączeniu z sumienną pracą szkolną znakomite dawało wyniki.

Niechętnem okiem patrzył na te próby dyrektor Stattler, człowiek wielkich zasług, ale dla uczniów twardy i surowy; szczerze zachęca ich i podtrzymuje profesor Łuszczkiewicz.

„Pan Łuszczkiewicz, mój profesor — pisze Grottger w liście do rodziców — jest bardzo grzeczny dla mnie i zadowolony“ — i przytacza dalej słowa profesora: „idź tak dalej, a zajdziesz daleko“.

Jakże proroczymi były te wyrazy! Nie wbijają jednak chłopca w dumę. Ojciec profesora zażądał od niego przerysowania hetmana na koniu według Aleksandra Orłowskiego.

— Prawda, że ty to zrobisz lepiej? — zagadnął.

— Nie wiem — odpowiada skromnie młodzieńki artysta.

Pracował też usilnie, była w nim ta zawziętość pracy, która wszelkie talenty na wyżyny dźwiga; pracowali ramię przy ramieniu z ulubionym kolegą Grabowskim, prześcigając się wzajemnie w gorliwości.

Te usiłowania i zapał odbiły się na pracach obu uczniów. Wyróżnił obu młodzieńców jeden z wybitniejszych ówczesnych malarzy warszawskich — January Suchodolski.

„Dostałem — pisze Grabowski — tego zaszczytu wraz z Grottgerem, że nam obydwom uścisnął rękę i, poklepując po ramieniu, powiedział:

— Bardzo dobrze, tylko dalej z równem zamiłowaniem, jak dotąd.

A co to było za życie koleżeńskie, co to były za wieczory rozkoszne w studenckiej pracowni jednego z kolegów, co to były za zastawy na stole „w braku obrusa nakrytym prześcieradłem“, „szklanki przeznaczone na wieloraką służbę, bo do płókania pendzli przy malowaniu akwareli, do picia wody, herbaty i kawy... Była na tym stole istna rzeczpospolita, gdyż, z pomiędzy przysmaków studenckiej herbaty, wyglądały gdzieś niegdzie ołówki, pendzle, farby i cybuch“.

A jak się tam bawiono cudownie, popisując się, czem kto umiał. Oto jedni rysują, inni śpiewają i deklamują, wygłaszają

płomienne mowy, dyskutują gorąco o „charakterach ludzkich, o sztuce, literaturze lub historii“.

Paliły się głowy, płonęły serca!

W to jasne, cudowne życie uderza grom, — umiera pan Józef Grottger, i młody, siedemnastoletni Artur zostaje opiekunem i doradcą stroskanej matki, mentorem młodszego rozeństwa.

W tych to ciężkich czasach rozpoczyna pisanie dziennika. Z kartek tych wyziera cały żywy człowiek, jak w zwierciadle, odbija się młodzieńcze oblicze Grottgera.

Oto widzimy go w gronie kolegów, gdy ochota dochodzi do szczytu, gdy jak uczniowie na wakacjach „jeden wyłazi na drugiego i skacze na ziemię wśród wesołego gwaru i głośnych śmiechów“. A potem wieczorek u „cioci Olesi“ — siostry „kochanej mameczki“, gdzie ten najsmutniejszy z artystów bawi się niefrasobliwie.

„Tańcowałem jak szalony! — pisze — spościłem się jak mysz. O Boże! może już nieprędko będę tak tańczył w gronie familijnem...“

Tak, bo już niebawem czeka go wyjazd do Wiednia, już niedługo kończą się wakacje lwowskie w otoczeniu rodziny, w towarzystwie „najmilszego Papcia“ — jak zwykł był poufale zwać Pappenheima — już niedługo, wszakże sam czuje swoje braki.

„Z obrazka, przedstawiającego kilku Szwedów, napadniętych przez kilku Polaków, jestem zadowolony, ale z lasem sonowym wtyle nie umiem sobie poradzić“.

Brak ten, który odczuwał, jakże znakomicie pokonał w późniejszych swoich pracach!

Odprowadzony przez rodzinę, obdarzony przez dziadka „ogromną fajką“ — odjeżdża, połykając łzy i przyznając się z dumą, iż dopiero wtenczas „beczał“, kiedy wagon z miejsca ruszył.

*

W ubożuchnej pracowni na ulicy Neumarkt w Wiedniu źle się dzieje. Niewesoło, oj, niewesoło! Na dworze mróz

trzaskający, a tu piecyk zimny, niema na drzewo, a biedny mieszkanić kurczy się w swoim znoszonym futerku, które sam naprawia rękoma od zimna popuchniętymi.

„Oj, bieda, bieda — pisze smutnie — niema na tytuń, niema na cygara, a to jedyna pociecha, kiedy się jeść chce“. W celu wyjścia z kłopotliwego położenia wpada biedny na różne genjalne pomysły: — „Kupię sobie tabaki, i jak mi się jeść zachce, to zażyję“.

„Zaczynam robić różne doświadczenia — pisze gdzie indziej — i uzupełniem się od śniadania odzwyczaił“. I nie żart to bynajmniej: o głodzie i chłodzie przechodzą pierwsze miesiące pobytu w Wiedniu. Małe stypendjum nie wystarcza na życie i naukę; trzeba wybierać. I Grottger wybrał. Kupuje albumy do rysowania, książki, zwiedza muzea, pracuje usilnie w Akademji, a głód oszukuje dymem cygara lub modnej wówczas fajeczki. I żyje jakoś, słabnąc na ciele, a mężniejąc duchem.

I tak w ciężkiej biedzie, w trudach, w pracy usilnej przechodzi lat parę. Młody Polak zaczyna być znany w Akademji wiedeńskiej. Wyróżniają go profesorowie i dyrektor, a czeka triumf nieoczekiwany. Obraz namalowany na doroczną wystawę Akademji p. t. „Spotkanie Jana Sobieskiego z cesarzem Leopoldem“ otrzymuje pierwszą nagrodę!

Tak, Grottger mieszka w Wiedniu, mieszka już kawał czasu, ale duszą i sercem wybiega ku Polsce — to, co jest jego własną, nieprzymusową pracą, to zawsze o Polsce mówi. Więc „Ucieczka Henryka Walezego“, „Zygmunt i Barbara“, więc „Modlitwa konfederatów barskich“ albo i „Modlitwa rolnika“, gdzie długowłose polski oracz odmawia Anioł Pański, zwróciwszy oczy w łunę zachodzącego słońca.

Prócz tych prac własnych, ulubionych, całe mnóstwo rysunków, rysuneków do książek, kalendarzy, do pism ilustrowanych. To jego zarobek, to ten ciężko zapracowany kawałek chleba.

Tych ilustracyj, rozproszonych po niemieckich pismach i książkach, zdołał wykonać w ciągu pięciu lat przeszło dwieście pięćdziesiąt!

Pomyślcie tylko! Toż to praca olbrzymia!

Ta przymusowa praca nie była jednak bezużyteczną; dała ona młodemu artyście wprawę poprostu — zdumiewającą. Zarysy, które rzucał na papier, były tak śmiałe, pewne, nieomyślne, że nie w nich do poprawienia nie było.

W tym wirze pracy zbliżają się najważniejsze czasy twórczości Grottgera. Próżno Pappenheim nakłania go i namawia, aby zgodził się być malarzem cesarza austriackiego. Myśl Grottgera zwraca się do kraju, oczy patrzą z wytężeniem ku północnej stronie, ucho chwytą odgłosy nadciągającej burzy.

Duszę miał przepełnioną tęsknotą, serce — ukochaniem Polski, wyobraźnię pełną mocy twórczej, a rękę wyrobioną i pewną. Był gotów.

*

A od Warszawy idą odgłosy naprzód ciche, potem coraz głośniejsze. Biją dzwony na trwogę, biją na nowe nadzieje, płoną serca jak pochodnie.

Pierwsze dreszcze wstrząsają stolicą. Pogrzeb generałowej Sowińskiej, i kilkunastotysięczny tłum wyległ na ulice, uroczysty, skupiony.

Chwila uniesienia, a potem — grom!

W tłum bezbronny 27 lutego 1861 padają strzały mordercze. Pięć ofiar, a w dni kilka pięć trumien w jednym kondukcje, a za nimi Warszawa cała w kirach żałobnych.

Czy dość? Nie! Ósmego kwietnia już ofiar nie rachowano. Było ich za wiele.

A car patrzył ku stolicy, patrzył i dziwił się.

Słucha tych odgłosów Grottger. Warszawa! Dziwne! Ta obca mu Warszawa woła doń głosem tak silnym, jak wołanie matki.

Usłyszał ją syn i odkrzyknął: „Jestem!”

Jak siedem strof poematu, staje przed nami siedem obrazów z czasu tak zwanych wypadków 1861 r.

„Pamięci poległych i rannych na ulicach Warszawy współbraci, a ku wiecznej morderców hańbie“, te wyrazy widnieją



GROTTGER ARTUR

WARSZAWA — ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁÓW

pod właściwym tytułem tego szeregu obrazów, noszących wspólny tytuł „Warszawa“.

W pierwszym obrazie ksiądz Hostją Przenajświętszą błogosławi tłumom, błagającym o wolność.

Lud w kościele przemocą zamknięty — one tragiczne trzydziestogodzinne nieszpory. Oczy uwiecznionych patrzą gdzieś w dal, zgrozą zdjęte. Co widzą tam w głębi ciemnych naw?

Pieśń triumfalna! Zbratanie stanów na pogrzebie biskupa Fijałkowskiego. Oto w środku chłop polski, twarz ma piastowską i piastowską dostojałość, trzyma sztandar „rękami czarnymi od pługa“. Z obu stron dwaj kontuszowcy podtrzymują mdlejące ramiona chłopca.

I zaraz ciąg dalszy — trzech żydzi z rabinem, o dziwnych, mistycznych oczach.

Pierwsza ofiara! Jeden z bezimiennych, młody chłopak, wali się wtył, przeszyty kulą morderczą. Wdowa — wchodząca do kościoła z dwójgiem sierot u boku.

I ostatni!

Zapadły ciężkie podwoje kościoła,
Zaskrzyły rdzawe zasuwę zameczyska,
I mnich łzę otarł, co z ócz mu wytryska,
I starł pot krwawy z ranionego czoła.

Zamkniecie kościołów; zlanych krwią ofiar.

Jakaś przejmująca groza jest w twarzy i ruchu ręki zakonnika, jakby te drzwi kościelne zamykał na wieczność!

Nawet cudzoziemski Wiedeń przyjmuje „Warszawę“ z podziwem i zachwytem; poeta niemiecki, Fogler, oddaje hołd autorowi, komponując wiersze do siedmiu obrazów cyklu i wypowiadając je na zebraniu artystycznym.

„Byłem przy tem — pisze Grottger — kiedy wydekłamał te wiersze z całym zapałem, z prawdziwym artystycznym uniesieniem; słyszałem, z jakim entuzjazmem przyjęło je dwustu Niemców — i płakałem w duszy jak dziecko. Mój Boże — możnaż być wynagrodzonym lepiej?“

A potem — „Plac Zygmunta“, a raczej jedno okno na plac wychodzące. Jedno okno tylko — a w niem cztery postacie, patrzące z przerażeniem, zgrozą, rozpaczą, na coś, co się przed nimi dzieje. Patrząc na te twarze, dreszcz cię chwyta i ciśnie się na usta pytanie: „Co oni tam widzą?“, i odpowiedź, że tam przed nimi musi się dzieć coś strasznego. Tak, to dzień 8-y kwietnia.

Upływa lat parę. Wiedeńską pracownię Grottgera odwiedzają liczni goście. Wchodzą z zaciekawieniem, weseli i uśmiechnięci, idą jak na widowisko. A w pracowni długim szeregiem ośm obrazów, ośm tragedij.

„Polonia“! czy widzisz ją w czarne zasłony owitą? Ręce ma skute w dyby, obok trzech młodzieńcy, z których jeden próżno sili się rozerwać jej więzy. To karta tytułowa — „Polonia“!

W ośmiu dalszych obrazach zamknął Grottger historję męki swej ojczyzny, gdy to w r. 1863 próżno szarpnęła kajdanami, aby się tem głębiej w żywe ciało wpiły.

Idą zwiedzający od obrazu do obrazu, a czoła im się chmurzą, posępnieją twarze...

Więc pierwszy — branka. Wzięcie w rekruty tych, w których najgorętsze biły serca. Biorą ich nocą, podstępem, a tu żona czy siostra z włosom rozwianym, w bieliźnie, na kolanach się wlecze oszalała.

Kuźnia powstańcza: kuja kosy dla tych dwóch czekających na nie młodzieniaszków o twarzach orląt. Dwór — schronienie dla ранnego, który jeszcze ociąga się, jeszcze chciałby lecieć tam, gdzie się biją. Obrona sztandaru — stoją w szeregu jeden przy drugim, równi sobie; i chłop, i szlachcic, i robotnik, i mieszczanin, i legną jak bracia pod tym dębem, który ich jeszcze osłania.

„Mistrz coraz takty nagli i tony natęża...”

Wróg do drzwi dworu szturmuje. Podparli je ramionami dwaj młodzieńcy. Czy wytrwają? Czy też runie tłuszcza rozszalała na tego starca bezsilnego, dzieci drobne, kobiety na klęczkach?

Po przejściu wroga, dom w ruinie, w kłębach dymu, pełny trupów...

„Mistrz nakoniec strunami wszystkiemi zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi”.

Śmierć naokoło — pobojowisko, trup odarty, obnażony, bolesny, a przy nim matka klęczy z rękoma rozłożonemi, jakby mówiła: „Panie, ty widzisz! — ale łez już nie ma.

I koniec. Ostatni akord kończącej się pieśni, ostatnia łza. W gromadkę kobiet pada słowo jedno — „poległ”. Twarze tych wszystkich kobiet zgromadzonych wkoło stołu zasłonięte, a jednak zdaje się, że słyhać szloch straszny, rozdzierający...

Wychodzą widzowie z pracowni, wychodzą milczący, skupieni, poruszeni do głębi, z sercem ściśniętem. Polonia!

Wielkie to dzieło długo i próżno czeka nabywcy. Mnóstwo osób odwiedza pracownię Grottgera, podziwiając obrazy,



ARTUR GROTTGER

POLONIA

KUŹNIA

gdy tymczasem twórca ich boryka się z biedą tem dokuczliwszą, iż ma teraz matkę u siebie.

„U nas coraz dotkliwszy niedostatek — pisze pani Grotterowa w liście do Grabowskiego... — Chłopaczysko tak zmierzniał ze zgryzoty, że tylko skóra i kości na nim“.

Nadmierne wysiłki przy podwójnej pracy — zarobkowej i własnej, podkopują z wolna wątły organizm. A, jakby naprzekór złemu losowi, myśl twórcza pracuje ze zdwojoną siłą.

Oto śmierć młodego powstańca Borejszy, a raczej chwila przed nią, gdy wybiegł na jej spotkanie z ogniem w oczach i karabinkiem w dłoni.

Oto „Walka i pojednanie“ — dwa obrazy treścią związane: na pierwszym zмага się wróg z wrogiem, na drugim — leżą zgodnie, głowa przy głowie — przez śmierć pojednani.

A „Polonia“ wciąż czeka nabywcy i wreszcie, tak bardzo nasza i tak bardzo nam droga, zostaje nabyta przez Węgry —

hr. Palffy i na zawsze uwięziona w jego dalekim zamku na Węgrzech.

Kilka miesięcy swobody, niezależności, jaśniejszych chwil, kupionych za cenę tego straconego dla nas dzieła — i znów przepaść biedy i niedoli.

Próżno z pomocą przyjaciela opędza się Grottger, jak może, gnębiącym warunkom życia, które czarną chmurą zawisły nad jego głową.

Coraz też częściej, coraz tęskniej wybiega myślą ku Polsce, jej smutom, miłościom i nadziejom. Zrywają się ostatnie nici, wiążące go z naddunajską stolicą.

Ostatnie dni pobytu w Wiedniu przechodzą w niepokój i gorączkę. Świecą pustkami ściany pracowni. Zbyto wszystko, co się zbyć dało. Teki pełne szkiców i rysunków przechodzą w ręce wierzycieli.

Wczesną wiosną opuszcza Grottger Wiedeń, uwożąc z niego sławę, nadszarpnięte zdrowie i biedę taką samą, z jaką do niego przybył przed dziesięciu laty.

*

Jak ptak wędrowny wraca do gniazda swojego, witając je z radością wielką.

Śniatynka — wieś podkarpacka, należąca do przyjaciela artysty — Stanisława Tarnowskiego, jest mu chwilowym przytułkiem.

Cicha wieś polska leczy zwolna tę chorą duszę i słabe ciało. Pierwszy krwotok — zapowiedź przyszłych klęsk, odbiera mu siły fizyczne, mimo to duch się dźwiga i budzi do nowej pracy twórczej.

„Mam tyle przed oczyma — pisze w liście do przyjaciela — a tak wiele w sercu, że bym się z nikim nie zamienił“.

I słusznie, bo czyż może być większa rozkosz, jak czuć w sobie siłę twórczą?

Ma też coraz coś nowego na staludze.

Oto „Szkołka wiejska“ — pełna długowłosych, lnianych główek, oto dwie sceny z powstania? „Pożegnanie“ i „Powita-

nie“ — są i inne, rozmaite, a jednak Grottger zdaje się czegoś czekać, jakiegoś zaklęcia.

I przyszło słowo zaklęcia.

Na balu Strzelnicy we Lwowie, w sztucznym blasku kin-kietów, wśród dźwięków muzyki, zjawiała się ta, która miała mu być Beatryczą w dalszej drodze życia.

Była nią młodziutka, śliczna, zaledwie szesnastoletnia panna Wanda Monné.

I rozpoczyna się okres dziwny w twórczości Grottgera, jakby iskra padła na nagromadzone prochy. — Po kilku tygodniach pierwszych upojeń jest „już na dobre przy robocie“. Działają w nim dwie siły, miłość, która daje skrzydła, i wola, pragnienie stworzenia niezależnego bytu dla siebie i ukochanej. Pobudzona wyobraźnia pracuje ze zdwojoną siłą, a wysiłkom tym nie mogą sprostać siły fizyczne.

Z mgieł i marzeń, o mówiącej różnemi głosami puszczy litewskiej, wyrasta dzieło, przewyższające doskonałością wszystkie dotychczas wykonane.

Cykl ten, złożony z sześciu obrazów, nazwał autor „Lituanian“ i opowiada w nim, co się działo w kniejach w owym pamiętnym roku walki i ofiary.

A więc w pierwszym obrazie przez tę puszcę milczącą ciągnie widmo śmierci.

Martwo i niemo w puszczy, jak w kostnicy,

Tylko się czasem mgły po drzewach włóczą,

Powiewne maryl, ciche i złowieszcze...

Słuchajmy dalej. Czy widzicie wewnątrz chaty litewskiego chłopca? Ómi się ogarek świecy, on sam usnął... Czy widzicie w okienku rękę, pukającą w szybkę? To znak! już czas! Porwała się kobieta, budzi śpiącego.

I dalej znów „Przysięga“ zastępu straceńców w cichej poświęceniu księżycu.

„Bój“ w onej puszczy przepastnej, ludzie, psy, w jeden kłęb zbici, wódz ich, chłop z chaty pod lasem, na przedzie.

I znowu wewnątrz chaty — kobieta czeka powrotu ukochanego i leje kule dla powstańców. A na progu staje duch jego, wodza i męża...

...z oczyma, co w głowę
Uciekły kędyś, zastygłe, surowe,
Z raną na piersiach, szerniałą, odkrytą,
Krwawą koszulą odziany i switą...

I ostatni obraz — „Widzenie“. Kobieta, skazana na katorgę, do tacek przykuta, a tu między głazami — w ciemnej pieczarze kopalni, jak kwiat mistyczny — jaśniej widać naszej Częstochowskiej.



GROTTGER ARTUR

LITUANIA — ZNAK

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Zaledwie skończył to wielkie dzieło, znów go porywa wir pracy nateżonej. Przerzuca się z miejsca na miejsce ze swoją nieodstępną teką rysunkową i myślą, zwróconą ciągle do narzeczonej, do swego „anioła“, z ciągłym pragnieniem zobaczenia jej.

Rysunki-obrazy sypią się jedne po drugich. Oto trzej po-

wstańcy, ciosający krzyż na Sybirze, oto inni, niosący go przez wieczne śniegi. Oto skazaniec w kopalniach.

A potem i jaśniejsze tematy — „Kolędnicy wiejscy“, „Bajki“, opowiadane dzieciom przez starą nianię. Tyle, tyle pomysłów, że czasu brakuje, ręka myślom nadażyć nie może.

„Siły moje fizyczne jakże są słabe w porównaniu z siłą moralną, która je niszczy“.

Znamienne te słowa napisał kiedyś, mając lat ledwie ośmnaście. Jakże, niestety, były prorocze!

Złowrogie widmo, krążące koło niego od czasu krwotoku, to oddala się, to zbliża, a teraz stanęło tuż przy nim niewidzialne a straszne, i nie odeгна go nawet jasny obraz Beatryczy.

Marnieje, pali się, spala jak pochodnia.

*

I znowu pracownia na poddaszu, uboga i zimna, i znowu praca codzienna, dręcząca.

A wokoło wielkie miasto. Cel marzeń artystów — Paryż, a dla Grottgera miejsce zawodów i udręki.

Łoskot i hałas kipiącego życia miasta dochodzi aż tu, gdzie u stalug zasiadł polski wygnaniec o smutnych oczach i pobladłej twarzy. Bo wygnańcem czuje się Grottger w Paryżu, dokąd zawiodły go jakieś złe losy. Wygnańcem się czuje i tęsknoty swoje zamyka w obrazie rysowanym, który urasta w ciągu jakoby dni pięciu.

„Pod nimi biało, a przy nich żałobnie i ciemno“, a w tej ciszy i mroku długi szereg postaci nędznych, zbiedzonych, upadających ze znużenia, liczonych przez prowadzących ich żołdaków jak bydło — „a tak wspaniałych na duszy“. — To „Pochód na Sybir“.

„Pomyśl teraz, a raczej posłuchaj — pisze niedługo potem do narzeczonej. — Gdyby malarz naraz wezwał swą mużę, albo swą Beatriks i powiedział jej: Prowadź mnie tam, gdzie wre wojna...“

Wojna! tak — okropności wojny nęcą wyobraźnię Grottgera, w wyobraźni wyrasta biała postać muzy, biorąc rysy tej, którą ukochał, i wiedzie go przez wszystkie okropności wojny, pokazując mu rozpacz i nędzę, i głód, i pożogę, i świętokradztwo, i zdradę. Widzi, jak płonie świat „miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą“ — „jak Dant za życia przechodzi przez piekło“.

W jedenastu kartonach, jedenastu obrazach — prowadzi nas kolejno przez próg dworu, gdzie rodzina z przerażeniem wpatruje się w złowróżbną kometę, do sali losowań, pod płonące miasta, do obozu w chwili, gdy żołnierze chwytają i obszukują szpiega, na pobojuwisko — gdy ludzie-szakale odzieraają z szat ciała poległych, do kościoła, zrujnowanego ręką zbrodniczą i świętokradzką.

W świecie widm i upiórów płyną mu teraz godziny, dni, tygodnie. „Wojna“ spokoju mu nie daje. Ożywają coraz nowe obrazy, pochłaniają mu czas cały. Rysuje od rana do późnej nocy z jedną myślą w zgorączkowanej głowie, z jedną myślą w chorej piersi — lecieć „do kraju i do niej“. Ilość godzin przepracowanych dziennie dochodzi do przerażającej liczby — szesnastu!

Tyle godzin pracy twórczej — to śmierć!

Coś się też zaczyna psuć i rozpręgać w jasnej, pogodnej naturze Grottgera. Siły fizyczne nie dopisują, skarży się na osłabienie, bezsenność, budzi — potem obłąany, a twarz ma „białą, jak alabaster“. Złowrogie widmo wypełzło znowu. A tu trzeba żyć i na to życie zarobić, pracować, póki lampa nie zgaśnie.

Więc coś jeszcze? Już tak niewiele!

Jeszcze parę kartonów, jeszcze w paru rysunkach o tematach rodzimych jakieś tęskne wołanie ku dalekiej Polsce.

W niedospane noce, pełne gorączkowych widzeń, poranki, gdy w zimnych potach sił zbywał do ostatka, we dnie, pełne codziennych udręczeń, przenosi „swoją duszę utęsknioną do tych pól malowanych zbożem rozmaitem“ — do Polski! do niej!



GROTTGER ARTUR

WOJNA — LOSOWANIE

Odchodził. We wrześniu przyszedł krwotok, trwający trzy dni. Czyż trzeba szukać przyczyny? jakoby pogody jesienne, przeziębienie... A wreszcie wszystko jedno. Gaś, odchodził.

A sił uchodzących niema podtrzymać za co. Zasoby się wyczerpały, pracować już nie może. „Wojna“, to najpiękniejsze z dzieł jego, przechodzi bez wrażenia, nie znajduje nabywcę. Próżno przyjaciel Krajewski stara się zbyć cośkolwiek z prac pozostałych w tekach. A wokoło obcy kraj. Obcy ludzie.

W październiku Matejko, obecny w Paryżu, odwiedza chorego. Tehnienie z kraju... wspomnienia starego Krakowa. Gdzie one chłopięce swawole, gdzie ów „Acio“, ufny i wesoły, gdzie towarzysze młodości?

„Hej, jak daleko, daleko nasza miła Polska!“

W początku listopada cesarz Franciszek Józef nabywa „Wojnę“. Niestrudzony Krajewski wywozi Artura do Pau, miejscowości na południu Francji. Zmiana miejsca, powietrze, któż

wie? A gdybyż jeszcze obecność tej, do której uparcie, rozpaczliwie zwraca się myśl chorego. Pisz zaniepokojony przyjaciel, wzywa, prosi — trzeba mu kochającej ręki, a może, wtedy...

Ci, co stoją blisko, najdłużej się łudzą. Żadna na świecie ręka nie mogła go już dźwignąć z przepaści, w którą się staczał, zawrócić z drogi, którą odchodził w wieczny cień.

A wreszcie nie było tej ręki, i nikt nie śpieszył.

W końcu listopada śle Grottger ostatni list do narzeczonej: „Płaczesz! płaczesz, moje biedactwo? Nie płacz, bo w samej rzeczy niema czego. Kończę, bo ręka w żaden sposób iść — dalej — nie — chce.“

W początku grudnia przewozi go Krajewski, w wietrzny, śnieżny dzień, dalej na południe, osłabionego tak, iż łyżki w ręce utrzymać nie może. Żyje jeszcze myślą o niej, o swoim aniele, którego próżno wzywa w bezsenne noce i długie, smutne dni.

W nocy 13 grudnia usnął późno. „Jeszcze po czwartej nad ranem mówiłem do niego — pisze Krajewski — następnie uciszył się i zasnął. Później wstaje, podać mu lekarstwo, budzę go — on nie odpowiada, biorę za rękę — martwa...“

Stało się to straszne i nieodwołalne.

W zimnym hotelowym pokoju nikt z „najdroższych na świecie“ osób nie położył mu ręki na stygnącym czole. U nieplakanej trumny stanęła jeno Sława — i ta za nim poszła.

JAN MATEJKO

1838—1893

W jednym ze starych domów przy ulicy Florjańskiej w Krakowie w dzieciennym pokoju długi stół obsiadła liczna gromadka dzieci: kilku chłopców i dwie dziewczynki. Na stole rozrzucone ołówki, papiery, gumy, farby i pendzelki — każde z dzieci ma przed sobą ćwiartkę papieru, na której z wielką uwagą coś rysuje.

— No! nie zaglą-
daj! — woła Franio, za-
słaniając papier obu rę-
koma.

— Ooo! dopiero
to! — drwi Zygmus. —
Arcydzieło narysowałeś!

— Pewnie lepsze,
niż ty. Pokaż!

— Ani myślę! Noo!
oddaj!

— Nie sprzecajcie
się — napomina Mary-
nia, rozbrajając chłop-
ców. — Patrzcie: Jaś
taki mały a najgrzecz-
niejszy z was i pilnie
pracuje.

— Fiuu! co on tam
może zrobić, taki smyk
sześćcioletni! — woła
Kazio.

— On się nie rach-
uje — wyrokuje Adolfek.

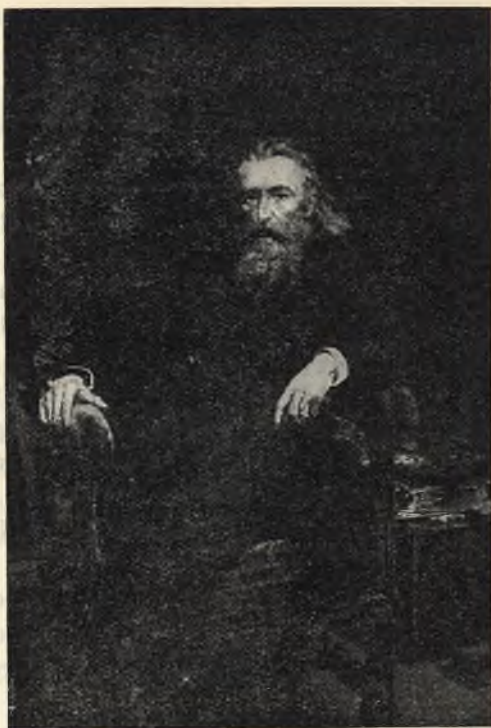
Tego już było nadto małemu Jasiowi, który dotychczas
rysował tak pilnie, że aż złotawe kędziory na stole leżały. Po-
rwał się z zaiskrzonymi oczyma.

— To jeszcze zobaczymy! — woła rozdrażniony — zo-
baczymy, kto najlepiej narysuje!

— O! takiś mi rycerz! — drwi Kazio — a kto to w nocy
ucieka ze swego łóżka do mojego, bo się boi?

— Bo... bo... — jąka zafrasowany Jaś — bo mnie coś
straszy... okropnie straszy. Widziałem — dodaje tajemniczo —
takiego potwora... a wczoraj znów smoka.

— Ha! ha! ha! — roześmiali się chórem bracia — patrzcie,
jaki bohater! No, pokaż, pokaż, coś tam namazał?



MATEJKO JAN

AUTOPORTRET

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

I hurmem ruszyli ku malcowi, który cofnął się ku ścianie, trzymając rysunek za sobą.

— A to co? Co się tu dzieje? — zabrzmiał od progu łagodny głos matki. — Co to za krzyki, co za szarpanina, puśćcie go!

Chłopcy odstąpili zmieszani, puszcżając Jasia, który wnet przypadł do matki, chowając w fałdy jej sukni złotą główkę i swój ocalony skarb.

— O co chodzi? — zagadnęła teraz pani Matejkowa, szczupła, mizerna brunetka o łagodnym wyrazie twarzy — o cóż chodzi wreszcie?

— Więc to tak? — podjęła, wysłuchawszy relacji córki — zatem ogłaszam konkurs i za godzinę będę go sama sędzić.

— Doskonale! wybornie! — wołają malcy, klaszcząc w ręce. — Dalej, dalej do roboty!

Zapanowała zgoda i cisza. Każdy, pochylony nad swoim rysunkiem, pracuje gorliwie. Mały Jaś aż usta przygryza z wielkiego natężenia uwagi. W ciszę tej dziecięcej pracowni wpadają od czasu do czasu odległe, przeciągłe dźwięki skrzypiec. To ojciec tej licznej gromadki, pan Franciszek Matejko, muzyk i nauczyciel muzyki, przy ulubionych skrzypcach spędza wolne od zajęć chwile.

Po upływie godziny w pokoju dzieciennym odbył się sąd konkursowy.

— Jasia rysunek najlepszy — zawyrokowała pani Matejkowa — ci szturmujący żołnierze istotnie bardzo dobrze namalowani.

Od owego pamiętnego konkursu mały Jaś nabrał odwagi, a starsze rodzeństwo respektu dla jego uzdolnienia. On też rysował całe szeregi krakusów, żołnierzy, które bracia kalkowali, naklejali na kartony i wycinali. Całe armje papierowe potykały się na długim stole w dzieciennym pokoju.

Kiedy indziej pokój dziecięcy na Florjańskiej inny przedstawiał widok.

— Będziemy się bawić w króla! — wołał mały Jaś, szczególniejszy amator takiej zabawy.

I wnet z właściwą sobie żywością zabiera się do roboty.

Więc z hałasem jeżdżą krzesła i stołki po całym pokoju, trzeba przecież ustawić tron i baldachim nad nim. Więc ku rozpaczycioci Katarzyny, która po śmierci pani Matejkowej zajmuje się dziećmi, zrujnowany jest porządek domowy, pościągane dywany, kapy z łóżek, serwety ze stołów. Wszystko się przyda.

Wreszcie tron urządzony, ustrojony, zasiada na nim król w papierowej koronie, a u stóp tronu pomysłowy Jaś sadza dwoje najmłodszych dzieci. To są niby paziowie.

— Jak ładnie! — wykrzykuje, klaszcząc w ręce, uszczęśliwiony malec.

Majestat królewski ma dla niego urok nieprzeparty.

Kiedy indziej jeszcze, przystroiwszy się niby po księżemu i ustawiwszy ołtarzyk, Jaś odprawia przed nim nabożeństwo solenne, a odprawia je z prawdziwym, szczerem przejęciem i istotną pobożnością, aż dziwną w tak małym dziecku.

I ta pobożność szczerą, gorącą miała mu zostać na całe przyszłe życie.

*

Upłynęło lat kilka. Chłopiec trochę się uczy, więcej czyta i rysuje.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym...

— odczytuje chłopiec i już widzi, już dostrzega... Więc to tak było? To tak musiało wyglądać! Więc prędzej, trzeba to odrysować!

„Śpiewy historyczne“ Niemcewicza, „Wieczory pod lipą“ były jego ulubionymi czytankami i źródłem dziecięcych natchnień.

I znów upłynęło lat parę.

Na wieży Marjackiego kościoła ozwał się hejnał. Niesie się, niesie stara piosenka ponad dachami odwiecznego miasta, zapada w wąskie uliczki, uderza echem o mury, skarpami podparte, o potężne mury Wawelu i Zwierzynieckiego klasztoru, rozciągniętego szeroko na szarą Wisłą, budzi wreszcie z za-

dumy trzynastoletniego chłopca, który od paru już godzin przebiega ciche ulice i uliczki Krakowa.

Chłopiec mały jest, wątki, ciemnowłosy, o wydatnym, kościstym, trochę skrzywionym nosie, wypukłym czole i czarnych, poważnych nad wiek oczach.

Ocknął się z zadumy chłopak i rozejrzał wokoło.

— Kiedyś! kiedyś! — westchnął i znów się zadumał. — Ach, tak!...

I zdało mu się, że te milczące mury obsiadło strojne rycerstwo, przez bramę rozwartą ciągnie orszak królewski. Jakaś uroczystość? Pewnie. Ciągną kolebki pozłociste, błyszczą aksamity i klejnoty, powiewają czaple pióra u sobolich kołpaków... Aha! brama Florjańska!

Chłopiec znów się schmurzył, zapuścił oczy w ulicę, gdzie stoi jego dom rodzinny i gdzie przecież musi wreszcie powrócić. Z niechęcią i obawą myśli o spotkaniu z ojcem, surowym dla dzieci panem Franciszkiem. Ej, gdyby żyła matka, osłoniłaby go przed, słusznym zresztą, gniewem ojca.

Cóż jednak przewinił mały Janek?

Ano rysował, tak, rysował w szkole podczas lekcji, rysował biegających na podwórzu i bawiących się kolegów, rysował służbę szkolną, rysował też i nauczycieli. Tak, rysował i będzie rysował — zaczyna się chłopak. — Choćby go zabili, to jego życie, jego wszystko, poza tem niema nic... Nic? no niezupełnie. Są jeszcze lekcje historii. Tak, te jedne lekcje coś są warte — decyduje w myśli.

Ale to ostatnie malowidło! Zafrasował się chłopiec, jednocześnie przecież swawolny uśmiech okolił mu usta, i figlarnie zabłysły oczy.

Ach! jaki komiczny jest ten stary profesor Knapczyński z wielkim brzuchem, Pogonowski chudy, cienki, z długim nosem i połami surduta po kolana, a i prorektor Tyrchowski, a przed nim ława i uczniowie na karę skazani, i Bartłomiej z czerwonym nosem i różgą w ręku. Ach! co to było! Cała szkoła pękała ze śmiechu, a nazwisko Jasia Matejki było na ustach wszystkich.

Nie żartem niepokoi się Jaś, stojąc u drzwi domu na

Florjańskiej, boć trzeba nieszczęścia, że malowidło to wpadło w ręce władzy szkolnej, i autorowi zagrożono wydaleniem ze szkoły. Żeby się tak miał bardzo martwić, iż nie będzie się uczył nienawistnej matematyki i języków, które ani rusz do głowy wchodzić mu nie chciały, to nie, ale ojciec, co powie ojciec?

Przeszło kilka burzliwych dni, podczas których o uszy Jasia obijały się gniewne słowa ojca:

— Jaś z tego chleba mieć nie będzie!

Wiedział, że ważyły się jego losy, obrazek bowiem zanie-siono do Stattlera, ówczesnego dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Stattler obejrzał karykaturę i... padł wyrok: — Jaś może być przyjęty w poczet uczniów Szkoły Sztuk Pięknych.

Wszedł też do niej jako trzynastoletni wyrostek, żeby wyjść jako dojrzały młodzieniec i artysta malarz.

*

W roku 1851 cesarz Franciszek Józef odbywa wjazd uroczysty do Krakowa. Jednym z widzów tej malowniczej chwili jest młodziutki Janek Matejko.

Ach tak! Te tłumy, ten przepych, te barwy i blaski i... król! król, którego majestat ukochał od dzieciństwa! Obcy to król wprawdzie, ale Janek nie myśli o tem w tej chwili, cały we wzrok się zamienił, spragniony i oczarowany chłonie ten obraz, a wróciwszy do domu, maluje go z zapałem.

W kilka dni później ten sam cesarz wjeżdża do Lwowa. Ten sam przepych, te same tłumy i — dziwne! i tam na ów wjazd uroczysty patrzą oczy młodziutkiego artysty, i tam genialna ręka odtwarza z zapałem barwny obraz.

Jan Matejko i Artur Grottger — „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi“.

Cóż jednak porabia mały Janek w Szkole Sztuk Pięknych? Oto w gronie starszych kolegów ledwie widać malca z paletą i pendzlami w ręku. Przed nim ustawione: to jakiś ptak wypchany, to czaszka ludzka, to wreszcie, o radości! żywy

model: jakiś dziad z pod bramy Florjańskiej, lub żebraczka z pod Marjackiego kościoła.

A mały artysta nie pogardza niczem, wszystko stara się odtworzyć, jak umie najlepiej.

A pozatem biblioteka. Cóż za rozkosz wczytywać się w stare karty, w kroniki Długosza i Bielskiego, i o zmierzchu wyjść na rynek krakowski i, krążąc po nim, snuć obrazy przeszłości.

Ale tymczasem praca i praca codzienna, mozolna, usilna i... nieoceniona.

Mając lat zaledwie piętnaście, maluje Matejko obraz olejny p. t. „Carowie Szujscy przed Zygmuntem III“. W młodszej tej pracy znać już przyszłego malarza historycznego. Obraz ten sprzedał Matejko aż za 17 reńskich (około 35 franków) i dumny był niezmiernie, że go tak suto wynagrodzono.

Mimo usilnej szkolnej i pozaszkolnej pracy, Matejko nie ma szczęścia, omijają go pochwały i odznaczenia szkolne.

— Lepiejby go było na inną drogę skierować — radzą ojcu różni życzliwi — na tej drodze pewnie nic nie zrobi.

Mogą sobie ludzie mówić i radzić, a młody zapaleniec z drogi umiłowanej już nie zejdzie. Podrósł też, chociaż niewiele, włosy mu ściemniały, a oczy, osadzone pod wypukłym czołem, nabrały jakiegoś wyrazu głębokiej powagi i zadumy. Pali się też w nich czasem jakiś dziwny ogień; to oczy, które widzą obrazy, jakich nikt inny nie widzi.

Brak jednak uznania boli go i gnębi, czuje swą siłę, a widzi, iż jest ona jakby nikomu niepotrzebna. Chciałby jechać zagranicę, zrywa się i łamie.

— „Co ja pocznę? — woła w jednym z listów — mam tu będę klepać między swoimi, toć lepiej między obcymi, bo mnie nie będą znać i położenia mojego“.

„Zdaje mi się, że coraz mniej umiem — skarży się gdzie indziej — a tu przede mną tak straszna przestrzeń“. Chciałby pracować, żeby: „choć w części uforemnąć dary, które Bóg dał, dla Polski.“

Bóg i Polska! oto dwa jego umiłowania. Bóg — do którego zwraca się ciągle z całą naiwną dziecięcą wiarą i ufno-

ścią. — Polska — dla której oddać chce wszystkie siły, które czuje w sobie.

Polska też, jej bóle i cierpienia, jej radości, wielkość i chwała — będzie treścią artystycznego żywota Matejki.

A lata szły. Krakowska Szkoła Sztuk Pięknych coraz więcej gromadziła uczniów. Gwaro też tam bywało i wesoło, nie brakowało pomysłów, pełnych werwy i młodzieńczego humoru.

Oto ustawiono posąg Wenery, spalono przed nim stos papierów, niby ofiarę całopalną, i cała brać artystyczna puszcza się w płas, tańcem i śpiewem sławiąc boginię. Że tam się narobiło sporo swędu i kopciu, to fraszki! Zabawa się udała.

Kiedy indziej u któregoś z kolegów zebrano się na gawędę. Jest i wesoły Grottger, i Stanisław Tarnowski, Suchodolski, nadszedł też zadumany, poważny Matejko.

— Matiarek! Matiarek! — powitał go chór rozbawionych głosów z pośród kłębow fajczanego dymu.

Już też wesołość doszła do szczytu, krzyżują się wybuchy śmiechu, żarty, piosenki.

— Matiarek! a wyleż-że z kąta! — wołają koledzy — patrzcie! to się zaszył, a wilkiem patrzy!

A dziki chłopak chmurzy się i milczy.

Ktoś zanucił hulaszczą piosenkę, i wnet zawtórował mu chór śmiechu, ktoś inny strzelił rubasznym dowcipem.

— Matiarek, gdzie uciekasz? — zastępują mu drogę koledzy.

Ale Matejko usuwa ich gestem stanowczym.

Dlaczego takie sobie zabawy wynajdują? Co znaczy ten śmiech bezmyślny, te nieprzystojne dowcipy i piosenki? Czy niema już innego sposobu zabawy?

— Matiarek, wróć się! Świętoszek! — gonią za nim rozbawione głosy, a on zbiega szybko po stromych schodkach w cichą uliczkę.

Zbiegł i odetchnął; nogi same poniosły go ku rynkowi, tonącemu w wieczornych mrokach.

W tej duszy czystej, pełnej wielkich wizyj przeszłości, w tej duszy przedwcześnie dojrzałej nie było już miejsca na pustą, dziecięcą swawolę.

I znów przeszło lat parę.

Młody artysta „drży“ na myśl, że opuści oszarpany Kraków i tyle wspomnień, choć niezawsze miłych, ale drogich dla niego.

Nareszcie los mu się uśmiechnął. Za obraz p. t. „Zygmunt I nadający szlachectwo profesorom“ — otrzymał stypendjum na wyjazd do Monachjum. Radość to i smutek zarazem. Więc jakże to? Opuścić ten umiłowany „oszarpany“ Kraków, nie odwiedzać starego Wiśnicza i przyjaciół swych Giebułtowskich, którzy tam mieszkają?

Ach, Wiśnicz! Ile rozkosznych chwil spędził tam młody Matejko, gdy błądził po tem starem miasteczku, pełnem domów drewnianych, odwiecznych, tak dziwnych, o podcieniach wspartych na słupach rzniętych, rynnach wyskakujących gdzieś aż na środek ulicy, po tych zacieśnionych uliczkach, gdzie z obu stron wznoszą się domy drewniane o ślicznych wiązaniach drzewnych, dziełach polskich cieśli, nieznanym nikomu artystów.

To miasteczko, pełne uroku wieków przeszłych, i te chwile, gdy, zasiadłszy z albumem w rękę, zapominał o świecie całym — to wszystko wypadnie mu rzucić i jechać w świat obcy i daleki, tak bardzo mu obcy językiem, którego nie zna, kulturą odmienną, otoczeniem cudzem. Dziki „Matiarek“ boi się innego świata.

A jechać trzeba, nato mu dano stypendjum.

I pojechał. Pojechał, żeby biedować, tęsknić i marzyć o powrocie do kraju. A tymczasem swoją „duszę utęsknioną“ topi w pracy. I jakiej pracy! Niedość mu Akademji, niedość nauki i studjów, to wszystko mało dla uspokojenia tego ognia, co rozsadza wątłą skorupę ziemską. Więc dalej! niech myśl bieży w przeszłość, niech z okrucichów ocalałych, z medali, pieczęci, nagrobków powstanie obraz tego, jak wyglądał ten świat dawny, świat w mogile leżący; niech myśl utęskniona przypomni wszystko, co widział, co czytał w starych polskich kronikach, i widział, i czytał na murach odwiecznych świątyń.

I powstaje dzieło: „Ubiory w Polsce“. I niema nic znakomitszego w tym zakresie, jak ów zbiór, gdzie każda postać

nietylko ma na sobie ubiór do ostatniego guzika, naszewki, zgodny z wzorami, ale ma do tego i twarz, i ruch odpowiedni. To są żywi starożytni ludzie od Bolesława Wstydlivego aż do ostatniego króla Stanisława. To są żywi husarze i lisowczycy, duchowni, szlachta i uczeni, to żywi mieszczanie i chłopci.

Wszystkie swoje wiadomości archeologiczne, pracowicie nagromadzone, pochwythane w muzeach i bibliotekach, złożył Matejko w swoim dziele.

I dzięki tej umiejętności, tej głębokiej znajomości przeszłości, Matejko dostrzegał w swojej wyobraźni każdy swój obraz, jako skończoną całość; jego ludzie nie tylko żyli i ruszali się, jak chciał, ale stawali

mu zarazem przed oczyma w ubiorach właściwych, w aksamitach, sobolach, lub w kolczugach i pancerzach, w habitach i robronach: jeno mu myśl nowa błysnęła, już i obraz stał przed oczyma gotowy i skończony.

Oto popatrzymy... Siedzi na fotelu królowa stara. Widać, że to królowa — siedzi majestatycznie, czarna aksamitna suknia opływa ją miękkimi fałdami, iskrzą się klejnoty i złote hafty, a dłoń pieszczoną wyciąga nieufnie po puhar... trucizny, którą jej podstępnie podaje lekarz nadworny.

To zła królowa Bona, co zdradą żyła i od zdrady ginie. Jaki wyraz tej ostrej, nieprzyjemnej twarzy, która piękną być kiedyś musiała, jaki nieszczery, uniżony wyraz twarzy lekarza



MATEJKO JAN

OTRUCIE BONY

nadwornego! Barwy silne a harmonijne; czarna farba, czerwień i złoto przeważają, wszystko jest w tym niedużym obrazku, wszystko, co potem uderzało w obrazach Matejki. A miał wówczas zaledwie lat 22!

— Polski król nie klęczy! — odparł dumnie Matejko, gdy profesor wiedeński Ruben zażądał od niego, aby król w obrazie p. t. „Jan Kazimierz podczas pożaru Krakowa“ miał pozę klęczącą. I pozostał Jan Kazimierz stojący, poważny i smutny, w otoczeniu dworu swego na tle czerwonej łuny płonącego miasta.

To było w Monachjum i Wiedniu.

Prawie w tym samym czasie powstaje smutny, a tak wszystkim znany obraz: „Kochanowski nad zwłokami Urszulki“.

Jam trawa, co nie czekała
Razu kosy siekającej,
Alem przed czasem zmarniała
Ogniem plagi gorącej...

— zdają się szeptać martwe usteczka tej, genjalnej prawie, dzieciny.

Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była
Abo nie umierała lub się nie rodziła!

Te rozpaczne myśli, zda się, wyczytać można na tem posępnie sfałdowanem czole, w tych bólem ściągniętych rysach Kochanowskiego, obejmującego pieszczotliwym ruchem rąk postać ukochanej dzieciny.

„W ten dzień, kiedym odebrał od Sanguszki pieniądze za „Wapowskiego“, powinienbym się cieszyć, a gdyby kto popatrzał na mnie tego wieczora! Jam płakał rzeką łez przed Chrystusem w Marjackim kościele... popatrz w moje roboty, to obrazy mojej duszy, to już nie uderzenia „Zygmunta“, to rozpękły głos zwierzynieckiego dzwonu za topielców... Nie dbam, co świat o mnie mówi, albo może powie; jam dawno umarł...”

Takie rozpaczne wołania odzywiają się w listach Matejki z r. 1862. I czemuż to? Wszakże sprzedał dobrze obraz „Śmierć Wapowskiego“, chwalono go w pismach, czemuż ta rozpacz, ta beznadziejność? W duszy artysty odbywa się jakiś



MATEJKO JAN

KOCHANOWSKI NAD ZWŁOKAMI URSZULKI

przewrót, coś w niej dojrzeć, snują się jakieś myśli tragiczne i wielkie. I jeszcze jeden obraz, nieduży, jakby jeszcze jeden cichy jęk duszy polskiej rzucony na płótno, jeszcze ten „Stańczyk” — błazen królewski z twarzą filozofa, z głębokim tragicznym cierpieniem w twarzy, z załamanymi rękoma. Obok zabawa i muzyka, oświetlone sale, a na stole rzucona karta, mówiąca o utracie Smoleńska. I nikt nie płacze nad tem, tylko... błazen królewski.

Tak, jeszcze ten „Stańczyk”, jeszcze ostatni cichy akord, zanim zabrzmie pieśń wielka i natchniona, pierwszy rapsod poematu bohaterskiego, jakim jest szereg obrazów historycznych Matejki.

A tymczasem zbliżały się już tragiczne dni powstania styczniowego, dni uniesień i klęsk.

*

„Topię moje smutki i tęsknoty w moim dzisiejszym obrazie, chociaż i on sam nieraz wielu jest przyczyną“. Tak pisze Matejko w liście z r. 1864, a obraz, o którym pisze, to — „Kazanie Skargi“.

Między „Stańczykiem“ a „Skargą“ przetoczyły się blisko dwa lata życia narodu, a były to lata i dziwne, i straszne, i pełne nadziei, i pełne smutków, i rozczarowań, i głuchej rozpaczyny wreszcie.

„Komitet się zawiązał — pisze Matejko — młodzież utrzymują do czasu, jak wszyscy będą gotowi...“

O czymże to pisze Matejko? A oto widzimy i jego samego. W chłodny, chmurny dzień zimowy jedzie rozmięklą polską drogą trzęsący się wóz, w pace, zapełniającej większą część wozu, coś tłucze się i grzechoce, a na pace dwaj młodzińcy, otuleni w kubraki, a smutni i niespokojni.

To Matejko i przyjaciel jego, historyk Szujski.

Szczęśliwie przejechali strażę, już też i blisko celu, jeszcze kawałek pola, ugoru, i oto laszek czernieje.



MATEJKO JAN

STAŃCZYK



MATEJKO JAN

KAZANIE SKARGI

— Stój! kto jedzie?

— Swoi! broń wam wieziemy!

Zaroily się czapeczki rogate, zabłyśły kosy nasztorc osadzone, sypnęła się ku przyjezdnym gromada bezładna. Wojsko to, czy nie wojsko? Ten wdział kubrak, tamten kożuszek, ów czamarkę lub kurtę myśliwską, ten ma dubeltówkę, ów karabin albo pistolet odwieczny, sznurkami powiązany. Ale w oczach mają męstwo i zapal, a na ustach piosenkę junacką.

Rycerze wolności — skazańcy. To partja powstańcza.

Objął jednym spojrzeniem ten obraz Matejko, i jakby mu się serce lodem ścięło. Szujski płakał z radości i wzruszenia.

„Boże — woła Matejko w jednym z listów, w parę miesięcy później — pókiż nas tak trzymać będziesz! Ciągłe się krew leje, i ciągle mało i mało!” W spalonym Wiśniczu — „święci z ołtarzów patrzą jak przerażeni, pusto i straszno, w powietrzu nieszczęście“.

Z tych przeczuć, smutków i bólów serdecznych powstaje „Skarga“.

— „Tak was pogruchoce Pan, jako ten garniec, którego skorupy spoić się i naprawić nie mogą... — zdają się wołać drżące wargi jasnowidzącego kaznodziei, a oczy patrzą



MATEJKO JAN

GŁOWA SKARGI

gdzieś w przestrzeń, coś w niej widzą, czego nikt inny nie widzi, ani ten król dostojny i wspałały, ani ten cały dwór, ani, tem bardziej, ci trzej w środku obrazu: Zebrzydowski, djabeł Stadnicki i Radziwiłł Rudy, ci trzej burzyciele porządku Rzeczypospolitej; ani nie widzą tego oczy młodzieńckiego królewicza, ani zamodlonej głęboko Anny Jagiellonki. Może jeno ów nad inne wzniesiony Jan Zamoyski widzi tę idącą zgubę, a zatrzymać jej niema mocy.

Każda twarz, każda postać coś nam mówi, na każdej wypisane jakieś myśli odmienne. A gdybyż ten obraz zobaczyć

w oryginale, w całym bogactwie barw i doskonałości wykonania!

Nie stracone były trudy Matejki, uparta i usilna praca w Szkole Sztuk Pięknych, w bibliotekach i muzeach, bo oto mógł, był w stanie rzucić nam przed oczy taką scenę, że, patrząc na nią, każdy powie sobie: „To tak chyba być musiało, nie inaczej“.

Nie stracone były trudy, bo oto dały Polsce, dały jej historii własnego malarza.

— „Jedziemy do Paryża!“ — pisze radośnie Matejko.

Nareszcie spełniają się jego marzenia, jedzie do tego raju artystów ze swoim dziełem; jedzie razem młoda i piękna, niedawno poślubiona żona.

Tam, odznaczony medalem za „Skargę“, zachęcany do pozostania w Paryżu, wrywa się zpowrotem do kraju; na obczyźnie mu smutno i nudno, zwłaszcza, iż nie zna języka francuskiego, jakże się tu porozumieć? Jest więc jak na bezludnej wyspie.

Po paru też miesiącach jest już znowu w kochanym Krakowie i przy pracy.

Praca to wielka a treść jej... straszna!

Strasznym dla każdego Polaka jest ten Rejtan, rzucający się na ziemię u drzwi sali obrad sejmowych. Straszny jest wyrazem rozpaczony na twarzy, rozpaczony, graniczącej z szaleństwem, straszny — ruchem rozdzierania szat na piersiach, ale stokroć straszniejsi są ci, co stoją obok, ten Branicki i ten Poniński dumny i bezczelny, och! i straszniejszy ponad wszystko ów król, co zstąpił z tronu słaby, zawstydzony, bezsilny, a ponad nim, w łóżu rozparty — Repnin, a ponad nim ze ściany, z portretu patrzy na ten cały zamęt, przerażenie, na ten upadek, szyderczo dumna caryca Katarzyna II.

Straszny to obraz, choć malowany pięknie! ¹⁾

Po owym dzwonie pogrzebowym, jakim jest Rejtan, zadzwoniły jakby uroczyste dźwięki Zygmuntońskiego dzwonu.

„Unja lubelska!”

Dwa narody dłonie sobie do zgody podają, Litwa z Polską unję zawiera. Matejko w środku obrazu postawił piękną, szlachetną, poważną postać Zygmunta Augusta, który trzyma krucyfik w podniesionej ręce. Wokoło przecudnie ułożone grupy panów polskich i litewskich, zaprzysięgających na Ewangelię. Staruszek biskup wileński z trudem powstaje z fotelu, aby też przykleknąć. Chodkiewicz zadumał się i zamodlił, kasztelan Zborowski właśnie kładzie dłoń na Ewangeli i wymawia słowa przysięgi, a nad nimi kardynał Hozjusz wyciąga zgrzybiałe, błogosławiące dłonie.

Litwa z Polakiem nawpół się ujeli,

Gmach głosem zadrżał: Nie nas nie rozdzieli!

Tym obrazem uczył Matejko nadchodzącą właśnie rocznicę unji lubelskiej.

„Batory pod Pskowem” — to wielka chwila naszych dziejów. Król-zwycięzca, król-triumfator, król-władea i mocarz — takim go właśnie widać w tej postaci, która rozsiadła się sze-

¹⁾ W Zamku Warszawskim.



MATEJKO JAN

BATORY POD PSKOWEM

roko w swoim fotelu: twarz skupiona, poważna, pełna rozmysłu.

A obok hetman jego, hetman przewidujący, człowiek silny i mądry; czy nie to jest w postaci i twarzy Jana Zamoyskiego?

Pośrednik przebiegły i zręczny, pewien swej władzy — czy nie to nam mówi postać legata papieskiego Possewina?

A odczytamy i inne twarze, inne postacie. Nie będzie to trudne, bo jest w nich to, co właśnie Matejkę tak wielkim czyni: jest to *siła wyrazu*, jakiego u żadnego malarza polskiego, a kto wie czy u jakiegokolwiek cudzoziemskiego znajdziemy.

Więc to rycerstwo polskie, dzielne, wojownicze a cywilizowane — a tu, na prawo, niewolnicy, półdżicy Mongoli, padający na twarz, korzący się przed siłą: jak ten władyka o oczach psa, który się boi kary. Obraz ten — to zaiste arcydzieło polskiego malarstwa historycznego, tem bardziej, iż i wykonanie jest mistrzowskie: od twarzy Batorego do najdrobniejszego oczka w pierścieniu.

W tym to czasie Akademia Sztuk Pięknych w Pradze Czeskiej, widząc rosnącą sławę Matejki, a wiedząc, iż ojciec jego był Czechem, przysłała mu zaproszenie, aby został dyrektorem tej Akademii.

Cóż na to Matejko? Wszakże to zaszczyt i byt spokojny i dostatni.

„Przyjaźń dla Czechów mieć mogę, tak jak ją dziś mam serdeczną, ale ziemi mojej — Polsce — miłość ma należeć...” — odparł Matejko i odmówił, i pozostał w Krakowie.

Jakżeby mógł żyć gdzie indziej? Zapomnieć wieczornych spacerów po rynku, tęsknych dumań w podziemiach Wawelu, gdzie znajdowano go do nieprzytomności zatopionego w myślach i modlitwie, wspartego o trumny królewskie, gdzie w mrokach starodawnej krypty, ledwie rozświetlonej słabym blaskiem kaganka, śpi nasza dawna chwała.

Jakby mógł odbieżeć tych czcigodnych sarkofagów, z których widział dobywane kości królewskie, kości Kazimierza Wielkiego, jego koronę, otaczającą jeszcze nienaruszoną cząstkę, i berło, i resztki całunów, którymi przed pięciuset laty spowito trumnę królewską!

Odmówił więc i został, został jako dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, której przez lat dwadzieścia przewodniczył, został — pracować i bronić starego, ukochanego Krakowa od barbarzyńskich rąk, które cegła po cegle rozbierały szacowne, odwieczne mury. Niezawsze udawało mu się ocalić te skarby, i wtedy gorycz zalewała mu serce, z bólem patrzył na niszczone pamiątki, na obrabowywany Kraków.

Zamykał się wtedy w pracowni i pracował, pracował.

A dziwna też to ta pracownia! I dziś widzę ją tak, jak widziałam ją kiedyś... dawno...

A było to — lat temu już dosyć sporo, żadnego z was, młodzi czytelnicy, na świecie wówczas nie było, ja zaś w latach owych byłam małą dziewczynką.

— Gdzie pójdziemy dziś? Co będziemy oglądać? — zapytałam ojca mojego, gdy pewnego letniego ranka wyszliśmy z hotelu, dążąc ku krakowskiemu rynkowi.

— Do pracowni Matejki — odparł ojciec.

Minęliśmy parę ulic i zastukaliśmy do drzwi pracowni.

— Proszę! — ozwał się głos z wnętrza.

Wchodzimy. Ogromna pracownia, jasno oświetlona, kolosalny obraz na stalugach, a na nasze spotkanie dąży ten, który

to zacisze zaludnia rojem postaci, ożywionych własnym duchem.

Drobny, nieduży, trochę zgarbiony, o wąskich zapadniętych piersiach i mizernej twarzy, okolonej spadającymi aż na ramiona włosami, w okularach, przez które żywo patrzą bystre, czarne oczy.

Podchodzi, witając uprzejmie kolegę po pendzlu, i z paletą jeszcze w ręku oprowadza po pracowni.

Niech się tam „starsi“ witają i rozmawiają, a moje dziecięce oczy nie tracą czasu, myszkują po wszystkich kątach pracowni, przedewszystkiem jednak biegną ku rozpoczętemu na stalugach dziełu.

A była to — ni mniej ni więcej — „Bitwa pod Grunwaldem!“

Zaledwie rozpoczęte dzieło tryska już życiem i ruchem. Węgłem podszkicowane postacie ruszają się, walczą, a tu i ówdzie wyziera głowa już skończona. Pamiętam, że postać Witolde była już skończona i rwała oczy potęgą ruchu i wyrazu. Już w tym szkicu obrazu znać było zamęt walki średniowiecznej, gdy pierś o pierś uderzała, i wróg z wrogiem ścierał się w boju orężnym.

Po obejrzeniu obrazu przychodzi kolej na oglądanie przedmiotów, które artysta zgromadził jako modele. A więc: hełmy, kolczugi, miecze, materje drogie, pasy i ubrania na konie, sadzone kamieniami tarcze i siodła, czekany i koszulki łuskowe. Jest nawet koń naturalnej wielkości, na którego zarzucono bogatą kapę. Wszystko to leży, wisi, zalega stoły, stołki, haki, ławy i świadczy o niezmiernej sumienności Matejki, który wszystko z natury studjował.

W tem przygodnem muzeum możnaby się długo rozpatrywać, ale czas naglił, śpieszyliśmy w dalszą drogę, Matejko — do przerwanej pracy...

I wyszło w świat to nowe dzieło ku podziwowi widzów. Bo i cóż to za bitwa!

Jak czarne chmury, pędzone wichrami,
Gdy z srogim grzmotem uderzą o siebie,
Tak hufce polskie z Krzyżaków rotami
Zwały się z trzaskiem w tej ciężkiej potrzebie.



MATEJKO JAN

TOW. ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE

GRUNWALD

I ów mistrz Ulrich, spadający z konia, i ów jak orzeł pędzący Witold, owi rycerze polscy i krzyżacy, zmagający się ze sobą na śmierć i życie, te konie oszalałe, z rozwichrzonymi grzywami...

Zaiste, niema w świecie obrazu, coby tak odtwarzał chwilę bitwy średniowiecznej, jak owa, nasza, matejkowska „Bitwa pod Grunwaldem!“

*

I potoczyło się życie Matejki podobnie jak wielkich mistrzów odrodzenia. Ma roje wielbicieli, otaczających go niemal królewską czcią, ma dom własny na Florjańskiej, ten sam, w którym kiedyś, jako mały Jaś, bał się nocą smoków i na długim stole w dzieciennym pokoju malował szturmy i żołnierzy. Dzieci kilkoro chowa się szczęśliwie.

A oto dzień uroczysty: cesarz Franciszek Józef odwiedza pracownię Matejki. A oto drugi dzień wielki: miasto Kraków ofiarowuje mu berło — niby symbol, iż jest królem w sztuce polskiej. Pochlebcy też nie próżnują, bo i gdzieby ich kiedy zbrakło? Otaczają go dymem pochlebstw aż do uduszenia.

Ulega im Matejko, i nieraz na usta wyrrywają mu się słowa, głoszące własną wielkość. Źli przyjaciele duszę psuli.

Gdybyż był na ich słowa uszy zamknął!

Oddalony od nich, inaczej czuje.

Oto jest we Włoszech. Widzimy go, jak zwiedza wspańnięte włoskie galerje. Oto zatrzymał się przed obrazem Tycjana. Jakiś błąd rysunkowy zwrócił uwagę Matejki. Wskazał go towarzyszącej mu żonie.

— Tybyś takiego błędu nie zrobił — zauważyła pani Matejkowa.

— Ale, żebym pękł, nie zrobiłbym takiego obrazu — odpowiedział na to skromnie mistrz krakowski.

I idzie życie. Pomiędzy owymi wielkimi dziełami powstaje długi szereg mniejszych. A więc obrazki, portrety, szkice, studia. Ukochane dzieci swoje portretuje Matejko kilkakrotnie. To cała ich trójka, to znów czwórka cała, to najstarszy syn, zuch w kontuszu czerwonym, konno.

Wolne chwile spędza Matejko we własnej wsi Krzesławicach pod Krakowem, te rzadkie chwile wolne od pracy nad olbrzymimi płótnami, rzadkie chwile wolne od gorączki twórczej, która, jak ogień wulkaniczny, rozsadza wątłe ciało i niszczy słabe z natury siły.

Rzadkie też bywały u Matejki chwile swobodnej wesołości i humoru. Bywały jednak.

Oto zdarzyło się w owych właśnie Krzesławicach, iż dorosły parobek rzucił kamieniem na syna Matejki, raniąc go w twarz. Rozżalony ojciec wzywa gospodarzy wiejskich, aby rozsądzili sprawę z nim razem.

— Dać mu w skórę! — oświadczyli przygodni sędziowie.

— Nie, bić go nie trzeba — rzekł na to Matejko — ale za to, że taki głupi, że kamieniami rzuca na ludzi i naraża ich na śmierć lub ciężką szkodę, a siebie samego na zbrodnię, niech pocałuje osła w ucho.

Osiół pasł się wpobliżu. Próżno nieszczęsny winowajca wypraszał się i wykręcał, próżno prosił, żeby mu raczej plagi wymierzono: musiał wobec wszystkich ucałować osłe ucho ku wielkiemu swemu wstydowi, a uciesze zgromadzonych.

Krótkie to jednak były chwile, i rzadkie wywczasy. Matejko nie miał na nie czasu, bo już tam, w pracowni krakowskiej, czekało jakieś nowe, rozpoczęte dzieło, które mu wszystkie myśli i duszę zabierało, a zabierało tak zupełnie i wyłącznie, iż nierzadkie bywały zdarzenia, że pracował całe dni o głodzie niemal.

Na stoliku, zawałonym przyborami malarskimi, wystygł przysłany z domu obiad, lub szklanka kawy, bo nie było czasu i spokojnej chwili, aby o odżywieniu ciała pomyśleć, bo tam z ogromnych płócien wyzierały rozpoczęte postacie i wołały na niego wielkim głosem, któremu oprzeć się nie mógł.

Zapadał więc na zdrowiu, coraz głębiej wpadały policzki i tragiczniej patrzyły oczy z wyniszczonej niewczasami i postami twarzy.

Oto w zacnym ubiorze i w złotej koronie
Siadł pomazaniec Boży na swym pańskim tronie,
Jabłko złote i złotą laskę w rękę mając
I zakon Najwyższego na łonie trzymając.

.....

Na końcu Olbrycht klęczy w książęcym ubierze,
A od króla chorągiew rozpuszczoną bierze...

Temi słowy Jan Kochanowski opisuje tę wielką chwilę, gdy „Krzyżak czołem bije polskiemu królowi“.

Tak ją opisuje poeta, a malarz nam ją ukazuje tak żywą, tak świetną w kolorach, z tem okrytem czerwonym suknem podniesieniem, z tym majestatycznym królem i jego chytrym lennikiem, z królową Boną, dumną i wzgardliwą, z małym Zygmuntom Augustem i z tym całym dworem, grającym wszystkimi barwami szat, świetnym i dumnym...

... zacny senat koronny, a wkoło
Sprawiony zastęp stoi i rycerstwa koło.

A tu, przed wzniesieniem, ciekawe głowy tłumu ulicznego: niewiasty i paupry; jakiś szlachcic podnosi na rękach córeczkę, żeby widziała tę chwilę uroczystą, jakiś rycerz w szyszaku ze skrzydłami podjeżdża konno, „strojno i zbrojno“, Piotr Kmita ręką wzniesioną ucisza tłum ruchliwy, a podskarbi królewski, wspaniale przybrany, zanurza dłoń w misie, aby złote monety rozrzucić między tłum zgromadzony.

Oto „Hołd pruski“!

W Muzeum Narodowym w Krakowie możemy podziwiać to arcydzieło, które Matejko hojną ręką narodowi darował ku ozdobie zamku wawelskiego.

*

W sali przyjęć w Watykanie jakaś się niezwykła uroczystość odbywa.

Na wzniesieniu zasiadł Ojciec Święty, Leon XIII, u stopni przyklekła delegacja. Barwią się kontusze i delje bogate, iskrzą pasy i rękojeście karabel, powiewają czaple pióra na kołpakach, a wśród tego świetnego, dumnego poselstwa klęknął człowieczek drobny, szczupły i mizerny, o długich do ramion, szpa-

kowatych włosach i jarzących oczach. Ojciec Święty wsparł dłoń na jego pochylonej głowie, i coś mówi długo i dobrotliwie.

Cóż robi tu owo poselstwo? Co składa u stóp tronu Chrystusowego zastępcy?

Spojrzyjmy wbok!

W pełnem świetle widnieje ogromny obraz, wypełniony tłumem postaci. O tak! dość spojrzeć, nie omylimy się — toć to obraz Matejki, ten sam ruch i charakter postaci, ta sama świetność barw, a w samym środku okazała postać tego „króla Jana, co to po łbach bił pogana“, a przed nim z głową odkrytą księżę lotaryński, i cudzoziemskie orszaki — to ci, co się obrońić nie umieli; a poza królem las proporców polskich, las skrzydeł husarskich — to ci, co przyszli i zwyciężyli.

Wjeżdża Jan III z swoimi hetmany

Wpośród radosnych pospólstwa okrzyków,

Gdzie się pokazał, wszędzie głos słyszany:

— Oto nasz zbawca, pierwszy z wojowników.

Koń królewski z dumnie wzniesioną głową depce zdobyte sztandary i buńczuki. To król zwycięzca i koń pod nim zwycięzca. Wdali zdobyte namioty tureckie, a dalej jeszcze Wiedeń ocalony, ocalone od pohańców chrześcijaństwo.

Czyż więc trudno zrozumieć?

Ocalone chrześcijaństwo, więc niechże ten obraz, który tę chwilę przypomina, będzie tu, gdzie na straży chrześcijaństwa stoi namiestnik Chrystusowy.

Tak postanowił Matejko. Pieniądzy za obraz, który w rocznicę odsieczy wiedeńskiej wymalował, nie przyjął, obraz darował narodowi, aby naród oddał go Kościołowi.

I oto właśnie chwila, gdy poselstwo polskie obraz Watykańowi oddaje.

— Tam on, wymowniej niż skądinąd, przypominać będzie nieprzedawnione zasługi, prawa i boleści — powiedział Matejko.

Tam też on mówi głośno i wyraźnie, mówi do całego świata o chwale króla Jana i męstwie Polaków.

Jeden tylko z dużych obrazów Matejki nie o naszej historii prawi; to obraz przedstawiający bohaterkę Francji, Joannę d'Arc, wjeżdżającą do Reims. I mniej też jest on piękny niż inne. Matejko dary, które „Bóg dał dla Polski“, dla Polski jeno używać umie.

Jeśli kto był w Krakowie i zwiedzał Muzeum Narodowe w Sukiennicach, to gdyby go zapytać, co tam widział, z pewnością jako jeden z pierwszych obrazów wymieni „Kościuszkę pod Raławicami“. I istotnie obraz ten utrwała się w pamięci, bo mówi o wielkiej i pięknej chwili dziejów naszych.

W raławickiem polu
Świecą ranne rosy,
Migają się w jasnym słońku
Kosynierskie kosy...

A u armaty stanął Bartosz Głowacki pod sztandarem Matki Boskiej, wsparł się ręką na armacie i patrzy w naczelnika jak w obraz święty, a Kościuszko z konia uchyła kołpaka, a kosynierzy w białych sukmanach wiwatują na cześć swego wodza. Twarze rozradowane, rozgorzałe: ten aż ręce obie rozłożył szeroko, tamten czapą do ziemi się kłoni, ów kosę zakrwawioną połą ociera, inny zdobyczny sztandar dźwiga; a tu na boku kona z ran szlachcic w kontuszu, a zawodzi nad nim szlachcic w sukmanie, krwią za ojczyznę przelaną nobilitowany: a wdali ciągnie się krajobraz polski wzgórzysty i skraj lasu sosną obrośnięty.

W raławickiem polu
Świecą ranne rosy...

„Kościuszko pod Raławicami“ — to ostatnia strofa rycerskiego poematu, ostatni z wielkich obrazów Matejki.

Mniejszych nawet i zliczyć trudno, bo jest ich moc ogromna: i ów „Wernyhora“, przepowiadający przyszłość Polski, i „Dzwon Zygmunta“, i „Uczta u Wierzyńka“, i — przez śmierć przerwane — „Śluby Jana Kazimierza“. A potem — cykl portretów królów polskich, i dwanaście wielkich szkiców, opowiadających „Dzieje cywilizacji w Polsce“.

Niepodobna wyliczyć wszystkiego, co ten mrówczej pracy artysta wykonał w swoim życiu, ale trzeba wspomnieć o pięknym „Autoportrecie“.

Jak wybornie to wątłe ciało zagłębiło się w szerokim fotelu, jak żywą i mówiącą jest ta twarz niezwykła, twarz myśliciela, artysty i poety. To jest Matejko żywy!

*

Jest w Krakowie kościół, stary gotycki kościół w rynku, o szczycie wieży, otoczonym precudnym wieńcem drobnych wieżyczek.

To kościół Marjacki.

Cofnijmy się o lat czterdzieści wstecz i rozejrzyjmy się po tej cudnej, gotyckiej świątyni. Oto wgórę, pod strop, lecą kolumny smukłe i rozbiegają się na sklepieniach, niby gałęzie palmowe. Między temi żeberkami puste pola sklepień i puste też, szarawe ściany prezbiterjum i nawy głównej. W poczerńniętych murach świątyni jeno okna kolorowe w prezbiterjum grają barwami jak klejnoty.

Poważnie tam, tajemniczo i smutno.

Wejdźmy dziś do kościoła Marjackiego. Czy to ten sam? Gdzie szerniały, pozieleniały mury, gdzie puste jednostajne ściany?

W prezbiterjum, po obu stronach sławnego ołtarza Wita Stwosza, wyroił się cały chór anielski. Są tu anioły i aniołki, pacholeta polskie o lnianych włosiętach do ramion, grające na fujarkach, kobzach i skrzypczkach, są dziewczeczki młodziuchne, trzymające wstęgi rozwite z wyrazami litanji do Najświętszej Panny; a wszystkie w barwnych szatach, z tęczowemi skrzy-



MATEJKO JAN
ANIOŁ Z POLICHROMJI KOŚCIOŁA
MARJACKIEGO

dłami, ze złotą aureolą koło główek, a wszystkie siedzą, kłęczą na jakichś dziwnych, fantastycznych kwiatach i gałęziach, same jak kwiaty z anielskich ogrodów.

A teraz wzniesmy oczy. Gdzie szare, puste pola sklepień? Z ciemnego szafiru patrzą złote oczy gwiazd, cały strop niebieski przegrodzony żebrami łuków, malowanemi w desenie i pasy o świetnych barwach. Desenie te przeróżne schodzą aż na filary, aż do dołu samego, gdzie znów, jak przeciwieństwo rajskich duchów z prezbiterjum, czają się obrzydłe, potworne szatany o dzikich ślepiach i zwierzęcych pyskach.

Skrzy się wszystko i mieni w barwy przeróżne, jakby wielki artysta, który to dzieło stworzył, chciał powiedzieć: „Co mam jeno najświetniejszych barw na palecie, co mam złotą, szafiru i purpury, to ci, Najświętsza Panienko, pod stopy kładę“.

Może się komu taki Marjacki kościół nie podoba, może wolał go starym, smutnym i szarym, niż jasnym, barwnym i wesołym — w każdym razie jest to jakaś wielka, natchniona, radosna modlitwa wierzącego serca Matejki.

I... ostatnia.

*

Nad cichym Krakowem niesie się dźwięk dzwonu, ogromny, potężny, wstrząsający.

Komuż to dzwoni ów „Zygmunt“, stary, ów dzwon przesławny, „wołający na żywych, płaczący za umarłymi“?

Ku cmentarzowi płynie tłum niezliczony, odprowadza zwłoki artysty, co życie całe patrzył jeno „w dawno zmarłych żywe twarze“, mówił nam o dniach klęski i dniach chwały naszej. Ogrom pracy zgruchotał przedwcześnie wątłe ciało; i oto spoczął snem wiecznym strudzony wędrowiec, co duchem przebiegł wszystkie drogi przeszłości naszej.

A „Zygmunt“ śpiewa mu do snu hymn przeszłości.

*

*

*

W małym miasteczku za Uralem przemieszkują od lat już kilku młody wygnaniec polski. Jeden z tych wielu, wielu, których burza 1863 roku wymiotła z kraju. Niejeden też przepadł, tam się ożenił, osiadł na stałe, a co gorsza chwalił sobie obce niebo i obcą ziemię pod nogami, a gdy przychodził czas uwolnienia, mawiał:

— Niech inni wracają, mnie tu dobrze.

Ale młody wygnaniec nasz nie należy do zadowolonych. Rogata dusza Litwina siedzi w tym drobnym, pogodnym człowieczku. Napozór nieśmiały i łagodny jest Kazimierz Alchimowicz, ale chce dobrać z niego, czego powiedzieć nie chce, zatnie się, roześmieje dobrodusznie, machnie ręką i pójdzie. Ma swoje miłości, swoje ukochania, marzenia i tęsknoty, ale chowa je głęboko. Co komu do tego, o czym tam marzy cichy Litwin?

Ale przyszedł wreszcie oczekiwany czas powrotu, czas wolności. Upłynęło lat kilka. W pracowni Gersona a potem w Paryżu, w Akademji, pilnie pracuje już przeszło trzydziestoletni uczeń.



ALCHIMOWICZ KAZ.

POGRZEB GIEDYMINA

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

— Alchim! — wołają nieraz koledzy — powiedz! ty jeszcze Perkuna w kuferku chowasz?

— At! dalibyście pokój! — odpowiada cierpliwie, przeciągając śpiewnie, „Alchim“.

Ale chował go istotnie, tego tajemniczego boga litewskiego, nie w kuferku wprawdzie, ale w duszy i sercu. Kochał swoich Perkunasów i Giwojtosów, kochał dawnych kapłanów i bohaterów pogańskiej Litwy, Krywe-Krywejtów, Lizdejków i Giedyminów, i kochał „puszcz litewskich przepastne krainy“. I z takiej to puszczy ciągnie orszak żałobny. To „Pogrzeb Giedymina“. Póldzicy wojownicy otaczają nosze, na których złożono ciało wodza. Przed noszami jasnowłose dziewczęta-płaczki, a przodem, na tle złotawego podzachodniego nieba, idzie lirnik stary, śpiewak, bajarz litewski, pobrzękuje w struny i śpiewa.

Inny obraz — legenda. Boginka Milda zwabiła chłopca i zabiła, a teraz uchodzi, ścigana piorunami mściwego Perkunasa. Bieży z rozwianymi włosami przez ten

. wał pniów, kłód korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk...

Prócz tych dwóch największych obrazów, coraz to coś nowego rzuca w świat pracowity Litwin. Oto „Lizdejko na gruzach świątyni Perkuna“, „Ostatni arcykapłan Litwy z córką Pojată“, widoki Litwy, ludzie tamtejsi w płótniankach i łapciach, cały ten kraj, pełny tajemniczych borów, cichych, omgłonych pól, zadumanych jezior, kędy wiatr zdaje się zawodzić „swą piosnkę zwyczajną, jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną“.

Poetą był ten cichy, niepozorny Litwin, poetą formy i barw ślicznych, które znajdował na swojej palecie dla odtwarzania legend i baśni kraju swojego.

„Litwo, Ojczyzno moja!“ — woła swojemi obrazami Kazimierz Alchimowicz.

Pod koniec życia zdziczał i osowiał. Nie podobały mu się nowe kierunki, nie było w nich miejsca na jego śliczne, poetyczne baśnie. Nie miał ich komu opowiadać.

— Nie maluje pan? — pytano go.

— Dla kogo malować, aaa? Kto chce patrzeć? Oni teraz inaczej...

Machał ręką i odchodził, coraz głębiej, zazdrośniej kryjąc w duszy swoje stare bogi.

JÓZEF BRANDT

1841—1915

Jasne, łagodne światło wlewa się przez wielkie okno, połyskuje w pochwach i rękojeściach szabel, umiejętnie na tle barwnych makat i dywanów porozwieszanych, dobywa z mrocznych kątów kształty przeróżne; tu błysnie husarska przyłbica, tu pancerz kunsztownie kuty i cyzelowany. Szarą plamą znaczą się stalowe, szerniałe kolczugi, a nad niemi pstrym, zawadjackim czubem potrząsa buńczuk turecki. Podłoga, ściany grają barwami, mieniają się połyskami stali, złocień, kamieni.

Muzeum to, czy zbrojownia?

Ani jedno, ani drugie. Oto na stalugach, na jednych, drugich, trzecich stoją obrazy skończone, rozpoczęte, podmalowane, obrazy tak samo grające barwami i połyskami, jak całe ich otoczenie.

Pracownia pusta napozór. Nie! Oto wciśnięty w róg kanapy, okrytej puszystym dywanem, siedzi jej właściciel — jej dusza. Artysta? malarz? nie, raczej coś z polskiego szlagona, nic z „artystycznego zaniedbania“. Włos krótko ostrzyżony, wąs suty, szpakowaty, cera czerstwa i oczy patrzące i widzące rzeczy byłe i niebyłe. Duma nad czemś głęboko, chwilami podnosi głowę i rozgląda się po pracowni, w której „Kmicic i Wołodyjowski prawdziwą mieliby uciechę“, i wnet:

„Zaczynają mu przed oczyma snuć się wąsate szlachcice, zaczynają mu brzękać szablami, samopały z ramion zdejmować, popręgi u terlicie podciągać, zawieje mu jakiś stepowy wiatr... powoli, powoli tworzy się obraz“.

Tak, idzie wiatr od stepów, wspomnienie młodości, gdy

z Juljuszem Kossakiem rwali czwórką w bezkreśne przestrzenie, gdy im jeno wiatr koło głowy świstał, kłoniły się trawy i burzany. Wiatr od stepów niesie na swoich skrzydłach te pieśni, które Józef Brandt ku ucieście ludzkich oczu wyśpiewuje.

Więc Ukraina go wykołysała? I to nie. Kraj jego rodzinny to Lubelskie, miejsce, gdzie ducha swego kształcił, to Mekka artystów — Paryż. A mistrz? Mistrz najpierwszy i najukochańszy to koniarz, zaciekły — Juljusz Kossak.

Pięknie i rozkosznie snuło się dzieciństwo i młodość Brandta, pomiędzy matką mądrą, wykształconą i też zdolną malarką, a dwoma wujami, którzy na wyścigi otaczają opieką i staraniem utalentowanego chłopca.

Szczęśliwe dziecko, szczęśliwy młodzieniec nie tem tylko, iż biedy nie cierpi, nie tem tylko, iż ma opiekę i miłość rodzinną, ale przedewszystkiem tem, iż natura tak hojnie go uposażyła. Bo pomyślcie tylko. Oto jest na kursie inżynierji, oto ma słuch i głos niezwykły, uczy się śpiewu, muzyki, a tu już go i malarstwo ciągnie, i tylko jeden ma kłopot, co z tych skarbów, hojnie w duszy złożonych, wybrać, by stanąć na wyżynach. Wybrał wreszcie, i oto po latach wielu duma w swej cudnej monachijskiej pracowni, a przed oczyma suną mu one wąsate szlachcice, owe zaporoskie zuchy i, trzaskając szablami, paląc z samopałów, zdają się wołać:

— Oto jesteśmy, wywołałeś nas, wskresiłeś, i oto jesteśmy!

Czarodziejska to zaiste sztuka duchy wywołać, w ciała je ubrać i pokazać je ludziom tak, iż każdy uwierzy, każdy powie:

— Tak! naprawdę tak, a nie inaczej, wyglądać musiały zaporoskie drużyny, polskie rycerstwo, tatarskie czambuły!

A ileż to prac, ile triumfów już poza nim. Mając lat dwadzieścia siedem, wystawia w Salonie paryskim obraz swój „Bitwa pod Chocimem“¹⁾. Bitwa, a raczej jej skraj; bitwa istotna wre jeszcze tam, gdzieś woddali, w kłębach dymu i kurzawy, a tu hetman Chodkiewicz, z białą brodą, w burce czer-

¹⁾ Zbiory Tow. Zach. Szt. Pięk. w Warszawie.



BRANDT JÓZEF

OBOZOWISKO W HARTHUSEN

wonej, z buławą wzniesioną objeżdża pobojuwisko, jakiś szlachcic konno mija go w pędzie, zdarłszy czapkę z głowy, trupy tureckie z zastygłemi twarzami, z zaciśniętymi kurczowo dłońmi.

„Poszliśmy potem do prowincji duńskiej, która się zowie Jutland, a przeszedłszy, stanął pułk królewski w Arbusen (Hart-husen), w mieście pięknem: na nasze chorągwie, że się dostała ulica, co nie było gdzie koni postawić, stajen z czego budować, nawet i miejsca na budowanie ich nie było...” — pisze pan Pasek — i właśnie taką ciaśniutką uliczkę w Harthusen

pokazuje nam Brandt. Stłoczone wozy ładowne, konie, rycerze, pachołkowie gotujący strawę. Dalsze plany starożytnego miasteczka giną w cieniach, oddalają się, zagłębiają. Śliczne małe miasteczko z drewnianymi domami, z mostem krytym, wiążącym dwie strony uliczki, z główkami mieszczanek duńskich, ciekawie przyglądających się polskim zuchom.

Tu znów „Czarniecki pod Koldingiem“. Na śnieżnym polu rozsypane ciemne grupy żołnierzy, sylweta fortecy rysuje się ponuro na tle mrocznego, zimowego nieba.

To z czasów dawniejszych. A teraz cóż to stoi na stalugach, czemu oto przygląda się sam twórca, uśmiechając się i podkrecając węża? Czemu to z zachwytem przygląda się stojący obok znakomity poeta polski, Kazimierz Tetmajer, i posłuchajmy, co o tem mówi, jak to on mówić umie.

„Król jegomość, swej parysko-szlacheckiej fantazji gwoli, wybrał się saniami z francuska-sarmacko. Konie idą w kosztownych, modą Ludwika XIV kapach, ale na koniach po swojemu forysie. Za królem szlachty tłum, w saniach, konno, magnaci polscy i francuscy, pajuków, hajduków, pochodni bez końca. Szlichtada odbywa się powoli, w jakiś widać galowy wieczór, i zapewne zatoczy tylko wielkie koło przed pałacem i napowrót rozpocznie się ochota. A jak Brandt, ten z krwi i kości szlachcic, powiada:

— Król, wysiadłszy z sani, palnie w ręce Jabłonowskiego, albo czyjekolwiek inne, kielich wódki, bo choć król to król, ale przedtem jeszcze człek swego chowu“.

A koloryt? Ów zmierzch padający na białe mury wilanowskiego pałacu, na świetne stroje końskie i ludzkie, zmierzch, w którym tem żywiej błyszczą smolne kagańce.

To jeden „Brandt“, malarz polskich scen historycznych, a jest i drugi, ten Brandt, któremu wiatr od stepów niesie wspomnienia młodości i o kraju szepce, kędy:

Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci...
We mgłach dyszą ciche jary
I mkną mary przez czahary...



BRANDT JÓZEF

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

WYJAZD Z WILANOWA

Step ukraiński gra kolorami tęczy, po kwiatach, po trawach, pod słońcem zawieszonem na czystym błękitcie, jada, jada radosną, rozśpiewaną gromadą, sto kopyt uderza w ziemię, sto gardzieli śpiewa i zawodzi, błyszczą oczy, chwieją się futrzane kołpaki, lśnią i barwią pstre kaftany i szarawary, grają piszczałki i litaury, dźwięczą dzwoneczki, w takt biją bębenki.

To „Powitanie stepów!“

Step bezbrzeżny, zasadzki, potyczki, chwile starć, walk w pojedynkę i w gromadzie, stłoczone kupy walczących, konie oszalałe z rozdętymi chrapami, sadzące ogromnemi susami — to świat Brandta, to jego życie, jego miłość.

Nieraz pracownia Brandta przybiera odświeżony wygląd, artysta czeka gościa, podjeżdżają wspaniałe ekwipaże dworskie, książę-regent bawarski Luitpold odwiedza dziś przybytek sztuki.

Miłośnik i znawca jest zachwycony. Jak ten „polnischer Maler“ znalazł na swej paletce takie barwy, takie słońce, skąd taki rozmach? Flegmatyczny Bawar nie zdobyłby się na nic podobnego, na to trzeba być Polakiem i mieć w sobie szlachecko-kozaacką fantazję Kmiciców i Bohunów; trzeba mieć w przeszłości takich dziadów duchowych, jak Orłowski i Michałowski, takich ojców, jak Juljusz Kossak.

Kiedy indziej spokojniejsze tematy zaludniają wyobraźnię artysty — więc „Zaloty“ kozaka do ukraińskiej dziewczyny — więc — o, spojrzymy, tacy sobie kupcy tatarscy o wschodnich typach przysiedli na wózku jednokonnym, mijają step, leżące gdzieś w dole miasteczko, a ciągnie ich koń kary, ubrany w szory ozdobne. Co za koń!

— To można sfotografować taką sobie bryczuszkę i takiego konia, będzie to samo — powie niejeden.

A właśnie! Tak jakby kto powiedział, że maszyna do grania zastąpi ludzkie czujące palce, biegające po klawiszach! Właśnie to samo! Wiedział o tem Brandt i zżymał się na tych, co pieli chwałę nowego wynalazku, przepowiadając upadek malarstwa.

Próbował jednak, był ciekaw, jak mu też migawka chwyci



BRANDT JÓZSEF

UTARCZKA Z TÁTÁRAMI



BRANDT JÓZEF

KUPIEC TATARSKI

ruch ludzki czy koński. Oglądał odbitki: tu wyszło coś niejasno, niewyraźnie, tu rachował na pewno i wyświetliło się, tu wreszcie chwyciło ruch, jakiego nigdy oko ludzkie nie zatrzyma.

Zżymał się i kłął pod wąsem. Do niczego! poprostu — do niczego!

Próbował jednak jeszcze, i oto jak opowiada o tem artysta malarz i uczeń Brandta — Apolonjusz Kędzierski, przebywający z mistrzem na studjach w Orońsku, ulubionej, letniej rezydencji Brandta pod Radomiem:

„Przyglądaliśmy się z zaciekawieniem, jak Brandt zabierał się do kontrolowania ruchów końskich przy pomocy aparatu migawkowego. Oto rozbiegany koń na linie służył za model. Brandt celował do niego zawzięcie i coraz dodawał:

— A tom go utrafił!

Strzelał tak do ostatniego ładunku, zziąjany, lecz kontent, biegł co tchu do piwnicy, a my w trop. Wywoływacza nie znajdujemy, mija godzina, dwie i nic. Mistrz klnie, dopiero Zarembski przypomina:

— Czy aby kasety były przesuwane?

— Do licha! No, tom się spisał!

Aparat został w piwnicy na zawsze“.

Bo i rzeczywiście najlepszym, najpewniejszym, nie zawodzącym nigdy aparatem jest wrażliwe oko ludzkie: co do niego przyłgnie, nie zginie nigdy.

Rozkoszne też to były te wczasy letnie w Orońsku, pełne pracy u boku mistrza, który wkładał w pracę własną i nauczycielską cały swój zapał, kraszając je humorem i fantazją niepożytą. Młodzi wówczas artyści, jak Łoś, Kowalski, Ajdukiewicz, Kędzierski, Rosen, robili wycieczki w okolice pełne ciekawych tematów malarskich, budowli, strojów i typów ludowych. Robiono wycieczki pieszo i końmi, a duch artystyczny w domu Brandta był tak zaraźliwy, że ulegał mu nawet stangret Jakub, który mistrza i jego uczniów na artystyczne wycieczki woził. Zdarzało się, iż z własnego natchnienia zatrzymywał konie i, wskazując biczyskiem, mówił:

— Oo! jaki akuratny kawałeczek do roboty!

Śmiano się z „artystycznych“ obserwacji Jakuba, ale często złażono z bryczki i zasiadano do roboty, uznając ich rację.

Sezon malarski trwał do późnej jesieni, gdy już rozpoczynał się czas polowań, których Brandt był wielkim zwolennikiem.

„Tuzin strzelb, miny groźne, stan wojenny w kniejach ogłoszony. Profesor odgraża się tylko na lisa.

— Pilnujcież się, chłopcy, byle niedaleko.

Stanowiska zajęte, cudny ranek, cisza głęboka, żaden liść nie drgnie, mieni się wszystko barwami, las jakby złotem przetkany. Oko biegnie śladem czaru słonecznego, wreszcie zapomina się o wszystkim i o regulaminie. Skradamy się, i gawęda aż miło.

Wtem szelest tuż obok. Lisek mądrala wytknął pyszczek chytrze, mignął płomykiem w podszyciach. Tyleśmy go widzieli.

Profesor strapiiony.

— Na miły Bóg, nie gadajcie aby o tem!“

Co tam lis, co nieudane polowanie, ale co wrażeń zostało w oczach, ile blasków i barw! Skarby to istotne i nieocenione, z których czerpać można pełnemi dłońmi. Czerpie też z nich profesor i cały zastęp młodych. Nabyte wrażenia, szkice i studia zużytkowują w pracowni na ten cel przeznaczonej. Rezultaty

bywają różne, lepsze lub gorsze, i nie tylko u młodych; samemu mistrzowi nieraz praca nie idzie, jakby chciał; coś mu nie tak wygląda, jak te cuda, które oglądał w potrząśniętych złotem zagajnikach.

„Wówczas Brandcisko — pisze Kędziński — wzburzony cały, z plamami żółciowemi, zjawiał się w naszej pracowni i wbrew zwyczajowi milczał.

— Niech licha porwie! Ot, wiecie co, ruszajmy, dokąd oczy poniosą, na awanturę!

Wnet wózek gotowy, siadamy, krępy mierzynek rwie z kopyta, mkną bezdroża, wertepy, wiatr z czoła spędza strapienie. Już Brandt wpada na swój temat ulubiony o Juljuszu Kossaku, o Ukrainie, którą niegdyś zamłodu zwiedzali, patrząc na resztki dawnego, bujnego życia“.

Od uczniów swoich wymagał wiele, nie wolno było nic zlekceważyć, nic też nie było takiego w naturze, co by nie było godne ręki malarza. Kto chciał być uczniem Brandta, musiał się uzbroić w cierpliwość, bo nic nie wolno było zrobić, aby zbyć. Kędzińskiemu zadał kiedyś namalowanie gałęzi lipiny prześwietlonej słońcem, pełnej szczegółów, żyłek, subtelnych zazębień.

„Pot spływał ze mnie, kiedym już skończył, uradowany chciałem odejść, lecz profesor:

— Hola! panie bracie, to nie sztuka, stokroć ważniejsze powtórzyć to wszystko teraz z pamięci, jako wrażenie“.

Tak też pracował i on sam niestrudzenie. Zanim się zabrał do obrazu, długo, pracowicie zbierał materiały, szkice, studia, długo szperał i gromadził; ale potem, stanąwszy u staług, szedł prosto do celu po urobionej, pewnej drodze, plamy barwne rozrzucał z niebywałą pewnością i wprawą. Pracował tak bez wytchnienia, goniąc nieraz ostatkiem sił.

„Przybladł artysta — czoło zroszone. Rozumiałem — koniec temu na dziś. Tymczasem chwila tylko wytchnienia. Zrywa się i, nagłym ruchem zgarniając farbę z palety jak śmietanę, nakłada świeże kolory, a pod szerokimi pociągnięciami giną stopniowo jaskrawości i zbyteczne szczegóły.“

Tak to szło życie Brandta w nieustannej pracy, między

Monachjum a Orońskiem, między zaszczytami, odznaczeniami i honorami stolicy sztuki, a prostem życiem wsi polskiej. Pod koniec życia strudzony, przenosi się artysta do Orońska, wytchnąć, wypocząć na cichej wsi. W tę cichą wieś pada grom.

Wielka europejska wojna! Mógłby teraz Brandt czynić nieskończone studja i obserwacje, gdyby nie to, iż jako Polak zbyt głęboko odczuwa wagę chwili i jej niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo też czyha i na jego dorobek artystyczny. Orońsk znalazł się na szlaku wojny i przemarszu wojsk, i oto nadchodzi chwila, że zaciszna pracownia pełna jest nieproszonych, brząkających szablami i ostrogami gości, którzy bardzo sumiennie przetrząsają zawartość tek artystycznych.

— Brandt! — dziwi się jeden z oglądających, wyższy oficer. — Brandt, der bekannte polnische Maler!

Ah, tem lepiej, znakomity, monachijski malarz, opłaci się wziąć sobie coś na pamiątkę. Więc wyrwany z ram obraz, wyszarpięte z blejtramu studjum, zdarte ze ścian szkice. Któżby pytał autora o pozwolenie? To wojna i wojenna zdobycz, w dodatku można zażądać jeszcze, aby na zrabowanym obrazku autor swój podpis położył. Brandt! Przecież to coś znaczy.

Burza wojenna idzie, przechodzi, wraca. Brandt, nękany chorobą, coraz rzadziej zagląda do zubożałej pracowni.

W kilka miesięcy po wybuchu wojny tłumy mieszkańców Radomia i liczne delegacje artystyczne oddają ostatni hołd malarzowi bujnego, stepowego życia.

HENRYK SIEMIRADZKI

1843—1902

W każdej szkole są uczniowie, którzy są podziwem i przedmiotem zazdrości kolegów. Bo cóż, gdy jeden musi się napracować, nabiedzić i jeszcze mu wkońcu powiedzą — „nic nie umiesz“, innemu wszystko samo przychodzi. Ot, jak naprzykład temu małemu Polakowi w gimnazjum charkowskiem.

Uciechę też prawdziwą ma nauczyciel przyrody, gdy ogląda

zeszyty chłopca. Jego owady, ptaki, rośliny odrysowane tak, że tylko je reprodukowac w książkach, onby tak nie umiał narysować, jak ten malec. Z rąk też do rąk wędrują jego zeszyty i bruljony, „zabazgrane“ doskonałemi, pełnemi życia szkicami ludzi, bitew, koni — bo i jakżeby się chłopak bez konia obył?

— Talent! — orzekają jednogłośnie.

— Talent! — stwierdza ze smutnym półuśmiechem gimnazjalny nauczyciel rysunku. Zajdzie wysoko to dziecko, byle tylko nie zmarniała iskra Boża, nie zetlała, nie zgasła, jak zagasło jego życie artysty, przysypywane codziennie szarym popiołem nudnych i jednostajnych udręk nauczyciela gimnazjalnego.

Nie ma się o co kłopotać poczciwy nauczyciel, chłopiec poza murami szkolnemi najszcześliwsze wie dzie.

Oto święta Bożego Narodzenia lub Wielkiejnocy; dom państwa Siemiradzkich, wygodna willa pod miastem, pełna gości polskich, a co chwila jeszcze ktoś przybywa. Oto polscy oficerowie, tu, na kresach dalekich, w wojsku rosyjskiem służbę przymusową pełniący, u swego generała do stołu wigilijnego zasiadają. Oto znakomity powieściopisarz, Józef Korzeniowski, oto brat wieszcz Adama — Aleksander Mickiewicz. Każdy Polak, którego los zagnał w te dalekie strony, znajdował w domu państwa Siemiradzkich drzwi i serce otwarte. Mówiono o Polsce pocichu, głośniejsze o sztuce i literaturze, odżywały wspomnienia, snuły się tradycje rodowe, stawały w oczach rodzinne, nowogródzkie strony, i ów dziad-podkomorzy, uwieczniony w „Panu Tadeuszu“, ten, co to „najwyższe brał miejsce za stołem“ i ten „ostatni, co tak poloneza wodził“.

Szły lata szczęśliwego, słonecznego dzieciństwa i pierwszej młodości, w otoczeniu, pełnem wykwintu i kultury. Zamiłowanie też do wszystkiego, co piękne, miało zostać w duszy Siemiradzkiego na cały czas przyszłego życia.

*

Akademja malarska w Petersburgu nie miała kłopot. Oto zgłosił się uczeń nowy, przedstawia swoje prace malarskie

z czasu pobytu w uniwersytecie. Prace wyborne, ale Akademia nie może ucznia przyjąć, bo... skończył już dwadzieścia jeden lat, a oni mają prawo przyjmować najwyżej szesnastoletnich. Uczeń wstępuje więc jako słuchacz bez praw. Po niejakiem czasie — nowy kłopot. Już to ten młody Polak spać spokojnie nie daje panom profesorom.

— Przyjąć go! — nalegają niektórzy.

— Prawo zabrania, niema takiego paragrafu — twierdzą inni.

— Zaszczytby przyniósł Akademii, zrobić wyjątek! — proponują stronnicy ucznia.

Srodze serce bolało rygorystów petersburskich, ale cóż było robić? Prace Siemiradzkiego przewyższają wszystko, czego wymaga Akademia. Jak niegdyś w gimnazjum dziwią się profesorowie. Kto go uczył? Skąd ta łatwość, ten rysunek doskonały, to światło żywe?

No, i zrobiono wyjątek. Siemiradzki został studentem rzeczywistym, z wszystkimi prawami, korzysta też z nich w całej pełni. Czy radzi są z takiego kolegi inni uczniowie Akademii? Może i niebardzo. Bo i cóż im pomoże, iż starają się, pracują, ile sił starczy — wszystkie medale srebrne jeden po drugim toczą się jak zaczarowane do rąk tego Polaka utrapionego! Czyż pracuje więcej, niż inni? Gdzież tam! ani połowy nawet. Czysta niesprawiedliwość.

A Siemiradzki ani dba o to, co o nim mówią. Duszę ma pełną zapału, każda chwila należy do umiłowanej sztuki.

Utrapienia panów profesorów nie kończą się jednak. Nowy uczeń niesforny jest, nowator, rewolucjonista: Akademia żąda, żeby malował w pracowni przy świetle, idącem od okna, a on sobie pracownię urządza na świeżem powietrzu, maluje prawdziwe słońce, oświetlenia otwartej przestrzeni, jakieś też i kolory znajduje na swojej palecie niebywałe — jasne, barwne, przezroczyste. Nie! To już zupełne zuchwalstwo, bunt jawny i karygodny.

Zżymają się jedni, podziwiają drudzy, a Siemiradzki maluje i raz po raz bierze medale — złote na odmiannę.

Stanowczo nie było sposobu na tego „buntowszczyka”. Przyznano mu stypendjum i wyprawiono na dalszą naukę do Włoch, do Rzymu.

*

. ogród pełen cienia,
gmach na kolumnach wykutych w marmurze,
światel szafiry, topazy i róże,
alabastrowe sale i przedsienia.

.
Tam gdzieś nad lazur srebrnobrzeżny wody
kwitną, jak śnieżnych kamelij ogrody,
jasne miasteczka, i wolno wypływa
łódź złotożagla, senna i leniwa... ¹⁾

Tak mówi o Italji poeta słowa, tak mówi o niej poeta
formy, wielbiciel słonecznej Italji — Siemiradzki.

Świat onych mórz szafirowych, świat słońca, gdzie to
„palmy stoją nieruchomo“ i gdzie się

. . . róże na marmury kładą
ponsową z krzewów toczoną kaskadą,

ten świat, ten kraj rzucił czar na oczy młodego artysty. Zobaczył go i został, co dnia budząc się z radosnem zdumieniem, że dziś, jutro, za tydzień, za miesiąc dane mu będzie oglądać „kolumn marmurowe czoła“ i tonać okiem w szafirach mórz, jakie równych sobie nie mają.

Słońce! Słońce! którego próżno szukał tam, w chmurnym kraju północy, tutaj poprzez liście palm i oliwek, na marmury, na darń szmaragdową, na biegnące między murami drożyny skalne — sieje złote promyki, kładzie drżące kółka świetliste.

Tak jest dziś, tak było lat temu kikaset, tak było lat temu parę tysięcy; zmienili się ludzie, upadły jedne państwa — inne powstały, padły, rozkruszyły się „alabastrowe sale i przedsienia“, padły portyki świątyn, i uszły z nich bóstwa, a słońce tak samo sieje przez liście palm i oliwek swoje złote kółeczka.

¹⁾ Tetmajer.



SIEMIRADZKI HENRYK

ODPOCZYNEK PATRYCJUSZA

Więc wskrzesić ten świat dawny! ożywić go! dobyć z popiołów!

I dobył go, wskrzesił, ożywił.

Na marmurowych tarasach, nad brzegami mór szafirowych, u samotnych cystern, wyroiły się postacie z przed lat dwu tysięcy, wyroił się patrycjusz, piękne Rzymianki, pastarze arkadyjscy; ożyły sceny codziennego życia w tym rozkosznym kraju, słodkie odpoczynki w skwarne południe.

Oto „Droga do świątyni“, błyszczącej tam, na wzgórzu, białą marmurowych kolumn, a osłonecznioną drogą ciągną gromadki pobożnych do stóp Apollina lub Wenery. U brzegu drogi zasiadł przekupień figurynek i wazoników.

Jaka cisza, jaka dziwna cisza,
jaki dziwny spokój w tej naturze...
wszystko tonie: woda, ziemia, niebo,
w przezroczystym, świetlistym lazurze.

Gdzie indziej przekupień przywiózł na sprzedaż malowane wazy; oglądają je dwie młode Rzymianki. Gdzie indziej znów dwie patrycjuszki wolne, szczęśliwe, strojne, słuchają śpiewu

Egiptjanki-niewolnicy; harfiarek egipskich słuchają też historyczny „Antonjusz i Kleopatra“. Piękno chwil codziennego życia w tym błogosławionym kraju.

Na wielkiej wystawie wiedeńskiej w r. 1873 tłumy widzów gromadzą się przed obrazem, na którym przedstawił Siemiradzki dwa światy odmienne. Na czele rzeszy, ciągnącej osłonecznioną drogą, idzie On — Chrystus o cudnej twarzy, postaci pełnej spokoju i boskości, a naprzeciw tej rzeszy wyznawców, pod marmurowym portykiem,

Kędy kolumna przy kolumnie
kamienny szczytów dźwiga strój,
poprzez podsienia wyszedł tłumnie
pijanych biesiadników rój.
A ona, wiedząc wszystkich, woła:
— Kędyż jest święty prorok wasz?
Kędyż on? Niech mu stawię czoła,
niechaj mu twarzą stanę w twarz!¹⁾

I stanęła ona „Jawnogrzesznica“, strojna w szaty bogate, w perły i naramienniki, stanęła ze złotą czarą, pełną pieniącego się wina, niech on, ten prorok, weźmie z jej rąk czarę... lecz

... Chrystus spojrział na nią,
Ona zadrżała jakby liść
Złamana grozą, wstydem blada,
...
Z ręki bezwładnej jej wypada
Czara złocista...

Do tego opisu poety cóż dodać można? Powiedziane w nim wszystko, co obraz mówi, a mówi tak dobitnie, jasno i wyrażnie, a gra tak pięknie barwami, migoce plamami słońca na jasnej drodze, na marmurach, na różnobarwnych szatach biesiadników...

*

Stary Kraków święci uroczystość rzadką i to uroczystość podwójną. Oto pierwszy raz od lat, od wieków, rozwarły się podwoje Sukiennic, aby przyjąć gości niezwykłych. W obszer-

¹⁾ W. Szymanowski.



SIEMIRADZKI HENRYK

JAWNOGRZESZNICA

nych salonach zgromadziło się wszystko, co jest kwiatem i koroną narodu. Więc politycy, działacze, uczeni, artyści, literaci. A między zebranymi na pierwszym miejscu siwowłosa, sędziwy jubilat — Józef Ignacy Kraszewski, ów, który „zbudował miasto powieści polskiej“.

Na uczcie jubileuszowej, u boku jubilata, między innymi gośćmi zasiadł przybyły na uroczystość Henryk Siemiradzki.

Wygłoszono już szereg mów na cześć wielkiego powieściopisarza, mówcy rozochoceni zwracają się teraz z toastami do tych lub owych z uczestników. Powstał wreszcie prezydent miasta Krakowa, Zyblikiewicz, wznosząc kielich na cześć Siemiradzkiego.

Siemiradzki wysłuchał toastu i powstał na znak, iż chce odpowiedzieć. Wnet ustał gwar rozmów, a artysta ozwał się w te słowa:

— „Podziękować pragnę małym czynem. Ponieważ pan prezydent był tyle łaskaw, iż odstąpił mi jedną ścianę w Sukienicach, przeto zawieszę na niej moje „Pochodnie Nerona“, ofiarowując je krajowi z tem przeznaczeniem, aby w Sukienicach były umieszczone“.

Chwila zdumionego milczenia. Co? jakto? „Pochodnie Nerona“? — to dzieło olbrzymie, które w triumfalnym pochodzie obeszło wystawy europejskie?

I nagle pękły tamy. Rumor odsuwanych krzeseł miesza się z oklaskami i okrzykami podziwu; kto żyje, dąży uścisnąć dłoń Siemiradzkiego, tłok się uczynił wokoło artysty, który oszołomiony i zmieszany przyjmuje te oznaki hołdu.

Wieczór zapadł. Na placu Szczepańskim gromadzą się tłumy, i coraz więcej ich napływa. Tłumnie wyległa młodzież uniwersytecka, i Szkoły Sztuk Pięknych. Ponad głowami ciżby migocą płomyki zapalonych pochodni, coraz ich więcej, aż cały plac zajaśniał łuną krwawą.

Pochodnie za „Pochodnie“!

Zabrzmiały tony orkiestry i tłum rusza pochodem pod hotel Krakowski, gdzie mieszkał Siemiradzki. Przemawiano krótko, bo cóż są słowa wobec czynu? Krótko też i poprostu odpowiedział autor „Pochodni“.



SIEMIRADZKI HENRYK

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

POCHODNIE NERONA

— „Dziękuję za niezasłużony zaszczyt, muszę wam jednak oświadczyć, że to, co zrobiłem, stało się pod natchnieniem tego ducha, którym ożywił wszystkich jubileusz Kraszewskiego“.

I chwyciwszy pochodnię z ręki jednego z uczestników, jak stał, we fraku i białym krawacie, ruszył na czele pochodu do hotelu, w którym zamieszkał sędziwy jubilat.

Nazajutrz czterdziestu artystów podpisało akt — zobowiązanie, iż każdy ofiaruje pracę swoją na rzecz przyszłego Muzeum Narodowego w Krakowie.

Siemiradzki był więc fundatorem tej wielkiej instytucji.

Jakże wygląda ono dzieło, które zawisło na wieczne czasy na ścianie w Muzeum? Oto znów, jak w „Jawnogrzesznicy“, dwa światy odrębne. Ten rzymski, gdzie:

Wśród światła, kwiatów, wśród kolumn szeregu
stoją posągi, podstawy z marmuru,
srebrniejącego mają blask lazuru.

W głębi przeciąga złocona lektyka cezara, dołem tłum pół pijany, rozszalały, spłynął z tarasów patrzeć, jak to płonąć będą ludzkie pochodnie, jak w mękach umierać będą ludzie ci — z innego świata. Patrzą. W niejednych oczach widać cięć współczucia, ale Neron patrzy ze swej złotej lektyki, patrzą jego zausznicy, więc prędko wiedzniej, kwiecie miłosierdzia! na dworze Nerona rosnać ci wzbroniono! W cudnych, złotem szytych tunikach, w wieńcach róż na głowach i „z różami w dłoni“ patrzeć będą na nieludzką mękę. Dwa światy!

*

W prześlicznej, pełnej dywanów, posążków antycznych i bronzów artystycznych pracowni Siemiradzkiego na Via Gaeta w Rzymie, gwaro bywa i ludno. Kto tylko z wybitniejszych Polaków odwiedzał Rzym, nie omijał gościnnych progów artysty, kto tylko z młodych artystów, przebywających w Rzymie, znalazł się w biedzie, potrzebował pomocy, poparcia — wiedział, gdzie iść. Z tej też pracowni coraz to jakiś nowy obraz w świat idzie. Idą sceny z życia starej Romy i te — biblijne, jak owa Marja, słuchająca nauk u stóp Chrystusa.

„Cicho; srebrne milczenie słonecznej pogody“, a w tej ci-

szy zdaje się, że słyhać poważny głos Nauczyciela: „Zaprawdę powiadam wam...” Z głębi osłoniętego winogradem ciennika, po schodach kamiennych, potrząśniętych złotymi iskrami, idzie Marta z dzbanem, aby panu sercem pokornem służyć.

Idą w świat one obrazy przeróżne i przynoszą autorowi najwyższe honory i odznaczenia.

Bywają czasami i inne obrazy. Oto u staroświeckiego szpiinetu zasiadł mistrz nad mistrze. Młodziutki Szopen czaruje swoją muzyką nie tylko tę młodą, śliczną pannę, księżniczkę Elżbietę, która utkwiała w niego zachwycone oczy, czaruje też i poważnego księcia Radziwiłła, który, rozsiadłszy się w fotelu, posłał gdzieś w przestrzeń zadumane oczy. Słucha, jak doskonale widać, iż słucha! Słuchają wszyscy: i stary, uczony Humboldt, i damy w stylowych czepeczkach, i ci panowie, stojący w głębi. Ze starego klawikordu idzie czar.

To jeden z niewielu odmiennego rodzaju obrazów Siemiradzkiego. W pracowni na via Gaeta zawsze jednak naczelne miejsce zajmują poetyczne wizje Italji.

Oliwny gaj jasnemi sperlony owady,
od motylów tęczowy, w gązie blasku złoty,

marmurowe, tajemnicze schody, źródła i cysterny samotne na pustkach Kampanji, fauny drzemiące u omszałych basenów, to wszystko, co ma Italja, ten kraj czaru niezrównanego, to nam w swoich obrazach pokazuje Henryk Siemiradzki.

„Szopen“ to jakby zwrot ku Polsce, do której Siemiradzki myślą powraca. Co lato też zjeżdża do kraju i wśród wsi polskiej część życia spędza.

I oto przyszła chwila, że znów Kraków powtarza nazwisko Siemiradzkiego.

Oto dzień uroczysty otwarcia nowego teatru. Najwybredniejsza publiczność zgromadziła się w nowym gmachu; wśród ciszy oczekiwania, wśród powodzi światła opuszcza się zwolna kurtyna, kurtyna — obraz, kurtyna — dzieło sztuki, gdzie na tle klasycznej architektury grupują się alegoryczne postacie poezji, muzyki, dramatu, komedji, muzy śpiewu i tańca, a wszystko w barwach pięknych, harmonijnych, odpowiadają-



SIEMIRADZKI HENRYK

TEATR W KRAKOWIE

KURTYNA

cych znaczeniu postaci. I cały ten obraz wykonany za cenę farb i płótna! Królewskie dary rzucał Siemiradzki hojną ręką.

W parę lat później nowy teatr lwowski święci podobną uroczystość; i znów zgromadzeni widzowie zachwytem witają drugą kurtynę i postacie w niej podobnej treści, ale inne, nowe w typach i układzie.

Któraż kurtyna piękniejsza? Doprawdy wybór trudny.

A Warszawa? Ma i Warszawa podobne, choć skromniejsze dzieło Siemiradzkiego. Kto bywa w warszawskiej Filharmonji, niechaj wzniesie oczy i przyjrzy się uważnie dwom, w formę trójkątów ujętym obrazom, obejmującym półkoliste wycięcie nad estradą. Z jednej strony grające anioły — to muzyka religijna, z drugiej lutnista grecki — muzyka świecka. A i on też obraz w zbiorach Tow. Zach. Sztuk Pięk., ta zrzucona z rogów tura męczennica chrześcijańska, której ze złośliwym grymasem przygląda się satrapa — Neron¹⁾.

I tu prawie że koniec, nie sił, nie chęci, nie zapału twórczego, ale przedwczesny koniec życia, zmożonego chorobą.

¹⁾ Dar rodziny artysty.

Ciężko chory, cierpiący wraca Siemiradzki do kraju, do swego gniazda, które sobie na polskiej ziemi usłał, opuszcza swą cudną pracownię na via Gaeta, zostawia w niej swoje ostatnie myśli twórcze, wymarzony, opracowany w szkicach „Wjazd Ossolińskiego do Rzymu“. Duch pracuje do końca — siły uchodzą, ciało zamiera.

Pośród zasłużonych ojczyźnie, w grobach na Skałce w Krakowie spoczywa pieśniarz słonecznej Italji.

* * *

Rok 1863. — Pobojowisko, gęsto zasiane trupami i rannymi. Dziś zwyciężyły hordy najeźdźców, zatriumfowała przemoc nad duchem ofiary. Na pobojowisku cicho; jedni posnęli na wieki, inni leżą w omdleniu, zrzadka odezwie się jęk ranego, zrzadka okrwawione widmo dźwignie się z trudem, spieczona usta wołają o kroplę wody.

Nikt nie nadchodzi z samarytańską usługą, ale zato... przez krwawe pole sadi cwałem kozak, trąci żywych i martwych, dzikiemi oczyma bada leżących — szuka w nich iskry życia. Zatrzymał konia, przechyla się w siodle i wbija oczy w młodziutkiego chłopca, okrwawionego, ranego ciężko. Żyje czy trup? Żyje! omdlałe powieki podnoszą się zwolna, okrwawione usta poruszają się bez słowa.

Żyje! w ręku kozaka błyska szabla.

Dwa straszne ciosy... dwie ręce odcięte, lewa wyżej łokcia, — prawa przy dłoni.

Chłopiec omdlał — kozak poleciał dalej szukać... żywych.

Czy to obraz taki? straszne, koszmarnie, widziadło? twórz wyobraźni?

Nie — to prawda.

W malarskich kółkach Warszawy, Monachjum i Krakowa zwraca uwagę artysta malarz Benedyktowicz. Twarz ma interesującą — ładną, pełną wyrazu, usposobienie pogodne, pełne werwy i animuszu. Gdy zrzuci z siebie płaszcz z peleryną, który stale nosi, z jednego ramienia widać spadający pusty rękaw, druga ręka zakończona, zamiast dłoni, oszytą irchą pałeczką.

Więc jakto? malarz bez rąk?

Tak, właściwie z jedną i to niecałą.

Benedyktowicz — malarz bez rąk, malarz, który do swojej niecałej ręki przymocowywał sobie sztucznie węgiel, ołówek i pendzel. I malował. Czy gorzej od innych? Nie! a nawet od bardzo wielu, o obu rękach zdrowych — dużo lepiej. Obrazy Benedyktowicza mają w sztuce polskiej swoje poczesne miejsce. Zwyciężyć kalectwo! co za kolosalny wysiłek woli!

Znały wystawy warszawskie i krakowskie obrazy i krajobrazy tego niezwykłego artysty. Oto długi szereg obrazów wsi polskiej: „Wieczór na wsi“, „Bielenie płótna“, „Wyrąb lasu“. A oto dziewczyna wiejska w lesie, słońce przesiewa światelka złote przez liście drzew i krzewów, kładzie jasne kółeczka na kraśnych sukniach i jędrnych policzkach dziewczyny.

Prócz tych prac mniejszych wymiarami, patrzcie! nawet duży obraz religijny, a obok niego znowu subtelne, delikatne rysunekki piórkiem! I cały ten dorobek to dzieło rąk — których nie było!...

Ile razy nawinie się pod oczy nazwisko „Benedyktowicz“, wnet, obok podznaczonego nim dzieła sztuki, staje postać twórcy, niby z legendy rycerskiej, legendy walk o niepodległość wyjęta.

BRACIA GIERYMSCY

Było to około 1860-go roku.

Na stokach dawnego szpitala Ujazdowskiego w Warszawie, gdzie wzrok sięga wdał, obejmując z jednej strony pobrzeża Wisły, z drugiej masę zieleni parku Łazienkowskiego, przechadzają się dwaj chłopcy. Widać, iż niewielka ich dzieli różnica lat. Starszy o rysach miększych i marzycielskich oczach, młodszy energiczniejszy i surowszy w wyrazie.

To dwaj bracia Gierymscy, Maks i Aleksander, a ten ogród szpitalny, te zielone jego stoki, to ich gniazdo rodzinne, gdzie spędzili wczesne dzieciństwo, a teraz przeżywają lata chłopięce.

Oto właśnie łuna zachodu rozlała się szeroko po niebie. Granatem i fioletem odcinają się kępy drzew, złotawe iskry migoczą w rozmiękłych niedawnym deszczem ścieżkach. Jakby urzeczony tym blaskiem roztopionego złota, zwrócił się Aleksander twarzą ku zachodowi i, zmrużywszy oczy, chłonie te masy cieni i światła. Zachwył, malujący się na twarzy młodszego brata, podrażnił Maksa. Wzruszył ramionami i, jak na komendę, zwrócił się w przeciwną stronę i ten sam wyraz zachwytu odbił się w jego oczach, ale wywołany widokiem krańcowo różnym. Oto przeciwna strona nieba i ziemi tonie w mglistych, błękitnawych cieniach, wszystko roztopia się w spokojnych, harmonijnych, zlewających się ze sobą barwach. Szary zmrok sypie się na usypiającą ziemię.

Walka triumfującego światła z ciemnością.

Cichy, melancholijny pochód zmierzchu.

Dwa światy, dwa wrażenia i te dwie dusze artystów, zapatrzone każda w swój własny obraz.

Tak bywało nieraz. Ale bywało i gorzej.

— W tym fioletowo-błękitnym mroku głębsze leży piękno — zdawały się mówić zadumane oczy Maksa.

— Nie! — protestowały rozśłonecznione źrenice Aleksandra — to martwe, smutne; tu życie w słonecznych blaskach.

Od myśli przechodziło nieraz do słów. Żywe utarczki, na temat piękna w naturze, nie były rzadkością między braćmi. Nierzadko poróżnieni, każdy zosobna, powracali z przechadzki.

*

Z tych artystycznych wędrówek niezawsze chętnie wracali chłopcy do domu. Zwłaszcza Maks ociągał się i opóźniał. Ojciec krzywym okiem patrzył na jego zamiłowania malarskie, a zato, ah! wstrząsał się chłopiec na samo wspomnienie, a więcej jeszcze na dźwięk nastrojanych instrumentów. Oto zeszło się paru przyjaciół ojca, będą grać i jego wołać, aby im towarzyszył. Ojciec nagania do muzyki, on od niej ucieka, każda chwila odjęta jego zamiłowaniom malarskim wydaje mu się świętokradztwem.

Palił się w nim ogień zapалу, palił się i przepalał jedną

po drugiej nici życia. Ale zanim ten ogień ciało strawi, dalej! dalej! niech wre praca, niech oczy stęsknione i ciągle szukające znajdują wokoło siebie formy życia, niech je ręka gorączkowo chwyta na papier, niech w niezliczonych albumach ożywają sylwety ludzi, koni, drzew, niech ze stalug, z rozpiętych płócien patrzy na nas cicha melancholja i smutek pól ośnieżonych, drzew bezlistnych, wichrem miotanych, zabłoczonych dróg, po których stępa wloką się oddziały konnicy. Znużone konie puszczają łby, z rezygnacją brną w śniegu i błocie, zdaje się, że słysząc chlupot rozbijanej kopytami wody, lub skrzyp śniegu, że wieje z tego płótna wilgoć i zgnilizna jesiennego dnia lub ponury chłód zimy, że słysząc krakanie wron, które, spłoszone, porywają się z ugorów bezładną gromadą. I zdaje się, że czujesz dreszcz chłodu, który przygarbia plecy jeźdźców, a na twarze rzuca im jakieś trupie, martwe barwy.

„Nieraz — pisze Maks w swoim dzienniku — stawałem w miejscu i po kwadransie wpatrywałem się w jeden punkt, a wszystko, com widział, miało dla mnie wyraz uśmiechniętej melancholji“.

Patrzy na naturę, widzi ją, ale natura dla niego to nie ta pierwsza lepsza, którakolwiek z brzegu, byle jaka, tylko ta właśnie, która mu się podoba, gdzie znajdzie siebie, swój smutek, swoją tęsknotę, swoją poezję, którą nosi w duszy.

I prawda — jak bardzo smutnym jest obrazek zatytułowany „Wiosna“, ta rozmokła ziemia, ociekające wodą i pół-rozmiękłym śniegiem dachy. Jak pełnym cichej zadumy jest ten prosty widoczek z nad brzegów Wisły, z warszawskiego Solca. Te walące się parkany, krzywe domy i tylko ta jasna smuga światła pod chmurami.

Taka sama smuga gasnącego światła dnia ściele się poza ciemniejącym stepem w ilustracji do „Mazepy“, gdzie, jak cienie z przed wieków, wyciągają pogięte konary dęby samotne, gdzie trawami i burzanami wichler szamoce, a koń stepowy w dzikim galopie unosi na grzbiecie bezwładne ciało szalonego kozaka.



GIERYSKI MAKSYMILJAN

KOZACY W POCHODZIE

Maks Gieryski był kompozytorem, a natura w jego rękę grała jak harfa, którą on po swojemu nastrajał.

Młody artysta zaczyna zdobywać sobie imię. Jest w Monachjum na studiach razem z bratem Aleksandrem. Tak, imię już ma, ale zato pieniędzy wcale. Nie ma nawet na modela, a jakże tu pracować bez modela temu, co tak głęboko rozumie i kocha naturę? Więc musi się znaleźć rada. I znalazła się.

Oto na drewnianym koniu, ustrojony w jakiś odwieczny mundur wojskowy, zasiadł brat Aleksander. Podparł się w bok, nastroił srogą minę i pozuje. A Maks, schylony nad stalugami, pracuje pilnie. I ta maskarada powtarzała się często. Aleksander raz był ułanem, to znów dragonem, kozakiem, markizem w peruce i trójkątnym kapeluszu, galopującym na drewnianym koniu.

Przyszły jednak i lepsze czasy.

„Dobrze mi jest — pisze w liście do przyjaciela — na nic uskarżać się nie mogę, a przecież, nie wiem czemu, opanowała mnie nuda szalona. Jestem zły, jak pies na łańcuchu...”

Czemu tak? — Oto Maks tęskni do kraju „do swojego świata“, jak mówi. Jego serce romantyka pod skorupą natura-

listy pragnęło współczucia, szukało ciągle i podnieć, i sposobu podzielenia się z kimś swemi uczuciami. „Pociechę moją największą jest to, że są ludzie, którym obrazy moje pewną przyjemność duchową sprawiają... moje myśli i uczucia nie są sieroce, i to stanowi całe moje szczęście“.

Sypią się też teraz obrazy za obrazami, pochody, szarże, obozy, konie na pastwisku, tłumne, pełne życia targi i jarmarki. A oto i polowanie z wieku XVIII-go, konne, barwne kawalkady na tle jesiennych krajobrazów. I rozchodzą się te dzieła po świecie, docierają aż do Londynu, krytyka angielska stawia je obok najpierwszych dzieł malarzy francuskich. Artysta sam zdumiony tem i podniecony woła w jednym z listów, iż nie wolno mu już zsunąć się z tych wyżyn, na których stanął, „więc naprzód! naprzód! choćby po własnym trupie!“

I nagle piorun z jasnego nieba...

„Jeden wiatr zimny, który się dostał pod prawe skrzydło płuc, wywiął wszystko! Mówią, że mnie praca zbyt gorączkowa i ciągnęła do tej choroby głównie usposobiła. Niech diabli porwą! Z próżniactwa spleen — z pracy choroba piersi; nie wiem, dalibóg, co lepsze?“

I zaczęła się choroba ciężka, tragiczna, nieuleczalna.

Górskie ścieżyny Reichenhall przebiega nieraz samotny wędrowiec. Zatrzymuje się nad strumieniami, goni wzrokiem uciekające po niebie obłoki, i coraz cięższy smutek na duszę mu pada.

„Wrony kraczą ponuro; na drodze leżą liście żółte, umarłe, a po liściach wiatr przygrywa melodię smutną, podobną do westchnień smutnej piersi...“

„Topole wysmukłe, gnące się od wiatru, żalosną postacią wzruszają mi serce: głuchy, posępny szum ich gałęzi jest dla mnie wymowną muzyką smutku, która często, gdy mam serce przepełnione, łączy mi z oczu wyciska“.

I coraz smutniej i coraz gorzej.

„Mój Boże! — woła z rozpaczą — mam dwadzieścia siedem lat, a czuję się pięćdziesięcioletnim starcem!... moje plany, moje marzenia, śladu po nich nie zostało“.

A jednak pomimo choroby, pomimo chwil rozpacz, żyje

w nim dusza artysty. Zachwyca go potok, mknący przez dolinę, i błyski rosy, drżące na liściach, zapach kwiatów, gwar odległego miasta, wszystko to jednak stapia się w jedną melodię głębokiej melancholji. Już teraz otwarcie i z goryczą mówi o bliskiej śmierci.

„Wiem, co to śmierć, znam strachy przedśmiertne: trzy czy cztery razy miałem przedostatnią noc swoją. Kiedy przyjdzie rzeczywista, będę już wprawiony“.

.

Na cmentarzu w Reichenhall leży głaz prosty, na nim napis — Maks Gierymski.

I tyle. Dwa wyrazy, nieznaną wyryte ręką; obce niebo nad zapomnianą mogiłą.

* * *

Podczas kiedy Maks powoli zapadał w błękitne mroki, szare zmierzchy, które tak za życia ukochał — Aleksander śmiało wpatruje się w świetliste zorze zachodu, zachwyca się jasnem, słonecznem oświetleniem. Przejrzysty lazur nieba, lśniąca powierzchnia wody, stare rudery polskich miasteczek i zabłocone drogi, to jest to coś, co go pociąga, porywa i zmusza do chwytania za pendzel.

Oto Lublin, a raczej jego żydowskie przedmieście, rozłożone nad wąską, cuchnącą, o! na pewno cuchnącą strugą, a wdali miasto błękitniejące. Na pierwszym planie gromadka żydów, rozrzucona u brzegu strugi, w której przegląda się złote niebo. Taki sobie obraz — niby nic, ale wpatrz się w niego a czujesz, że to właśnie tak, oto tak właśnie wyglądać musiała ta chwila dnia tam, w Lublinie.

Na innym obrazie odtwarza Gierymski święto Trąbek nad Wisłą, zamodlonych żydów u brzegu płynącej złotem rzeki. W przejrzystym powietrzu czarne sylwetki odcinają się tak wybornie, tak wypukło, iż zdaje się każdą figurynkę w rękę ująćby można.

Gierymski powoli zdobywa sobie wziętość i sławę. Mona-

chijscy profesorowie i koledzy patrzą z szacunkiem na tego „Polaka“, co głową ich przerasta. Już też i w kraju o nim słyhać! Przejeżdżający przez Monachjum rodacy odwiedzają nieraz pracownię Gierymskiego; oto, jak jeden z literatów opisuje swoją wizytę u niego:

„Aleksander Gierymski ma w swojej pracowni dwa krzesła i dwa obrazy, i nie potrzeba więcej, bo jeżeli przyjdzie osoba trzecia, to może sięść na kuferku — nie potrzeba więcej obrazów, bo te są znakomite“.

Oto nadeszły i do Warszawy dwa nowe obrazy Gierymskiego: „Gra w mora“ i „Austerja w Rzymie“. W obu obrazach typy włoskie, ogorzałe i kędzierzawe, podniecone grą, że — zdaje się — do oczuby sobie skoczyli, a wszystko zatopione w łagodnym półmroku, w nikłym półświecie małej lampki, oświetlającej wnętrze podmiejskiej gospody.

— Gdzież malował Gierymski te swoje obrazy, może w Monachjum lub w Warszawie, wyobraziwszy je sobie, naszkicował całość i dobrał typy? O, nie! onby tak nie umiał, nie chciał, nie pozwolił sobie.

Prawda, prawda i prawda ta prosta, zwykła, niezaprzeczona, to był jego ideał. Precz z wyobraźnią! precz z twórczemi marzeniami! natura jest mu jedyną mistrzynią, nic innego nie chce, nic innego nie szuka, więc rzeczywiście i „Austerji“ rzymskiej nie malował gdzie indziej, jeno właśnie w Rzymie, Lublin — w Lublinie, a Warszawę — w Warszawie.

A może Gierymski niżej stał jako artysta, niż ci, co idą za swemi popędami twórczemi, że tak sobie poprostu po ziemi chodzi? Rzecz w tem jednak — jak chodzi — jak szuka i jak znajdować umie, to czego setki tysięcy ludzi nawet się nie domyślają. Nie mniejszy był od twórców, kompozytorów, jeno — inny, swoje miał własne ideały, i do tego nic nikomu. Ani nie malował ładniej, ani brzydziej, ani smutniej, ani weselej, tylko tak właśnie, jak mu się to naprawdę w naturze przedstawiało. Sama prawda, sama natura, nic jej nie dodaje i nic nie odejmuje. Każdy jego obraz mówi nam: „Patrzcie, to właśnie było tak, właśnie tak, a nie inaczej“.

Mamy więc wyborny „brzeg Wisły“ — z szeroko rozlaną

lśniąca powierzchnią wody, z żółtymi łachami piasku, barkami u brzegu i smugami zielonych pastwisk, po których uwija się bydło. Mamy „Włocławek“ z jego małomiejską ulicą i bokiem odwiecznej katedry. A wszystko zalane jasnym, olśniewającym słońcem. Mamy „Wnętrze kościoła św. Marka w Wenecji“. Jak lśnią złociste mozaiki na ścianach kościoła! Jak się kładą światła na marmurach posadzki! jak zdaje się wejśćby można w cień mrocznych, odwiecznych naw!

A teraz coś innego.

Oto „Śmieciarka“ — taka sobie baba, jakich wiele

widujemy na naszych podwórzach, baba brzydka, brudna i obdarta, zdaje się, że ją żywą widzimy przed sobą. Albo i ten „Rybak w Heist“ — tęgi, ogorzały wilk morski. Niepiękny, o, nie! Tego o nim powiedzieć nie można, ale, patrząc na ten obrazek, możemy powiedzieć z Chełmońskim: „Tak to on musiał wyglądać, bo jest tak doskonale namalowany“.

Ale tę doskonałość niełatwo zdobywał Gierymski. Grymaśny był i wymagający, nie umiał powiedzieć sobie: „No, może ujdzie — jakoś to będzie — coś tak... mniej więcej...“

Oto obraz prawie ukończony, jeszcze kilka ostatecznych dotknięć pendzlem... Gierymski odstępkuje od stalug, mruży oczy, przechyla głowę na prawo i lewo. — Nie to! Jeszcze nie to! Kilka dotknięć, kilka nowych barw... ciągle nie to! i nagle po powierzchni ukończonego obrazu przesuwają się z rozmachem nóż malarski... Nic — mniej więcej! Nic — aby zbyć!



GIERYMSKI ALEKSANDER

ŚMIECIARKA

Zgarbiony nad stalugami, z zaciśniętymi ustami, ze zmarszczką skupionej woli między brwiami, rozpoczyna pracę na nowo.

Musi być tak, jak można najlepiej, albo nie być wcale.

Jak mało jest takich ludzi na świecie! i cześć tym, co się na ten największy wysiłek zdobyć umieją, którzy wolę tak natężyć zdołają.

Całe też życie Aleksandra Gierymskiego było walką, było poszukiwaniem. Niezawsze też spotykał się z uznaniem. Krytykowano go, chciano, żeby tworzył inaczej, kiedy on mógł tylko tworzyć tak, jak mógł. Więc jeździł, tułał się, szukał, pracował, aż zmożony chorobą, znękany dogorywa w Rzymie.

— Zobaczysz — mówi z goryczą do przyjaciela — za życia jeść nie dali, a po śmierci zostawia, gdzie który klapnie ¹⁾.

I odgadł los swój tułaczy. W Rzymie, na obcej ziemi, mogiłę ma zapomnianą.

* * *

— Co za talent! co za talent! — podziwia sam mistrz Matejko, oglądając prace uczniów Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, a młody Pruszkowski, rad z pochwały, uśmiecha się z poza stalug białymi zębami i łyska radośnie czarnymi oczyma z pod spadającej na czoło kruczej czupryny.

Dobrze mu tu w tej szkole, gdzie go znają i chwala, dobrze z kolegami, którzy podziwiają, zarówno zawadjacką fantazję i piękną postawę, jak pewność oka i ręki w malarskich pracach współtowarzysza. I jedno tylko niedobre w tej wspólnej pracy, to to, iż każdy ma prawo, stanąwszy mu za plecami, wypatrywać każde pociągnięcie pendzla. Nie lubi tego Pruszkowski, oh! jak nie lubi serdecznie! Żżyma się też, irytuje, a często zniecierpliwiony natrętnemi oczyma, przejedzie oto rękawem bluzy po rozpoczętem malowaniu.

— Patrz-że sobie teraz, kiedy niema na co! — zdaje się mówić natrętowi.

¹⁾ Wanke.



GIERYMSKI ALEKSANDER

WNĘTRZE KOŚCIOŁA ŚW. MARKA W WENECJI

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

— Warjat! czysty warjat! — wzruszają ramionami urażeni koledzy.

Ale gniew nie trwa długo; Pruszkowski jest Benjaminem pracowni.

Więc wszystko dobrze, tylko niechaj mu nie patrzeć w robotę — niech nie zaglądać do duszy, póki w niej się zmagają twórcze niepokoje i niepewności. Ten pełen talentu, dorosły już młodzieniec ma w sobie dziecięcą wstydlivość szczerych talentów.

— Co za talent! co za talent! — mówi już nietylko Matejko, ale chórem wtórują mu koledzy i zwykła publiczność, oglądająca obraz Pruszkowskiego p. t. „Aniołowie u Piasta“.

Na tle ślicznego, poetycznego krajobrazu stoi Słowianin o płowym wąsie; przed nim postowie władków lechickich, niosą mu władzę i koronę, składają ją ufnie w ręce Piastakołodzieja. Jak jasno, jak wyraźnie widać w twarzy i ruchu Piasta niepewność i wahanie, prawie przestrasz, zdaje się, iż słyszymy słowa:

— Jakto? ja? ja mam władać państwem? ja, skromny rolnik i kołodziej?

A zboku dwie postacie legendarnych aniołów. I jakież te anioły inne, odmienne; nie te uroczyste, poważne, ale jakieś radosne, pogodne, takie złotowłose pachołeta.

Nie historycznym jednak malarzem jest Witold Pruszkowski, a jeśli wziął sobie jako treść do obrazu Piasta, to dlatego, iż jest to postać legendarna, baśniowa, coś, co jest pół prawdą tylko.

W Mnikowie pod Krakowem stoi dom nieduży, pośród sadów wiejskich, pośród strzech słomianych sąsiadów-włóścian. W niezbyt obszernym domku najwięcej miejsca zajmuje dobrze oświetlona pracownia malarska, zastawiona stalugami, obwieszona od góry do dołu szkicami, pomysłami do obrazów, studjami. A w pracowni krząta się jej właściciel, dziś już mężczyzna dojrzały, z sutym wąsem, z kozacka trochę opuszczonym ku dołowi. Nosi się trochę z chłopska, trochę z ukraińska. I nic to dziwnego; gdy bowiem myślą wstecz sięga, jawią mu się rozległe stepy ukraińskie, jego strony rodzinne, spie-

nione wody morza Czarnego. Te cisze i zadumy stepowe, ten wieczny szum morski rozkołysały mu duszę, wichry stepowe rozdmuchały iskrę poezji, którą ze sobą na świat przyniósł.

Rozkołysały mu duszę i poetyczne wizje Słowackiego, którego nad wszystkich poetów polskich ukochał.

„Oto się zowie Eloë, a urodziła się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami“.

Cmentarz śniegiem zasuty, sterczą krzyże nagrobne, cały las krzyżów, całe pole mogiłami zryte, a wśród onych krzyżów stanął anioł biały, lekki, jakby jakąś poświatą, z wewnątrz idącą, rozświetlony, ręce rozłożył nad grobami, jakby je uciśzał, mówiąc kościom: „nie skarżcie się, lecz śpijcie“.

I znowu bezkres śnieżny — „Anhelli był umarły“ — kształt ciemny leży w śniegu. „W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur... Eloë siedziała nad ciałem zmarłego z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach“, i to wszystko, co napisał Słowacki, czytamy w obrazie Pruszkowskiego.

— Czy znacie baśń o Madeju? Któż jej nie zna, kto nie pamięta tego zakończenia, gdy to stary rozbójnik, skruszony i żałujący, spowiada się w puszczy synowi swemu, który został biskupem, obok cudowna jabłoń, której każdy owoc jest jednym z grzechów Madeja. W miarę wyznawania grzechów jabłka zamieniają się w gołąbki białe i ulatują ku niebu.



PRUSZKOWSKI WITOLD

MADEJ

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

Tę chwilę właśnie odtworzył Pruszkowski w obrazie swoim. Wyszłe ciało starca-pokutnika, które za chwilę w proch się rozsypie, ta srebrna, rozwiana broda, przerażenie, malujące się na twarzy spowiednika, w głąb tajemniczej puszczy ulatujące gołąbki — to cała bajka w doskonałą formę malarską ujęta.

A jak żywe, śliczne są te „Rusałki“ — uwodzicielki, w postaci dziewcząt ukraińskich, kołyszące się wśród trzciny jeziora ¹⁾).

Z szeregu tych baśni malowanych, jak „Świtezianki“, „Wilkołak“, „Djabel w suchej wierzbie“, jak „Gwiazda spadająca“, gdzie rozwiewna postać kobieca z gwiazdą u czoła leci gdzieś głową w dół, w błękitne odmęty wszechświata, jest jeden szczególnie wbijający się w pamięć, to „Smok wawelski“. Myślę, że mógłby się łatwo przyśnić jakiejś małej Marysi czy Halusi ten straszny, zielony jaszczur o bazylijszkowych oczach, wypełzający z jamy skalnej, wpatrujący się okrutnym wzrokiem w postać wpół omdlałej dziewczyny wiejskiej, przykutej do skały.

— Oglądałam ten obraz lat temu wiele — mówiła jedna z artystek — a pamiętam go jak dziś. *

Tak, obrazów Pruszkowskiego nie zapomina się. Są niezwykłe i tak żywe, barwne, jak i ta „Matka Boska Zielna“ — ten tłum postaci, kobiet z pod Krakowa, z pękami ziół i kwiatów. Sąsiadki to jego — te wszystkie czerstwe, wdzięczne kobiety w kraciastych, krasnych szalach i białych chustkach na głowach.

Niemąło też przyjaciół liczy Pruszkowski pomiędzy kolegami swymi. Dom jego w Mnikowie odwiedzają stale Mien, Antoni Piotrowski, Włodzimierz Tetmajer, Benedyktowicz. I znów wszystko było dobrze, póki ktoś nie spróbował zajrzeć do jego tek i szkiców; wnet jurny ukraińiec stawał okoniem, broniąc zazdrośnie swojego duchowego dobra. Miał naturę pszczoły, która może pracować tylko w ciszy i odosobnieniu.

Zdarzyło się, iż przyjechał do Mnikowa przyjaciel artysty, Mien. Zagadali się do późnego wieczora. Było zresztą mówić o czem. Pruszkowski, ogólnie wykształcony, i do pióra brał się

¹⁾ Muzeum Narodowe w Krakowie.

chętnie: pisywał poezje i dramaty, z którymi też krył się niepoprawnie.

Zagadali się tedy przyjaciele o sztuce i literaturze, wracać do Krakowa było za późno; Pruszkowski proponuje koledze, aby zanocował, i idzie naradzić się z żoną, gdzie gościa umieścić. Po chwili powraca.

— Kochany Mien, wybacz mi, że nie mogłem lepiej cię umieścić, dom jest mały, będziesz spał w pracowni, tylko kładę mały warunek.

— Jaki?

— Ten, że dasz mi słowo honoru, że nie spojrzysz wokoło siebie, szczególnie na ściany i stalugi.

— Niepodobna!

— A dlaczego?

Mien tedy tłumaczy, nie chce dawać słowa, bo nie wytrzyma, doprawdy nie wytrzyma, i coś będzie wtedy ze słowem honoru?

— Poczekaj! — mówi Pruszkowski i wychodzi z pokoju. Niebawem powraca.

— Wszystko gotowe.

Istotnie wszystko było „gotowe“, obrazy zdjęte ze stalug i usunięte z pracowni, inne pozasuwane w kąty i poodwracane do ściany. Mien sam się przyznaje, iż „nie wytrzymał“, i gdy rano Pruszkowski wszedł do pracowni, zauważył, iż obrazy były poruszone z miejsca. Spojrzał koso, ale nie już nie powiedział. Oglądano je, ale przynajmniej nie w jego obecności.

I tak szło życie, wypełnione pracą artystyczną, rzeźwem życiem wsi polskiej, której Pruszkowski czuł się nieodłączną częścią. Gdy rankiem otwierały się drzwi domku i ukazywał się w nich młody, piękny mężczyzna, w koszuli zgrzebnej, w kożusku, w czapce barankowej nabakier z fantazją naciśniętej, gdy obok czepiał się jego nóg synek mały, bosi, w koszulinie krajką opasanej, gdy wreszcie ruszał do stajni i z wprawą i fantazją dosiadał ulubionego konia — niktby w tym dziarskim „gospodarzu“ nie podejrzewał wielkiego artysty.

I wtem — katastrofa, wypadek, nieszczęście. Kopnięty

w twarz przez konia zapada ciężko. Choroba straszna, nieuleczalna sprowadza cierpienia nie do opisanja. Pomimo cierpień, operacji, które do niepoznania zniekształcają piękną twarz, Pruszkowski nie ustaje w pracy. Z obandażowaną głową, z gorączką zasiada do stalug i maluje, pisze, koresponduje z przyjaciółmi. Silna natura nie chce się poddać.

Niezawsze jednak w tych warunkach praca idzie gładko.

„Po kilka razy na godzinę wydaje mi się to samo bardzo dobre, albo bardzo złe“, pisze zrozpaczony.

Maluje zamówiony tryptyk, a miał to być „Janko-muzykant“ — ale nie ten Janko sienkiewiczowski — tylko jego, jego własny, inaczej pojęty. Jest więc Janko, muzyk wiejski, gdy wniebowzięty wsłuchuje się we własne natchnione melodje, i jest znów brzeg stawu, a nad brzegiem porzucona Jaśkowa czapka, gdy on sam, muzyk z Bożej łaski, poszedł pod wodę. O tym obrazie pisze do Krywulta ¹⁾, z którym był zaprzyjaźniony, i dodaje:

— „Jeżeli pan masz jaki mój obraz, to nie sprzedawaj teraz, bo jak mnie nie będzie, to obrazy moje mogą pójść w górę. Radzę panu — a niedługo już czekać“.

Dziwne męstwo, w oczekiwaniu śmierci, wieje z tej praktycznej, przyjacielskiej rady.

Jeszcze jedna jazda zagranicę, jeszcze jedna straszna operacja, i wtedy jeszcze pęd do pracy twórczej. Chce zrobić portret pocziwego doktora, który go leczy.

— „Zrazu mi dość dobrze poszło — pisze — ale siły mi nie dopisały, i wkońcu musiałem zamazać“.

Cierpienia się wzmagają, czuje śmierć zbliżającą się powoli, mówi o niej, pisze, nie pragnie już życia, „które znowu nie jest tak słodkie, aby warto było znosić kalectwo“.

Znużony do ostatka, wyjeżdża z żoną do Kołomyi, czy dlatego, by myśl oderwać i łatwiej znieść to „straszne półżycie“, czy niesiony niepokojem ludzi czujących śmierć w sobie.

Pewnego dnia znikł niepostrzeżony przez nikogo. Próżno

¹⁾ Krywult przez długie lata miał w Warszawie własną wystawę obrazów.



MASZYŃSKI JULJAN

ROK 1812

go poszukuje żona i przyjaciele. Znikł, zatarł za sobą ślady, zatarł tak umiejętnie, że po paru tygodniach dopiero przyszła krótka wiadomość, iż Witold Pruszkowski zmarł w Budapeszcie i tam został pochowany.

Śmierć przywlokła się wreszcie, stanął jej oko w oko — sam, nikt nie patrzył na jego ostatnią mękę, nikt nie śledził skurczów nieludzkiego cierpienia. Sam chciał być, gdy dziełom swoim życie dawał, sam chciał być, gdy mu je śmierć brała.

* * *

Dziedziniec — gdzie bławatki, cykorje i maki
Barwiły się, jak szalów indyjańskich szlaki,
Teraz białe, wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki świeżo deptane czernieją...

Taki to dziedziniec widzimy na obrazie Maszyńskiego. Widzimy ten dworek w głębi, na progu ktoś patrzący ku wro-

tom dziedzina, a w środku obrazu, na pierwszym planie, trzy postacie, trzech rozbitków wielkiej armii napoleońskiej: i on ranny młodzieńczyk, i owi dwaj marsowi wojacy francuscy. Ile nędz przeszli w strasliwym odwoście z zaśnieżonych pól Berezyny, zanim, jak zbawcza oaza, ukazał się ich oczom ów dziedziniec, ów dworek „śnieżną zasuty zawieją“! I wdzięczni jesteśmy artyście, iż nie pozostawił tych biedaków w bezkreśnem polu, iż pozwala nam wyobrazić sobie tę radosną chwilę, gdy wstąpią pod gościnny dach polski.

Całą tę baśń, co było przedtem, co będzie potem, odczytujemy z tego pełnego wyrazu obrazka.

Pogodnym, jasnym, dobrym uśmiechem opromienia Maszyński wszystkie obrazy swoje. Ten jego wykwintny, pogodny uśmiech, z którym zwracał się do otoczenia, widnieje w scenach kontuszowych, które ze specjalnem zamiłowaniem od-
twarza.

Więc owo „Przyjęcie do konwiktu“, gdy to pan ojciec przywiózł stropionego synalka do klasztornej szkoły, a uśmiechnięty pater wita ich otwartemi ramionami. A w jakim to ślicznem wnętrzu dzieje się ta scenka! Jakie to gotyckie arkady, starodawne schody, z za których dawni uczniowie wypatrują ciekawie przybyłych. Filuterne miny chłopców mówią wyraźnie, iż myślą już, jakiego tu psikusa spletają „nowemu“. Jest i staropolska „Gra w palcaty“, gdzie dwa wyrostki z drewnianemi drążkami-palcatami doskakują do siebie niby rozżarte koguciki, a starsi patrzą z dumą, jak się to młoda ręka do sztuki krzyżowej wkłada.

Jest i pełne prostoty „Wspomnienie“ — dziaduś w rogatywce, patrzący na starą ławkę w cienistym szpalerze. „Dziaduś myśli o babuni“.

Jest i młody kontuszowiec, który, klękawszy przed obrazem Panny Częstochowskiej, ofiarowuje jej swe nowonarodzone dziecko.

Rodowe tradycje, z domu ojców wyniesione, poezja polskiego dworu szlacheckiego, grają w dziełach Maszyńskiego nutą silną i rzewną.

I wtem, jakby kto kartę odwrócił. Gdzie poetyczne za-

kałki cienistych ogrodów? Gdzie zaciszne ławeczki? Gdzie wąsy zawiesziste i podgolone czupryny? Oto ozłocone słońcem płowe piaski Afryki, spalone żarem twarzy — czarne, płomienne oczy. Patrzymy: oto Arabka, owinięta w zasłony i malownicze barwne szaty, wciśnięta w zagłębienie arkady, płomienne oczy zwraca na pochylonego ku niej kabyla. Oto wąska, wschodnia uliczka i wysypujący się z niej tłum pstry, kolorowy, słoczony i krzykliwy. Między zacieśnione mury leje się słońce południa, gorące i jaskrawe.

To Alger, to podróż artysty na południe, to druga strona twórczości Maszyńskiego, kwiat inny, odmienny, egzotyczny, zaszczerpiony na swoim pnium.

W niektórych godzinach dnia pracownia artysty wypełnia się gwarną gromadką. Rojno tu jak w ulu, w onej szkole malarskiej Maszyńskiego, jednego z tych niewielu, którzy posiadli trudną sztukę nauczania. Wysokie pojęcie o celach i zadaniach sztuki polskiej towarzyszyło Maszyńskiemu do końca jego szlachetnego, a zbyt krótkiego żywota.

* * *

Był to rok 1900. Właśnie świat artystyczny polski przygotowywał się do godnego wystąpienia na wielkiej, powszechnej wystawie w Paryżu.

W czyjejs, doprawdy nie wiem już dziś czyjej, pracowni malarskiej, przy ulicy Wiejskiej w Warszawie, umieszczono duży obraz, który ma iść na oną wystawę. Mogą go oglądać koledzy autora, artyści, znajomi. Pracownia pełna gości, stojących przed wielkim obrazem, w drugim końcu pracowni Wyczółkowski „macha“ pastelowy portret Chełmońskiego, pozującego mu w zwykłej sobie niedbalej pozie.

Co chwila ktoś z oglądających ściska rękę autora wielkiego obrazu i szepnie cicho:

— Winszuję, kolego!

Inni głośno wyrażają swój zachwyt, inni jeszcze rozpatrują długo i uważnie szczegóły. A jest się czemu przypatrzeć. Oto „Rezurekcja“, procesja rezurekcyjna. Dziewczęta wiejskie,

tłum ludu wiejskiego i drobnomieszczańskiego, ksiądz z Najświętszym Sakramentem, tłum rozmodlony, rozśpiewany, uniesiony żarliwością religijną, a jednak... Jednak na ustach patrzących przewijają się uśmiechy, z ust do ust padają uwagi:

— Co za typ! Co za twarz! Taki to naprawdę ten przeciętny tłum ludzki. Ten tłum prawdziwy, nie wypiękniony, ale taki, jaki jest.

Autor obrazu, Piechowski, stoi na boku i uśmiecha się; nie! raczej śmieje się krótkim, ściszym śmiechem, trochę dobroduszno-jowialnym, odrobinę złośliwym, jakby chciał powiedzieć: „Tak, właśnie, tacy jesteście wy, ludzie zwykli, wy ludzie codzienni, i takimi was maluję“.

I to jest właśnie jedną z głównych wartości Piechowskiego.

Oto jeden z jego obrazów „Toast weselny“¹⁾. Całe zgromadzenie małomieszczańskie, trochę podchmielone, nosy się zaczerwieniły, chwiejne stawiają kroki, rozwarte usta wykrzykują!

— „Niech żyje! Wiwat! Wgórę!

A podnoszony wgórę osobnik siedzi niebardzo pewnie na rękach weselników, i widać, że wolałby stać na ziemi i na własnych nogach.

Albo i te „Oczepiny“. Panna młoda, siedząca niezgrabnie na niskim stołeczku, oplakuje swój wianek, a kilka kum ze strojonych nakłada jej uroczyście czepiec biały. Cały tłum pijany — i ten gospodarz, ledwie siedzący na ławie, i muzykant, który już sam nie wie, jak mu smyczek po strunach chodzi. To jest Piechowski — jowialnie uśmiechnięty i bardzo polski. Siedząc w Monachjum tęskni do kraju. „Dałby Bóg — pisze do Gersona — jak najprędzej, nauczywszy się czegoś od obcych, powrócić do swoich“.

Jest jednak i inny Piechowski. Gdybyśmy zobaczyli jego „Golgotę“ lub „Chrystusa między oprawcami“. Ta sama prostota, średniowieczna prawie — poprostu zdaje się, iż ten wiążący na krzyżu Chrystus i ten drugi biczowany, i ci otaczający go oprawcy zstąpili ze ścian starych krużganków klasztor-

¹ Muzeum Narodowe w Warszawie.



PIECHOWSKI WOJCIECH

OCZEPINY

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

nych, jakby pozował artyście ów Chrystus z warszawskiej fary, z kościoła Marjackiego lub wawelskiej katedry. Ta sama prosta, surowa prawda.

Miej zawsze przed oczyma tę trudną naukę,
Zrobić z sztuki naturę — a z natury sztukę.

Tak mówi poeta, a tak czyni Piechowski, taką sobie artystyczną drogę wytknął.

Życie codzienne, które odtwarzał, miał przed sobą, gospodarując na wsi, borykając się z przeróżnymi kłopotami życia powszedniego, którego nie umiał ująć za kark i do swoich potrzeb nagiąć.

Już przeszło sześćdziesięcioletni, ale zawsze pełen życia i pogody, spędza lat parę u przyjaciół w Kutnowskim. Zdawało się, iż długo jeszcze będzie zbierał po świecie swoje niezrównane typy. Nie było mu to pisane.

Gdy pełen wesołej myśli siadał na bryczkę, by się udać w sąsiedztwo, ani mu w głowie powstało, iż z tej wycieczki śmierć sobie przywiezie.

Jakieś rozbiegane młode konie, jakiś płoszący je samochód, wyrwconą w rów bryczka — wypadek, który przecina nagle nić życia niepospolitego artysty.

* * *

Było to latem około roku 1898. W gorący, lipcowy dzień w Kryształowym Pałacu w Monachjum, gdzie właśnie otwarto doroczną wystawę obrazów, niewiele osób snuje się po obwieszonych obrazami salonach. Gorąco jest, duszno, a wystawa dziwnie niezajmująca. Jeden z widzów, krążących po wystawie, tak samo odczuwa tę jednostajność i nudę, wiejącą ze ścian wystawy, gdy oto, przypadkowo rzuciwszy wzrok na jeden z obrazów, zatrzymuje go na nim.

Obraz wyróżnia się z pomiędzy wielu. Młoda, piękna kobieta w balowym stroju ogląda kosztowny naszyjnik. Twarz damy, materje, klejnoty wykonane z niebywałą doskonałością.

Znudzony widz przysunął się szybko, by odcyfrować podpis autora.

— Czachórski! — szepnął — rodak! i z tem większem zainteresowaniem wpatrzył się w obraz wykończony tak drobniawo, subtelnie, jakby go jakiś holenderski malarz wykonał, jakby wyszedł z pod ręki jakiegoś Gerarda Dow'a, który pyłki zdmuchiwał ze swoich wypieszczonych arcydziełek.

Zaledwie widz przygodny oddalił się o parę kroków, aby zdala jeszcze przyjrzeć się obrazowi, gdy stanęły przed nim dwie eleganckie damy.

— Ah, patrz! prześliczny! — zawołała jedna z zachwytem.

— Jak on tak zrobił, jak umiał zrobić? — podziwia druga.

— Czachórski? Polak? Że też o nim tak mało słyhać w naszej Warszawie.

Istotnie słyhać było zbyt mało, może i dlatego, iż Czachórski życie swoje artystyczne spędzał w Monachjum, może dlatego, iż obrazy jego, te klejnociki, majstersztyki sztuki malarskiej nie mówią ani do serc naszych, ani do duszy, tylko formą prześliczną do oczu przemawiają.



CZACHÓRSKI WŁADYSŁAW

DAMA Z KWIATAMI

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

Oto trzy panienki — trzy kobiety strojne, uśmiechnięte, pograżone w rozpatrywaniu klejnotów, które wyjmują z ozdobnej szkatułki. Oto dama w sukni aksamitnej, sięgająca wypieszczoną rączką do wielkiego bukietu gwoździków, wstawionych w przepysznie rzeźbiony chiński wazon. Niemasz tam myśli w tych czarujących główkach, ale zato co za cudne aksamity ich sukien, jakie koronki, dywany, rzeźbione i złożone poręcze foteli, jakie to wszystko żywe, wypukłe, że chciałoby się przeciągnąć dłonią po tych aksamitach i rzeźbach, by sprawdzić, czy istotnie te materje i koronki nie ugną się pod palcami, czy nie wyczujemy wypukłości na rzeźbionym wazonie.

Cacka to prawdziwe owe obrazy Czachórskiego, wybornie rysowane i malowane cacka, oprawne w bogate złote ramy, i gdyby tak kto zapytał, gdzieby je powiesić, gdzieby im najpiękniej było? Gdzieby pasowały najlepiej? — wnet się nasuwa odpowiedź:

— W buduarze, w saloniku pięknej pani, na tle kosztownej makaty, nad marmurowym, rzeźbionym kominkiem, w otoczeniu kwiatów, bronzów, wykwinnych biało politurowanych i złożonych mebelków — tam jest miejsce dla ślicznych, strojnych, zalotnych kobietek Czachórskiego.

* * *

I znowu. Gdyby ktoś sobie nie buduar, czy wypieszczony salonik urządzał, ale pokój myśliwski, gdyby tak wśród łośich i jelenich rogów, dubeltówek i kordelasów chciał zawiesić obraz, któryby pasował do całego otoczenia, z pomiędzy wielu nazwisk wybitnych, jak Kossaka, Brandta, Chełmońskiego i innych, wysunęłoby się jedno, o którym amator-myśliwy mógłby śmiało powiedzieć:

— Otóż ten właśnie — tak, Alfred Wierusz Kowalski!

Gdzieś zaplakały głodnych wilków stada,
Ze śniegu, zda się, śmierć powstaje blada...

Wilki! Wilk na śnieżnej bezkresnej płaszczyźnie, oczyma jak świeczki, złemi oczyma, wypatruje ofiary.

Napad wilków, uchodzące sanie, spłoszone konie; polowanie na wilki — cała wileza epopeja, cała historia tych dra-



KOWALSKI-WIERUSZ ALFRED

WILK

pieźników przewija się w obrazach Wierusz-Kowalskiego. Monachijskim znawcom i widzom podobają się obrazy, jest w nich coś dzikiego, coś, co przypomina przedhistoryczne zapasy z przyrodą i zwierzęciem. Jest w nich coś, co każe wierzyć, że są jeszcze w Polsce zakąty, gdzie, na szczęście, nie wkroczyła dotąd cywilizacja z szynami, samochodami i telefonami, że są jeszcze stare knieje i myśliwcy, człowiek żyjący życiem bujnym i malowniczym, koń na usługach człowieka, to pełen fantazji wierzchowiec, to zwykła szkapą spracowana, to zwięzły i wytrzymały mierzynek.

Podczas wojny ogromny dorobek Kowalskiego wraca do kraju. Pełny wagon zbiorów, tek, fotografii, kostjumów, bogatej broni, obrazów i studjów.

Nie dojechał. Wypadek czy nieostrożność — płomienie obejmują wagon, z olbrzymiego dorobku artystycznego, wysiłku ducha została garść popiołu.

JÓZEF CHEŁMOŃSKI
1850—1914

W pracowni malarskiej przy ulicy Brackiej w Warszawie siedzi u stalug młody, jasnowłosy, błękitnooki chłopak. Na stalugach rozpoczęty obrazek, nad którym pilnie pracuje młodziutki artysta. Co chwila wstaje, i, cofnąwszy się o kilka kroków, przechyla głowę i, zmrużywszy oczy, przygląda się swojemu dziełu. Od czasu do czasu rzuca pendzle i, obchodząc pracownię, przygląda się z uwagą rozpoczętym pracom, studjom, notatom, zalegającym wszystkie kąty pracowni profesora Gersona.



CHEŁMOŃSKI JÓZEF

Co dnia młody artysta przychodzi do pracowni profesora i, zrzuciwszy z siebie jakieś dziwne kroju okrycie i do gniazda wroniego podobny kapelusz, zasiada przy stalugach, pracując z takim natężeniem, że świat mógłby się walić wokoło.

Czasem te godziny ciszy i samotności przerywało wtargnięcie do pracowni małej, kilkuletniej córeczki profesora, która, wcisnąwszy się między paletę a stalugi, przyglądała się postępującej pracy.

— Opowiem panu bajkę — mówiła mała.

— Opowiedz!

Dziecko opowiadało, a gdy skończyło:

— Jeszcze jedną bajkę! — prosił Chełmoński.

Dziecko prawi bajkę za bajką, a młody artysta słucha, uśmiechając się i pogwizdując.

W ciszy pracowni, w atmosferze uwielbienia piękna, dziecko i artysta rozumieli się doskonale.

— Terminuję u majstra — mawiał żartobliwie Chełmoński — nawet dzieci kołyszę! — dodawał z dobrym uśmiechem.

I szły tygodnie, miesiące pracy wytężonej i owocnej. Gerson wskazywał młodemu uczniowi naturę i jej piękno, a on wchłaniał ją całą duszą poety.

I jakże nie miał jej czuć, jak nie miał znać? Toć-że dzieciństwo całe spłynęło mu wśród wsi polskiej, w Łowickiem, we wsi Boczkach, gdzie ojciec jego gospodarzył na swoim folwarku. Pierwsze też wskazówki rysunkowe otrzymał Chełmoński od ojca, a pierwsze wrażenia wyniósł z tych „pól malowanych zbożem rozmaitem, pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem“, i pola te, na które patrzył oczyma dziecka, te łąki, wierzby i mgły ranne, te kwitnące wiosną po moczarach kaczenie, duszę mu zaczarowały.

Jako kilkunastoletni chłopiec wstąpił do pracowni Gersona. Był też jednym z najpracowitszych, najsumienniejszych uczniów. Poza lekcjami dnia całe spędzał u stalug, albo ze szkicownikiem gdzieś w parku, poza miastem. Z niebywałą dokładnością szkicował budowle, drzewa, zarośla, chwycił wlot ruchy koni, ludzi, dostrzegał dziwne oświecenia, widział mnóstwo rzeczy, koło których tysiące ludzi przechodziło obojętnie, nic nie widząc nadzwyczajnego. Takie już miał oczy.

*

Część kolonji młodych malarzy, gnieźdzących się po różnych norach i poddaszach, pracujących o suchym chlebie i szklance herbaty — wyjeżdża do Monachjum, do Paryża, gdzieś w świat uczyć się, gdzieś w świat nowych dróg szukać, gdzieś w świat szeroki odetchnąć pełną piersią. Temu się poszczęściło, sprzedał jakąś pracę, ów dostał stypendjum, innemu dopomogła zamożna rodzina. O! bo bogaczów między tymi chłopcami nie było. Wszystko biedaki, żyjące niewiedomo jak i niewiedomo czem, chyba tym ogniem, który im się w młodej piersi palił.

Nie w lepszych warunkach żył i Chełmoński, a nawet w gorszych, inni wyjeżdżali, on nie miał za co.

I wtedy to, przejęty żalem, maluje obrazek pełny rzewnego uczucia.

Z ponad łąki unosi się klucz odlatujących żórawi. Lecz tam ku zachodowi, gdzie im jasne zorze płoną, a jeden, ze złamanem skrzydłem, pozostał na polu.

Próżno natęża skrzydła, próżno tęsknym wzrokiem goni odlatujących towarzyszy.

I dla Chełmońskiego miały przyjść jednak lepsze chwile, i on, jak żóraw, pociągnął ku zachodowi — do Monachjum.

Cóż się jednak dzieje? Podczas gdy koledzy zachwyceni, porwani nowością, czuli się najszczęśliwsi w tej stolicy sztuki, w tej ziemi obiecanej artystów, Chełmoński uniósł ze sobą tęsknotę głęboką do kraju i pozbyć się jej nie może.

„Ukochany mój nauczycielu — pisze w liście do Gersona — tęsknota za naszym niebem i polami męczy mię teraz całą swoją siłą... i owo miejsce marzeń stało się miejscem cierpienia, bo tyle tylko mego, ile u nas było“.

„Oj, nie wiedziałem ja — pisze w innym liście — z jakimi to wyjazd z kraju powiązany jest kolejami; tu całe moje życie wyrывa się ku wschodowi słońca (ku Polsce). Kuropatwy swoim odezwaniami się o zmroku raz za miastem obudziły we mnie całą moc tych pragnień, kiedy wrócić będzie można do kraju? bo u nas inaczej, inaczej, inaczej!“

W jakże cudne formy przybrał tę swoją tęsknotę Chełmoński, malując w lat kilkanaście później obraz p. t. „Kuropatwy na śniegu“.

Gdybym wam mogła pokazać ten śliczny poemat malowany! Tę płaszczyznę śnieżną, jednostajną, a na niej kilka szarych ptaszyn skulonych, drepących zmarzniętymi nóżkami po tych białych, nieprzyjaznych puchach. Takie to proste, a takie piękne!

„Nie dam sobie żadnej krzywdy w pojmowaniu sztuki zrobić“ — zapewnia gdzie indziej. Chce wszystko malować „po naszemu“, chce być zawsze sobą, nic od nikogo nie brać, nie pożyczać i to sobie ma za punkt honoru.

Oto w parę lat później miał na stalugach obrazek mały, ot, zdaje się, nic, wewnątrz pokoju, okno otwarte na ogród, przy

oknie dziewczyna młoda w białej sukni, jakby znużona przechadzką, rzuciła się na fotel. Przez okno wchodzi cichy zmierzch letni, z ostatnimi blaskami zachodu, ze szmerem sennych bąków i ciem.

Obrazek skończony, ale Chełmoński z żalem patrzy na swoją pracę. Jakaś chwila nieuwagi — obrazek przecina biała rysa, nie dająca się pokryć.

Zamedytowali się nad tą biedą obydwaj z „majstrem“.

— Domaluj firankę białą, wiatrem wieczornym wydętą — doradza Gerson.

Rada trafiła do przekonania Chełmońskiego. Domalował firankę, pasowała doskonale do nastroju obrazka. Chełmoński jednak czegoś nierad, chmurzy się i krzywi.

— To bardzo dobre, bardzo dobre — mówi, burząc swą płową czuprynę — ale to pana profesora, nie moje... pana profesora, nie moje...

Gryzło go to i gnębiło, takie w tym wielkim malarzu było głębokie poczucie uczciwości artystycznej.

Śród gorączkowej pracy raz wraz wraca myślą do kraju, ciesząc się wszystkim, co mu go przypomina, uciekając od wszystkiego, co obce.

„Zdziczałem tutaj jeszcze więcej; w tutejszym Angielskim ogrodzie, co wszyscy nazywają pięknym, ja w nim nie znajduję wdzięku, bo nie dziki. Każdy tu Niemiec chwast wyplenil i wygryzł mu łodygę przy samej ziemi, a drzewom także obcina gałęzie. To też niezrównanie rozkoszne zrobiło na mnie wrażenie miejsce w tym ogrodzie, gdzie w zakątku, bo już za parkanem, niedojrzane jeszcze, pokryjomu, puściły się bujnie pocziwe nasze pokrzywy, i tam siedzą, i patrzą się w wodę; nie wiem, jak długo zdołają się ukryć, bo rosną coraz wyżej“.

Tęsknoty swoje topi Chełmoński w pracy usilnej. Z pomocą starszego kolegi Brandta dostaje się do szkoły monachijskiej. Dnie całe, niedojadając, niedosypiając, trawi przy stalugach, rysując i malując zawzięcie.

— Artysta z Bożej łaski! — wydrwiwał też wiele lat już później, gdy takie zdanie o sobie w jakimś piśmie wyczytał. —

Artysta z Bożej łaski! głupcy! — wykrzykiwał — żeby oni wiedzieli, ile ja się napracowałem!

Oczywiście, gdyby nie miał talentu, żadna pracaby nie pomogła, ale szczęście to dla nas wielkie, że zdołał pracą talent swój rozwinąć i rękę tak wyrobić, że o czem tylko zamarzył, co jeno swemi dziwnymi oczyma dostrzegł, posłuszna ręka wykonywała, jak należy.

*

Szarzało. Niepewne światło dnia wkrada się do szczupłej pracowni malarskiej w Hotelu Europejskim w Warszawie. Niebawem zajrzał i pierwszy promień słońca.

I zdziwiło się słońce. Ilu ich tu jest? i czego tu niema?

Śród porozstawianych stalug, rozrzuconych farb, pendzli i zasmarowanych palet, śród porozpoczynanych prac malarskich, sąsiadujących w doskonałej zgodzie z zabłoconemi butami i nadtłuczonym imbrykiem, chrapie aż czterech młodych chłopców, mieszkańców tej artystycznej rupiecarni.

Wnet też z poza pieca ozwało się szerokie ziewnięcie, i z wąskiego łóżka dźwignął się jeden z mieszkańców, wysoki, szczupły, czarnooki, z krętą, sterczącą nad czołem czupryną. To Antoni Piotrowski, przezwany „Jamtuse“, dlaczego? Kto dojdzie początku tych koleżeńskich przezwisk! Z barłogu pod ścianą porwał się Chełmoński i, wykonawszy kilka gwałtownych ruchów gwoździ rozgrzewce, zaczął się ubierać pośpiesznie. Poruszył się też stos firanek na środku pracowni i z pod rozczochranej, czarnej czupryny spojrzały piękne, marzycielskie oczy Stacha Witkiewicza.

Z czwartego wreszcie barłogu wynurzyła się głowa o rozumem, wyniosłem czoło, z pod którego patrzyły głęboko osadzone oczy myśliciela i poety. To Adam Chmielowski, czwarty mieszkaniec tego „bałaganu“, były powstaniec, utykający na drewnianej nodze.

Wnet też, naciągnawszy na siebie mniej lub więcej znośzone ubranie (Witkiewicz chodził w niebieskiej płóciennnej bluzie, która była zarazem jego strojem galowym), zjadłszy co bądź, jeśli było co do zjedzenia, zabierano się do pracy. Za-



CHEŁMOŃSKI JÓZEF

BABIE LATO

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

siadł i Józef do swoich stalug, na których stoi obrazek, przedstawiający step śnieżny, po którym pędzą sanie. Chełmoński maluje, przekrzywiając głowę na prawo i lewo, a w chwili zadowolenia rzucając wesołe okrzyki.

Czasem pracownia koleżeńska rozbrzmiewała zdwojonym gwarem. Wpadali inni koledzy — cichy Wojciech Piechowski, poważny, wykwinny Julian Maszyński, Emanuel czyli „Manuś“ Fechner. Głośno się wtedy robiło i wesoło: palono, gadano, spierano się, śpiewano, aż ściany drżały. Śpiewał dzwięcznym basem Maszyński, Chełmoński zamiłowanie muzyczne po ojcu swoim odziedziczył. Muzykalna była brać artystyczna.

*

Szedł oto ów okres w życiu Chełmońskiego, kiedy życie swe dzielił między warszawską, koleżeńską pracownię, Monachjum a wyjazdy na Ukrainę, skąd powracał z oczyma peł-

nemi obrazów bujnego życia po dworach kresowych. Malował też to, co widział. Oto zaprząg ukraiński, stoją konie na śniegu, a kozaczek przy nim. Oto rozpędzona trójka, śnieg pryska z pod kopyt, suną sanie po białych bezkresach. A tu znów ono „Babie lato“. Dziewczyna ukraińska, pasterka, rzuciła się na trawę i chwytła dłonią leciuchne białe nitki.

Snuje się, snuje babie lato,
Po rżysku płynie, po zagonie,
I blaskiem dziwnym w słońcu płonie
Cieniuchna, mleczna nić — ¹⁾

A pies „Kruczek“ siadł sobie na czatach i, nastawiwszy kosmate uszy — patrzy.

A oto znów jesień dżdżysta, ulewa siecze w okna, gną się drzewa bezlistne, zdaje się, że słychać skrzyp żórawia studziennego, szarpanego wichurą.

I jeszcze inne, o których pisze sam Chełmoński:

„Pierwszy z nich wyobraża powrót do domu pana ukraińskiego w mroźną noc księżycową, któremu cała psiarnia się raduje. Drugi — kilku naczelników oddziałów, jadących przez kwitnące kartofle“.

Obrazki te zyskały gorącą pochwałę. Zwłaszcza „Noc księżycową“ nazywa krytyk niemiecki „w prawdzie nieporównaną“. Ah! te noce księżycowe Chełmońskiego! Te letnie noce, z wyiskrzonym gwiazdami niebem.

Przez mazowieckich pól przestrzenie
Noc idzie cicha, srebrnobiała,
Zdaleka koni słychać rzenie... ²⁾

Tak, jeno się wpatrz w ten obraz, a zdaje się, słyszysz te tajemnicze szmery nocy letniej, czujesz powiew od pól szerokich. A chaty stoją cicho; śpią chaty, śpią psy w krążki zwinięte u progów.

Pochwały cudzoziemców niezupełnie zadowolają Chełmońskiego. „Przykro mi tylko — pisze — iż scena, dla której

¹⁾ M. Markowska.

²⁾ Z. Dębicki.



CHEŁMOŃSKI JÓZEF

KRAJOBRAZ

ten księżyc świeci, tutaj jest obcą i nie zajmującą, wtedy gdy u nas możeby choć jeden człowiek sobie przypomniał przez ten obrazek co miłego“.

Swojemu krajowi, nie obcemu, swoim ludziom, nie obcym chciał snuć swoje malowane poematy.

A i ta „Sprawa przed wójtem“:¹⁾ na tle ośnieżonej wsi gromada przepyszných polskich, chłopskich typów. Skąd je wziął Chełmoński, boć obraz w Monachjum malował? A ot przeniósł je aż tam w swojej wiernej pamięci, w swojej „duży utęsknionej“, i stworzył arcydzieło, licząc wówczas zaledwie lat dwadzieścia trzy.

*

Nieśmiertelny Paryż wre i huczy, jak spienione morze; kto weń wpadnie, ginie w odmętach, jak marny proszek. Wpadł weń i Chełmoński, tak, jak ongi Artur Grottger, jeno, że tamtego zalały i zatopiły fale, ten — jak nurek wychynał wnet z głębin i jeszcze perłę wyłowił.

¹⁾ W zbiorach Tow. Zach. Szt. Pięk. w Warszawie.

A tą perłą, wyniesioną z dna paryskiego odmetu, była jego sława, która niespodziewanie prędko ozłociła młodą głowę artysty.

Coś nowego, coś ciekawego, coś, czego nie widziała nad-sekwańska stolica, wyzierało z obrazów Chełmońskiego. I cóż to było takiego? Wszak nie brak im było wielkich artystów wszelkiej narodowości?

A to właśnie ten duch polski, który owiewał jego prace!

— *C'est curieux! c'est épatant!*¹⁾ — mawiali Francuzi, za-



CHEŁMONSKI JÓZEF

W DRODZE

trzymując się przed temi rozpędzonymi czwórkami koni, rwącemi wprost na widza, zdaje się, wyskakującemi z ram obrazu.

Kiedy indziej stają, z szeroko otwartemi oczyma, przed obrazem, na którym przez śnieżne pola suną niskie saneczki. Wystraszone konie rwą z kopyta, a w sankach myśliwiec, stary wyga, z nastawioną dwururką; wślad za saniami stado wilków zgłodniałych. Dramat!

I sypały się obrazy za obrazami, podziwiane na dorocznych „Salonach“ paryskich, rozchwytywane przez Francuzów, Anglików, Amerykanów.

Pracownia młodego artysty szybko zmienia wygląd. Oto i meble piękne, połyskujące ałtąsem i złoceniami, oto on sam rzucił się niedbale na wykwintną sofę, wodząc oczyma po bo-

¹⁾ Ciekawe, zadziwiające.

gatyh portjerach, zasłaniających drzwi, po całym zbytkownem otoczeniu. Z pod poplamionej farbami kurtki wychylają się falbany jedwabnej, kolorowej koszuli. O! jak w bajce czarodziejskiej.

Kilka lat spędza Chełmoński w Paryżu. Los szczęśliwy szedł za nim wtrop. Otoczony sławą i powodzeniem, odznaczony najwyższymi medalami, nie przestaje myśleć o kraju, o dawnych współkolegach, troszczy się szczerze o ich losy, gorąco podnosi zasługi. Niemasz zawiści w sercu tego prawdziwego artysty.

*

Z dworku wiejskiego we wsi Kukłówce wyszedł mężczyzna w dojrzałym wieku. Długa, blond, szpakowata broda spada mu na piersi. Rozwichrzone nad czołem, przerzedzone już włosy nakrywa prosty słomiany kapelusz. Długie buty, kurtka ładajaka, czerwona, samodziałowa kamizelka, teczka pod pachą, dopełniają tego niewykwintnego stroju.

Rozejrzał się i ruszył wprost przed siebie, ku szerokim polom i zarosłym sitowiem moczarom.

Wrócił do swego gniazda ptak wędrowny. Wrócił, bo to, co w duszy z Polski uniósł, rzucił światu, a z obcego świata brać nie umiał, nie mógł. Wrócił słuchać znowu kuropatw o zmroku, skrzypienia zmarzłego śniegu i naszczekiwania psów w ciche wiejskie noce; wrócił patrzeć na mgły jesienne i kaczęce po moczarach i szerokie mazurskie równie.

— Chełmoński to tak — mówił o nim jeden z jego przyjaciół, rzeźbiarz Kurzawa — pójdzie w pole... pendzel w rękę i tak nakradnie... nakradnie...

I doprawdy, odkradł on naturze jej czary i tajemnice i rzucał je ludziom przed oczy.

— Patrzcie! — zdawał się mówić — oto macie! Oto macie! Patrzycie a nie widzicie!

A ludzie patrzą i dziwią się. Doprawdy! i jakże oni tego nie widzieli, jakże mogli nie dostrzec? Przecież to właśnie tak niebo o zachodzie przegląda się w stawach, to tak we mgłach słońce wschodzi, to tak marszczą się błękitne wody jeziorok!

Doprawdy! Wielkim naszym nauczycielem jest Józef Chełmoński!

Obok krajobrazów powstają też obrazy rodzajowe. Oto chłop siadł sobie na trawie i pojada z dwojaków, a tu ciągną boćki górą, więc podniósł twarz stary „Piast“, podniósł płową głowinę jakiś Jasiak czy Maciuś, i patrzą obaj na przelatujące „Wojtki“ ¹⁾. A potem i „Raclawice“. Tak! I to umiał Chełmoński, gdy chciał. „Raclawice“ — tak proste i piękne, uczucia pełne, że tylko z kartonami Grottgera równać je można. Jest też pasterka, plotąca wianki z modraków, i pastuszkowie u ogniska, i tyle, tyle innych.

Polski krajobraz, polskie życie, polskie ukochania!

*

Jeszcze bezlistne stały drzewa, ledwie się puszczać zaczęły pierwsze trawy, kiedy drogą od wiejskiego kościółka przeciagnął orszak żałobny.

I żegnały go szare mazowieckie pola i zielonawe ugory, patrzyły małemi szybkami chaty chłopskie, kłaniały się przydrożne topole i złote po łąkach kaczeńce...

Polska ziemia żegnała jednego ze swych wiernych synów.

RZEŹBIARZE

Gdy chcemy poznać prace malarzy, chodzimy na wystawy, do muzeów, zwiedzamy wnętrza gmachów przeróżnych. Gdy chcemy poznać prace rzeźbiarzy, nie wystarczą nam takie wędrówki, musimy pochodzić po ulicach miasta, zatrzymać się przed pomnikami, zajrzeć do kościołów, obejść cmentarze, place, parki, skwery, nieraz nawet, stanąwszy z zadartą wysoko głową, odszukać dzieł rzeźbiarskich gdzieś na szczycie gmachu, gdzieś pod gzymsami, pod stropem, u wierzchu kolumny.

Jeżeli ciężkie życie wiodła u nas większość artystów ma-

¹⁾ W zbiorach Tow. Zach. Szt. Pięk. w Warszawie.



CHEŁMOŃSKI JÓZEF

RACŁAWICE

larzy, to cięższe chyba jeszcze mieli rzeźbiarze nasi. Niema ich też wielu, o, nie! Od czasu Stwosza i Michałowicza z Urzędowa dopiero wiek XIX przynosi nam kilkanaście głośniejszych nazwisk i trochę prac polskiej ręki, koło których tłumy przechodzą, obrzucając je obojętnem spojrzeniem. Zagadnijmy przeciętnego warszawianina lub krakowiaka, skąd się wziął ten lub ów posąg, kogo przedstawia, kto go robił?

— Ho! a kto to wie — odpowie prawie każdy — juści z nieba nie spadł. Stoi to i stoi, może sto lat, może dwieście, może od króla Piasta. A kto go robił? Bóg jeden wie!

A jednak wiedzieć potrzeba, trzeba mieć świadomość tego, co i kiedy duch polski stworzył.

A tworzył — Boże mój! w warunkach jak ciężkich, jak opłakanych!

Po poddaszach gnieździli się, jak ptaki, artyści malarze — jak szczury po starych wozowniach i stajniach, przerabianych na liche pracownie, tułali się rzeźbiarze. Gdzież bo im gliniarzom nieszczęsnym umieszczać się lepiej? Jakiż „porządny“ gospodarz przyjmie ich razem z kubłami gliny, stosami mokrych, cuchnących pleśnią szmat do okrywania zaczętych robót, workami gipsu, roznoszącego pył nieznośny?

— A gdzież są marmury? gdzie bronzы, w których widzimy nieraz wykonane rzeźby?

Ach, marmur, bronz! Ten zbytek sztuki rzeźbiarskiej, to marzenie, to dopiero akt trzeci i ostatni w historii powstawania dzieła. Najpierw trzeba przejść dwa pierwsze. Model w glinie i model w gipsie. Gлина, która jest właściwym materiałem tworczym — to życie, odlew gipsowy — śmierć dla dzieła sztuki, odtworzonego w tym martwym materiale. I wreszcie odrodzenie, zamartwychwstanie w marmurze lub bronzie.

Jak niewielu rzeźbiarzy naszych, w kraju zamieszkałych, miało tę wielką radość, by chociaż niektóre z dzieł swoich zobaczyć wykonane w jednym z tych pięknych materiałów, jak rzadko zdarzała się ta możliwość! Marmur kosztowny, zdaleka sprowadzić go trzeba. Odlewnie bronzownicze u nas odniedawna dopiero podejmują się większych robót. Dlatego też wielu rzeźbiarzy polskich XIX wieku część lub całe życie

spędza poza granicami Polski, w kraju, gdzie o marmur łatwo, gdzie od wieków pracują odlewnie, gdzie ludzie potrzebują wokoło siebie dzieł sztuki, jak kawałka powszedniego chleba, gdzie nie trzeba było porzucać wyższych porywów i stawać się sztukatorem, kamieniarzem — dlatego, żeby żyć.

Ale jednak... jednak przejdźmy się tak po Warszawie, Krakowie, Lwowie, rozejrzyjmy się, a może też, mimo tak bardzo trudnych warunków, znalazła się u nas garść śmiazków, która powiedziała sobie:

— Pomimo wszystko!...

* * *

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
I dzkości całe ogromy
Przełknij z końca do końca!

Zdaje się, iż te płomienne wyrazy wybiegną z kamiennych ust wielkiego wieszczą naszego, stojącego już od roku 1856 na piedestale pomnika w Poznaniu. Pierwszy to był pomnik Mickiewicza na ziemiach polskich.

Ruch pełny prostoty i skupionego spokoju, wzniesiona głowa, utkwione gdzieś w przestrzeń oczy, jakaś chwila poetycznego napięcia i skupionego oczekiwania na tę iskrę z nieba, która się zowie chwilą natchnienia. Płaszcz, owinięty około postaci wieszczą, układa się tak szczęśliwie, że ruchu postaci nie psuje, ale go raczej uwydatnia. W całym ruchu, wyrazie, to jest Mickiewicz — zwarta w sobie siła.

Lekko pochylona postać i głowa, ruchem trochę omdlałym i bezsilnym. Wyraz pogodnej łagodności i zadumy w twarzy. Ktoś inny, ktoś zupełnie inny.

Kto doniesie sercu memu,
Co z moim lubym się dzieje?
Któż ode mnie powie jemu,
Że tęskne ży po nim leje!

To pieśniarz polski — liryk, twórca słodkich sielanek — Brodziński.



OLESZCZYŃSKI WŁADYSŁAW
MICKIEWICZ
POZNAŃ

— Stoi u Wizytek — dopowie wnet niejeden z warszawskich czytelników.

Tak, stoi, stoi tam już od lat kilkadziesiąt, aby świadczył, jak Władysław Oleszczyński w tych dwóch pomnikach wyraźnie uwydatnił różnicę między płomienną, pełną siły duszą Mickiewicza, a liryczną, łagodną, sielankową duszą Brodzińskiego. Nawet fałdy płaszczów, u Mickiewicza pełne stanowczych, energicznych zarysów, u Brodzińskiego spływają harmonijnie, ale jakoś miękko i bezsilnie.

I w tem odczuciu, w tem rozróżnieniu leży największy triumf Oleszczyńskiego, tego zucha, co umiał w potrzebie dłoto na szablę zamienić, bić się w r. 1830 do upadłego, krwawić ranami za wolność ojczyzny, a za-

goiwszy rany, znów chwycić za dłoto i roznieść sławę imienia polskiego po świecie.

W kilku miastach południowej Francji stoją pomniki Napoleona z podpisem, na którym Francuzi próżno język sobie łamią, tem żywiej nazwisko ono stwierdza przynależność artysty do narodu, który ma w swojej mowie takie „barbarzyńskie“ dźwięki.

A dla nas? Dla naszego kraju?

Pracami swemi, które rozsiał po obczyźnie, mówi Oleszczyński zagranicy i o rzeźbie polskiej, i o wielkich naszych mężach i niewiastach.

— Oto grobowiec Kniaziewicza i Niemcewicza w Montmorency, grobowiec Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Jest w Paryżu cmentarz, dziś w sercu miasta położony — to cmentarz Montmartre. Stare drzewarzucają cień na odwieczne grobowce. Bramy tego cichego cmentarza rzadko otwierają się dla wchodzących pogrzebów, zato częściej odwiedzają go Polacy — pokłonić się prochom jednego z wieszczów naszych — Słowackiego.

Skromny, mały pomnik, i tylko, jak klejnot bezcenny, tkwi w nim bronzowy medaljon poety, z natury modelowany przez Oleszczyńskiego. Jak odlana z gipsu pośmiertna maska Mickiewicza, tak ten, z natury robiony medaljon, jest tą relikwią, jest dziwnie żywą pamiątką.

I jeszcze wojenna postać Skrzyneckiego — w białym marmurze dla kościoła Dominikanów w Krakowie, wykonana we Florencji, gdzie też artysta dokonywa, bogatego w pracę i czyny, żywota.



OLESZCZYŃSKI WŁADYSŁAW
BRODZIŃSKI

KOŚCIÓŁ WIZYTEK W WARSZAWIE

* * *

Każdego roku, od wielu, wielu lat, bo już przeszło sześćdziesięciu, w Wielki Piątek i Sobotę tłumy, które ciągną Krakowskim Przedmieściem w Warszawie, zwiedzają „Groby“ po kościołach, ze szczególną ciekawością cisną się do kościoła Karmelitów. Kto się jeno dotłoczyć zdoła, zapuszcza wzrok ciekawym w szpaler zieleni, kwiatów i światła.

— Jak pięknie! — słychać szepty ściszone — nigdzie, nawet u Fary, takich „Grobów“ niema.

I prawda. Żaden kościół w Warszawie, a może i Polsce całej, nie posiada takiego „Chrystusa w grobie“, jakiego ma kościół Karmelicki w Warszawie. Tłoczą się ludzie, aby dojrzeć w białym marmurze wykutą piękną postać Chrystusa, owiniętego w miękkie zwoje tkanin.

Patrzą i podziwiają, podziwiać go mogą wreszcie co dnia w bocznej kaplicy kościoła.

— Pewnie to ktoś zagraniczny wyrzeźbił — myśli niejednen — przywieźli to skądśiś zdaleka.

Przyjechało to dzieło zdaleka, to prawda, bo aż z Rzymu, ale wykonał je polski rzeźbiarz, Oskar Sosnowski, żyjący i pracujący w pierwszej połowie przeszłego wieku.

A gdybyśmy tak poszukali jeszcze w tym samym kościele? Nie będziemy szukali próżno. Oto „Anioł Zmartwychwstania“ z trąbą sądu ostatecznego w dłoni, pełen spokoju i majestatu, w szacie, spadającej z ramienia w szerokich i miękkich fałdach.

— Ah, jakież podobny jest w kościele Kapucynów na Miodowej! — zauważył niejednen.

Nic dziwnego, autorem obu aniołów jest Oskar Sosnowski.

Rozochociwszy się, może wstąpimy do Wizytek. Na szarym, marmurowym piedestale stoi poważna postać Czackiego, twórcy Liceum Krzemienieckiego, w którym kształcił się Sosnowski. Czacki nosi mundur współczesny, osłonięty częściowo płaszczem, ręka wsparta na dwóch księgach, symbolu drogi i ideałów wielkiego męża. Oczy — pod wysokim czołem, patrzą mądrze i przenikliwie.

Idźmy dalej! O, teraz to cały szmat ziemi polskiej przebyć musimy! Oto kościół śś. Piotra i Pawła w Krakowie i znów postać wielkiego męża polskiego — to „Skarga“, osłonięty płaszczem duchownego, patrzy swemi kamiennemi oczyma, na marmurowych ustach zdają się drgać płomienne słowa genialnego kaznodziei.

I wszędzie te pięknie ułożone zasłony, płaszcze, zwieszające się, jak starożytnie togi. Świat starożytny ciągle czaruje swoim spokojnem pięknem.

Z kraju marmurów i słońca, gdzie swoje dzieła wykonywał, patrzy Sosnowski ku Polsce i coraz śle jej dar królewski.



SOSNOWSKI OSKAR

CHRYSTUS W GROBIE

KOŚCIÓŁ KARMELITÓW W WARSZAWIE

I „Chrystus“, i „Czacki“, i „Anioł“ u Karmelitów to dary tego znakomitego rzeźbiarza — dla Polski.

Mógł, nie potrzebował walczyć z życiem, zdobywać chleba i dachu.

Tak, ale czyż każdy, który ma dużo, daje chętnie? Czy jest gdzie kres ludzkich pożądań i samolubnej chęci użycia dóbr świata? Więc musimy jednak uchylić głowy przed takimi artystami, którzy, nie potrzebując Medyceuszów, aby ich popierali — sami są Medyceuszami dla kraju swojego.

* * *

Stare miasto! Rynek z przed lat kilku.

Gdzie, jak patrycjusz dumny, choć w odzieniu zmiętem
Stoją domy: „pod Słońcem“, „pod Lwem“, „pod Okrętem“...

a w środku rynku basen, wodotrysk, a w środku wodotrysku na wzniesieniu herb miasta Warszawy, herb w rzeźbie odtworzony przez artystę polskiego, Konstantego Hegla. Syrena! Syrena wojownicza z tarczą u ramienia, z mieczem do ciosu wzniesionym; Syrena pół-ryba, pół-dziewica, stwór dziwny, któremu nierzadko urągały przekupki staromiejskie, doniedawna jeszcze wieńcem swoich straganów otaczające wodotrysk.

A miała też ta Syrena staromiejska i siostrę rodzoną, temuż

samemu artyście swoje kamienne życie zawdzięczającą; stała sobie długie lata na bramie, prowadzącej na ulicę Karową. Dziś niema już bramy i siostry-Syreny, niema też Syreny na rynku Starego Miasta.

Stare miasto! u wchodu czuwa, jak na straży,
Kościół farny i dzwonów srebrną mową gwarzy...

I u owej Fary, w jej przedsionku, wmurowano dwie biblijne płaskorzeźby Hegla; i niejeden tu ołtarz ozdobił, i kazalnicę wykonał, i Matkę Boską na ganku kościoła Kapucynów, i św. Feliksa z dzieciątkiem na ręku. Oto plon życia Konstantego Hegla.

* * *

Włochy nigdy nie przestaną być tą poświęcaną ziemią, na której działy się rzeczy wielkie, przez które przeszła wielka sztuka starożytna i sztuka odrodzenia. Przeszła i pozostawiła



tylę swemu narodowi, swojej ziemi, że nigdy, zdaje się, nie przestanie być tą ziemią obiecaną artystów wszelkiej narodowości. Świat starożytny żyje tam do dziś, żyje w ruinach Forum Romanum i Koloseum, żyje w zbiorach watykańskich, „gdzie kolumn rząd i tłum posągów stoi“...

Żyje i nęci, pociąga, oszałamia. Cóż więc dziwnego, iż niejeden z artystów, znalazłszy się w owym tłumie arcydzieł, mówi sobie:

— Cóż ja? czemuż jestem wobec nich? jeno mi iść w ich ślady!



BRODZKI WIKTOR

AKTEON

Tak zaraźliwa jest sztuka starej Italji.

Poszli też za nią i nasi artyści przeszłego wieku, i oto gdybyśmy zobaczyli rzeźbę, przedstawiającą łowcę greckiego — Akteona z psem, spoczywającego na skale, zastanowilibyśmy się na chwilę i pomyśleli:

— Czy to rzeźba starożytna, czy jej kopja?

Nie! ani to, ani tamto. Śliczny, młody Akteon, czerpiący w muszlę wodę ze skały. Akteon tak harmonijny, piękny, jak antyczne rzeźby, jest dziełem polskiego rzeźbiarza, Wiktora Brodzkiego.

Jego też dziełem jest ta młodzianka dziewczyna grecka, lekko, wdzięcznie pochylona, i szepecącej jej do ucha jakąś tajemnicę amerek¹⁾. I jego jest dziełem, iż tę pracę swoją złożył jako dar dla muzeum krakowskiego.

A teraz przejdźmy się po jednym z cmentarzy rzymskich.

¹⁾ Muzeum Narodowe w Krakowie.

„Il Polacco“ niejednem tam dziełem zasłynął, ale najwybitniejsze... spojrzymy! Jaki dziwny pomnik grobowy! Na łożu śmierci spoczywa matka. Poduszki, pościel, kołdra wykonane wybornie i prawdziwie. Obok mała dziewczynka, córeczka zmarłej, uchwyciła obu rączkami za kołdrę, jakby ruchem tym chciała zmarłą do życia przywrócić.

Z pracowni na Via Corso nietylko jednak takie, obojętne sercu naszemu, dzieła w świat wychodzą. Oto biusty: Sobieskiego, Batorego na orłach wsparte, portrety ludzi, którzy są naszą chwałą, a ot i piękny biust Mickiewicza w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, a także amerek, śpiący w muszli, uśmiechnięte bobo o pulchnem ciątku, niby aniołek rubensowski.

Z pracowni na Via Corso co dnia wychodzi Brodzki i dąży wąskimi ulicami Rzymu. Oto zaułek niepozorny; u drzwi parterowych, obyczajem włoskim, stoją jasno-zielone pieprzowodrzewka. Wnętrze restauracyjki signora Fiorellego tonie w mrokach, tak miłych po oślepiającym blasku słońca na ulicy.

Ledwie wszedł gość codzienny, odzywają się zewsząd przyjazne głosy, wyciągają skwapliwie dłonie.

Ale Brodzki dąży dalej: tam jest jego kącik, tam wołają go jeszcze serdeczniejsze głosy, gorętsze dłonie — to „paczka“ polska. Jest tu Gierymski, jest Cieszkowski, są i inni, coraz inni, przebywający w Rzymie krócej lub dłużej, ptaki przelotne, ilu ich tu już witał Brodzki, ilu żegnał, ilu torował drogi, ułatwiał życie na obczyźnie.

Czasem pracownia Brodzkiego dziwny przedstawia widok. Rozłożone plany, wykresy, obliczenia matematyczne, jakieś skomplikowane rusztowania, szkielety form różnych, związanych lekko i subtelnie. Ah, to wieczne marzenie umysłów żywych i niespokojnych, marzenie Ikara i Leonarda da Vinci! To pomysły lotnicze, nigdy niespełnione, nigdy niewykonane!

W pół opustoszałej pracowni, w której coraz rzadziej przebywa strudzony długą wędrówką życia artysta, jeden tylko jeszcze posąg marmurowy bieleje, jak widmo. To „Anioł Zmartwychwstania“. Pod tym białym aniołem duma nieraz smutnie, znużony ciężką chorobą, artysta, temu białemu aniołowi zwie-

rza się, iż droga jego życia kresu dobiega, a on anioł ma stanąć na straży u grobu jego, aby świadczył, iż ten, który tu spoczął, nie próżno życie przeżył.

* * *

„Gdym zaczynał moją artystyczną karierę — pisze Marceli Guyski — przysiągłem sobie, że portretów robić nie będę, nie będę rozpraszał talentu i sił na takie roboty; zachowam je na jedno tylko dzieło, ale godne nazwy arcydzieła, a dziś!...”

Więc czemuż, czemu ten pełen zapału, pełen talentu artysta zmusza się do niewdzięcznej pracy? Ha! zawsze ta sama piosenka — zarobek, chleb!

Skończyło się dzieciństwo szczęśliwe na dalekiej Ukrainie, skończyły się lata młodości w Paryżu i Rzymie. Ah, te lata! te lata, gdy się glob ziemski z posad porusza, te lata, gdy się wierzy, wierzy święcie, iż będzie się tworzyć rzeczy „godne nazwy arcydzieła!”

A teraz — portrety!

— Jakże to? wszakże i portret arcydziełem być może?

Może! o, tak! jeżeli się powie dumnie, jak Michał Anioł o portretach Medyceuszów:

— Za sto lat nikt nie będzie wiedział, jak wyglądali Medyceusze, ale każdy w ich portretach uzna dzieło sztuki.

Nato trzeba być Michałem Aniołem, mieć jego odwagę i niezależność, i... żyć w czasach odrodzenia. Ale portret tylko dla zarobku, dla chleba codziennego! „Ah, proszę pana, pan mi zrobił nos za długi”. „Proszę pana, czy ja mam taki podbródek?” „Wyglądam o dziesięć lat starzej” i tak dalej — dalej, potem schodzi się rodzina, znajomi, i każdy swoją uwagę do-
rzuca. Poprostu tortury.

Czemuż się nie bronił, czemu ustępował? Ah, bo Guyski łagodny, delikatny, subtelny, bronić się nie umiał i nie chciał, a przecież żyć musiał i musiał zarabiać na życie.

Mimo tych ciężkich warunków, ileż z portretów Guyskiego prawie za arcydzieła smaku, subtelności wykonania uważać można. Jak portrety polskiej arystokracji rodowej: Branickiego,



GUYSKI MARCELI CHRYSTUS

Tarnowskiego, Zamoyskiego i ponad inne piękniejszy biust arystokratki ducha — wielkiej tragiczki polskiej, Modrzejewskiej. I był tych portretów, tego utrapienia jego życia, szereg ogromny, rozrzuconych po Francji, Włoszech i Polsce.

Od czasu do czasu tylko czerpał Guyski otuchę w dziełach samodzielnych, kompozycyjnych. Podnieśmy wzrok w górę, idąc placem Małachowskiego w Warszawie, i obejrzymy fasadę pięknego gmachu Tow. Kredyt. Ziemskiego. Nad oknami, w zgiętych trójkątach, widnieją rzeźbione postacie, wyobrażające Rolnictwo i Żeglugę. To dzieło Marceliego Guyskiego.

Spojrzymy wreszcie na tę postać „Chrystusa“ — Ecce Homo, gdzie pod marmurową formą drzemie potężny duch.

Ciężkie warunki pracy odbijają się źle na siłach Guyskiego; praca z dnia na dzień, po goń za groszem rozterka duchowa, rozdźwięk między tem, co chciał robić, a co robić musiał, podkopują wątły organizm.

W ostatnim dziesiątku zeszłego wieku leczy się w Zakopanem na chorobę piersiową i odchodzi cicho, jak ciche było życie jego, pełne pracy i górnych dążeń — nigdy niespełnionych.

* * *

W dzień zaduszny, gdy na grobach cmentarza Powązkowskiego w Warszawie płoną lampy i świece, gdy tłumy zalegają

ementarz, a na płyty grobowe sypią się wieńce i kwiaty, na jeden z pomników jakaś nieznana ręka kładzie rok rocznie wianek z czerwonych jagód kaliny.

Pomnik wyróżnia się z pomiędzy innych swojskością i prostotą, i rzadki taki przechodzeń, któryby nie rzucił nań okiem i nie odczytał napisu — „Śpiewakowi Kaliny“. I wnet snują się słowa znanej piosenki:

Rosła kalina z liściem szerokiem...

A na pomniku krzyż prosty, chustą z chłopska przewiązany, przed krzyżem kamień, na którym leży lira ludowego pieśniarza. Wiejskie długowłose pacholę, o twarzy i postaci jakby z grottgerowskich rysunków wyjętej, kładzie na lirence wianek.

Jeden to z najulubieńszych pomników tego cmentarza; wielu wie, komu go wystawiono¹⁾, nikt nie wie, kto go w dobrej chwili natchnienia wyrzeźbił.

A jednak, gdyby chory już ciężko Święcki, nędznie w szpitalu paryskim dogorywający, w chwili jasnovidzenia przeczuł, jak dzieło jego, ono boscę pochole, zdobędzie serce Warszawy!

Ale nie przeczuł ani tego, ani tego, iż bez krzyża nagrobnego legnie na obcej ziemi i dobrze jeszcze, iż nie we wspólnej mogile.

„Nie chcę, aby ciało człowieka, który coś zrobił dla krajowej sztuki, spoczywało w ogólnym dole“ — pisze w jednym



ŚWIĘCKI WOJCIECH

POMNIK

WARSZAWA POWĄZKI

¹⁾ Muzykowi Komorowskiemu.

z listów Szermętowski i, sam chory, bez grosza, stara się, zabiega, urządza pogrzeb, nabożeństwo, aby uczcić pamięć „biednego Świąca“.

* * *

Dnia 24 grudnia 1898 roku poruszenie wielkie panuje w Warszawie. Kto żyje, kto jeno zdrów i ruszać się może, wyległ na ulicę, chociaż pogoda chmurna i dżdżysta nie nęci bynajmniej do spaceru. Ale bo też nie na spacer, nie na rozrywkę dążą te wszystkie przejęte i wzruszone tłumy, ale dążą ku jednemu punktowi Warszawy, ku zbiegowi ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, gdzie w tej chwili na tle ołowianego nieba rysuje się jakiś kształt wyniosły, szczelnie osłonięty wielkimi płótnami.

Dziś wielkie święto obchodzi Warszawa. Car, w przystępie dobrego humoru, „w wielkiej swej łaskawości najmiłościwiej raczył pozwolić“ na wzniesienie pomnika wieszczowi polskiemu i, co więcej, „raczył pozwolić“ na publiczne odsłonięcie!

Tłumy coraz większe gromadzą się koło okrytego pomnika, tłumy ciche, przejęte, wzruszone. U stóp pomnika stanął obok rodziny Mickiewicza, obok arcybiskupa — drugi wieszcz polski — Sienkiewicz, stanął twórca pomnika siwowłósy już, o żywych, czarnych oczach, Cyprjan Godebski.

Rozlegają się poważne dźwięki „Modlitwy“, granej przez orkiestrę, ruch koło pomnika, zadrgały zasłony. Więc już!

Z cichym szelestem zsuwają się płótna zasłon, tłum wstrzymuje oddech.

Na wysokim piedestale — postać wieszczca. Rękę złożył na piersi, głowę wzniosł, fałdy płaszcza spadają z ramion, wloką się za nim, niby płaszcz królewski. Wieszcz oczami z brązu patrzy na swój lud... Tłum trwa w grobowym milczeniu, wszystkie usta zamknięte, dusze tylko przez oczy biegną do stóp wieszczca i u nóg mu się kładą.

Więc jakto? Więc nikt słowem się nie ozwał? Nikt nie wzniosł okrzyku w hołdzie wieszczowi narodu, nikt nie uczcił go hymnem, pieśnią, natchnionem słowem?

Nikt! z nakazu cara — nikt! Z nakazu cara tłumy stoją

nieme; stoją długo, długo i wreszcie rozchodzą się powoli, rozplywają pod mżącym drobnym deszczem, pod niebem, jak ich dola — szarem.

Tak to odbyło się odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie, pomnika, ufundowanego ze środków polskiego społeczeństwa, wykonanego przez polskiego rzeźbiarza. Jeżeli też dla społeczeństwa była to wielka chwila, to i dla Godebskiego był to dzień triumfu, dzień chwwały, dzień — jakiego niewiele polskim artystom przeżyć było dano, a Godebski był o tyle szczęśliwym, iż kilka dzieł jego zdobi Warszawę, Kraków i Lwów.

Czy znacie ten śliczny zakątek w Collegium Majus

w Krakowie? Ten dziedzińczyk gotycki z podcieniami wokoło? W tem to podwóreczku stoi — bodaj czy nie najpiękniejsze dzieło Godebskiego — Kopernik. Kopernik o ślicznej młodzieńczej twarzy, naturalnym, swobodnym ruchem podtrzymuje wyobrażenie sfery niebieskiej i wpatruje się w nią z poważnym, skupionym wyrazem twarzy. To jeszcze nie genialny uczony, ale jego zapowiedź w tym młodziutkim, chłopięcym niemal myślicielu.

Artysta prace swoje śle do kraju, sam jednak pozostaje zagranicą, gdzie łatwiej mu pracować, łatwiej doprowadzić do końca swe niezliczone dzieła.

Nie brak też Godebskiemu pomysłów na coraz to nowe



GODEBSKI CYPRJAN

KOPERNIK

DZIEDZINIEC BIBL. JAGIELLOŃSKIEJ W KRAKOWIE

prace, ludzie też mu próżnować nie pozwalają, zasypując zamówieniami. W ciągłej podróży, jak ptak wędrowny, przenosi się z miejsca na miejsce: tu oto dekoruje pałac w Brukseli, tu go znów wzywają do Paryża, Wiednia, Petersburga, gdzie kilka lat przemieszkuje, i znów jest w Warszawie, pracą usilną słodząc sobie ciężkie chwile po stracie ukochanej żony.

Więc oto na wysokim piedestale z białego marmuru stała piękna i smutna muza pieśni, spowita w miękko spadające zasłony, z lutnią i wieńcem żałobnym w splecionych dłoniach. Na przodzie pomnika — w płaskorzeźbie delikatnej i subtelnej — portret kompozytora i pieśniarza polskiego — Moniuszki. W kościele Wszystkich Świętych ustawiono to piękne dzieło.

Gdy w czasie ostatniej wojny i w chwili walk na ulicach Lwowa świstały kule, w ogrodzie Jezuickim, koło dawnego gmachu sejmowego, garść ich okazała przebiła nawylot w kilku miejscach brązowy pomnik hr. Agenora Gołuchowskiego. Imponująca, ciężka trochę, wyborna w ruchu postać magnata i męża stanu austriackiego, stoi dziś z dziurami w głowie, które nie przeszkadzają temu, iż jest to jedna z najcenniejszych prac Godebskiego.

I tak po całym obszarze Polski rozrzucone są dzieła jego pracowitej ręki.

A pracowita była przez tradycję, przez wychowanie. Z dalekiej Francji, gdzie się urodził i kształcił, z Włoch, gdzie przebywał nieraz długie miesiące, snuje się linja pracy artystycznej Godebskiego, a od pułkownika wojsk polskich, na cmentarzu Powązkowskim spoczywającego, idzie jego linja rodowa. Polakiem był z rodu, cudzoziemcem ze swej artystycznej kultury, z umiejętności gruntownej, z pracy żelaznej.

Spojrzyjmy wstecz!

W warsztacie kamieniarskim w Paryżu, w fartuchu prostego „ouvrier’a“, z młotem i dłotem rzeźbiarskim, pracuje młody Cyprjan Godebski; i nie dla nauki, bo już ją posiadał, i nie nad swojemi kompozycjami, bo ich jeszcze nie stworzył, pracuje, bo musi na chleb zarobić. Wśród pyłu białego dnie całe obkuwa bryły marmuru.

Musi i koniec! Ani się tego wstydzi, ani buntuje. Pracuje i uczy się, nie marnując chwili.

Tego go nauczyła Francja. Ta praca usilna, obok talentu, zrobiła go tem, czem został w przyszłości.

* * *

Jest w Warszawie kościół, znany wszystkim mieszkańcom, kościół, gdzie niejedno uroczyste odbyło się nabożeństwo, kościół z gankiem szerokim, z którego na dwie strony wiodą schody kamienne.

— To Święty Krzyż! — odpowie każdy — tak, bo tam jest taki ganek z balustradą, na której stoi bardzo piękny Chrystus.

Otóż to właśnie! Ów „Chrystus“, uginający się pod brzemieniem krzyża i wyciągający błogosławiącą rękę. Któż go nie zna, owego Chrystusa, iluż to on błogosławił pochodom, pogrzebom uroczystym! I tak się zrósł z kościołem, tak jest na tem miejscu potrzebny, iż dziwną się rzeczą zdaje, że przez parę wieków kościół stał, a Jego nie było.

A jednak nie było go jeszcze lat temu kilkadziesiąt, zanim ta, przejęta głębokiem poczuciem religijnem, doskonała w formie swej artystycznej, postać, nie wyszła z pracowni Andrzeja Pruszyńskiego, zanim nie odlano jej w bronzie, by przez lata, lata błogosławiła Warszawie. A gdybyśmy się tak przeszli po Powązkach, w wielu miejscach natrafilibyśmy na prace Pruszyńskiego.



PRUSZYŃSKI ANDRZEJ CHRYSZTUS

KOŚCIÓŁ ŚW. KRZYŻA W WARSZAWIE

— Ah, taki powązkowski rzeźbiarz! — pomyśli niejeden — kamieniarz!

Otóż nie! Pruszyński w każdym dziele swoim był artystą, tak jak i współczesny mu rzeźbiarz, Bolesław Syrewicz. Obydwaj w Akademii rzymskiej najwyższe zyskali odznaczenia. Syrewicza papież nagrodił medalem za płaskorzeźbę „Chrystus Chrystusa“, dziś zdobiącą lewą nawę warszawskiej Fary, obydwaj jednak ci artyści, nie porzuciwszy kraju rodzinnego, musieli jąć się pracy zarobkowej, jaką im kraj dać mógł.

Obniżyli loty, bo musieli, ale, iż pracowali „na polskim ugorze“ — niechaj im pamięć nasza za nagrodę stanie.

* * *

Wechodzimy na Wawel od ulicy Grodzkiej. Droga lekko wznosi się w górę, mijamy ciągnące się z dwóch stron wysokie mury, ponad nami brama zamkowa, a wyżej...



Konno, z ręką wyciągniętą energicznym ruchem, drugą wstrzymującą żywy krok konia, tak dobrze nam znana postać Tadeusza Kościuszki.

Ładną, pełną życia sylwetą rysuje się z brązu odlany pomnik na tle starych murów Wawelu; stoi na umyślnie wymurowanym cokole, na straży tej naszej świątyni narodowej, najgodniejszy jej strażnik.

MARCONI LEONARD

KOŚCIUSZKO

WAWEL

— Skąd się wziął ten Kościuszko? — za-

pytuje niejeden. Nikt nie o tym posagu nie słyszał, nikt nie pisał, nie było żadnych konkursów, wystaw, krytyk i ot, odrazu skądciś znalazł się i stoi, i w dodatku, co najważniejsze — pięknie wygląda.

Tak, dziś stoi na Wawelu, a lat dwadzieścia kilka stał na podwórku strażnicy pożarnej, zapomniany i czekający losu i chwili szczęśliwej, któraby go z ukrycia dobyła.

I przyszła ta chwila. Gdybyż jej był dożył autor pomnika, zgasty przed dwudziestu paru laty Leonard Marconi, gdyby był choć przez mgnienie oka widział, jak pięknie umieszczono, jak uczczono jego dzieło, byłaby to zaiste najwyższa i godna zażdrości nagroda, najszczytniejsza radość twórcy. Gdyby mógł widzieć, jak wchodząca na Wawel młodzież polska staje na „baczność!“ przed Naczelnikiem, jak tysiące młodzieńcych oczu zatrzymuje się na tej żywej postaci wodza narodu!

Przeżył jednak Marconi dobrą swoją chwilę. Było to wtedy, gdy na placu, u końca ulicy Akademickiej we Lwowie, wobec zgromadzonych tłumów opadły zasłony z pomnika wielkiego komedjopisarza polskiego — Fredry. Oczom patrzących ukazała się siedząca w fotelu postać autora „Zemsty“ i „Ślubów panieńskich“. Spokojnym, swobodnym ruchem wspiera się jedną ręką na poręczu, w drugiej trzyma pióro, oczy wdał zapatrzone, jakby widzące rzeczy innym oczom zakryte.

Marconi, twórca pięknych „Karjatyd“, dźwigających gzemsy przy pałacu Kronenberga w Warszawie, profesor politechniki lwowskiej, autor wielu rzeźb do gmachów publicznych we Lwowie — będzie już dla nas zawsze i przede wszystkim twórcą pomnika Kościuszki na Wawelu i pomnika Fredry u wylotu ulicy Akademickiej.

* * *

Niezawsze duże na objętość dzieło autora chwali. Przyjrzyjmy się też temu posążkowi „Kopernika“. Nieduży jest, ustawić go można z łatwością w każdym zwykłym mieszkaniu, a jednak w tym to właśnie posążku Teodor Rygier pokazał, co umie.

Kopernik! Nie ten Godebskiego, młodzieńczy i śliczny, nie



RYGIER TEODOR

KOPERNIK

TOW. ZACH. SZT. PIĘK. W WARSZAWIE

ten matejkowski, pełen ekstazy, i nie ten Gersona, świadomy swej siły uczony, to czwarty Kopernik, Kopernik starzec, Kopernik, w którym siły życia już się wypaliły, ciało bezwładnie zagłębione w fotelu, genialna głowa spada na piersi, zeszytniałe palce ledwie mogą utrzymać księgę i cyrkiel.

Próchno ludzkie, w którym ledwie tli iskra życia. „Kopernik“ Rygiera to małe arcydzieło.

I drugi kraniec... śliczna, młoda Giulietta... główka omdlałym ruchem wtył pochylona, usta zwarte w półuśmiechu — oczy zmrużone...

Marmurowa Giulietta marzy o Romeu. Z bronzu odlana głowa Kossaka, pełna życia, wyrazu, zawadjackiej fantazji. Takich głów portretowych, rodzajowych — w marmurze lub bronzie — wykonał Rygier bardzo wiele, większość ich jednak została zagranicą, we Włoszech, gdzie żył i pracował, był szczęśliwy, póki... nie powołano go do wielkiego dzieła, do wykonania pomnika Mickiewicza w Krakowie.

— Nieładny! — zawoła niejeden z czytelników.

Tak się utarło — i tak jedni drugim powtarzają — i odchodzą, nie rozejrzawszy się nawet w postaciach, otaczających piedestał, z których postać Poezji jest ładna w ruchu i wyrazie, a i w innych znać rękę artysty, choć coś jej odjęło swobodę i śmiałość.

Spróbujcie tylko napisać, no — choćby wypracowanie.

Spróbujcie poprawić je raz, drugi, trzeci, niech je wam zgania, tu każą dodać, tam ująć, jeszcze raz przerobić i jeszcze raz poprawić — powiedzcie tak szczerze, czy wygrymaszona wasza praca będzie co warta?

A tak właśnie było z pomnikiem Rygiera, i tak właśnie pisze o tem znakomity znawca sztuki, profesor Łuszczkiewicz.

„Sprawa pomnika Rygiera, tak niesłusznie z błotem mieszanego, przycichła obietnicą, że Rygier poprawi i da arcydzieło wszystkich zadowalające, zapomocą poprawek, dyktowanych przez komitet... Pomnik jest zabity deskami na długo, miał ten grzech, że w proporcjach przerachował się artysta na placu tak wielkim, ale okazał, że duszę miał i natchnienie gorące, aby tego przez poprawki nie utracił — obawiam się“.

Słusznie obawiał się światły profesor — po dyktandzie nikt jeszcze nigdy arcydzieła nie stworzył.

Kilkakrotnie próbował Rygier założyć pracownię w kraju — przyjeżdżał i odjeżdżał znów do swoich marmurów i oliwnych gajów. Nie było tu dla niego pracy czysto artystycznej — rzeźmieśniczej jąć się nie chciał.

* * *

Przed laty jeszcze niewiele, ot może kilkunastu, w oknach składów porcelany i drobiazgów artystycznych, widywano często dwie grupy, po dwie postacie, przedstawiające „Poloneza“ i „Oberka“. W pierwszej — tęgi kontuszowiec o postaci i twarzy senatora, pokręcając wasa, wiedzie młodziuchną, pełną wdzięku dziewczkę o długich kosach. W drugim zamaszysty Bartek czy Maciek obraca z szalonym rozmachem roześmianą Stachnę czy Marychnę.

Uosobienie spokoju i powagi — uosobienie werwy i ruchu.

Reprodukcje tych grup rozeszły się w setkach egzemplarzy, bijąc na głowę różne obce nam figurynki Tyrolczyków, Włoszek lub paryżanek, sprowadzane z zagranicy.

Niekażdy jednak, nabywający „Poloneza“ lub „Oberka“, wiedział, iż twórcą ich był Kurzawa, artysta znany i ceniony wysoko w świecie artystycznym.

Antoni Kurzawa — jak bardzo nazwisko pasuje do historii życia tego, który je nosił. Kurzawą zakryte jest jego życie chłopięce i młodzińcze, dziecka zrodzonego gdzieś, na dalekim Podkarpaciu. Sam też w chwilach tęsknoty snuł o dzieciństwie swoim, o matce, smętne, poetyczne marzenia.

„I wzięła w płachtę — mawiał o sobie-niemowlęciu — i niosła miedzą do chaty. A kłosa srebrne i trawy zielone chyliły swe główki i szeptały zcicha: Nie płacz, dzieciusiu, nie płacz, małe! A słońko Boże żarem promieni śmiało się do dzieci z błękitu czystego“...

I rósł tak wśród miedzi i wzgórz, a jako Jankowi-muzykantowi grały mu w duszy dziwne melodje, kłębiły dziwne marzenia.

Kurzawa też sypała mu w oczy przez życie całe piasek przeciwności.

A mimo to — prócz „Poloneza“ i „Oberka“ — oto znów grupa „Wawel i Wisła“¹⁾. Młodziuchna dziewczeczka, tuląca się do zgrzybiałego, brodatego rycerza, wspartego na mieczu. Chłop polski, „Siewacz“, w koszuli i boso, szerokim ruchem rzuca ziarno w ziemię, jakiś niby reymontowski Boryna, z całą jego gospodarską dostojnością i powagą.

W Tow. Zach. Szt. Pięk. w Warszawie otwarto konkursową wystawę rzeźb.

Konkurs — więc niepokój, podniecenie, nadzieje. Parę dni niespokojnego oczekiwania, i oto nagle z ust do ust wieść się rozchodzi:

— Kurzawa rozbił swojego „Mickiewicza“.

Co? Dlaczego? Jedni wzburzeni, inni współczujący, inni jeszcze lekceważąco uśmiechnięci.

Przez szereg tygodni, poprzedzających konkurs, w lichej pracowni rzeźbiarskiej boryka się ze swoim dziełem człowiek wątły, drobny, wymizerowany. Boryka się, tak! Szkic, pomysł stoi gotowy.

Oto „Mickiewicz, budzący genjusza“.

Mickiewicz, pochylony lekko, jakby ruchem i wzrokiem hip-

¹⁾ Muzeum Narodowe w Krakowie.

notyzował młodego, skrzydlatego chłopca, który pod tym wszechwładnym wzrokiem, pod magicznem dotknięciem dłoni trzepoce się jak ptak zbudzony nagle.

Pomysł niezwykle, postaci pełne wyrazu, ale... ale jednak trzebaby je wykończyć z natury, trzebaby modela, któryby za pieniądze godzinami cierpliwie pozował.

I tu dramat!

Modela niema czem zapłacić, więc trzeba samemu sobie pozować w lustrze, w lustrze sprawdzać napięcie mięśni, lub naciągawszy na siebie jakie takie ubranie, zauważyć i zapamiętać układ fałd. Wyсіłek woli nadludzki prawie, ale wysiłkowi temu świeci nadzieja — Konkurs!

— który poza zadowoleniem moralnem, może dać grosz jakiś na dalszą pracę. Ostatnia nadzieja, ostatnia stawka.

Przegrał.

W zakładzie Helclów w Krakowie dogorywa półprzytomny twórca „Mickiewicza“.

Kurzawa nędz i niedoli zmąciła mu umysł pod koniec biednego żywota.

W Muzeum Narodowem w Krakowie stoi, z modelu pracowicie z rozbitych części sklejonego, w bronzie odlany „Mickiewicz budzący geniusza“.



KURZAWA ANTONI
MICKIEWICZ BUDZĄCY GENJUSZA
MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Przed pałacem Wilanowskim zatrzymało się pewnego dnia towarzystwo przybyłe z Warszawy. Słońce, padające na pałac, uwypuklało jego harmonijne linje i kapryśne trochę nakrycia wieżyczek. Wyraziście rysowały się wszystkie załomy, kolumny, posągi i płaskorzeźby. Na tle zieleni biały pałac wyglądał jak śliczne rzeźbione cacko.

Przybyłe towarzystwo zachwyca się głośno. W cichym zato podziwie stoi młodziotki czwartoklasista w gimnazjalnym mundurku. Grono przybyszów rozpierzchnęło się po parku, próżno wołając za sobą chłopca, który, jak urzeczony, obchodzi pałac.

— To jest tak... tak... i tak! — notuje sobie pilnie w pamięci.

Gdy powrócono do Warszawy wieczorem, co się tam komu śniło, to śniło, po ślicznej wycieczce, a gimnaziście śnił się pałac Wilanowski, myślał o nim, marzył, wyobrażał sobie tak dokładnie, jakby go miał wyfotografowany w oczach. Gdyby był poetą, napisałby sonet, gdyby był malarzem, chwyciłby za ołówek lub pendzel, ale Karol Kloss był przedewszystkiem w duszy swej rzeźbiarzem, poszukał więc materiału dla siebie.

Nie jeden z próbujących sztuki rzeźbiarskiej zaczynał od lepienia z wosku, inny z ugniecionego chleba, Kloss zdobył sobie jakąś miękką, podatną korę drzewną, jakiś scyzoryk, nożyk i zabrał się do roboty. Niezwykła pamięć pomaga wyobraźni, zwolna z ręki chłopca, manewrującego zręcznie swemi niewyszukanemi narzędziami, wychodzą coraz nowe części pałacu, misternie i pracowicie wycięte w drzewie, a tak dokładne w formach i proporcjach, że gdy wreszcie młody artysta złożył części w jedną całość, stanęła przed nim dokładna minjatura pałacu Wilanowskiego. Niebawem też majsterszyk czwartoklasisty stanął w oknie jednego ze sklepów warszawskich, ściągając na siebie wzrok przechodniów. Prędko też znalazł nabywcę i pojechał aż do Wiednia, do jakichś zbiorów artystycznych.

Upłynęło lat kilka. Były gimnazista oczami, pełnemi zachwyty, ogarnia cudne krajobrazy Italji, przebiega stare ruiny Pompei, oliwne gaje Sorrenta, przepastne skały Capri, Rzym odwieczny, i to miejsce najstraszniejsze, ową skałę tarpejską,

miejsce stracenia, miejsce, skąd na rozkaz senatu strącano w przepaść skazańców.

Tarpejska skała! Zadumał się artysta, wyobraźnia maluje mu sceny straszne, rozdzierające, tu... na tej skale!

Znów upłynęło lat kilka. W podwórzu jednego z domów przy ulicy Brackiej w Warszawie, w pracowni, urządzonej w wozowni, przy warsztacie swoim stoi Karol Kloss. Ma już poza sobą szereg lat pracy artystycznej, poza nim studia rzeźbiarskie w kraju, poza nim Berlin i Drezno, gdzie parę lat przepracował, poza nim całe Włochy — i poza nim wreszcie prace literackie, dramaty, poezje, które, dla znużonego ciężką pracą rzeźbiarską, były wytchnieniem i wypoczynkiem.

A przed nim? Wcielenie owego widzenia w Rzymie.

Dwie postacie w marmurze kararyjskim kute, dwie postacie, związane węzłem dramatu.

Oto skała skazańców, na niej kobieta-ofiara, kobieta-winowajczyni — piękna i zdradna Tarpea. Przy niej mężczyzna-kat. Kobieta wparła się stopami w skałę, przerażonemi oczyma wpatruje się w przepaść, która za chwilę ma ją pochłonać, a w którą, całą siłą naprzężonych mięśni, spycha ją sługa Tyberjuszowy.

Z dółtem w ręku dnie całe spędza Kloss przy swojej pracy, nie zna wytchnienia, nie zna wypoczynku, subtelnie wykończy, wygładza powierzchnię marmuru, dobywa zarysy



KLOSS KAROL

TARPEA

mięśni, marmur ożywa mu pod ręką. Widzi zmartwychwstanie swego dzieła.

Na boki usunięte, okryte mokremi szmatami, czekają inne prace, rozpoczęte w glinie. Czeką wykończenia poetyczna „Ofelja“ o rysach jednej ze znanych wówczas artystek dramatycznych. Do tego rozpoczętego dzieła nieraz podchodzi artysta i, ścignawszy mokrą płachtę, z natężeniem wpatruje się w wymowną twarz artystki.

I nagle grom! Trzydziestodwuletni zaledwie artysta pada rażony atakiem sercowym.

W proch rozsypała się idealna postać Ofelji — niedokończona — jak niedokończonem i przedwcześnie zniszczonem było życie jej młodego twórcy.

* * *

— Kto jest ten młody człowiek taki wesoły i ruchliwy? — pytano nieraz w towarzystwach warszawskich, gdzie zbierała się brać artystyczna.

— To artysta-rzeźbiarz Celiński — odpowiadano.

— Artysta? Doprawdy?

Istotnie Sławomir Celiński poza swoją pracownią „nie patrzył“ na artystę, tak, jak to sobie artystów ogół wyobraża. Szczupły, drobny, ruchliwy jak fryga: wszędzie go było pełno i wszędzie go było słyhać; gdy wybuchał niepohamowanym śmiechem, aż w kątach oczu, koło ust żłobiły się drobne zmarszczki, które potem, w starszych latach, poorwały mu twarz siatką gęstych brózd.

Mały ten, ruchliwy człowieczek z taką samą pasją pracował, lepił swoje ogromne figury, z jaką bawił się i zawzięcie obracał tancerką. Taki już był temperament.

Oto gdy był jeszcze uczniem krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, Kraków urządza nabożeństwo żałobne, bardzo uroczyste, za duszę Wincentego Pola. Trzeba więc zrobić biust poety kolosalnej wielkości. Czasu na tę pracę bardzo mało, trochę więcej, jak jedna doba. Organizatorowie tracą głowę, wszyscy starsi artyści odmawiają. W tak krótkim czasie? Nie!

Ale Celiński ma lat dwadzieścia.

— Zrobię! — zdecydował.

Ułynęło zaledwie dwadzieścia ośm godzin, a kolosalny biust Pola stał gotów, a co najważniejsze — podobny.

W parę lat później los mu się uśmiechnął, a raczej on sam go pochwyił. Na konkursie zdobywa stypendjum i jedzie uczyć się do Wiednia.

Istnieje legenda-ballada o onym giermku, co z panem swoim jednym łańcuchem skutą jęczy w podziemiach więzienia. Ujść z ciemnicy! zmylić strażę! nikła nadzieja zabłysła więźniom. Ale jak uchodzić we dwóch, gdy noga przy nodze łańcuchem związana? Wierny giermek wazy i rozważa. Jeden błysk myśli, topór, przygotowany ku ucieczce w dłoni, jedno straszne cięcie... przyjaciel ujdzie szczęśliwy. Giermek-bohater zgnije w lochu więziennym.

Tę dramatyczną chwilę, gdy giermek, uniósłszy topór jedną ręką, drugą przytrzymuje swą okutą stopę, odtworzył Celiński w swojej rzeźbie. Śliczny, słowiański typ giermka, wyborny

ruch, wyraz zaciętej siły woli na twarzy czyni z tej rzeźby istotne dzieło sztuki, które czeka, aby je w bronzie odlać.

Jeszcze kilka miesięcy swobody, podróż do Włoch, a potem powrót do kraju i praca, praca dla zarobku, dla kawałka chleba, gonitwa za groszem, walka z życiem.

Ale Celiński nie daje się. Biedę bierze, jak djabła, za rogi i boryka się z nią do ostatka, do utraty tchu.

Węc jeden po drugim portrety, medaljony, biusty, znów olbrzymi biust pośmiertny Kraszewskiego, wyborne portreciki dzieci, same prawie drobne prace tylko — bo przecież żyć trzeba, niema czasu na rzeczy większe — kompozycyjne, niema



CELIŃSKI SŁAWOMIR GIERMEK
MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

pieniędzy nawet na odlewy w gipsie, bo o marmurze i bronzie to już i marzyć nawet nie może. To nie Paryż, nie Rzym, nie Florencja. Zaledwie jakiś udatny biust portretowy w marmurze, zaledwie mały posążek Wita Stwosza w bronzie.

Ale oto błyskają polskim artystom nowe nadzieje — praca duża, pomnikowa. Kraków chce wznieść pomnik Mickiewicza, rozpisują konkursy jeden i drugi. Celiński przystępuje do obu — otrzymuje nagrodę, ale robotę powierzają komu innemu. Omija go wszystko, może i dlatego, że mały ten człowieczek nie umie chodzić koło swoich interesów. Niema też co robić w Krakowie, więc dalej w świat szukać chleba i pracy!

I oto odtąd nosi go po świecie. Jest to tu, to tam, w Nieborowie przy fabryce ceramicznej, na Litwie w fabryce majolik, w Petersburgu w fabryce porcelany; wszędzie daje modele do wyrobów przemysłu artystycznego, od czasu do czasu tylko wracając do czystej rzeźby i do obrabiania ogromnych brył w kształty portretów i pomników cmentarnych.

Duch niespokojny, który mieszkał w tem drobnem cieiele, nie daje mu spokoju i ponosi go aż do Mandżurji. Poco? Czyby go nęciły typy Chińczyków? Wcale nie! Ktoś tam jedzie, ma coś budować, jedzie z nim i Celiński.

Pojechał i przepadł. Po paru latach przychodzi wiadomość, że umarł na dalekim Wschodzie.

W kilka miesięcy później dzwoni ktoś do mieszkania jednego z artystów warszawskich.

— Jezus, Marja!

— Niech będzie pochwalony!... Nie, nie umarłem — śmieje się w progu Celiński — jużście mnie pogrzebali. Nie! jeszcze żyję.

I żył istotnie jeszcze lat kilkanaście, i zrobił między innemi pracami rzeźbę odlaną w bronzie, której nie zapomniał na pewno nikt, kto ją choć raz widział.

„Świst-Poświst“, dwa słowiańskie bogi wiatru, w postaci młodych chłopców, trzymających się za jedną rękę i pędzących wkółko w szalonym młynku, jakby ich wiatr niósł. Istotnie — Świst-Poświst! jakby uosobienie niespokojnego życia

ich autora, postacie tak wyborne w ruchu i wykonaniu, że tylko z podobnemi rzeźbami francuskimi porównać je można.

Przyszła wielka wojna. Któż wtedy myślał o sztuce? Kto jej potrzebował? Kto myślał o losie artystów? Byli niepotrzebni, bardziej niepotrzebni, niż kiedykolwiek.

— Cóż pan robi? — pytano już przeszło sześćdziesięcioletniego artystę — ma pan jakie zajęcie? (O sztuce się nie mówiło).

— A mam, a jakże! — roześmiał się, tylko że śmiech zabrzmiał jakoś cierpko, a zmarszczki na twarzy zbiegły się w grymas bólu. — Mam! węgiel sprzedaję w miejskim składzie.

W kilka miesięcy później, w dziwnie smutny dzień, mała garstka kolegów, brodząc w nawpół roztopionym śniegu, odprowadzała na Powązki zwłoki Celińskiego.

„Świst-Poświst“ w szalonym młynku unosił siekące krople deszczu i kryształki śniegu.

* * *

— Pójdziemy na wystawę — mówimy sobie nieraz i idziemy. W poniedziałek, wtorek, czy niedzielę, kiedy tylko czas pozwoli i ochota nam przyjdzie.

Wchodzimy po szerokich schodach pięknego gmachu, który samym już swoim wyglądem sprawia miłe, estetyczne wrażenie. Obchodzimy sale obszerne, oświetlone górnem, łagodnem światłem, oglądamy obrazy, rozwieszane na ścianach w harmonijnym ładzie, rzeźby, ustawione w środku sal.

Cisza, spokój, jasność, kwiaty, otaczające postumenty z rzeźbami, coś świątecznego, coś oderwanego od gwaru i pośpiechu codziennego życia, coś niby świątynia, gdzie króluje bóstwo — sztuka.

Wystawa! Cóż zwykleszego? Była, jest i będzie, zżyliśmy się z nią, przyzwyczaili; któż myśli o tem, że przecież kiedyś, dawniej, nie tak znów bardzo dawno, nie było jej ani w Warszawie, ani w Krakowie, ani we Lwowie, że wogóle w Polsce nie było stałej wystawy obrazów.

— Więc coź robili artyści malarze — zapytacie — gdzież

posyłali swoje obrazy i rzeźby? Kto je mógł oglądać, kto mógł nabywać?

Otóż to właśnie! Jeszcze lat temu siedemdziesiąt w Krakowie, a sześćdziesiąt trzy w Warszawie, jeszcze pięćdziesiąt kilka we Lwowie — nie było stałych wystaw obrazów, nie było gmachów, gdzieby je oglądać można. Obrazy tułały się po oknach wystaw sklepowych, czasem jakieś kółko artystów urządziło małą wystawkę w pracowni jakiegoś zasobniejszego kolegi; czasem, później już, wynajmowano na czas pewien, na parę tygodni, jakieś wolne mieszkanie, jakąś salę narazie nieużyteczną i tu, w niewygodnem, ciasnem pomieszczeniu, w nieodpowiedniem świetle wystawiano obrazy na widok publiczny.

A artystów przybywa, zamiłowanie do sztuki rośnie.

Czemuż rząd nie zajął się artystami i ich dziełami tak, jak to już oddawna robiono w cywilizowanych krajach zachodniej Europy?

Rząd! Zapewne, tylko nie ten, a raczej nie te trzy zaburcze, wrogie rządy, które rade były raczej gasić światło, niż je rozpalać. A jednak kwitnąca już sztuka wielkim głosem woła o przytułek i poparcie.

I usłyszano to rozpaczne wołanie.

Pierwszy stanął do apelu Kraków.

W r. 1854 — Walery Wielogłowski, człowiek niezwyklej energii, woli i zapału zakłada w Krakowie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych i w kilku małych pokojach domu prywatnego otwiera pierwszą polską, stałą wystawę obrazów. Obok założyciela staje do pracy szereg ludzi czynu i dobrej woli, ks. Sanguszko, hr. Wodzicki, Dąbski, hr. Dzieduszycki, hr. Potocki — poeta Lucjan Siemieński i wielu innych. Stanęli murem i dźwignęli nowe Towarzystwo, postawili je na nogi, zabiegając, podtrzymując, umacniając troskliwie chwiejne jeszcze podstawy.

Dziś Kraków szczyci się własnym gmachem wystawy, gdzie po kilkunastoletniej tułaczce po obcych kątach, Tow. Przyj. Sztuk Pięknych umieszcza swoje wystawy.

W kilka lat po otwarciu Towarzystwa w Krakowie, w pracowni Gersona przy ulicy Miodowej gromadzi się grupka arty-



DOM TOW. PRZYJ. SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE

stów, miłośników, znawców sztuki. Jest więc Rastawiecki, Przędziecki, jest Gerson, są i inni, ale rej między nimi wiedzie Alfred Schouppe.

Drobny, mały, ruchliwy jak iskra, o żywych inteligentnych oczach, ocienionych krzaczastymi brwiami, o sumiastych wąsach. W karbach trzyma Schouppe obradujące grono, trzyma ich mocno, aby się brać artystyczna, zawsze skłonna do fantazji i kaprysów, nie rozleciała na cztery wiatry przy lada sposobności. I dobrze robi. Bo o cóż tu chodzi? Oto o założenie towarzystwa, któreby się zajmowało szczerze i gorliwie interesami sztuki i artystów.

Więc krząta się i zabiega, a stosunków ma mnóstwo i w świecie artystycznym, jako zdolny krajobrazista, i w świecie pracowników państwowych, jako wysoki urzędnik. Ttrudności są nie-małe. Rząd rosyjski nosem kręci. „Co? Jeszcze jedno towarzystwo? Poco im to! Mają Petersburg, mają rosyjskie towarzystwa“.

Ale Schouppe nie ustępuje. Porusza wszystkie sprężyny, biega, stara się, kołacze... Nareszcie ma pozwolenie. Chodzi teraz o nazwę.

Towarzystwo Sztuk Pięknych? Nie! nigdy! to brzmi za



DOM TOWARZYSTWA ZACH. SZT. PIĘKNYCH W WARSZAWIE

poważnie, to dobre dla stolicy, ale Warszawa — „gubernjalne miasto!”

Więc niech będzie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych; wystarczy dla Warszawy.

I oto stanęło towarzystwo o dziwacznej nazwie — Zachęty.

Mniejsza o to zresztą, jak się zowie, ale jest, ale wokoło niego mogą już stanąć artyści, mogą stanąć miłośnicy. Wnet też urządzono wystawę w najętym lokalu, potem w wydzierżawionych na dłużej salach dzisiejszego Tow. Przemysłu i Rolnictwa, koło kościoła Bernardynów. Do dziś są tam jeszcze na sufitach malowane obrazy Gersona, przedstawiające Trzy Sztuki, Poezję, Naukę, Zapał i Równowagę.

Schouppe nie ustaje w zabiegach, już siedemdziesięcioletni staruszek, z głową i wąsami białymi jak mleko i żywymi młodzieńczymi oczami.

Po kilku latach Towarzystwo buduje sobie już własne, tymczasowe pomieszczenie, marząc ciągle o swoim własnym, osobnym gmachu.

Przeszły lata, marzenie przyobleka się w ciało — uroczyście

otwarto podwoje nowego, własnego gmachu Towarzystwa Zachęty sztuk Pięknych w Warszawie.

Dzieło Schouppego trwa i rozwija się. Znowu upłynęło lat kilka, i oto na kresach dzisiejszej Rzeczypospolitej polskiej, we Lwowie, powstaje trzecie ognisko sztuki polskiej i tam organizuje się Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, zajmując na wystawę swoją część gmachu Muzeum Przemysłowego.

Trzy ogniska sztuki polskiej, rozniecone w chwilach najcięższego ucisku, coraz żywszym świecą płomieniem.

ZAKOŃCZENIE

Już koniec? Nie! Długo snućby jeszcze można dzieje artystycznej pracy w Polsce, długie jeszcze szeregi dzieł i artystów stają nam w oczach i myśli. Wielu jednak zbyt blisko jeszcze stoi czasów naszych, chociaż drogę życia swego już ukończyli.

Pomiędzy tem mnóstwem nazwisk i dzieł, odrębnem, tajemniczem światłem błyska gwiazda Stanisława Wyspiańskiego. Oczyma wizjonera, mistyka, patrzył w przeszłość i przyszłość kraju swego, który ukochał gorąco i boleśnie. Przeszłość i przyszłość sprzęgła się w jego obrazach w jedną całość, związana tchnieniem jego genjuszu. Tak, Wyspiański był genjuszem uczucia i cierpienia — on, jak Słowacki w „Grobie Agamemnona“ woła rozpacznie: „Sięgnę do wnętrza twych trzewi i zatargam“!...

Patrzcie! ten „Bóg-Ojciec“ na witrażu u Franciszkanów w Krakowie, ów „Kazimierz Wielki“, kościotrup w majestacie królewskim, jakby nawołujący z grobu strasznym głosem. Patrzcie! Oto tu wyniszczona umartwieniami święta polska, św. Salomea! Ileż dzieł, dziwnych, innych, dzieł, nad którymi trzeba myśleć, niepokoić się i przerażać.

Więc dalej zgasły przedwcześnie Podkowiński. Wymówcie tylko jego nazwisko — wnet nasuwa się tytuł jego najgłośniejszego dzieła — „Szał“¹⁾. Ta kobieta, dosiadająca jakiegoś apo-

¹⁾ Muzeum Narodowe w Krakowie.



WYSPIAŃSKI STANISŁAW
ŚW. FRANCISZEK
TOW. ZACH. SZT. PIĘK.
W WARSZAWIE

kalipytycznego rumaka, konia nie konia, smoka nie smoka, ziejącego ogniem z rozdętych chrap.

Stanisławski ¹⁾, malujący maleńkie krajobrazy, pełne prawdy i przejmującej melancholji. Witkiewicz, rozkochany w Tatrach i juhasach, który poza swojemi doskonałemi obrazami nieocenione usługi oddał sztuce polskiej, zbierając i gromadząc zabytki sztuki podhalańskiej. Antoni Piotrowski, malarz scen wojennych i ślicznych krajobrazów polskich, z rozrzuconemi wśród nich postaciami nimf i satyrów. Krudowski — któż nie zna jego „Zejścia z Golgoty”? Wilhelm Kotarbiński, autor wielkich obrazów o pięknym kolorycie i dziwnej, czasem mistycznej treści, jak ów kwiat czarodziejski, wykwitający z mogiły samobójcy — i strumień krwi purpurowej, płynący po płycie kamiennej. Jak ów anioł o sześciu żałobnych skrzydłach — anioł cmentarzy.

Włodzimierz Łoś, Jan Konopacki, Wolski, Anna Bilińska — której sława rozeszła się poza granicami kraju naszego, Eligjusz Niewiadowski, autor kilku panoram — Jan Styka, i to nie wszyscy przecież!

Czyż nie znane wam są nazwiska: Tetmajera, Jasińskiego, Wojciecha Kosaka, Kędzierskiego, Wyczółkowskiego, Pankiewicza, Fałata, Jacka Malczewskiego, Piątkowskiego, Rapackiego, Popowskiego? A znakomity akwarelista Masłowski? A Ruszczyk i Stabrowski? Szymanowski — malarz i rzeźbiarz w jednej osobie, autor „Pochodu na Wawel”. Rzeźbiarz Weloński,

¹⁾ Muzeum Narodowe w Krakowie.

którego „Stacje“ okalają wieńcem klasztor Jasnogórski, „Gładjator“ wyciąga rękę gestem tragicznego powitania. A Laszczka, autor zamierającego „Konika polnego“? ¹⁾).

I tu nie koniec. Cały zastęp młodszych wyrósł już i zmężniał, cały zastęp najmłodszych szuka dróg nowych i form nowych własnych, odmiennych.

Sztuka polska! Mamy ją! I śmiało stanąć możemy z dorobkiem naszym w rzędzie narodów Europy.

¹⁾ Zbiory Tow. Zach. Szt. P. w Warszawie.



KOTARBIŃSKI WILHELM
ANIOŁ CMENTARNY



SPIS RZECZY

	Str.
PRZEDMOWA	7
Do czytelników	8
W ZARANIU	9
Wit Stwosz	27
Jerzy Eleuter-Siemiginowski	62
Szymon Czechowicz	74
Daniel Chodowiecki	91
Marceli Bacciarelli	97
Franciszek Smuglewicz	104
Aleksander Orłowski	120
Jan Feliks Piwarski	136
Juljusz Kossak	156
Józef Simmler	171
Franciszek Kostrzewski	188
Wojciech Gerson	200
Elwiro Andriolli	234
Artur Grottger	244
Jan Matejko	262
Józef Brandt	291
Henryk Siemiradzki	301
Bracia Gierymscy	314
Józef Chełmoński	338
RZEŻBIARZE	348
ZAKOŃCZENIE	381



8464257178 180

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000411922



II 392070

